



Enoch Suzanne



*Niebezpieczny
pocałunek*

Tytuł oryginału: *After the Kiss*

Prolog

Pierwszy Regiment Dragonów Królewskich, Maguilla w Hiszpanii, 11 czerwca 1812 roku

Kapitan Sullivan James Waring pochylił się nisko nad grzbietem swojego wierzchowca. Wkoło świszczwały kule wycofujących się Francuzów. Choć Anglicy zyskiwali przewagę, ich sytuacja nie wyglądała najlepiej. Sullivan naładował pistolet i przynaglił swojego gniadosza Salty'ego do galopu. Wraz z nim siedmiuset dragonów z pierwszego i trzeciego regimentu ruszyło przez hiszpańską równinę w kierunku stanowisk wroga.

- Spójrz, co wyprawia Slade! - krzyknął jeździec po prawej.

- Atakuje bez żadnego wsparcia - odpowiedział Sullivan, nie mając pewności, czy kapitan Phineas Bromley w ogóle go usłyszał w panującym dokoła zgiełku. Rzucił krótkie spojrzenie za siebie na oddział, którym dowodził. Żołnierze wyglądali na wyczerpanych, podobnie ich konie. Tymczasem generał Slade, nie zwracając na nic uwagi, galopował w kierunku stanowisk wroga. Sullivan uśmiechnął się gorzko. Francuzi też byli zmęczeni. Marna pociecha, podobnie jak to, że Anglikom udało się wziąć do niewoli około stu żołnierzy, których na tyłach pilnowało teraz kilkunastu dragonów. Kontynuowanie ataku wydawało się szaleństwem. Na horyzoncie majaczyło miasteczko Maguilla i rzeka o bagnistych, zdradliwych brzegach.

- Zacieśnić szyki! - rzucił Sullivan do swoich ludzi. Nadjechał kolejny jeździec. Choć po majorze lordzie Bramwellu Lowrym Jonesie było widać zmęczenie, starał się zachować dobry humor.

- W tym tempie - powiedział, z trudem chwytając powietrze - za trzy dni dotrzemy do wybrzeża i będziemy mogli popłynąć do Dover.

- Nie pożyjemy tak długo - odparł Sullivan, wycierając twarz z kurzu. - Przed nami Maguilla. Jesteś wyższy stopniem, więc wypada ci przypomnieć generałowi, że gdzieś w pobliżu może czaić się francuska kawaleria.

Zanim major zdążył odpowiedzieć, czapka, którą miał na głowie, spadła zdmuchnięta przez kulę.

- Widziałeś?! - krzyknął oburzony. - Zestrzelili mi nakrycie głowy!

Wycelował pistolet i nacisnął na spust. Znajdujący się daleko przed nimi francuski żołnierz bezwładnie zsunął się z konia.

- Masz za swoje, łajdaku! - warknął Bramwell.

Wbrew pozorom sytuacja Brytyjczyków była nie do pozazdroszczenia, ale generał Slade wydawał się tego nie dostrzegać. Gnał na swoim wierzchowcu z wyciągniętą szablą, prowadząc żołnierzy do ataku na pozycje wroga.

- To najgorszy dowódca, jakiego miałem w życiu - mruknął do siebie Sullivan. Gdyby zastrzelenie przełożonego nie było karane śmiercią, kto wie, ilu wysokich oficerów straciłoby życie z rąk własnych ludzi.

Anglicy byli teraz rozciągnięci na długości prawie pół kilometra. Znajdujące się przed nimi zrujnowane miasteczko Maguilla wydawało się opuszczone. Także nad rzeką nie było widać żywej duszy.

- Nie podoba mi się to! - zawołał galopujący obok Phin, jakby czytając w myślach Sullivana.

- Przejdź od prawej flanki! - rozkazał Bram, sam kierując się ze swoimi ludźmi w lewo.

W tej sytuacji było to jedyne rozsądne rozwiązanie. Przynajmniej nie zostaną zaskoczeni od tyłu. Sullivan machnął szpadą, wskazując kierunek. Dragoni ruszyli śladem generała, który bezmyślnie gnał w kierunku

stanowisk przeciwnika. Dobrze, że w połowie szarży nie zatrzymał się, by poprawić strzemiona, jak to miało miejsce w zeszłym miesiącu pod Corruną.

Oddziały francuskie zdążyły dotrzeć do pierwszych zabudowań Maguilli i wyraźnie zwolniły tempo. Sullivan uniósł pistolet, obserwując jednocześnie, jak generał Slade zatrzymuje się, najwyraźniej zdziwiony, że pościg za wrogiem się zakończył.

- Naprzód! - krzyknął, wskazując na ubranych w zielone kurtki francuskich oficerów.

W tej samej chwili usłyszał za sobą rozpaczliwy krzyk Phina:

- Wycofujcie się!

Waring zdążył spojrzeć w prawo. Gwałtowna salwa o mało nie pozbawiła go głowy. Ukryty w zaroślach na brzegu rzeki oddział francuskich dragonów otworzył ogień do niespodziewających się zasadzki Anglików.

- Oslaniajcie oddział Phina! - zawołał Sullivan, celując w najbliższą postać w zielonej kurtce. Mężczyzna zwałił się na ziemię. Dwustu angielskich dragonów z pierwszego królewskiego pułku znalazło się w pułapce.

Sullivan gwałtownie zawrócił. Zobaczył, że część oddziału walczącego na lewej flance zawraca w ich kierunku. Chwilę później podjechał do niego Bram.

- Czułem, że byłoby lepiej, gdybym dziś został w obozie - zawołał, chowając pistolet i wyciągając szablę.

- Wracając, poszukamy twojej czapki - odpowiedział Sullivan.

Jakiś Francuz strącony z konia chwycił uzdę Salty'ego. Sullivan wymierzył przeciwnikowi kopniaka. Nagle rozejrzał się zaniepokojony.

- Gdzie jest Phin?

Sullivan popatrzył za siebie i dostrzegł przyjaciela stojącego na ziemi i zmierzających w jego kierunku kilku Francuzów na koniach. Bez namysłu dał ostrogę Salty'emu, przynaglając go do galopu. Wyciągnął szablę, tnąc na oślep stojących mu na drodze przeciwników i torując sobie drogę ku kapitanowi. Kiedy znalazł się tuż obok niego, wyciągnął rękę, jednocześnie uwalniając jedną stopę ze strzemienia, by ułatwić Phinowi wspięcie się na grzbiet konia. Mężczyzna wskoczył na siodło. Salty na chwilę przysiadł, zaskoczony dodatkowym ciężarem, ale zaraz posłusznie skręcił i ruszył w kierunku oddziałów Anglików. Dragoni Brama otworzyli ogień, osłaniając obu przyjaciół, a sam major zaczął obrzucać Francuzów najgorszymi epitetami w ich ojczystym języku.

Generał Slade przemknął obok Sullivana i Phina, krzycząc:

- Pięćdziesiąt funtów dla każdego, kto ruszy ze mną do ataku!

Bram powiedział coś, co brzmiało jak:

- Cholerny głupiec chce nas pozabijać.

- Dziękuję, Sully! - zawołał mu do ucha kapitan.

- Musiałem cię uratować. Moja matka chce namalować twój portret, pamiętasz? Nie możesz dać się zabić, dopóki tego nie zrobi.

Nieoczekiwanie poczuł palący ból w lewym ramieniu. Odchylił się do tyłu, prawie strącając Phi-na z siodła. Usłyszał jeszcze jego krzyk: - Sully! - ale jakby z bardzo daleka. Przed jego oczami pojawiły się ciemne plamy. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była ręka Phina przytrzymująca go przed upadkiem oraz postać podjeżdżającego w jego kierunku Brama. Potem ogarnęła go ciemność.

Rozdział 1

Londyn, rok później

To była jedna z tych chwil, kiedy Sullivan Waring po raz kolejny uświadomił sobie, jak wiele zmieniło się w jego życiu przez ostatni rok. Wobec wszystkich wydarzeń minionych miesięcy postrzał w ramię nie był najgorszą rzeczą, jaka go spotkała.

Sullivan zawiązał tasiemki czarnej maski zakrywającej mu pół twarzy i ukrył się w cieniu między krzewami a ścianą domu. Dobrze znał zwyczaje londyńskiej śmietanki towarzyskiej i wiedział, że z realizacją swoich zamiarów musi poczekać, aż dobrze minie środek nocy. Dziś miał po raz kolejny dokonać zemsty. I zaznać tego cudownego uczucia płynącego z igrania z niebezpieczeństwem.

W oknach domu, pod którym stał, pogasły ostatnie światła, ale on nie ruszał się ze swojego miejsca jeszcze przez dobrych dziesięć minut. Miał czas. Im mieszkańcy mocniej zasną, tym lepiej dla niego. Kiedy dzwony licznych kościołów rozsianych w Mayfair wybiły trzecią, wyszedł z ukrycia.

Informacje, które dostał od lorda Bramwella Johnsa, okazały się niezwykle użyteczne. Sullivan wolał nie zastanawiać się nad motywami, jakimi kierował się dawny kompan z wojska, zdradzając zwyczaje swoich znajomych. Najprawdopodobniej zrobił to po prostu z nudów. Tak czy inaczej, Sully i Bram niejednokrotnie ratowali sobie nawzajem życie i Waring ufał synowi księcia Levonzy. Major nigdy go nie zawiódł. Przeciwnie niż własny ojciec - markiz Dunston. Sullivan uśmiechnął się krzywo. Łotr będzie miał jutro powód do narzekań, żeby się wściekać. Będzie musiał przełknąć kolejne upokorzenie. Czyż może być coś przyjemniejszego?

Sully przełożył szewski młotek z lewej dłoni do prawej i bezszelestnie przemknął w stronę najbliższego okna. Starając się robić jak najmniej hałasu, włożył zakrzywioną część narzędzia między zamknięte skrzydła i energicznie popchnął. Okno otworzyło się, a on wśliznął do wnętrza domu. Przed wyprawą na Półwysep Iberyjski i po powrocie do Londynu wielokrotnie mijał wspaniałą rezydencję markiza Darshear w Mayfair. Teraz był w środku i bezszelestnie przemierzał gustownie urządzonej salonik dzienny. Przyszło mu do głowy, że gdyby nie dzisiejsza noc, nie byłoby mu dane przekroczyć progu tej rezydencji. Zresztą nie dbał o to. Nie odpowiadało mu towarzystwo, którym otaczał się markiz, a szczególnie jeden z przyjaciół domu. Urodzić się jako bękart to jedno, a być tak traktowanym przez własnego ojca to zupełnie inna sprawa. Z jego wsparciem czy bez, radził sobie całkiem nieźle. Nawet lepiej niż kiedykolwiek. Najzabawniejsze było to, że markiz Dunston prędzej czy później dowie się o jego nocnej wycieczce. Podobnie jak jego spłodzony w legalnym związku najstarszy syn. Co więcej, będą mieli związane ręce: nie tylko sam Dunston, ale także wicehrabia Tilden. Po raz kolejny przeczytają w gazetach, jaka to przykra niespodzianka spotkała ich bliższych lub dalszych znajomych.

Nie zatrzymując się, Sullivan wziął ze stolika wyjątkowo brzydką porcelanową figurkę gołębia i włożył ją do jednej z przepastnych kieszeni płaszcza. Dotarł do drzwi i wszedł do przestronnego holu. Tam zatrzymał się, nasłuchując.

Nie rozległ się żaden niepokojący dźwięk. Bram powiedział Sullivanowi, że rodzina Chalseyów spędziła cały wieczór na przyjęciu u Garringów. Na pewno wrócili zmęczeni i o tej porze spali już mocno. Sullivan ruszył głównym korytarzem w kierunku jadalni. Dalej znajdował

się gabinet, potem kolejny salon, a na końcu wejście do kuchni. Nie musiał iść tak daleko. Na ścianie, tuż obok drzwi, znalazł to, czego szukał.

- Jesteś! - szepnął, czując, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Podeszedł bliżej i przesunął palcem po rzeźbionej w złote liście ramie. Miał przed sobą obraz Franceski Perris namalowany niedługo potem, jak wyszła za mąż za Williama Perrisa, rezygnując z panińskiego nazwiska Waring. Wcześniej mieszkała z synem w małym domku na przedmieściach Londynu. Wtedy często powtarzała, że nawet jeśli jego ojciec, markiz Dunston, nie uzna go, Sullivan odziedziczy po niej cały majątek. Niestety, matka zmarła, gdy on leczył ranę w Hiszpanii. O jej odejściu dowiedział się wiele tygodni później, a kiedy kilka miesięcy temu wrócił do Anglii, przekonał się, że choć wiernie służył swojemu krajowi, nie ma żadnych praw do spadku. Wystarczyło, że George Sullivan, markiz Dunston, potraktował wszystko, co należało do Franceski Perris, jako swoją wyłączną własność.

Sullivan zacisnął pięści, ale szybko rozprostował palce, potrząsając kilkakrotnie dłońmi. Wspomnienia i marzenia o zemście muszą poczekać. Właściciel tego domu prawdopodobnie nigdy nie spotkał jego matki, ale miał nieszczęście kupić lub przyjąć w prezencie od Dunstona namalowany przez nią obraz. Niedługo dzieło wróci do prawowitego właściciela, a markiz dowie się o kolejnej kradzieży i będzie drżał ze strachu, że może zostać z nią powiązany.

Waring ostrożnie zdjął malowidło ze ściany, a potem wziął jeszcze drugie, nieco mniejsze. Obydwa owinał koronkowym bieżnikiem zdjętym z niewielkiego stolika. Przy okazji zabrał niewielką kryształową czarę i srebrną tacę na wizytówki. Wziął obrazy pod pachę, odwrócił się, by wrócić tą samą drogą, którą przyszedł... i zmarł.

Przed nim stała kobieta. Przez chwilę pomyślał, że czekając na dogodną porę do włamania, zdrzemnął się przed domem i oto widzi przed sobą senną zjawę. Była smukła i wysoka, a jej blond włosy, prawie srebrne w świetle księżyca, spływały kaskadą na ramiona. Ubrana w długą koszulę nocną uszytą z na wpół przezroczystej tkaniny, wydawała się naga. Niepewny, jak się zachować, Sullivan zamarł w bezruchu. Stał w cieniu, miał więc nadzieję, że mogła go nie zauważyć. Oby tak było!

- Co pan robi w moim domu? - usłyszał jej głos.

Jednak nie była snem!

Jeśli powie coś niewłaściwego lub wykona zbyt gwałtowny ruch, kobieta może zacząć wzywać pomocy. Wtedy będzie musiał walczyć o drogę ucieczki. Nie miał nic przeciwko rozbiciu kilku nosów, ale mógłby zostać zmuszony do porzucenia obrazu, a tego nie chciał. Ponownie spojrzał na nieznajomą. W zwodniczym blasku księżyca wydawała się nierealna, jakby była duchem.

- Przyszedłem po pocałunek - wypowiedział pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

Spojrzała na jego zamaskowaną twarz, a potem na owinięte w obrus obrazy.

- W takim razie coś jest nie tak z pańskimi oczami, bo to nie jest pocałunek.

Musiał przyznać, że nie brakowało jej zimnej krwi. W końcu była sama, w ciemności, zdana na łaskę włamywacza.

- Mogę wziąć to i to.

- Jeśli odłoży pan obrazy, nie wezwę służby - odrzekła.

Zrobił krok w jej kierunku.

- Nie powinna zdradzać pani swoich zamiarów - powiedział cicho, zastanawiając się jednocześnie, po jakie лихо w ogóle wdaje się z nią w rozmowę.

- Dosięgnę panią, zanim zdąży otworzyć usta. Kiedy zrobił kolejny krok, kobieta odsunęła się, by odległość między nimi pozostała ta sama.

- To groźba? - spytała. - Niech się pan wynosi!

- Dobrze - gestem dał jej znać, żeby się odsunęła. Przyszło mu do głowy, że chętnie zdarłby z niej tę całkowicie bezużyteczną nocną koszulę i z przyjemnością dotknął nagiego ciała.

- Proszę odłożyć obrazy.

- Nie ma mowy.

- Nie należą do pana.

Jeden z nich należał, ale Sullivan nie zamierzał dyskutować o tym z nieznajomą.

- Musi pani wystarczyć, że wyjdę stąd bez pocałunku. Proszę się odsunąć.

Nagle pocałowanie jej przestało mu się wydawać szalonym pomysłem. Może sprawiło to światło księżyca, a może świadomość, że robi coś ryzykownego, o czym rok temu nawet nie śmiałyby pomyśleć. A może jej usta - pełne, delikatne i bardzo kuszące.

- Niepotrzebnie dałam panu szansę - powiedziała i zaczerpnęła tchu, by wezwać pomoc.

Jednym susem znalazł się przy niej. Wolną ręką chwycił ją za ramię i pociągnął ku sobie. Pochylił głowę i pocałował ją prosto w usta. Smakowały niczym słodka, gorąca czekolada. Zaskoczona kobieta nie wykonała żadnego gestu. W końcu właśnie o to mu chodziło. Nie spodziewał się jednak, że dotyk jej warg wywoła rozkoszny dreszcz. Uniosła dłonie i

dotknęła jego twarzy. Sullivan wyprostował się. Uśmiechnął się krzywo, starając się ukryć fakt, że z wrażenia zabrakło mu tchu.

- Dostałem wszystko, po co przyszedłem - powiedział. Wyminął nieznaną i pobiegł korytarzem w stronę dziennego salonu. Jeszcze chwila

I przez otwarte okno wydostał się na ulicę. Podniósł młotek i pobiegł do miejsca, gdzie przywiązał konia. Obrazy schował do płaskiej sakwy przytroczonej do siodła i wskoczył na grzbiet wierzchowca.

- Jedziemy, Achillesie - szepnął i po chwili obaj znikli w ciemnościach.

Po dokonaniu dziesięciu włamań Sullivanowi wydawało się, że jest przygotowany na każdą sytuację. Dziś po raz pierwszy zdarzyło się coś niezwykłego. Oprócz obrazów ukradł też pocałunek. Sięgnął, by zdjąć maskę i z przerażeniem uświadomił sobie, że nie ma jej na twarzy. Jeden pocałunek sprawił, że całkowicie stracił czujność i zdrowy rozsądek. Kobieta na pewno dobrze mu się przyjrzała. Co teraz? Zaklął i ponaglił wierzchowca do galopu.

- Co miałam zrobić, Phillipie? - spytała lady Isabel Chalsey swojego starszego brata, kiedy oboje wysiadali z powozu. - Ukryć się pod łóżkiem?

Starszy brat spojrział na nią i poprawił mankiety żakietu, co robił zawsze, kiedy był zdenerwowany.

- Stałaś oko w oko z Rabusiem z Mayfair. Groziło ci niebezpieczeństwo.

- Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o tym moim przyjaciółkom. Dlatego powinienesz zabrać mnie na Bond Street, a nie oglądać te głupie konie. Nie spotkam tu nikogo znajomego! Wszyscy są dziś na zakupach.

- Kiedy wskoczyłaś do powozu, wiedziałaś, że jadę do Tattersall. Nie musiałaś mi towarzyszyć.

- Musiałam, bo mama chce mnie zamknąć w szkole klasztornej, podobno dla mojego własnego bezpieczeństwa.

- Nie dramatyzuj. Nie wiem, czy byłabyś taka beztroska, gdyby zginęło coś należącego do ciebie, a nie rzeczy rodziców.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć bratu, że o mało nie straciła cnoty, ale musiałaby wtedy przyznać się do pocałowania zupełnie obcego mężczyzny. Do tego Rabusia z Mayfair.

- Nie zabrał nic szczególnie cennego. Szczerze mówiąc, nie martwię się, że ukradł tego okropnego gołębia. I proszę, nie mów, że dramatyzuję.

- Następnym razem usłyszę, że ten złoczyńca wymachiwał ci przed nosem szpadą.

- To by zrobiło wrażenie, nie uważasz?

- Tibby, proszę!

Wzięła brata pod rękę i weszli na tereny Tattersall. Normalnie wolałaby zostać w domu, zamiast jechać na aukcję koni, ale po kilku godzinach wysłuchiwania biadolenia matki nad skradzionymi przedmiotami, przerywanego napadami hysterii z powodu zagrożenia, w jakim znalazła się córka, miała dość. Całe szczęście, że nie wspomniała o pocałunku! Dobrze wiedziała, co by się stało. W trosce o jej bezpieczeństwo (i cnotę) rodzice natychmiast wysłaliby ją do letniej rezydencji w Burling w Kornwalii, co oznaczałoby, że ominą ją najważniejsze wydarzenia sezonu towarzyskiego.

Kiedy w nocy zeszła na dół poszukać jabłka i zobaczyła Rabusia z Mayfair stojącego na środku holu, powinna zemdleć z przerażenia. Oczywiście, że się bała. W czarnym płaszczu i masce zakrywającej pół twarzy wyglądał niczym demon, ale w jego głosie i zachowaniu było coś... szlachetnego. Przypomniała sobie jego zielone oczy, w których odbijało się

światło księżyca. A gdy zdjęła mu maskę, jego twarz w niczym nie przypominała diabelskiego oblicza.

- Nie dramatyzuję - powtórzyła jeszcze raz, kiedy uzmysłowiła sobie, że brat oczekuje od niej wyrzutów sumienia. - W każdym razie nie za bardzo. Wiem, że mógł mnie zranić. Na szczęście nic mi się nie stało, więc nie widzę powodu, żebym miała nie opowiedzieć o wszystkim swoim przyjaciółkom. Jeśli ubarwienie tej historii sprawi, że we własnych oczach poczuję się odważniejsza, mam do tego pełne prawo.

- Oczywiście - zgodził się niechętnie. - Mam tylko nadzieję, że ta przygoda będzie dla ciebie czymś więcej niż tylko tematem do konwersacji. Jeśli widziałaś twarz tego człowieka, policja może go odnaleźć i położyć kres włamaniom. Nasz dom był dziesiątym, który w ciągu minionych sześciu tygodni został przez niego obrabowany. Mieszkańcy Mayfair są przerażeni. Isabel uniosła oczy.

- Więc teraz to dobrze, że go zobaczyłam? - odpowiedziała zaczepnie. - Myślałam, że masz żal, że nie zamknęłam oczu lub nie zemdlałam na jego widok.

Phillip zatrzymał się, zmuszając siostrę, by także stanęła.

- Nie rozumiem cię, Tibby - powiedział, spoglądając na nią. - To poważna sprawa. Stanęłaś oko w oko z groźnym przestępcą.

- Byłam na niego wściekła - odrzekła. - Gdybym była mężczyzną, z pewnością bym go zastrzeliła. Ponieważ jednak jestem słabą kobietą, nie pozostaje mi nic innego, jak udawać, że nic się nie stało i potraktować to wydarzenie jako fascynującą przygodę. Skończmy już tę rozmowę. Co się stało, to się nie odstanie.

Brat poklepał ją po dłoni.

- Masz rację. Najważniejsze, że jesteś cała. Straciliśmy tylko dwa obrazy i kilka drobiazgów. Gdybyś nie zeszła na dół, złodziej mógł zabrać znacznie więcej. Jeśli chcesz dziś po południu pojechać na Bond Street, by poplotkować z przyjaciółkami, chętnie będę ci towarzyszył.

Była bezpieczna, ale jednocześnie nieco zdezorientowana. Rabuś z Mayfair, kimkolwiek był, nie wyglądał i nie mówił jak pospolity przestępca. Tacy ludzie nie całują w ten sposób. Nie żeby miała w tym względzie jakieś doświadczenie, ale jego zachowanie było co najmniej dziwne. Przed wszystkim ostrożność, z jaką owinał obrazy w obrus. Jakby to były dzieła Rembrandta, a nie nieznanymi malarzy. A może dla niego miały wyjątkową wartość?

Phillip przyspieszył kroku i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Widzę go! - powiedział. - Rzeczywiście jest fantastyczny.

Isabel przerwała swoje rozmyślenia i wróciła do rzeczywistości.

- Kto? - spytała.

- Koń - odpowiedział brat, przeciskając się pomiędzy tłumem hodowców, treserów, stajennych i zwiedzających. - Spójrz tam! Ze stajni Sullivana Waringa. Widzę też Brama Johnsa! Jest i sam Waring!

Isabel spojrzała w kierunku wskazywanym przez brata i zauważyła lorda Bramwella. Nie było sposobu, by czarnooki i czarnowłosy młodszy syn księcia Levonzy, ubrany w ciemny żakiet i takie same spodnie, zgubił się w tłumie. Teraz stał przy niewielkim wybiegu, obserwując konie, a wśród nich wspaniałego ogiera, którym tak zachwycił się Phillip. Obok Brama odwrócony tyłem stał jeszcze jeden mężczyzna, równie wysoki i szczupły.

Rodzeństwo podeszło bliżej. Isabel dopiero teraz mogła w pełni ocenić wygląd wierzchowca.

- Jest olbrzymi! - powiedziała do brata. - Może być mięsożerny.

- On nie, ale ja tak - odezwał się lord Bram z leniwym uśmiechem, ujmując dłoń dziewczyny. - Ale proszę się nie obawiać. Gryzę tylko wtedy, gdy mnie ktoś o to poprosi.

- Uważaj, co mówisz, Bram - wtrącił Phillip trochę zbyt poważnym tonem. - Moja siostra przeżyła dziś w nocy przerażającą przygodę.

- Naprawdę? - Bramwell wyprostował się. - Cóż takiego ją spotkało?

- Isabel przyłapała na gorącym uczynku włamywacza. Zeszła na dół i zaskoczyła go, kiedy plądrował nasz dom. Jesteśmy pewni, że to był Rabus z Mayfair. Mógł ją zabić!

Przecież to ona miała opowiedzieć całą historię. Nie ma mowy, żeby Phillip towarzyszył jej podczas spaceru po Bond Street.

Drugi mężczyzna stojący obok lorda Bramwella nareszcie się odwrócił.

- Mam nadzieję, że wszystko skończyło się dobrze - powiedział.

Spojrzała w jego zielone oczy, z których lewe przesłaniał kosmyk złotobrazowych włosów, niesfornie opadający na czoło. Mężczyzna był niezwykle przystojny i wyglądał dziwnie znajomo. Nagle go poznała i cała krew odpłynęła z jej twarzy.

-Pan...

-Proszę o wybaczenie, lady Isabel - wtrącił Bram. - Chyba nie poznała pani jeszcze Sullivana Waringa. Sully, to lady Isabel Chalsey. Jej brata Phillipa już znasz.

Isabel nie wiedziała, co robić. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła jej do głowy, było krzyknąć, że oto mają przed sobą włamywacza. Zanim jednak

zdażyła cokolwiek powiedzieć, brat podszedł do Waringa i serdecznie uścisnął jego prawicę.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, nie miałem okazji powitać pana w kraju. Cieszę się, że wrócił pan cały i zdrowy.

- Ja także, sir.

- Czy to jest ten ogier, o którym tyle słyszałem? Doprawdy wspaniały! Sullivan oderwał wzrok od Isabel i spojrzał na padok.

- To właśnie jest Ulisses - przytaknął z dumą. - Właśnie skończył trzy lata.

- Ujeżdżony?

- Oczywiście.

Waring gwizdnął cicho i rumak podbiegł do ogrodzenia.

- Choć wygląda groźnie, w rzeczywistości jest spokojny i łagodny - dodał, rzucając Isabel przelotne spojrzenie. Z kieszeni płaszcza wyjął jabłko, przełamał je na pół i jedną część podał koniowi. Drugą wręczył Phillipowi, odsuwając się od ogrodzenia i stając obok dziewczyny. Bramwell i Chalsey zagłębili się w dyskusji o końskich charakterach, nie zwracając na nic uwagi. Isabel nie spuszczała oczu z Waringa.

- Radziłbym pani trzymać język za zębami - wyszeptał, prawie nie otwierając ust.

- Na razie udało się panu powstrzymać mnie od ujawnienia pańskiej tożsamości, ale niech nie próbuje mi pan grozić. Jest pan zwykłym złodziejem i niedługo trafi pan do więzienia.

- Zwykłym złodziejem? - odpowiedział. - Wydanie mnie zrujnuje pani reputację. Mam do opowiedzenia bardzo ciekawą historię o tobie i zwykłym złodzieju.

Uśmiechnął się, ale jego zielone oczy pozostały poważne. Potem odwrócił się i przyłączył do mężczyzn rozmawiających o koniach.

Isabel zacisnęła pięści. Jakim prawem jej groził? Czyż nie mówiła prawdy? Owszem, był przystojny, ale był też włamywaczem. Przeszło jej przez myśl, że gdyby Sullivan nie przypominał greckiego boga i nie całował jak sam diabeł, od razu powiedziała by bratu, że to właśnie jego widziała nocą w swoim domu.

Phillip zawsze twierdził, że uwielbiała dramatyzować i musiała przyznać mu racje. Nie widziała nic złego w ubarwianiu niektórych wydarzeń, co czyniło je bardziej interesującymi. Do tego nie znosiła, gdy ktoś mówił jej, co ma robić, lub - co gorsza - groził, choć nie uczyniła nic złego. Krótka rozmowa z Waringiem wytrąciła ją z równowagi. Owszem, w pierwszej chwili chciała zdradzić jego tożsamość, ale przecież tego nie zrobiła. Ten człowiek zasłużył na nauczkę za to, że tak ją potraktował.

- Zakładam, że chcesz kupić Ulissesa? - zapytała, podchodząc do brata i biorąc go pod rękę.

- Jestem gotów od razu zapłacić za niego pięćdziesiąt funtów, jeśli to zaoszczędzi mi konieczności brania udziału w aukcji - powiedział Phillip.

Waring uśmiechnął się chłodno.

- Za sto byłbym bardziej skłonny do negocjacji.

- Sto funtów?! To stanowczo za dużo!

- Przepraszam - wtrąciła Isabel. - Zainteresował mnie tamten koń - wskazała na piękną, siwą klacz na sąsiednim wybiegu.

- Nie jest ujeżdżona - odrzekł Waring, nawet nie zaszczywszy dziewczyny spojrzeniem, pewien, że jego groźby wywarły odpowiednie wrażenie. - Przeznaczyłem ją do zażrebiecia.

- Chcę ją mieć!

Niech wie, że tak łatwo nie da się zastraszyć.

- Tibby - Phillip odwrócił się do niej. - Po pierwsze, mówiąc w ten sposób, nie uda ci się uzyskać korzystnej ceny, a po drugie, słyszałaś, że klacz nie jest pod siodło. Zresztą, od kiedy to chcesz się uczyć...

- Spodobała mi się - przerwała bratu. - Jestem pewna, że za sto funtów pan Waring chętnie dorzuci drugiego konia.

Sullivan wziął głęboki oddech i lekko skinął głową, wciąż spoglądając na Phillipa. - Na to mogę się zgodzić.

-Ale...

Znów nie dopuściła brata do głosu.

- Oczywiście mogę liczyć na to, że pan Waring ujeździ ją dla mnie.

-Nie.

W końcu na nią popatrzył. Najwyraźniej także nie lubił słuchać niczyich poleceń. Ale przecież to on był przestępcą, nie ona. Musiała mu tylko przypomnieć, po czyjej stronie jest racja. Zrobiła krok w jego kierunku.

- Sto funtów - powiedziała z niewinnym uśmiechem. - Za taką sumę może pan chyba ujeździć pełnokrwistą klacz.

Odwzajemnił jej spojrzenie.

- Niech i tak będzie. Dostarczę ją za trzy tygodnie.

- O nie, chcę ją już teraz. Może trenować ją pan w naszych stajniach.

- Tibby! - Phillipowi w końcu udało się wtrącić do rozmowy. - Pan Waring jest bardzo zajęтым człowiekiem i nie ma...

- Sto dwadzieścia funtów - odrzekła zdecydowanie. - Sądzę, że to godziwa zapłata za pański czas. Proszę na to spojrzeć w ten sposób: nie będzie musiał pan uganiać się po Mayfair, czatując na potencjalnych kupców.

Zobaczyła jak zaciska zęby, starając się zapanować nad wściekłością. Zdrowy rozsądek nakazywał jej wycofać się i natychmiast powiedzieć bratu o wszystkim, jednak chęć zdobycia przewagi nad Waringiem i ukarania go za groźby, które rzucał pod jej adresem, okazała się silniejsza. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej być w posiadaniu tak ważnej tajemnicy i nie zamierzała nikomu jej zdradzać. W każdym razie do momentu, kiedy udowodni temu arogantowi, że pocałunek to za mało, by wprowadzić ją w zakłopotanie.

- Sully? - lord Bramwell klepnął przyjaciela w ramię. - Co ty na to?

- Dziś po południu dostarczę konie do Chalsey House - powiedział Waring, potrząsając głową, jakby budził się ze snu. - Poproszę tylko o adres.

Jakby nie wiedział, gdzie przyjść! - pomyślała Isabel ze złośliwą satysfakcją. Uśmiechnęła się rozkosznie i powiedziała:

- Phillip panu poda. Czy moja klacz ma jakieś imię?

- Zephyr - odpowiedział sucho. - Ale nazywam ją Złośnicą.

Jeśli była to aluzja do niej, jeszcze tego pożałuje.

- Wolę imię Zephyr i proszę, żeby od tej chwili tak pan o niej mówił. Phillipie, kiedy załatwisz sprawy z panem Waringiem, poszukamy dla mnie odpowiedniego siodła.

- Nie umie pani jeździć konno? - Sullivan po raz pierwszy sprawiał wrażenie poruszonego.

- Już niedługo. Dzięki panu się nauczę.

Odwróciła się do niego plecami i spojrzała na swojego nowego wierzchowca. Bez względu na to, czy nauczy się jeździć, czy nie, przynajmniej będzie miała pana Waringa na oku. Dotąd myślała, że nocne wydarzenia były wspaniałą przygodą wartą opowiedzenia przyjaciółkom. Nie przypuszczała, że to dopiero początek fascynującej historii.

Rozdział 2

- Mogłeś powiedzieć, że ktoś cię widział. - Bram wyjął jedwabną chustkę do nosa z wyhaftowanym monogramem i zanim usiadł, rozłożył ją na beli siana.

Sullivan nie zamierzał do niego dołączyć. Chodzenie w koło wydawało mu się jedynym sposobem, który mógł go uspokoić.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę. Skąd miałem wiedzieć, że brat ją tu przyprowadzi?

Bram złamał w palcach suche źdźbło trawy.

- Ciekawe, że nie kazała cię od razu aresztować.

Sullivan sam był ciekaw, dlaczego tego nie zrobiła.

- Przestraszyłem ją.

- Najwyraźniej zdała sobie sprawę, że masz do stracenia więcej niż ona. Zdaje się, mój drogi, że uczyniła z ciebie swojego niewolnika.

- Bzdura! Mam tylko dostarczyć konie.

- I nauczyć naszą ślicznotkę jeździć - dodał Bramwell z dwuznacznym uśmiechem.

- Tym razem to nie metafora.

Waring podniósł z ziemi bryłę błota i z całej siły rzucił ją w stronę drewnianego poidła dla koni.

- Niech to wszyscy diabli wezmą!

Bram spojrzał na niego.

- Mógłbyś na jakiś czas wyjechać z Londynu.

- Zostały mi do odzyskania jeszcze cztery obrazy.

- Jeśli dziewczyna się wygada, zawieszysz w Tyburn za okradanie arystokratów.

Sullivan potrząsnął głową.

- Gdyby mnie aresztowano, Dunston zatroszczyłby się, żebym został zesłany do kolonii. Wisielec w rodzinie nie robi dobrego wrażenia.

- Nie należysz do rodziny. W każdym razie według niego.

- Uważasz, że trzeba mi o tym przypominać?

Bram westchnął.

- Oczywiście, że nie. Tak samo jak myślałem, że nie muszę ci przypominać o noszeniu maski.

- Miałem ją na twarzy!

- W taki razie w jaki sposób lady Isabel cię zobaczyła?

No właśnie! Przypomniał sobie to ze szczegółami.

- Nie wiem - mruknął i odwrócił się w kierunku nadchodzącego stajennego.

- Samuelu, zabierz Zephyr z wybiegu. Została sprzedana. Powiedz Halliwellowi, żeby wykreślił ją i Ulissesa z rejestru.

- Tak jest, proszę pana.

Sullivan wyjął zegarek. Cztery pozostałe klacze, które przywiózł ze sobą, zostaną za kwadrans wystawione na aukcji. Musiał tam być.

- Spotkamy się wieczorem w gospodzie U Jezebel? - spytał Brama.

- Raczej nie. Mam dziś zamiar uwieść pewną ślicznotkę.

- Kogóż to, jeśli można wiedzieć?

Bramwell wstał i ruszył w stronę swojego konia.

- Jeszcze nie wiem - rzucił na odchodnym.

- Pocałowałem ją - powiedział Sullivan nieoczekiwanie dla samego siebie.

Przyjaciół zatrzymał się.

- Słucham?

- Pocałowałem ją, a ona, zanim się zorientowałem, zdjęła mi maskę. Dlatego dziś mnie rozpoznała.

Starał się nie patrzeć na Bramwella, ale i tak czuł się jak ostatni głupiec.

- Nie przypuszczałem, że pojawi się w Tattersall.

- Wybacz, lecz zatrzymałem się na fragmencie „pocałowałem ją”.

- Zaskoczyła mnie.

-I padła prosto w twoje ramiona?

- Musiałem coś szybko wymyślić, żeby nie zaczęła krzyczeć.

- Rozumiem. Próbowalesz odwrócić jej uwagę.

- Właśnie. - Sullivan spojrział na przyjaciela.

- Zdarzyło mi się w życiu odwracać uwagę niejednej kobiety - westchnął Bramwell, kładąc dłoń na ramieniu Waringa - ale powiem ci, że jesteś kompletnym durniem.

Sully zrzucił jego rękę.

- Wiem o tym doskonale - warknął.

Nie tylko uraził dumę kobiety z wyższej sfery, ale także oddał swój los w jej ręce. Wystarczyła krótka rozmowa, by zorientował się, że ma do czynienia z rozkapryszoną gąską, która uwielbia bawić się ludźmi.

- Skoro nie chcesz opuścić Londynu, to jaki masz plan? - zapytał Bram.

Sullivan wzruszył ramionami.

- Postaram się jakoś nakłonić ją do milczenia, a potem skończę to, co zacząłem.

- Mówisz o pocałunku czy kradzieżach?

- Kradzieżach, Bram. - Sullivan wspiął się na wóz, gdzie trzymał uprzęż i swoje rzeczy, żeby poszukać bata. - Pocałunek mało mnie obchodzi.

Na szczęście Bram powstrzymał się od komentarzy. Skinął głową przyjacielowi i po chwili był już w drodze do Pall Mall. Sullivan odetchnął z ulgą. Nie miał ochoty kontynuować rozmowy o swoich błędach. Wciąż czuł tę samą dziwną słabość jak w chwili, gdy ujrzał lady Isabel stojącą w świetle księżycy w holu rezydencji Chalseyów.

Westchnął głęboko. Gdyby jej zagroził, zamiast ją pocałować, gdyby trzymał się od niej z dala i nie pozwolił zdjąć sobie maski, nawet dziś, rozmawiając z nim, na pewno by go nie poznała. Byłby dla niej po prostu Sullivanem Jamesem Waringiem, jednym z najbardziej znanych i poważanych hodowców koni na południu Anglii. Ale też nigdy nie posmakowałby jej słodkich ust. A ona nie miałaby powodów, by go szantażować i włączać do swojej przewrotnej gry, której zasad nie pojmował.

- Panie Waring?

Zeskoczył z wozu i stanął twarzą w twarz z chudym mężczyzną o blisko osadzonych oczach i długiej brodzie.

- Lord Massey! Czym mogę panu służyć?

- Słyszałem, że przywiózł pan Ulissesa.

- Owszem, ale jest już zamówiony. - Przez tę dziewczynę postąpił wbrew swoim zasadom.

Lewa powieka wicehrabiego zadrgała nerwowo.

- Miałem nadzieję go kupić.

- Nie tylko pan. Niestety, dżentelmen, któremu obiecałem prawo pierwokupu, zdecydował się nabyć konia.

- Dam panu sto funtów.

- To bardzo hojna oferta, ale umowa jest umową.

- Dwieście.

Wyraz twarzy Sullivana się nie zmienił.

- Przykro mi, ale Ulisses został sprzedany.

- Nie uznaję odmowy...

- Jednakże - przerwał mu Waring - mogę zaproponować panu pierwszeństwo w zakupie brata Ulisses, Spartakusa. Będę go wystawiał na aukcji w przyszłym miesiącu.

- Spartakus? Po Hektorze?

-Tak.

- A klacz?

- Lilac Pleasure, siostra matki Ulisses Lavender Pleasure.

- Zanim podejmę decyzję, muszę obejrzeć ogiera.

- Proszę przyjechać do mnie, kiedy tylko będzie pan miał ochotę. Ktoś zaprezentuje panu konia.

- Wspaniale. Jednak następnym razem, kiedy będzie sprzedawał pan najlepszego wierzchowca, oczekuję, że dowiem się o tym pierwszy.

Sullivan zacisnął szczęki. Tylko dlatego powstrzymywał się od okazywania Masseyowi jawnej niechęci, że przed dwoma tygodniami wicehrabia padł ofiarą włamania.

- Spartakus to drugi z najlepszych koni, jakie przeznaczyłem do sprzedaży. Obiecuję, że zanim go wystawię, prześlę panu wiadomość. Teraz proszę mi wybaczyć. Mam kilka spraw do załatwienia.

Wicehrabia przez chwilę mierzył go niechętnym wzrokiem. Najwyraźniej jednak pragnienie posiadania wierzchowca pełnej krwi przeważało nad gniewem, ponieważ skinął sztywno głową na pożegnanie i się oddalił.

Przeklęty arystokratyczny bubek! Miał szczęście, bo jego rodzice wzięli ślub, zanim go poczęli. Sullivan ruszył na poszukiwanie swoich ludzi,

by wydać im dyspozycje na resztę dnia. Jeśli lady Isabel Chalsey sądzi, że on pozwoli się wplątać w jej grę, może się srogo zawieść.

- Kupiłaś konia? - spytał z powątpiewaniem Douglas Chalsey. - Ty, Tibby?

Dziewczyna spojrzała na swojego młodszego brata z wyższością.

- Tak właśnie zrobiłam. Damy z towarzystwa jeżdżą konno.

Młodzieniec uśmiechnął się krzywo.

- Owszem, bo nie boją się koni. A ty się boisz.

- Wcale nie! I przestań krążyć wokół mnie niczym uparta mucha. Słabo mi się robi od tego. A jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to w obecności dużych zwierząt zachowuję ostrożność. Jak każdy rozsądny człowiek. To wcale nie oznacza, że się ich boję. Ja nie boję się niczego!

Szesnastolatek wydał z siebie niezbyt sympatyczny dźwięk. Jakby na zawołanie na schodach pojawił się Harry, markiz Darshear. Energicznym krokiem zszedł i lekko uderzył młodszego syna otwartą dłonią w tył głowy.

- Dobre maniery obowiązują wobec wszystkich, nawet własnej siostry - powiedział, całując Isabel w policzek.

- Jak na osobę, która niczego się nie boi, trochę za głośno krzyczała na widok kawałka liny w swoim łóżku.

- Ułożyłaś ją tak, żeby wyglądała jak wąż! - zaprotestowała. Miała nadzieję, że kiedy przywiozą konie, mężczyźni zajmą się nimi na tyle długo, że zyska szansę krótkiej rozmowy z panem Waringiem. - Nawet domalowałaś oczy!

Douglas zachichotał.

- Ależ z ciebie dziecko!

Przez ostatnią zimę wyrósł i był teraz od niej wyższy, ale to jeszcze nie znaczy, że zjadł wszystkie rozumy.

- Zresztą - dodał - ty pierwsza chciałaś wystrychnąć mnie na dudka, kiedy powiedziałaś, że zamierzasz napisać książkę, jak popełnić morderstwo.

Zupełnie o tym zapomniała! Przypomniał jej o tym w samą porę.

- A ty opowiadałeś o węzach, które zjadają ludzi!

- Dzieci, proszę! - lord Harry spojrział na zegarek. - Pozwól, że ci przypomnę, Douglasie, iż dziś w nocy twoja siostra przepłoszyła włamywacza. Nie nazwałbym tego tchórzostwem.

- Gdybym to ja spotkał Rabusia z Mayfair, wpakowałbym w niego kulkę lub znokautował go - oznajmił chłopak, przybierając pozycję boksera.

Isabel bardzo w to wątpiła. Waring był wyższy od Douglasa i sprawiał wrażenie człowieka obytego z bronią. Właściwie była nawet zadowolona, że to właśnie ona zeszła w nocy do holu. Przynajmniej skończyło się na pocałunku, a nie kulce w czyjejs głowie. Przeniosła spojrzenie na drugiego brata, niecierpliwie krążącego po trotuarze przed domem.

- Nasza dziewczynka postąpiła właściwie - usłyszała głos ojca. - Nikt nie ma prawa twierdzić inaczej. Czy możecie mi powiedzieć, dlaczego wasz brat zachowuje się jak pies czekający na swojego pana?

Isabel uśmiechnęła się.

- Phillip kupił nowego konia, który powinien się tu pojawić lada moment.

- No tak! Powinienem był się tego domyślić.

Najwyraźniej ta wymiana zdań dotarła do uszu starszego syna, bowiem porzucił wędrówkę i podszedł do ojca i młodszego rodzeństwa.

- To nie jest zwykły koń, ojcze - powiedział z dumą.

- Oczywiście, że nie - wtrącił Douglas. - To ogier pełnej krwi.

- Z czyjej stajni? - spytał markiz.

- Sullivana Waringa.

Lord Harry spojrział na syna z podziwem.

- Musiałeś za niego sporo zapłacić.

- Sto dwadzieścia funtów za dwa wierzchowce i ułożenie klaczy Tibby pod siodło. - Philip pochylił się ku ojcu i dodał: - Waring osobiście się tym zajmie. Nasza Isabel okazała się zdolną negocjatorką.

Douglas chwycił siostrę za ramię.

- Nie powiedziałaś, że pan Waring przyjedzie tu osobiście!

Odsunęła się od niego z niesmakiem.

- A jakże by inaczej? Co w tym dziwnego, że hodowca osobiście dostarcza sprzedane konie?

- Myślałem, że panny takie jak ty znają wszystkie najnowsze plotki - zachichotał Douglas. Sullivan Waring nie jest zwykłym hodowcą koni. To prawdziwy król. Mówią, że jest...

- Uspokójcie się! Przyjechał! - przerwał im Philip.

Sullivan Waring pojawił się na prowadzącej do domu alei na wspaniałym karym ogierze, prowadząc Ulissesa i Zephyr na uwięzi. Choć Isabel nie znała się na koniach, oceniła, że wierzchowiec hodowcy jest wyjątkowej urody. A sam Waring... popatrzyła na niego. Brązowe włosy ze złocistymi refleksami, smukła sylwetka, swoboda, z jaką siedział w siodle... Rzucił jej krótkie, lodowate spojrzenie i skupił uwagę na markizie.

- Witam, lordzie Darshear - powiedział, zeskakując z konia.

- Wspaniałe zwierzęta panie Waring.

- Dziękuję! - Sullivan spojrział na Isabel. - Mam prośbę. Proszę porozmawiać z córką. Zephyr jest piękną klaczą, ale nie nadaje się dla osoby nie umiejącej jeździć.

Dziewczyna zatrzęsła się z oburzenia.

- Pana zadaniem jest ujeżdżenie jej - powiedziała, robiąc krok do przodu. - Zapłaciłam za to.

- Isabel! - Ku jej zdziwieniu ojciec przywołał ją do porządku. Potem zwrócił się do Waringa:

- Czy Zephyr jest niebezpieczna?

Tylko tego brakowało, żeby zwolnił hodowcę--włamywacza z obietnicy! Gdyby tak się stało, ten mógłby zniknąć Bóg wie gdzie i dalej zajmować się swoim haniebnym procederem. Najgorsze, że Isabel prawdopodobnie nigdy nie dowiedziałyby się wtedy, dlaczego Sullivan włamuje się nocą do domów arystokratów. Uwielbiała tajemnice, ale nie mogła ścierpieć, jeśli coś przed nią ukrywano.

- Ma zrównoważony charakter - odparł Waring. - Jednak została przeznaczona do rozrodu i nigdy nie chodziła pod siodłem.

Markiz z niepokojem spojrział na córkę.

- Muszę przyznać rację panu Waringowi - rzekł. - Do nauki jazdy powinnaś mieć starszą, doświadczoną klacz.

Isabel dumnie uniosła brodę.

- Chcę Zephyr! - powiedziała tym samym tonem, którego używała, kiedy była dwunastolatką, gdy pragnęła dostać nowy kapelusz. Najwyraźniej tylko ona jedna zdawała sobie sprawę, kim był naprawdę ten człowiek. Za wszelką cenę musiała się dowiedzieć, jakie pobudki nim kierowały. To zaczęło powoli stawać się jej obsesją.

- Tibby - wtrącił Phillip - bądź rozsądna!

- Ależ jestem! - odpowiedziała. - Najwyraźniej wszyscy trzej wątpicie w umiejętności pana Waringa. Jestem pewna, że tak ułoży Zephyr, iż będę mogła na niej jeździć bezpiecznie.

Spojrzała na Sullivana.

- Czyż nie mam racji?

Sztywno skinął głową:

- Oczywiście, lady Isabel.

Uśmiechnęła się słodko i zaświergotała:

- Gdyby cokolwiek mi się stało, cała wina spadłaby na pana.

Może była trochę zbyt bezpośrednia, ale nie miała pojęcia, jak inaczej dać mu do zrozumienia, że nie zwolni go z danego słowa, dopóki... nie do-
wie się, dlaczego ten człowiek tak bardzo ją fascynuje. Jeszcze nigdy w
swoim życiu nie posunęła się do szantażu. Była podekscytowana i
jednocześnie przerażona swoim zachowaniem. W tej chwili wiedziała jedno:
na pewno nie doniesie na niego policji. W każdym razie jeszcze nie w tej
chwili.

Phillip poprowadził ludzi i konie na tyły domu, gdzie znajdowały się
stajnie. Jak na dwudziesto-sześciolatka był zaskakująco spokojnym
człowiekiem, ale tym razem z rumieńcem na twarzy i pełnym przejęcia
uśmiechem przypominał małego chłopca, który dostał ulubionego lizaka. Za
to Douglas bez przerwy biegał wokół Waringa i koni niczym wypuszczony
do ogrodu szczeniak.

Kiedy doszli do stajni, Isabel chwyciła młodszego brata za ramię i
przytrzymała, czekając aż hodowca, ojciec i starszy brat się oddalą.

- Co chciałeś powiedzieć o... - zaczęła.

- Puść mnie, Tibby! - warknął, próbując wyrwać rękę.

- Co chciałeś powiedzieć o panu Waringu? - dokończyła
przytłumionym głosem, mocno trzymając rękaw żakietu chłopca.

- Że jest najlepszym hodowcą koni w Anglii. Puść mnie, bo nie
usłyszę, co mówi.

- To już wiem - odpowiedziała, ignorując jego próby uwolnienia się. -
Potem dodała: „Mówią, że jest... ". Kim?

- Już raz dostało mi się dziś za brak uprzejmości. Nie będę rozmawiał z własną siostrą o dzieciach z nieprawego łoża.

Isabel z wrażenia wciągnęła powietrze, a potem chwyciła Douglasa za ucho i syknęła:

- Mów!

Brat jakimś cudem zdołał jej się wyrwać.

- Dzikuska!

- Tchórz!

- Isabel! - Idący z przodu ojciec obrócił się i posłał córce groźne spojrzenie. - Jeśli mam ci pozwolić jeździć na tym koniu, musisz udowodnić, że jesteś gotowa poświęcić temu swój czas i uwagę.

Dziewczyna z ciężkim westchnieniem zostawiła brata i podeszła do ojca.

- Przepraszam - powiedziała sztywno. - Czy coś mi umknęło?

- Jak osiodłać ogiera.

- To chyba nie dla mnie.

- Powinnaś jednak wiedzieć, jak postępować z każdym zwierzęciem.

Przez chwilę zastanawiała się, czy ojciec na pewno mówi tylko o Ulissesie. Mężczyźni byli jednak całkowicie zaabsorbowani końmi. Waring skończył właśnie zapinać popręg i złożył ręce, by pomóc Phillipowi wspiąć się na siodło.

- Proszę pamiętać - odezwał się, kiedy młodzieniec dosiadł ogiera - że Ulisses to koń szkolony do polowań i ma bardzo wrażliwy pysk. Wystarczy, że pan pomyśli polecenie, a on już je wykona.

Ponieważ starszy brat zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który zjadł wszystkie rozумы, Isabel była zdziwiona, że tym razem posłusznie skinął głową i delikatnie wziął wodze od hodowcy. Waring odsunął się, stając obok niej. Phillip zaczął od stępa po dziedzińcu stajni, szepcząc coś uspokajająco do Ulissesa.

Isabel miała teraz okazję przyjrzeć się z bliska Sullivanowi, który z miną dumnego ojca obserwował konia. Na pewno był o kilka lat starszy od Phil-lipa. Prawdopodobnie dobiegał trzydziestki. Wysoki i szczupły, miał silne ręce i muskularne uda świadczące o wielu latach spędzonych w siodle. Ponieważ przyjechał bez kapelusza, na głowie miał uroczy nieład.

Kim był ten człowiek? Znanym hodowcą koni, który nocami włamywał się do domów arystokracji? To nie ma sensu. I dlaczego ją pocałował? Ze wszystkich zagadek chyba ta najbardziej nie dawała jej spokoju.

- O co naprawdę pani chodzi? - usłyszała niespodziewanie jego szept. Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- To ja zadaję pytania - odparowała. - Jeśli nie chce pan znaleźć się za kratami, proszę robić to, co powiem.

- Radzę nie przeciągać struny.

Zignorowała ostrzeżenie, a w każdym razie spróbowała, by tak to wyglądało, choć nie czuła się już tak pewnie jak przed chwilą. Na wszelki wypadek dodała głośniejszym głosem:

- Robię, co mi się podoba. I będzie mnie pan słuchał, panie Rabusiu.

Rozdział 3

Sullivan Waring oparł się o drewnianą bramę ogrodzenia wybiegu dla koni i bezmyślnie podał marchew swojemu wierzchowcowi. Dekoncentracja nigdy nie była bezpieczna, zwłaszcza na polu walki, ale tym razem nie mógł nic na to poradzić.

Stojący przy ogrodzeniu Achilles zarzął, kiedy jeden z chłopców stajennych wyprowadził piękną klacz.

- Przykro mi, stary - mruknął Sullivan, gładząc miękkie chrapy konia - ta dama nie jest dla ciebie.

- Panie Waring? - usłyszał za sobą męski głos. Potrząsnął głową, odpędzając niewesołe myśli.

- Słucham, Samuelu?

- Ułożyłem worki z owsem w stodole i dałem koniom świeżego siana. Jeśli ma pan jeszcze jakieś polecenia...

- To wszystko. - Waring spojrzał na niego przez ramię. - Dobrze sobie poradziłeś. McCray ma dla ciebie zapłatę. Zasłużyłeś na pięć funtów więcej. Baw się dobrze w Bristolu.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Dziękuję panu. Moi chłopcy nie mogą się doczekać, kiedy zobaczą babcię. W następny wtorek stawię się z samego rana.

- Wiem. Dobranoc.

- Dobranoc, panie Waring! - Samuel podniósł rękę w pożegnalnym geście i odszedł w stronę pomieszczeń dla pracowników.

- Dajesz ludziom nagrody i pozwalasz na wizyty u krewnych? - Bramwell Johns wyszedł z głównej stajni i podszedł do przyjaciela. - Ludzie zaczną myśleć, że zrobiłeś się sympatyczny.

- Kiedy mnie poznają bliżej, zorientują się, że byli w błędzie - odpowiedział Waring. Nawet przed samym sobą trudno było mu się przyznać, że miękło mu serce, kiedy widział kochające się rodziny. Podał Achillesowi ostatnią marchew i odszedł od ogrodzenia.

- Zdaje się, że planowałaś uwieść dziś jakąś gąskę? - spytał Brama.

- Owszem, ale mnie to znudziło. Za łatwo mi poszło. W dzisiejszych czasach moralność nie jest w cenie.

Sullivan wykrzywił usta w uśmiechu.

- Masz rację, ale wydaje mi się, że ten upadek obyczajów odbywa się nie bez twojego udziału.

Weszli do stajni i Sullivan zamknął ogromne podwójne drzwi. Bram wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Robię, co mogę.

- Dlaczego przyjechałeś?

- Niepokoiłem się o ciebie. Jak minęło popołudnie w towarzystwie Phillipa Chalseya i tej dziewczyny?

Waring zdjął lampę z haka przy głównych drzwiach i ruszył na drugi koniec stajni. Ponieważ Samuel wyjechał na cały tydzień, nocą koni miał pilnować samotnie Vincent, były dżokej, który właśnie wyszedł z jednego z boksów.

- Wszystko w porządku? - zapytał Sullivan.

- Tak jest, proszę pana. Nie musi się pan o nic martwić.

Łatwo powiedzieć! Nawet mimo dwóch stajennych czuwających od zmierzchu do świtu kilkakrotnie już zdarzały się próby kradzieży koni. Reputacja najlepszego hodowcy w okolicy wiązała się z ryzykiem, że ktoś będzie chciał przywłaszczyć sobie jego własność.

Zabawne, pomyślał. Złodziej obawia się złodziei.

- Na wszelki wypadek zajrzę nocą do stajni. Nie strzelaj, dopóki nie upewnisz się, że to na pewno nie ja.

Vincent uśmiechnął się, poprawiając kapelusz.

- Oczywiście, proszę pana.

- Czy to ma znaczyć, że nie dasz się wyciągnąć do Jezebel? - zapytał Bram, kiedy wyszli ze stajni i przez obszerne podwórko szli w kierunku niewielkiego, piętrowego domu.

- Wspominałeś, że idziesz na bal.

- A tak, u Almacków - ton, z jakim Bram wypowiedział to nazwisko, mówił sam za siebie.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego nie poszukasz sobie przyjaciół wśród osób z twojej sfery - spytał Sullivan, kiedy podeszli do domu. Zdjął brudną roboczą kurtkę i powiesił na haku przy drzwiach.

- Potrafią tylko zazdrościć mi uroku osobistego i inteligencji. Ty znasz mnie na wylot.

Sullivan potrząsnął głową.

- Jeśli chodziło ci o tę ranę na ramieniu, to owszem, znam. Masz tak samo czerwoną krew jak wszyscy.

- Czyli ty także. Sam widzisz, jak wiele mamy wspólnego.

Bramwell faktycznie robił wrażenie znudzonego. Jeśli Waring chciał mieć choć chwilę spokoju, musiał zgodzić się na jego propozycję.

- Pojadę z tobą, jeśli postawisz mi obiad - powiedział, zanurzając dłonie w misce z wodą.

- Umowa stoi. A potem powiesz mi, jak masz zamiar poradzić sobie ze swoim problemem.

Czyli lady Isabel Chalsey. Podał przyjacielowi butelkę whisky.

- Nie ma mowy o żadnym problemie - odrzekł wycierając ręce. Ruszył w kierunku schodów, by przebrać się na wieczorne wyjście. - Pozwolę jej przez dzień lub dwa napawać się zwycięstwem, a potem poradzę, by trzymała swoje śliczne usteczka zamknięte.

- Śliczne usteczka?! - zawołał za nim Bram.

- A co innego? - parsknął Sullivan. - Może mam jej kazać zatkać nos?

- To zależy, ile czasu spędzisz przedtem w stajni.

Waring westchnął. Najrozsądniej byłoby, gdyby dziś wieczorem pozostał w domu i zastanowił się, jak potraktować lady Isabel, kiedy jutro pojawi się w Chalsey House. Zawsze miał powodzenie u kobiet z różnych sfer i nie narzekał na brak kochanek. Jednak tym razem sprawa była bardziej skomplikowana. Nie był pewien, czy da się ją rozwiązać, próbując zastraszyć dziewczynę. Czy ta rozpieszczona, pewna siebie gąska boi się czegokolwiek? Jak miałby ją przekonać, by zachowała milczenie? W zamian za co? To, że do tej pory nie zdradziła nikomu jego tożsamości, było co najmniej dziwne. Musiał jak najszybciej dowiedzieć się dlaczego.

Włożył czystą koszulę, a na nią kamizelkę i żakiet. Do gospody U Jezebel przychodziło mieszane towarzystwo: od kupców i bankierów, poprzez hodowców koni, do młodszych synów arystokratów. Ponieważ Sullivan wybierał się razem z Bramem, nie chciał wyglądać gorzej od niego. Poza tym lubił wyróżniać się z tłumu. W końcu był nie byle kim. To znaczy byłby, gdyby tylko ojciec go uznał.

- Świetnie wyglądasz - powiedział Johns, podnosząc się z fotela przy kominku, gdy przyjaciel wszedł do saloniku. - Chyba nawet lepiej niż ja. Nie wiem, czy jestem zadowolony.

Sullivan prychnął i zarzucił na siebie płaszcz, a do ręki wziął kapelusz z bobrowego futra.

- Nie martw się. To ciebie będą przede wszystkim podziwiać - odpowiedział.

Zawołał gospodynię, panią Howard, i kazał jej wygasić ogień, a potem udać się do domu.

- Cieszę się, że to mówisz - rzekł Bram, gdy szykowali się, by wsiąść do jego powozu. - Co wiesz o rodzinie Chalseyów?

Sullivan zajął miejsce naprzeciwko przyjaciela

I ogromny pojazd, kołysząc się, ruszył z miejsca.

- Bogaci. Mają dwóch synów i córkę. Najstarszy uwielbia rasowe konie, a dziewczyna ma lekki sen. I byli w posiadaniu jednego z obrazów mojej matki.

- Robisz się cyniczny.

- Taki już jestem.

Bram przyglądał mu się przez chwilę uważnie.

- Masz mnóstwo szczęścia, że wciąż żyjesz - odezwał się w końcu przyciszonym głosem.

- Chalseyowie są przyzwoitą rodziną, a ich córka obraca się w najlepszym towarzystwie. Nie bądź taki pewny, że uda ci się nakłonić ją do milczenia. Uratowałem ci życie w Hiszpanii i nie chciałbym, żebyś stracił je na szubienicy.

Sullivan zmrużył oczy.

- Tak naprawdę nie chodzi ci o mnie, prawda Bram? Od samego początku wiedziałeś, co planuję, a mimo to zgodziłeś się informować mnie, gdzie znajdę kolejny obraz. Nic się nie zmieniło, przyjacielu.

- Popeliłeś błąd. Ktoś cię zobaczył. Nawet jeśli uda ci się chwilowo nakłonić ją do milczenia, co będzie, kiedy ukradniesz następne malowidło? Myślisz, że lady Isabel dochowa tajemnicy?

Przez długą chwilę Sullivan patrzył w milczeniu przez okno na skąpany w świetle księżyca krajobraz. Jego stajnie znajdowały się w pobliżu Londynu, na tyle jednak daleko, że czuł się, jakby mieszkał na wsi. Kiedy wjechali do miasta, odezwał się:

- Jeśli chcesz się wycofać z naszej umowy...

- Nic takiego nie powiedziałem. Jesteś uparty jak osioł. Nie będę płakać, kiedy cię powieszają, ale wywiążę się z obietnicy.

- To chciałem usłyszeć.

Przez cały wieczór Sullivanowi udawało się skutecznie ignorować pytania Brama dotyczące jego planów względem lady Isabel i pełne zachęty uśmiechy Molly Cooper, córki właściciela gospody. Dziewczyna była śliczna jak obrazek, ale krążyły pogłoski, że jej ojciec trzyma za beczkami z piwem naładowany muszkiet, więc Waring wolał nie ryzykować. Poza tym dziś inne sprawy zaprzętały mu głowę.

W końcu Bram wyjął z kieszeni plik zaproszeń na rozmaite spotkania towarzyskie.

- Nie wiem, na które jeszcze się zdecydować - powiedział do przyjaciela. - Jakież sugestie?

Sullivan zaczął je przeglądać. Wieczorki towarzyskie, koncerty, obiady... Bram wybrał już najciekawsze. W końcu był synem księcia.

- Hardingowie - powiedział w końcu, przesuwając w stronę przyjaciela bilet wizytowy. - Eugenia Harding ma dwa obrazy mojej matki kupione całkowicie legalnie.

- Czego w takim razie mam nie szukać?

- Jeden przedstawia dwie dziewczynki w ogrodzie, drugi skały Dover o zachodzie słońca.

Nawet jeśli Waring nie pamiętał wszystkich dzieł matki, dysponował jej szczegółowymi notatkami. Dlatego, kiedy po powrocie z Hiszpanii zastał dom całkowicie ogołocony z obrazów, wiedział, że zabrano je bezprawnie.

- Na pewno nie chcesz ich odzyskać? Sullivan pokręcił głową.

- Matka je sprzedała. Odbieram tylko te, które zostały nam ukradzione.

- Zastanawiałem się tylko... Skoro twoim celem jest rozwścieczenie Dunstona, dlaczego nie zabierasz wszystkich obrazów?

- Ponieważ to byłoby nie w porządku. Część kupiono legalnie i nie roszczę sobie do nich prawa. - Przesunął w stronę przyjaciela kolejną kartę wizytową. - Barnett. Kolekcjoner dzieł sztuki. Wyjątkowy chciwiec.

Bram skrzywił się.

- Ma dwie córki na wydaniu.

-I... ?

- Dobrze wiesz. Zaproсили mnie na obiad z nadzieją, że dam się usidlić. Gotowi uznać, że jestem chętny do małżeństwa.

- Gdybyś nie zastanawiał się, czy tam pójść, nie pokazałbyś mi zaproszenia.

- Ciężko z tobą dyskutować.

- Nie zapominaj, że dokonuję zemsty. Nie obiecywałem, że będzie łatwo.

Sullivan westchnął. Przyjaciel z pewnością nie namawiałby swojego serdecznego druha na odwiedzinę w domu, w którym ten czułby się niezręcznie. Z drugiej jednak strony Bram nie zrobiłby niczego, jeśli by nie miał na to ochoty. Nie zaprotestował zdecydowanie przeciwko wizycie u Barnetta. To w zasadzie przesądzało sprawę.

- Pozostałe zaproszenia rzeczywiście możesz sobie darować - powiedział.

Bram zamówił kolejny kieliszek portu. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał się odezwać, ale tylko zatopił zęby w kawałku pieczonej kaczki. Bardzo dobrze. Waring mógł sobie wyobrazić, co chce powiedzieć dawny towarzysz broni, ale nie miał ochoty tego słuchać.

To, na co się zdecydował, było ryzykowne. Sądowe dochodzenie swoich praw na pierwszy rzut oka wydawało się bezpiecznym i znacznie rozsądniejszym wyjściem. Sullivan wiedział jednak aż za dobrze, jak mogłoby się to skończyć. Musiał dbać o swoje interesy i pamiętać o zobowiązaniach wobec pracowników. W tej sytuacji kradzież była jedynym rozwiązaniem. Pozwalała też na upokorzenie prawdziwego złodzieja. Markiz Dunston, choć wiedział o włamaniach, miał związane ręce. Gdyby zareagował w jakikolwiek sposób, naraziłby na szwank własną reputację. Nie-uznanie syna z nieprawego łoża to jedno, a ograbienie bezbronnej kobiety przez cieszącego się popularnością w towarzystwie arystokratę to czyn godny potępienia. Na coś takiego Dunston i jego prawowite potomstwo nigdy by sobie nie pozwolili.

Dopił piwo i odstawił kufel.

- Muszę już iść. Nie szukałem wymówek, żeby uniknąć wspólnego obiadu. Samuel wyjechał, więc ktoś powinien mieć oko na stajnie.

Rzucił przyjacielowi przelotne spojrzenie.

- Niedługo powinieneś być już w Almack House, prawda?

- Nie wybieram się tam.

- To nie twoja wina, że w twoich żyłach płynie błękitna krew. Dawno ci to wybaczyłem.

Bram uśmiechnął się ponuro.

- Mam jeszcze inne przewinienia na sumieniu. Zanim Sullivan zdążył spytać, co ma na myśli,

Johns zapłacił rachunek i wstał od stołu. Hałas panujący w gospodzie jednocześnie pomagał i przeszkadzał. O wielu sprawach można było tu porozmawiać bez ryzyka podsłuchania. Mimo to Bram nigdy nie poruszał osobistych tematów i Waring szanował jego decyzję.

Poprosił o sprowadzenie powozu i kazał się odwieźć do domu. Jego posiadłość zajmowała jedynie trzy akry. W porównaniu z majątkami arystokracji nie było to wiele, ale przynajmniej ziemia należała do niego i nikt nie mógł mu jej odebrać. Wzdrygnął się. Lady Isabel Chalsey mogła to zrobić, gdyby wydała go władzom. Uwięzienie oznaczało utratę praw do majątku. Czy naprawdę może być dla niego zagrożeniem? Jest ładna i rozpieszczona. Nie pasuje do niego, ale usta ma idealne do całowania. Teraz jednym swoim słowem może zrujnować mu życie. Musi coś z tym zrobić. I to zanim zdecyduje się złożyć wizytę w kolejnym domu bez wiedzy jego właściciela.

- Po prostu chciałam mieć konia - oznajmiła Isabel chyba po raz piętnasty od pojawienia się Zephyr. Sama nie bardzo wierzyła w to, co mówi, ale miała nadzieję, że przynajmniej udało jej się przekonać rodzinę. - Eloise jeździ konno i uważa to za wspaniałe ćwiczenie. Postanowiłam przestać się bać i wziąć kilka lekcji.

Lady Darshear spojrzała na córkę z drugiego końca stołu w jadalni.

- Eloise Rampling to urocza młoda dama, ale pierwszy raz słyszę, że chciałabyś ją w czymkolwiek naśladować. Szczerze mówiąc, wolałabym, by to inne dziewczęta brały przykład z ciebie.

- Nikogo nie naśladowuję. Mam prawie dwadzieścia lat i nie w głowie mi głupstwa. Naprawdę chciałabym nauczyć się jeździć konno.

- Z pewnością nie mogła wybrać lepszego nauczyciela - wtrącił ojciec, wchodząc do pokoju. Pocałował żonę i córkę na dzień dobry, a potem

usiadł, by zjeść śniadanie. - Poza tym nasza rodzina od zawsze kochała konie i cieszę się, że Isabel w końcu postanowiła się do nich przekonać.

Isabel przemknęło przez myśl, że wielki Sullivan Waring tylko dlatego przez najbliższe dwa tygodnie będzie częstym gościem w ich domu, ponieważ ma względem niej pewne zobowiązania. Uwielbiała tajemnice, ale zdawała sobie sprawę, że tym razem po prostu kłamie na temat rzeczywistych powodów swojego nieoczekiwanego zainteresowania jeździectwem.

Gdyby miała więcej czasu na zastanowienie lub wiedziała, że w biały dzień spotka człowieka, który poprzedniej nocy okradł jej rodziców, a ją samą pocałował, na pewno postąpiłaby inaczej. Tymczasem zdecydowała się po prostu mieć Waringa na oku, dopóki... No właśnie? Kaze go aresztować? W końcu był złodziejem i powinien zostać ukarany...

Do pokoju bezszelestnie wśliznął się lokaj i powiedział coś na ucho kamerdynerowi. Ten odkaszlnął i odezwał się:

- Proszę pana, pan Waring czeka w stajni na panienkę Isabel.

W tym momencie do jadalni niczym burza wpadł Douglas.

- Przyjechał! - wykrzyknął od progu. - Na tym samym wspaniałym karym koniu! Niesamowite zwierzę!

- Douglasie - skrzywiła się markiza. - Pohamuj swój entuzjazm. Zachowujesz się, jakby odwiedził nas książę regent.

- To coś znacznie lepszego!

- Harry, przemów temu chłopcu do rozumu!

- Wybacz, moja droga, ale muszę się z nim zgodzić. - Markiz wstał od stołu. - Kilka razy rozmawiałem z panem Waringiem, lecz obserwowanie go przy pracy... Chodź, Tibby! Zobaczmy, co dla ciebie przygotował.

Douglas pobiegł przodem, jednak Isabel podniosła do ust tost, który pięć minut temu odłożyła jako - jej zdaniem - całkowicie niejadalny.

- Jeszcze nie skończyłam śniadania - oświadczyła. - Na litość, to tylko hodowca koni. Może zaczekać.

- A może z jakiegoś powodu nie spieszy ci się na lekcję? - odparł markiz, spoglądając na nią. - Mógłbym to zrozumieć. Zostań, jeśli chcesz, a ja odeślę pana Waringa do domu razem z Zephyr.

- Nie rób tego! Ja... - potrząsnęła głową i wstała gwałtownie. - Dobrze! Chodźmy przywitać się ze wspaniałym panem Waringiem.

Udawała obojętność, by zamaskować niechęć, jaką czuła do przebywania w pobliżu Zephyr. I nie tylko jej. Na szczęście ojciec i Douglas byli zbyt zajęci rozmową o zbliżających się wyścigach, by zwracać uwagę na jej zachowanie. Isabel wzruszyła ramionami i ruszyła za nimi. Nie mogła pozwolić, by Sullivan Waring zauważył jej brak pewności siebie.

Kiedy całą trójką wyszli przez kuchenne drzwi, zastali hodowcę siedzącego w faetonie markiza. Ubrany był bardziej jak stajenny niż dżentelmen. Płaszcz rzucił na siedzenie pojazdu i podwinął do łokci rękawy koszuli. Isabel wciągnęła powietrze. Już przedtem zwróciła uwagę na jego szorstką urodę, ale dopiero teraz przyszło jej na myśl, że przypomina jednego z greckich herosów, których Homer opiewał w swoich pieśniach.

- Dzień dobry! - powiedział, pochylając głowę i zeskakując z faetonu. Odgarnął z czoła niesforny kosmyk włosów.

- Panie Waring - markiz z uśmiechem wyciągnął prawicę. - Widzę, że można polegać na pańskim słowie.

- Jest dość wcześnie, ale skoro mamy odbywać dwie lekcje dziennie, najlepiej zacząć o tej porze.

- Dwie? - wtrąciła zdumiona Isabel. - Codziennie?

- Tak jest zalecane- odpowiedział Douglas, nie spuszczając oczu z Waringa. - Na początek po dwa kwadransy każda. Mam rację, proszę pana?

- Zgadza się - potwierdził Sullivan, spoglądając na Isabel. - Możemy zaczynać, panienko?

- Fantastycznie! Będę was obserwował. Tylko tego brakowało!

- Nie ma mowy, Douglasie! - oświadczyła z mocą. - Nie chcę, żebyś tu stał i straszył wszystko, co ma dwie i cztery nogi.

-Ale...

- Twoja siostra ma rację - poparł ją ojciec. - Pojedziesz ze mną do parlamentu.

-Ojczy, ja...

- Chodź, synu!

Markiz ścisnął palce Isabel.

- Phipps jest w pobliżu, a poza tym będziecie mieli widownię z chłopców stajennych i parobków. Zresztą nie obawiaj się. Dziś nie będziesz jeszcze jeździć.

- Poradzę sobie. Dziękuję, papo.

Miała nadzieję, że jej uwierzył, nawet jeśli zauważył, że bardzo trzęsą się jej ręce. Oczywiście zdawał sobie sprawę, jak bardzo obawia się koni i wyłącznie temu przypisywał jej niepokój. Waring wciąż jej się przyglądał. Jego badawcze spojrzenie sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej niepewnie co do słuszności obranej strategii.

- Sprytne posunięcie - skomentował, kiedy markiz z Douglasem zniknęli we wnętrzu domu.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jestem zaskoczona, że czekał pan tutaj, zamiast wejść do domu przez okno.

Zrobił krok w jej kierunku.

- Proszę pamiętać, że mogę to zrobić, kiedy tylko będę chciał.

A więc tak mieli to rozegrać - blef przeciwko młodzieńczej
zuchwałości. Z tym że Isabel nie była do końca pewna, czy Sullivan
naprawdę blefował. Oby on też choć trochę się jej obawiał!

- Proszę pamiętać, że mogę podciąć panu skrzydła, kiedy tylko będę
chciała.

- Jeszcze się przekonamy, młoda damo.

RS

Rozdział 4

Waring wszedł do stajni, jakby była jego własnością. Stajenni rozstąpili się, robiąc mu miejsce. Isabel miała dość tego przedstawienia.

- Phipps! - zawołała. - Wyprowadź mojego konia! Sullivan zignorował ją i szedł dalej w kierunku boksu, w którym znajdowała się Zephyr. Na dźwięk jego kroków klacz uniosła głowę i cicho zarżała.

- Witaj, maleńka! - powiedział miękkim, przyciszonym głosem. Isabel poczuła, jak przenika ją dreszcz. Waring wszedł do boksu i pogładził konia po chrapach, jednocześnie doczepiając uwiąz do uzdy.

Phipps otworzył szeroko drzwi boksu i Sullivan wyprowadził Zephyr. Jej uszy drgały nerwowo, ale posłusznie stała obok swojego byłego właściciela.

- Chce ją pani poprowadzić? - spytał, wyciągając uwiąz w kierunku Isabel.

Założyła ręce za plecami, siłą woli powstrzymując się od zrobienia kroku w tył.

- Nieujeżdżone zwierzę? - spytała. - Nie wydaje mi się, panie Waring. Zrobił krok w jej kierunku.

- Udajemy odważniejszą niż w rzeczywistości jesteśmy, prawda? - powiedział ściszym głosem. - Uważaj, odsłaniasz swoje słabości.

- To śmieszne! Chyba że zamierzasz mnie zastraszyć, wprowadzając konia do mojego pokoju.

Roześmiał się rozbawiony. To ją zaskoczyło. I chyba nie tylko ją, ponieważ Zephyr aż uniosła się na tylnych nogach.

- Spokojnie, moja panno! - powiedział Sullivan, popuszczając uwiąz. Isabel na wszelki wypadek cofnęła się jeszcze kilka kroków.

Wyszli ze stajni. Dziewczyna wciąż trzymała się w bezpiecznej - jej zdaniem - odległości od konia. To zwierzę było nieprzewidywalne. Podobnie jak jego były właściciel.

Uśmiechnęła się do siebie. Tylko ona zna prawdziwe oblicze Sullivana Waringa. Spojrzała na Phippsa i pozostałych stajennych, wyraźnie zainteresowanych obecnością hodowcy. Na szczęście stali na tyle daleko, że mogła zaryzykować rozmowę z Waringiem. Musiałaby tylko podejść nieco bliżej niego i tego okropnego, na wpół dzikiego stworzenia.

- Zamierza pani cały czas tam stać? - zapytał Sullivan, jakby czytając jej w myślach.

Niechętnie podeszła do niego. Choć czuła się niepewnie, wiedziała, że nie może pozwolić sobie na okazanie słabości.

- Jest mi pan winien wyjaśnienie - powiedziała.

Zamiast odpowiedzieć, skinął na stajennego, który podbiegł z lonżą i batem o długiej ręczce. Waring zdjął uwiąz, doczepił lonżę i spojrzał na Isabel, kołysząc lekko batem w przód i w tył.

- Radziłbym stanąć po mojej lewej stronie - rzekł, luzując lonżę.

- Grozi mi pan? - zapytała zaczepnie. Zaczynała mieć poczucie, że cała ta sytuacja ją przerasta. Tajemnica, którą poznała, nie była banalnym sekretem, z jakich do tej pory zwierzały się jej przyjaciółki. Tym razem chodziło o coś mrocznego i niebezpiecznego.

- Próbuję ujeździć pani klacz. Sama mnie pani do tego zatrudniła. Proszę się cofnąć.

- Nie mam zamiaru...

Nie pozwolił jej dokończyć. Cmoknął i delikatnie uderzył Zephyr w tylną nogę końcem bata. Klacz parsknęła, zatańczyła na boki, a potem ruszyła stępą po okręgu. Isabel szybko się cofnęła, chowając za lewym

ramieniem Waringa, który zaczął powoli się obracać, by nie tracić konia z oczu.

Przez chwilę słychać było tylko tętent kopyt. W końcu dziewczyna, znudzona milczeniem, odezwała się:

- Bardzo sprytne. Za chwilę dostanę zawrotów głowy i będę zupełnie bezbronna.

Waring końcem bata dotknął piersi Zephyr i klacz się zatrzymała.

- Proszę - powiedział, wyciągając w stronę dziewczyny dłoń, w której trzymał końcówkę lonży.

- To pańskie zadanie. Ja tylko zastanawiam się, dlaczego mam tu stać.

- Proszę chodzić - mruknął, ponownie nakłaniając klacz do stępa. - Co pani zamierza zrobić?

Isabel spojrzała na jego profil. Musiała przyznać sama przed sobą, że gdyby Sullivan nie był tak przystojny, na pewno siedziałby już w więzieniu.

- Co pan zamierza zrobić? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Nie pani sprawa.

Wzięła głęboki wdech. Poczowała się, jakby właśnie weszła na wąski, chybotliwy most rozpięty nad przepaścią.

- Pańska wolność, a może nawet życie, są w moich rękach. Ma pan traktować mnie uprzejmie i robić to, co powiem, a to znaczy także odpowiadać na moje pytania. Czy wyrażam się jasno?

Obrócił głowę w jej kierunku. Jego oczy były zimne jak lód.

- Jak sobie pani życzy - wycedził przez zęby.

- Chciałbym jednak znać pani zamiary wobec mnie, kiedy skończy już pani swoje gierki.

Coś w jego głosie sprawiło, że przez jej plecy przebiegł zimny dreszcz. Nigdy jeszcze niczyje życie nie zależało od jej decyzji.

- Nie zdecydowałam jeszcze, co zrobię - odpowiedziała.

Skinał głową.

- Radzę się pospieszyć, bo moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Ja też mogę mieć swoje plany.

- Czy to rozsądne dawać mi ultimatum? - zapytała.

- Hmm... - spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem.

- Cóż to miało znaczyć?

Zacisnął szczęki.

- Sądzę, że nie ma pani pojęcia, co robi. Przyłapała mnie pani, więc czuje, iż nie powinna tego tak zostawić. Ponieważ jednak pocałowałam panią, co zresztą bardzo się pani podobało, nie chce mnie pani wydać w ręce kata.

Jej policzki zapłonęły rumieńcem. Nie była pewna: ze wstydu czy ze złości. Jeśli z taką łatwością ją rozszyfrował, nie da rady utrzymać go w szachu na tyle długo, by nacieszyć się całą sytuacją.

- Pański pocałunek wcale mi się nie spodobał - syknęła. - Był wyjątkowo kiepski. Nawet byłoby mi pana żal, gdyby nie to, że moje współczucie...

- Współczuje mi pani? - przerwał. - Jeśli istnieje jakikolwiek powód, by mi współczuć, to tylko taki, że zostałem zmuszony, by panią pocałować.

Isabel uniosła zaciśniętą pięść.

- Nie będzie pan... !

- Ostrożnie! - mruknął. - Mamy widownię.

Spojrzała w kierunku stajni, gdzie zebrała się spora grupka służących i stajennych gapiących się na nich. Nie, nie na nich - zreflektowała się. Na niego. Słynnego Sullivana Waringa.

- Wydaje mi się, że to pan nie ma pojęcia, jak postąpić - powiedziała najbardziej spokojnym tonem, na jaki było ją stać. - Gdyby był pan prawdziwym złoczyńcą, poderżnąłby mi pan gardło. A tresuje pan moją klacz.

Znów zatrzymał Zephyr.

- Gwoli wyjaśnienia - odezwał się z lekką nutą rozbawienia w głosie. - Ma pani do mnie żal, że nie pozbawiłem pani życia?

Isabel zacisnęła wargi. Ta rozmowa miała umożliwić jej wydobycie z Waringa wszystkich potrzebnych jej informacji, a przerodziła się w słowną potyczkę, w której hodowca wyraźnie wygrywał. Zawsze miał ostatnie słowo. Jednocześnie stwierdziła, że jednak czegoś się o nim dowiedziała. Nie mówił jak człowiek z plebsu. Tacy jak on nie używają zwrotów „gwoli wyjaśnienia”.

- Uważa pan, że znaleźliśmy się w impasie - odpowiedziała powoli. - Jednak przyszedł pan tutaj dziś rano i wróci po południu. Podobnie będzie jutro, pojutrze i za dwa dni. Dopóty, dopóki nie zdecyduję inaczej.

Dostrzegła, jak napięły się mięśnie jego szczęk.

- Do czasu, panienko.

- Proszę dalej pracować z Zephyr. Nabrałam ochoty na szklanek lemoniady. Wrócę za chwilę.

- Będę czekał z niecierpliwością.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i spiesznie oddaliła w kierunku domu. Wolałaby poruszać się bardziej dostojnie, ale musiała przejść na tyle szybko, by nie znaleźć się w bezpośrednim sąsiedztwie Zephyr. W tej sytuacji pozwoliła sobie jedynie na dumne uniesienie brody.

Gdy zamknęła za sobą masywne kuchenne drzwi, oparła się o nie i przyłożyła dłoń do ust. Nic nie szło tak, jak sobie zaplanowała. To ona miała wieść prym podczas tej konwersacji, lecz choć starała się ze wszystkich sił,

nie wywarła na Waringu należytego wrażenia. Jak większość mężczyzn, z którymi miała okazję rozmawiać, tylko uśmiechał się do niej, nie przywiązując wagi do jej słów. Za kogo się uważał?!

Podbiegła pokojówka i z dygnięciem zapytała:

- Czy potrzeba czegoś panience?

- Szklanekę lemoniady - odpowiedziała, żałując, że kobietom nie wypada pić whisky, szczególnie o dziewiątej rano. Czuła, że przydałoby jej się coś mocniejszego.

Sullivan nie spuszczał oczu z lonżowanej klaczy, ale jego myśli błądziły wokół dziewczyny, która przed chwilą znikła za drzwiami Chalsey House. Choć byłoby to w pełni usprawiedliwione, do tej pory nie próbował groźbami wymusić na niej utrzymania tajemnicy. Zastraszanie kobiet nie leżało w jego naturze. Szczególnie że tak naprawdę ani Isabel, ani jej rodzice nie byli winni temu, że w ich domu znalazł się obraz ukradziony prawowitemu spadkobiercy.

Lady Isabel miała ostry język - temu nie mógł zaprzeczyć - i z przyjemnością wykorzystywała okazję do zrobienia z niego użytku. Uczyniła z Sullivana kogoś w rodzaju niewolnika, nie miała jednak zamiaru podzielić się z kimkolwiek tajemnicą, w której posiadaniu się znalazła, nie mówiąc o zawiadomianiu władz. Nie miał pojęcia, dlaczego postanowiła milczeć. Może świadomość, że zna kompromitujący go sekret, po prostu sprawiała jej przyjemność. Ponieważ jednak - o czym nieraz zdążył się przekonać - kobiety zmieniały zdanie szybciej niż kapelusze, najrozsądniejszym wyjściem wydało mu się wyczekanie na odpowiednią chwilę i dyskretne usunięcie się w cień. Był pewien, że gdyby pojawiła się jakakolwiek plotka łącząca go z Rabusiem z Mayfair, Bram na pewno usłyszałby ją jako pierwszy i zrobił wszystko, by Sullivan miał czas na opuszczenie Londynu.

Zatrzymał Zephyr i skierował ją w przeciwną stronę. Gdyby zdecydował się wyjechać z miasta, nie mógłby tresować klaczy. Mogło się wydawać, że to drobiazg, ale niewywiązanie się z umowy oznaczałoby poważny uszczerbek na jego reputacji. Pewnie Phipps lub ktoś inny dałby radę ujeździć Zephyr, lecz wiadomość, iż poważany hodowca nie wykonał pracy, za którą mu zapłacono, rozeszłaby się lotem błyskawicy. Z doświadczenia wiedział, że takie drobiazgi potrafią skutecznie zepsuć opinię.

- Niech to piekło pochłonie! - mruknął do siebie.

Zaniepokojona Zephyr zastrzygła uszami. Czemu w ogóle pocałował Isabel Chalsey? Głupiec! Musi jak najszybciej opuścić to miejsce, zanim trafi w ręce kata. Skinął na jednego ze stajennych, by podszedł bliżej.

- Na razie wystarczy - stwierdził, podając chłopakowi lonżę i bał.

- Tylko tyle za dwadzieścia funtów? - dobiegł zza jego pleców chłodny głos lady Isabel.

Zacisnął zęby.

- Jak masz na imię? - zwrócił się do stajennego.

- Delvin, proszę pana.

- Oddaj mi lonżę.

Podszedł do Zephyr, pogładził ją po aksamitnych chrapach, a potem podszedł razem z nią do Isabel.

- Proszę! - wyciągnął rękę, podając jej linę. Znów się cofnęła.

- Czy próbuje mi pan wmówić, że po dwudziestu minutach ten koń już jest ujeżdżony? - spytała, wpatrując się niespokojnie w Zephyr.

Choć starała się, by jej głos brzmiał pewnie, Sullivan usłyszał drzenie.

- Naprawdę boi się pani koni - stwierdził przyciszonym głosem. - To nie jest udawane.

- Po prostu jestem ostrożna - odpowiedziała.

- W takim razie - powiedział, zastanawiając się, co każe mu kontynuować tę konwersację - wybrała pani dziwny sposób, by uzależnić mój los od swojego kaprysu. W końcu jestem hodowcą koni.

- Nie mogłam przecież zatrudnić pana, by uczył mnie gry na fortepianie, prawda?

- Bez względu na pani motywy, to wstyd posiadać tak piękne zwierzę i nie wykorzystywać jego możliwości.

- Chciał ją pan sprzedać komuś, kto będzie ją rozmnażał.

- Pochodzi z bardzo dobrej linii, jej źrebięta mogą osiągnąć wysoką cenę.

- Mogłyby - poprawiła go.

- Nic nie jest przesądzone. Jeśli nie zamierza pani na niej jeździć, chętnie ją odkupię. Przynajmniej przestaniemy wchodzić sobie w drogę.

Isabel zmrużyła oczy i podniosła do ust szklankę z lemoniadą, którą trzymała w dłoni.

- Chciałby pan tego, prawda? - spytała po dłuższej chwili. - Okradł mnie pan...

- Nie panią. Dom, w którym pani mieszka - sprostował.

- ... i pocałował mnie pan - dokończyła, jakby nie usłyszała jego słów.

- Zrobił pan to bez mojego pozwolenia. Nasze sprawy nie są jeszcze zakończone. O której przyjdzie pan po południu?

Niech ją piekło pochłonie! - pomyślał, a głośno spytał:

- O trzeciej będzie dobrze? Nie chciałbym kolidować z pani towarzyskimi zobowiązaniami.

Skinęła głową.

- Oby był pan punktualny.

- Mam nadzieję, że w końcu zobaczę panią na tym koniu - odrzekł.

- Nie mówmy teraz o tym. Oczekuję pana o trzeciej.

Zacisnął szczęki prawie do bólu. Dobrze wiedział, co powinien odpowiedzieć lady Isabel Chalsey i co chciałby z nią zrobić. Zdawał sobie jednak sprawę, że w tej chwili jest to niemożliwe. Był na łasce jej kaprysów i w tej chwili nic nie mógł na to poradzić.

Skinał głową.

- Jak pani sobie życzy.

Wracając do stajni, stanął tak, by Zephyr oddzielała go od dziewczyny. Zaintrygowała go jej niechęć do koni. Starła się ją ukryć, najlepiej jak mogła, ale z tego, co mówiła ona sama i jej najbliżsi, ten lęk był czymś więcej niż tylko dziewczęcą fanaberią.

Znał sposób, by choć częściowo zaspokoić swoją ciekawość. Wystarczyło, by wracając do domu, zatrzymał się u lorda Bramwella Johnsa, a ten na pewno chętnie udzieli mu kilku informacji. Sullivanowi pozostały do odzyskania jeszcze cztery obrazy. Im więcej będzie wiedział o Isabel, tym łatwiej znajdzie sposób, by się od niej uwolnić i dokończyć swoje dzieło. W tej chwili ona rozdawała karty, ale to mogło się lada chwila zmienić.

- Niby skąd mam to wiedzieć? - spytał Bram, przeglądając się w zwierciadle.

- Wiesz wszystko. - Sullivan usiadł na parapecie w sypialni przyjaciela. - W każdym razie zawsze tak mówisz.

- Wolałbym pogadać o tym, że ta dziewczyna praktycznie ci rozkazuje. Niezła z niej diablica.

- Bram posłał Sullivanowi krzywy uśmiezek.

- Jest bardziej interesująca, niż mi się wydawało.

Waring zmarszczył brwi.

- Trzymaj się od niej z daleka.

Bram spojrzał na niego autentycznie zdumiony.

- Spodobała ci się?

- Prędzej bym ją zadusił. Nie chcę tylko, byś skomplikował wszystko jeszcze bardziej.

Sullivan powiedział to bardzo spokojnie, ale jego serce niespodziewanie uderzyło mocniej. Odpowiedź na pytanie zadane przez przyjaciela nie była widocznie tak jednoznaczna, jak by tego chciał. Nie zamierzał jednak zastanawiać się nad tym w tej chwili.

- Więc mnie o nią nie pytaj. I radzę, trzymaj się od tej panny z daleka. Ja naprawdę wiem wszystko. - Bram włożył rękawiczki do jazdy konnej i skierował się do wyjścia. - Lady Isabel Chalsey jest bardziej skomplikowaną osobką, niż ci się wydaje.

To zabrzmiało intrygująco. Sullivan wstał i ruszył w ślad za przyjacielem do holu.

- Co przez to rozumiesz? Przecież nie miałeś pojęcia o jej makiawelicznych talentach.

- Ta rozmowa do niczego nie prowadzi i nie zamierzam jej kontynuować - uciął Bram. Zatrzymał się na chwilę, by wziąć kapelusz.

- Wychodzę - powiedział. - Możesz zostać, ale ponieważ jadę na spotkanie z księciem, wątpię, czy będziesz chciał tu być, gdy wrócę.

Książę. Tak Bram mówił o Levonzym, swoim ojcu. Sullivan przyjrzał się przyjacielowi. Między tymi dwoma panowały mniej więcej takie stosunki jak między królem Arturem a Mordredem.

- Chcesz, żebym na ciebie czekał?

- Nie potrzebuję, by ktoś trzymał mnie za rączkę - odparł Bram i dodał:

- Jedziesz znów do Chalseyów?

- Na trzecią - warknął Sullivan.

- Wieczorem będę zajęty, ale koło północy moglibyśmy spotkać się u Jezebel. Jeśli masz ochotę, przyślij wiadomość.

Sullivan nie wiedział, dlaczego miałby potrzebować się napić bardziej niż Bram, ale skinął głową.

- Dam ci znać. Wciąż mam wrażenie, że wiesz coś, o czym nie mam pojęcia.

- Wiem o tylu rzeczach, że mógłbym napisać książkę.

- Ciekawe, kto by ją wydał? Nie obchodzą mnie ludzie z twojej sfery, chyba że chcą kupić ode mnie konia, ale jeśli masz jakieś ciekawe informacje, mógłbyś się nimi ze mną podzielić.

- Niektóre sprawy lepiej odkrywać samemu. Hibble, mój koń jest osiodłany?

Kamerdyner z szacunkiem skinął głową.

- Tak jest, proszę pana. - I otworzył drzwi przed Bramem.

Sullivan został sam. Przez chwilę zastanawiał się, czy warto roztrząsać głębiej, co przyjaciel miał na myśli. Potem doszedł jednak do wniosku, że zna lepszy sposób spędzenia tych kilku godzin, które zostały do trzeciej. Czekwały go spotkania z dwoma potencjalnymi klientami, musiał też kupić obrok dla koni.

Zbiegł ze schodów i odwiązał cugle Achillesa.

- Tylko nikogo nie zabij! - rzucił w kierunku oddalającego się na swym wierzchowcu Brama.

- Ty też! - odkrzyknął z krzywym uśmiechem przyjaciel.

Waring wmieszał się w tłum powozów i zaprzęgów konnych przemierzających ulice Mayfair. Poniewczasie uświadomił sobie, że zapomniał spytać, czy Bramwellowi udało się wytropić kolejne obrazy. Oto kolejny powód, by trzymać się z dala od lady Isabel Chalsey: nawet myślenie o niej zupełnie go rozpraszało.

RS

Rozdział 5

Kiedy powóz zatrzymał się przed Chalsey House, a lokaj podbiegł do drzwi, by je otworzyć, Isabel ujęła dłoń siedzącej obok niej młodej kobiety.

- Dziękuję, Barbaro, że przywiozłaś mnie do domu. Kiedy mama wejdzie do sklepu pani Wrangley, tylko trzęsienie ziemi mogłoby ją stamtąd wygonić.

- To nic takiego - odpowiedziała lady Barbara Stanley z uśmiechem. Jej delikatne rysy, jasne włosy i błękitne oczy upodabniały ją do anioła. - W zeszłym tygodniu uratowałaś mnie przed tańcem z lordem Arntonem, co byłoby prawdziwą katastrofą.

Isabel zachichotała.

- Czulaś, jak cuchnął owcami?

-I to starymi! - Barbara wstała i podała dłoń lokajowi, który pomógł jej wsiąść z powozu.

- Jeśli masz chwilę, chętnie obejrzę twojego nowego konia.

A niech to! Biorąc pod uwagę porę dnia, Sullivan mógł już być w stajni, a Isabel jeszcze nie zamierzała dzielić się z nikim swoim sekretem. Z drugiej jednak strony Barbara mogła powiedzieć jej to i owo na temat obiektu jej zainteresowania. Kiedy Isabel próbowała się czegoś dowiedzieć od członków swojej rodziny, słyszała tylko zachwyty nad kunsztem Waringa jako tresera lub znaczące westchnienia. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli o czymś, ale nikt nie chciał jej nic powiedzieć. Kiedy szły w stronę stajni, Barbara dotknęła ramienia przyjaciółki.

- Jak myślisz, czy jest szansa na spotkanie twojego brata?

Isabel westchnęła. Kiedy w końcu Phillip się ożeni, liczba jej przyjaciółek na pewno znacząco zmaleje. Przynajmniej część z nich

traktowała ją jako pośredniczkę w dotarciu do starszego brata, a nawet te, których przyjaźni była pewna, zapewne się w nim podkochały.

- Pojechał gdzieś. Za to Douglas na pewno kręci się w pobliżu.

Barbara się roześmiała. Cóż, Phillip miał następną wielbicielek. Isabel postanowiła nic mu nie mówić, żeby jeszcze bardziej nie przewróciło mu się w głowie. Już jest wystarczająco pewny siebie.

Kiedy dotarły do stajni, jeden ze stajennych właśnie wyprowadzał okazałego gniadosza. Isabel zwolniła. Phipps stał oparty o drzwi, żując źdźbło trawy

I przyglądając się krytycznie koniowi. Kiedy zauważył obie kobiety, wyprostował się.

- Pan Waring jeszcze nie przyjechał. Czy panienka sobie czegoś życzy?

Isabel skinęła głową. Przez ostatni dzień widywała Phippsa częściej niż w ciągu ostatnich dwóch lat, nic dziwnego, że oboje czuli się w tej sytuacji dość niezręcznie.

- Lady Barbara chce zobaczyć moją klacz - oznajmiła sztywno.

- Zaraz ją przyprowadzę - odpowiedział podobnym tonem, odwracając się.

- To nie jest konieczne! - zawołała, walcząc z przemożną chęcią ucieczki. - Jest w swoim boksie?

- Tak. Czwartą po lewej.

- Pamiętam.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła przejściem między boksami. Starła się koncentrować wzrok na sukni idącej przed nią Barbary i nie słuchać parskania i innych dźwięków wydawanych przez konie należące do rodziny.

Nie musisz niczego dotykać! - powtarzała sobie w myślach.

- Tibby, ona jest cudowna! Mogę dać jej jabłko?

Zmuszając się do uśmiechu, Isabel podeszła do skrzynki, w której leżały owoce, i podała jeden przyjaciółce. Barbara wyciągnęła dłoń w stronę Zephyr.

- Proszę, to dla ciebie! - powiedziała, a gdy klacz przyjęła poczęstunek, pogładziła ją po aksamitnych chrapach. - Na pewno jest szybka jak wiatr. Obiecuj mi, że gdy już będzie ujeżdżona, pozwolisz mi jej dosiąść.

Isabel poczuła nieprzyjemny dreszcz. Szybka jak wiatr? Tylko tego brakowało!

- To może potrwać - usłyszały za sobą spokojny, męski głos. - Koń musi sam chcieć zaakceptować siodło i jeźdźca.

A więc pojawił się punktualnie! Isabel odwróciła się i napotkała spojrzenie jasnozielonych oczu.

- Zdążył pan w ostatniej chwili - powiedziała, nie mogąc oderwać wzroku od złocistego pasma włosów opadającego Waringowi na czoło.

- Zawsze dotrzymuję słowa - odrzekł.

Barbara cicho odkaszlnęła. Isabel odsunęła się niechętnie.

- Pan Waring, lady Barbara Stanley - dokonała prezentacji.

Hodowca pochylił głowę w ukłonie.

- Jeśli się nie mylę, walczył pan razem z lordem Bramwellem Johnsem w Hiszpanii? - spytała Barbara.

Isabel się skrzywiła. Czy Barbara nie ma nic lepszego do roboty niż zadawanie pytań?

- Słyszałam, jak opowiadał, że waszą trójkę, z Phineasem Bromleyem nazywano Trzema Muszkieterami.

- Owszem - odpowiedział uprzejmie, ale chłodno i zaraz dodał: - Wybaczą panie, ale mam pracę do wykonania.

- Oczywiście! - kobiety odsunęły się, a Sullivan wszedł do boksu i doczepił lonżę do kantara Zephyr.

Kiedy był już przy wyjściu ze stajni, Barbara chwyciła przyjaciółkę za ramię.

- Ależ on jest przystojny! - wyszeptała. - Myślałam, że zemdleję, kiedy odwróciłam się i zobaczyłam, że za nami stoi.

Ruszyły śladem hodowcy, zachowując na tyle dużą odległość, by nie słyszał ich rozmowy.

- Co o nim wiesz? - zapytała Isabel.

- To znaczy?

- Na przykład, skąd pochodzi, co go interesuje oprócz hodowli koni...

Barbara spojrzała na nią.

- Chyba nie powiesz, że jesteś nim zainteresowana. Jest piękny jak Adonis, ale to przecież praktycznie człowiek z plebsu.

Praktycznie?

Isabel starała się, by jej słowa brzmiały obojętnie.

- Moi bracia oszaleli na jego punkcie. Chciałabym wiedzieć, dlaczego aż tak im imponuje.

Przyjaciółka pochyliła się ku niej.

- Słyszałam, że jest naturalnym synem jakiegoś arystokraty. Ojciec go nie uznał, więc nie ma dla niego miejsca w towarzystwie.

To wyjaśniałoby pewne rzeczy. Waring miał w sobie coś, co wyróżniało go spośród prostych ludzi. Na pewno nie mówił jak pierwszy lepszy stajenny.

- Wiesz, czyim jest synem?

Barbara pokręciła głową.

- Gdybym wiedziała, jaki jest przystojny, pilniej słuchałabym plotek, które o nim krążą.

Zachichotała, najwyraźniej zapominając, że przed chwilą dziwiła się, że przyjaciółka okazywała zainteresowanie Waringiem.

Isabel spojrzała na hodowcę. Wydawał się całkowicie zaabsorbowany przyuczaniem Zephyr do ruszania i zatrzymywania się na rozkaz. Nawet nieznająca się na koniach dziewczyna musiała przyznać, że klacz reaguje na jego polecenia szybciej i chętniej niż rankiem. Umiejętności Waringa naprawdę robiły wrażenie.

A sam Sullivan... Był przystojny, spokojny i pewny siebie, ale i niebezpieczny. W jego obecności musiała zachować czujność i ani na chwilę nie mogła go spuścić z oczu. W końcu pocałował ją wbrew jej woli. Czy taki człowiek jest godny zaufania?

- Kamerdyner powiedział, że cię tutaj znajdę! - usłyszała za sobą męski głos.

Kiedy się odwracała, kątem oka zauważyła coś niezwykłego - Waring wypuścił z ręki koniec lonży. Sekundę później pochylił się i podniósł ją, jakby nic się nie wydarzyło. Jedyne jego twarz nagle straciła barwę i stała się dziwnie szara. Isabel zdołała to zauważyć, choć hodowca stał odwrócony do niej bokiem. Zaniepokojona chciała do niego podejść, ale zanim zrobiła krok, poczuła na ramieniu czyjąś dłoń.

- Wiem, że miałem przyjść dopiero o siódmej - powiedział lord Oliver Tilden z uśmiechem, kiedy dziewczyna odwróciła się w jego kierunku - ale byłem w pobliżu i nie mogłem się powstrzymać, żeby cię nie odwiedzić.

Kiedy zdjął kapelusz, jego złocistobrazowe włosy ułożone zgodnie z najnowszą modą stały się w słońcu prawie zupełnie jasne. Zielone oczy spoglądały na nią z sympatią.

Te włosy i oczy... Wysokie kości policzkowe, wydatna szczęka. Serce Isabel na moment przestało bić, a potem ruszyło w przyspieszonym tempie.

To niemożliwe!

- Oliver Sullivan - powiedziała na głos, nawet nie zdając sobie sprawy ze swych słów.

Mężczyzna uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Oliver James Sullivan, w rzeczy samej. Cóż tak oficjalnie, lady Isabel Jane Chalsey?

Zmusiła się do śmiechu.

- Wybacz, po prostu mnie zaskoczyłeś.

- Tibby pokazywała mi swoją nową klacz - wtrąciła Barbara z właściwym sobie wyczuciem sytuacji. - Czyż nie jest piękna?

- Później będzie czas na zachwycanie się Zephyr - odpowiedziała Isabel pospiesznie. - Wracajmy do domu. Jestem ciekawa, jak spędziłeś dzień, Oliverze. Phillip wspominał, że razem z ojcem uczestniczyliście w śniadaniu wydanym przez księcia regenta.

- Owszem, wczoraj.

Wzięła go pod ramię i ruszyli w stronę domu. Ledwo mogła oddychać z wrażenia. Nieoczekiwanie Tilden spojrzął przez ramię i nagle gwałtownie się zatrzymał. Uwolnił rękę z uścisku Isabel i zaczął iść w kierunku Zephyr i jej trenera.

- Dlaczego wracasz? - zawołała za nim Isabel.

- Każę kucharzowi upiec dla nas ciasteczka.

Zatrzymał się, a potem potrząsnął głową, jak obudzony ze snu. Odwrócił się w stronę dziewczyny.

- Masz rację. Chodźmy do środka. Przebywanie w towarzystwie stajennych nie należy do przyjemności.

Lonża, na której była uwiązana Zephyr, gwałtownie się napięła. Klacz ruszyła galopem prosto w ich stronę. Isabel z przerażenia zabrakło tchu. Oliver podbiegł w jej kierunku i pociągnął ją do tyłu. Koń zatrzymał się kilka cali od miejsca, w którym przed chwilą znajdowała się dziewczyna. Chwilę później Waring podszedł i chwycił Zephyr za uzdę.

- Naucz się panować nad swoimi zwierzętami! - ryknął Tilden i dodał:
- Natychmiast przeproś!

- To nie jest konieczne - Isabel jakimś cudem udało się wydobyć z siebie głos. Spojrzała na Sullivana, który nie spuszczał z niej wzroku.

- Wybacz, pani, że cię przestraszyłem - powiedział cichym, głębokim głosem. - Nie chciałem tego.

Zacisnęła zęby i skinęła głową.

- Chodźmy do domu - poprosiła Olivera. Wciąż kurczowo trzymała się jego ramienia. Czuła, że jeśli stąd nie odejdzie, wpadnie w histerię. Szarżujący koń, wyraźna wrogość między dwoma mężczyznami, której powodów chyba się domyślała...

- Proszę, Oliverze!

- Oczywiście, moja droga.

Otoczył ją ramieniem i poprowadził w stronę domu. Barbara szła z tyłu.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni, a właściwie trzeci - biorąc pod uwagę incydent z pocałunkiem - Isabel marzyła o kieliszku czegoś mocniejszego. W co tak naprawdę się wplątała?!

Sullivan obserwował całą trójkę znikającą w drzwiach domu. Oliver Sullivan zalecający się do wygadanej, przebiegłej Isabel.

- Niech to wszyscy diabli! - ryknął na cały głos.

Zephyr nerwowo zastrzygła uszami.

Więc to była ta tajemnica, której nie chciał zdradzić mu Bram! Podstępny gad!

Powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół niego. Do jego uszu dobiegło rzenie koni i pełne zdziwienia głosy służących i stajennych. Otrząsnął się i puścił uzdę Zephyr. Z kieszeni wyjął garść owsa i podsunął klaczy pod nos. Poklepał ją po szyi i wrócił na swoje miejsce pośrodku padoku. Jeszcze raz rzucił okiem na dom Chalseyów. To nie był jego świat. Gdyby był jego częścią, nikt nie ośmieliłby się okraść go z jego dziedzictwa, podczas gdy on sam walczył w Hiszpanii. Teraz przynajmniej wiedział, skąd u rodziców Isabel wziął się obraz jego matki. Prawdopodobnie był podarunkiem od uroczego i szarmanckiego Olivera.

Co dalej? Z wyrazu twarzy Isabel, zanim Zephyr ruszyła w jej kierunku, wyczytał, że zrozumiała, skąd wzięło się jego imię. Zmarszczył brwi i cmoknął na klacz, by ruszyła klusem. Nie powinien dopuścić, by doszło do tego incydentu, bez względu na to, jak bardzo był poruszony. Co z tego, że przez cały czas trzymał lonżę? Isabel śmiertelnie się przeraziła. Niepotrzebnie stracił panowanie nad sobą.

Oliver Sullivan, wicehrabia Tilden, smalił cholewki do lady Isabel Chalsey. Nie od razu zorientowała się, że z Sullivanem Waringiem łączy go coś więcej niż imię, mimo ewidentnego podobieństwa. Dopiero teraz to do niej dotarło. Ciekawe, dlaczego starała się zaciągnąć Olivera do domu, zamiast pozwolić mu na konfrontację z hodowcą? Większość osób z tak zwanego towarzystwa jeszcze by go do tego zachęcała. Po raz kolejny go zaskoczyła, a to oznaczało, że wciąż była niebezpieczna. Jednocześnie dała mu kolejny powód, by kręcić się w pobliżu. Być może trafi mu się szansa utarcia nosa aroganckiemu i zadufanemu w sobie Tildenowi. Dotychczas się powstrzymywał, ale kto wie, co będzie dalej.

Jeszcze przez dwa kwadransy trenował Zephyr, dopóki nie upewnił się, że znakomicie reaguje na dwie komendy, których zamierzał dziś ją nauczyć. Klacz była bardzo delikatna i wymagała cierpliwości. Nie było sensu się spieszyć.

Odprowadził ją do boksu, dał świeżego siana, a kiedy jadła, zaczął troskliwie ją wyczyszczać. Nieoczekiwanie do jego nozdrzy dotarł delikatny aromat cytrusów. Poczul dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Wciąż pan tu jest? - spytała Isabel bez słowa powitania.

- Mam sobie iść? - zapytał, nie przerywając swojego zajęcia.

- Ma pan na mnie patrzeć, kiedy do pana mówię.

Sullivan wrzucił zgrzebło do stojącego obok wiadra i odwrócił się.

- Jak sobie pani życzy - zmusił się do wyjścia z boksu. Stał twarzą w twarz z Isabel.

- Teraz lepiej - powiedziała wyniośle. - Wychodzę dziś wieczorem i wrócę bardzo późno, dlatego jutro proszę być o dziesiątej.

- Mam tu wrócić? - spytał zaskoczony.

- Umówiliśmy się. Jeszcze nie zdecydowałam o pańskim dalszym losie.

Przeniosła wzrok na Zephyr, a potem odwróciła się, by odejść.

- Przykro mi, że panią przeraziłem - powiedział, zastanawiając się, dlaczego w ogóle przyszło mu do głowy, by ją przeprosić. Przecież chciał ją przestraszyć.

Zatrzymała się i obróciła w jego kierunku.

- Niech pan więcej tego nie robi.

- To nie było przeciw tobie, Isabel - rzucił cicho. -I nigdy już się nie powtórzy.

Zauważył, że jej pierś zafalowała. Spojrzała na niego uważnie. Jej rysy nieoczekiwanie złagodniały.

- Wierzę panu. A teraz proszę mi wybaczyć. Mam gości.

Nie padło ani jedno słowo na temat Olivera.

- Do zobaczenia rano - powiedział najspokojniej, jak potrafił.

- Punktualnie o dziesiątej.

Obserwował, jak idzie w stronę wyjścia. Zostawiła swojego gościa i przysłała do stajni, by upewnić się, że jutro znów się spotkają. Isabel Chalsey chyba zaczynała go lubić. Sullivan zacisnął zęby. Niedobrze. Jeszcze gorsze było to, że on także darzył ją sympatią.

RS

Rozdział 6

Barbara pojechała do domu przebrać się na przyjęcie u Edlingtonów, ale Oliver Sullivan został w Chalsey House na obiad, a potem zaproponował, by całe towarzystwo skorzystało z jego powozu. Pięcioro dorosłych wcisnęło się do niewielkiego pojazdu, a Douglas, który był za młody, by im towarzyszyć, stał w oknie gabinetu, machając na pożegnanie i strojąc zabawne miny. Po raz pierwszy Isabel żałowała, że nie jest o trzy lata młodsza. Tego wieczoru z przyjemnością zostałyby w domu. I bynajmniej nie dlatego, że nie lubi tańczyć lub słuchać muzyki. Uwielbiała życie towarzyskie, ale dziś wolałaby usiąść i w spokoju zastanowić się, jak powinna dalej postąpić. Nie miała ochoty zaprzętać sobie głowy prowadzeniem uprzejmej konwersacji.

Ostrożne pytania dotyczące treningu Zephyr, jakie zadawał ojciec podczas kolacji, tylko upewniły ją, że Oliver i pan Waring rzeczywiście są przyrodnimi braćmi, a ich wzajemne stosunki trudno nazwać przyjaznymi. Douglas wydawał się zmieszany, gdy przy okazji rozmowy o zakładach zawieranych w White's Club zostało wspomniane nazwisko hodowcy. Phillip na wszelki wypadek od razu zmienił temat, a więc niewątpliwie także znał prawdę. Dlaczego nikt jej nie powiedział? Pewnie nie zmieniliby to jej zachowania względem Waringa, ale na pewno oszczędziłoby kolejnego szoku. Jakby ostatnio nie przeżyła ich dosyć! Najgorsze, że ze względu na obecność Olivera nie mogła zadać żadnego z pytań, które wprost cisnęły się jej na usta. Zastanawiała się, co by było, gdyby powiedziała Tildenowi, że to jego przyrodni brat ukradł obraz подарowany przez niego jej rodzicom. Spojrzała na Olivera. Odkąd wyszli ze stajni, nawet nie spojrzał w tamtym

kierunku. Wydawało się, że nie ma pojęcia, iż na zewnątrz znajduje się ktoś z jego rodziny. Jakby Sullivan Waring w ogóle nie istniał.

- Kiedy skończy się sezon, musisz odwiedzić nas w Burling - odezwał się Phillip. - Nie mogę się już doczekać polowań na lisy. Ciekawe, jak poradzi sobie mój nowy koń.

Lady Darshear westchnęła.

- Bardziej interesujesz się tym zwierzęciem niż dziewczętami, Phillipie. Jeśli wkrótce nie zaczniesz się do którejś zalecać, grozi ci starokawalerstwo. Inna sprawa, że pan Waring hoduje naprawdę piękne wierzchowce.

- Też tak słyszałem - odpowiedział Oliver przez zaciśnięte zęby.

- Barbara wspomniała - wtrąciła pospiesznie Isabel - że lord Aysling ma zamiar poprosić wieczorem o rękę lady Harriet Reed.

- Dzisiaj wieczorem? - lady Darshear aż pochyliła się do przodu. - Na przyjęciu u Edlingtonów? Harry, w takim razie musimy usiąść jak najbliżej jej matki.

- Oczywiście, moja droga - mąż poklepał ją po dłoni, a potem zwrócił się do Olivera. - Wasz dom nie został obrabowany, prawda?

Wyraz twarzy Tildena nie zmienił się ani o jotę.

- Nie, a dlaczego pan o to pyta?

- Dwie noce temu ktoś się do nas włamał. Tibby zaskoczyła złodzieja i spłoszyła go.

- Niestety, zdążył ukraść dwa obrazy, figurkę gołębia i piękną kryształową wazę - dodała lady Darshear. - Zabrał malowidło Franceski Perris, to, które nam podarowałaś.

Isabel, która przez cały czas dyskretnie obserwowała Olivera, natychmiast zauważyła, że kiedy tylko usłyszał o kradzieży, natychmiast

domyślił się, kto jej dokonał. Po prostu wiedział, że chodzi o Sullivana Waringa. Znał tożsamość Rabusia z Mayfair, ale nic z tym nie zrobił. To dziwne, zważywszy z jak wielką niechęcią odnosił się do przyrodniego brata. Oczywiście, sama Isabel też nie poinformowała władz o tożsamości włamywacza, ale to była zupełnie inna sprawa. Najpierw pragnęła poznać motywy, którymi się kierował. Powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że w całej tej intrydze chodzi o coś więcej, ale nie potrafiła odmówić sobie przyjemności, jaką dawało jej poczucie posiadania władzy nad Waringiem. Nie rozumiała, jakimi motywami kierował się Oliver, ukrywając tożsamość przestępcy. Przecież obydwaj serdecznie się nienawidzili. Kolejna zagadka do rozwiązania. Wyglądało na to, że pan Waring jest jedną wielką tajemnicą.

Kiedy weszli na salę balową w rezydencji Edlingtonów, z miejsca otoczył ich gęsty tłum. Dopiero po kwadransie Isabel znalazła spokojne miejsce, gdzie mogła przez chwilę odetchnąć, wachlując się dla ochłody wachlarzem. Rozmów przyjaciółek roztrząsających kwestię niespodziewanych zaręczyn, o których wszyscy najwyraźniej już doskonale wiedzieli, słuchała jednym uchem. Jednocześnie szukała hrabiego Minstera. Zauważyła go w końcu, jak zwykle otoczonego grupką znajomych. Jego siwe, sterczące na wszystkie strony włosy upodabniały go do jeża. Rzuciła spojrzenie na matkę rozmawiającą z lady Reed i podeszła do diskutujących mężczyzn. Wykorzystując to, że rozmowa o finansach na chwilę przycichła, odezwała się cicho:

- Panie hrabio? Lordzie Minster?

Obrócił się i rozejrzał zdziwiony. Dopiero po chwili skupił na niej wzrok.

- Czy my się znamy? Panna Isabel Chalsey, jak mi się wydaje?

Wykonała głębokie dygnięcie.

- Tak, panie hrabio. Czy mogłabym zadać panu pytanie?

- Oczywiście - odwrócił się do rozmówców. - Wybaczcie, panowie, ale ktoś znacznie atrakcyjniejszy od was chciałby zamienić ze mną słowo.

Kilku mężczyzn roześmiało się na te słowa. Hrabia wskazał Isabel stojący nieopodal rząd krzeseł.

- Dziękuję - powiedziała, gdy usiedli na wolnych miejscach. - Zdaję sobie sprawę, że w takich warunkach trudno rozmawiać.

- Dlatego bez przerwy dyskutujemy o tym samym. Po pewnym czasie każdy wie, co mówią pozostali, nawet jeśli w tym hałasie nic nie da się usłyszeć. Cóż mogę dla ciebie zrobić, młoda damo?

Isabel się wyprostowała. Skoro nikt z najbliższych nie chciał udzielić odpowiedzi na jej pytania, poszuka ich na własną rękę.

- Kilka tygodni temu pański dom został obrabowany, nieprawdaż?

Na jego twarzy pojawił się gniewny grymas.

- W rzeczy samej. Jestem gotów wypłacić pięćdziesiąt funtów każdemu, kto poda mi nazwiska tych nędzników... - Jego twarz nabrała czerwonej barwy. W ostatniej chwili zreflektował się i dodał już spokojniej:

- Proszę o wybaczenie, lady Isabel. Moja ostatnia żona zawsze mówiła, że zbyt łatwo daję się ponieść emocjom. Słyszałem, że do Chalsey House także się włamano.

Przytaknęła.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, hrabio jakie przedmioty zostały zrabowane?

- Tak urocza dama nie powinna zaprzącać sobie główki podobnymi sprawami.

A niech to!

- Ojciec prosił mnie, bym o to spytała.

- W takim razie, jutro rano wyślę do niego list, w którym wszystko opiszę.

Zmuszając się do uśmiechu, Isabel uprzejmie skinęła głową.

- Dziękuję, hrabio. Zaraz przekażę to ojcu.

Kiedy wstała, dostrzegła przedzierającego się w jej kierunku Olivera, dzierżącego w dłoniach dwa kieliszki madery.

- Znalazłem cię wreszcie! - powiedział uradowany. - Mam nadzieję, że Minster nie próbował wpisać ci się do karneciku?

- Na szczęście nie. Tylko rozmawialiśmy. Zresztą, dzięki tobie prawie wszystkie tańce mam zajęte.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To dobrze.

- Zależy dla kogo - usłyszała głęboki, męski głos. - Widać za długo ociągałem się z poszukiwaniem partnerek do tańca.

Spojrzała w bok.

- Lord Bramwell! Obiecuję, że jeśli któryś z kawalerów złamie palec u nogi, zajmie pan jego miejsce.

Uklonił się szarmancko.

- Trzymam panią za słowo. Przeniósł wzrok na Olivera.

- Witaj, Tilden! Twój widok przypomina mi pewien eksponat, który oglądałem dziś w British Museum.

Oliver uniósł brwi.

- A cóż to takiego było? - spytał sztywno.

- Najnowszy nabytek kolekcji egipskiej. Mumia faraona - odpowiedział Bramwell z uprzejmym uśmiechem. - Na malowidle widocznym na sarkofagu był piękny niczym Adonis... Jednak wewnątrz

leżało tylko owinięte bandażami wyschnięte ciało, wypchane w środku sianem.

Oliver zrobił krok w jego kierunku.

- Żądam przeprosin! - powiedział ostro.

Lord Bramwell Lowry Johns nawet się nie poruszył, a jedynie uśmiechnął szerzej, choć jego czarne oczy pozostały zimne.

- Przykro mi, Tilden, że swoją obecnością prowokujesz ludzi do wygłaszania o tobie niepoehlebnych opinii. Powinieneś popracować nad charakterem.

Mrugnął okiem do Isabel:

- Jeden złamany palec i taniec należy do mnie - powiedział, i spokojnie się oddalił.

Isabel nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie mogła udawać, że nie słyszała wymiany zdań. Była zaskoczona, bowiem nigdy wcześniej nie zauważyła jakichkolwiek animozji między Tildenem a lordem Johnsem. Tych dwóch prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiało. Czyżby osoba Sullivana Waringa miała z tym coś wspólnego? Tak, to musiało być to! Bramwell towarzyszył hodowcy podczas aukcji, a Barbara wspomniała, że razem walczyli w Hiszpanii. Byli druhami na dobre i na złe, a ona, kręcąc się w swoim małym światku, nie miała o niczym pojęcia. Czyżby miało się okazać, że pocałunek Waringa stał się początkiem czegoś ważnego? Otworzył jej oczy na sprawy, którymi dotychczas nie zaprzętała sobie głowy, zmusił do uważniejszego wsłuchiwania się w pozornie błahe towarzyskie rozmowy. Wszędzie czaiły się pytania i nic nie było takie, jakie się z pozoru wydawało.

- Przykro mi, że byłeś świadkiem tej niefortunnej konwersacji - powiedział Oliver, biorąc jej rękę i kładąc na swoim przedramieniu. -

Bramwell Johns jest czarną owcą w swojej rodzinie. Ma fatalne poczucie humoru i źle dobiera sobie przyjaciół. Słyszałem, że jego ojciec prawie z nim nie rozmawia.

To nie było tajemnicą.

- Każdy ma prawo do własnego zdania - odrzekła ostrożnie Isabel - co nie znaczy, że inni muszą się z nim zgadzać.

Podniósł jej dłoń do ust i ucałował końce palców.

- Dobrze powiedziane, moja droga, ale skończmy już ten nieprzyjemny temat. Zatańczymy?

- Z przyjemnością.

Pytania nie znikły, ale z niewiadomych powodów Isabel czuła, że woli zadać je panu Waringowi niż mężczyźnie, który od kilku tygodni się do niej zaleca. Dlaczego? To także wymagało odpowiedzi.

Sullivan kończył drugi kufel piwa, gdy Bram przepchnął się do stołu przez hałaśliwy tłum bywalców gospody U Jezebel. Waring lubił to miejsce i jego podejrzaną klientelę, ale dziś odwiedziny tu nie sprawiały mu przyjemności.

- Dostałem twój list - powiedział Johns, dając znak, by przyniesiono mu kufel.

Sullivan wyjął z kieszeni pistolet i położył między nimi na stole.

- Ciesz się tym piwem - powiedział i pociągnął łyk złocistego napoju - bo to twoje ostatnie piwo w życiu. Zastanawiam się, strzelić ci w łeb czy w pierś.

- W pierś, jeśli można - odparł spokojnie Bram. - Chcę ładnie wyglądać w trumnie.

- Czemu, do diaska, nie powiedziałeś mi, że Oliver Sullivan zaleca się do lady Isabel?

W jego ustach imię przyrodniego brata zabrzmiało jak obelga.

- Po pierwsze, wiem, że tylko czekasz na okazję, by doprowadzić do konfrontacji z którymś z Sullivanów. Na razie wszyscy siedzą cicho jak myszy pod miotłą, pozwalając, byś okradał ich przyjaciół.

- Nigdy nie pozwoliłbym sobie na konfrontację w publicznym miejscu - warknął Waring, z impetem stawiając kufel na stole. Piwo chlusnęło wprost na pistolet. Pięknie! Z mokrym prochem broń jest bezużyteczna. - W każdym razie nie w obecności...

- Panny, która ci się podoba? - wtrącił Bram z niewinną miną.

- Nie podoba mi się. To mała szantażystka. Zresztą właśnie dlatego w jej obecności staram się unikać rozmów na niebezpieczne tematy.

Spojrzał na przyjaciela.

- Poza tym, co to ma do rzeczy, czy mi się podoba, czy nie? To córka markiza!

- Ty jesteś synem markiza.

Sullivan parsknął gorzko.

- Nie mówi, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Gdyby cię uznał...

- Nie zrobi tego. Rozmawialiśmy o tej sprawie setki razy.

Wskazującym palcem dźgnął Brama w pierś.

- Powinieneś był mi powiedzieć, podstępny szczurze!

- Masz rację. Przepraszam - westchnął Johns i dodał: - Przynoszę wieści, które na pewno cię zainteresują, Sully.

Waring natychmiast stał się czujny. Wiedział, co oznaczają te słowa.

- Znalazłeś kolejny z moich obrazów?

- Nawet nie zgadniesz gdzie.

- Nie mam pewności, czy ten pistolet wypali, ale jeśli chcesz się przekonać na własnej skórze...

- Udawajmy, że śmiertelnie mnie wystraszyłeś i zmusiłeś do podzielenia się informacjami. Obiecuj jednak, że nie przerwiesz mi, dopóki nie skończę.

- Na pewno chcesz mi opowiedzieć, gdzie znalazłeś obraz? - spytał Sullivan z powątpiewaniem.

-Tak.

- W takim razie obiecuję.

Bram podziękował mu skinieniem.

- Jak wiesz, dziś wieczór dostałem zaproszenie na audiencję u księcia. Siedziałem spokojnie w jego gabinecie, po raz kolejny wysłuchując, jakim to jestem wyrzutkiem zasługującym na odcięcie od pieniędzy rodziny, a najlepiej całkowite z niej wykluczenie. Znudzony dyskretnie rozglądałem się po pokoju i nieoczekiwanie mój wzrok padł na ścianę za fotelem ojca. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy dostrzegłem tam duży obraz Franceski W. Perris przedstawiający chłopca łowiącego ryby. Szczerze mówiąc, bardzo przypominał ciebie. Sullivan na chwilę przymknął oczy.

- To *Młody rybak marzący o chwale* - powiedział w końcu. - Matka namalowała go, gdy miałem osiem lat.

- Nie uważasz, że to interesujące, że twój ojciec podarował coś mojemu?

- To nie był jego obraz - powiedział powoli. Przez długą chwilę wpatrywał się w przyjaciela. Nigdy nie przypuszczał, że będzie zmuszony postawić na szali chęć zemsty i lojalność. Sprawy komplikowały się coraz bardziej.

- Jeśli mi na to nie pozwolisz, nie włamię się do domu twojego ojca.

- Ależ włamuj się, kiedy chcesz! A przy okazji zabierz tę wstrętną figurkę birmańskiej bogini płodności! Stoi w jego gabinecie.

Sullivan uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Masz jeszcze jakieś życzenia?

- W sali bilardowej wciąż powinny być dwa srebrne pistolety, którymi zwykle mnie straszył. Poszukaj też mahoniowej kasetki z cygarami. Tylko uprzedzam: będziesz się musiał ze mną podzielić jej zawartością.

- Więcej nie dam rady unieść. - Sullivan wyprostował się i podniósł kufel do ust. Kiedy wypił wszystko, otarł usta i spytał: - Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że mam szansę wejść w paradę Oliverowi? Tylko bądź ze mną szczery.

- Wciąż jesteś na służbie u lady Isabel?

- W twoich ustach zabrzmiało to okropnie. Tak, trenuję dla niej Zephyr. Poprosiła, bym nadal to robił.

- Naprawdę?

- Nie zmieniaj tematu, Bram. Dlaczego?

Mężczyzna wziął głęboki oddech.

- Szczerze? Bo mnie denerwujesz.

Sullivan chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Zamiast tego skupił się na utrzymaniu obojętnego wyrazu twarzy, by nie dać Johnsowi poznać, jak poczuł się urażony. Nie miał wielu przyjaciół, a Bramwell był jednym z najbliższych. On i rodzina Phina Bromleya.

- Czy w ogóle masz pojęcie, jak bardzo jesteś utalentowany? - odezwał się Bram.

Sullivan nie oczekiwał takich słów. Nie po tym, co przed chwilą usłyszał.

- Słucham?

- Twoje stajnie. Ludzie zabijają się o konie, które hodujesz. Podczas jednej z aukcji doszło nawet do bójki.

- Byli pijani - odpowiedział Sully, powoli zdając sobie sprawę, co przyjaciel miał na myśli.

- Gdybyś tylko przestał oceniać ludzi na podstawie urodzenia, sprzedawałbyś jeszcze więcej.

- Nikogo nie oceniam w ten sposób - zaprzeczył gwałtownie Waring.

- Nie robisz interesów z nikim, kto jest przyjacielem Sullivanów. I nie wmawiaj mi, że jest inaczej. Dlatego nie powiedziałem ci o Isabel i Oliverze. Sprzedałeś dwa konie Chalseyom i byłeś zadowolony.

- Przyłapała mnie na kradzieży. Dlatego w ogóle doszło do tej transakcji.

- O tym właśnie mówię! Nie miałeś pojęcia, że łączy ją coś z Oliverem. Równie dobrze mogliście się nigdy nie spotkać. Zyskałbyś jedynie kolejnego zadowolonego klienta, który opowiedziałby swoim znajomym o wspaniałym koniu, którego kupił od Sullivana Waringa.

- Skłamałeś więc w moim interesie?

- Tylko przemilczałem pewne fakty. Nie wszyscy zwracają uwagę na pochodzenie. Są tacy, którym wystarczy twój talent jako hodowcy.

Sullivan schował pistolet do kieszeni i wstał z krzesła.

- Wiem, że lubisz bawić się ludźmi, Bram, ale nie próbuj tego ze mną. Od dziś oczekuję od ciebie wyłącznie prawdy. I koniec z przemilczeniami.

Wyszedł z gospody na ciemną, moką od deszczu ulicę. Więc zdaniem Brama wybiera ludzi, którym sprzedaje konie. W końcu jest właścicielem stadniny i może robić, co chce. Okoliczności zmusiły go, by postępował tak, a nie inaczej. Gdyby Dunston i Tilden nie okradli go, nie włamałby się do domu Chalseyów, by odzyskać swoją własność, i nigdy nie pocałowałby

lady Isabel. Wszystkie drogi prowadziły do George'a Sullivana, markiza Dunston. Jak zawsze.

RS

Rozdział 7

Isabel obudziła się dobrze przed dziesiątą. Wciąż na wpół przytomna, z pomocą pokojówki włożyła poranną suknię i zeszła na śniadanie. Dopiero po trzech filiżankach gorącej, aromatycznej herbaty poczuła, że nareszcie przechodzi jej ochota na sen.

W jadalni nie było jeszcze nikogo z domowników. Zważywszy że z przyjęcia u Edlingtonów wrócili około trzeciej nad ranem, nie spodziewała się, by ktokolwiek wstał w ciągu następnych kilku godzin. Przy odrobinie szczęścia prześpią poranną lekcję z Sullivanem Waringiem.

Lord Minster także prawdopodobnie jeszcze się nie obudził i nie zdążył napisać obiecanego listu, wołała jednak nie ryzykować. Gdyby wiadomość trafiła w ręce ojca, na pewno byłby zdziwiony, a ona musiałaby mu wyjaśnić, dlaczego interesuje się włamaniami. Wtedy rodzice niewątpliwie wysłaliby ją wcześniej do Burling, by nie wplątała się w kłopoty. Dobrze, że nie wiedzieli, iż jest już za późno.

Smarując masłem czwarty tost, choć ledwo napoczęła trzeci, zastanawiała się, jak zachować się w obecności Sullivana Waringa. Westchnęła ciężko. Uwielbiała zagadki, ale tajemnice, jakie otaczały tego człowieka, okazały się dla niej zbyt pilnie strzeżone.

Usłyszała pukanie do drzwi wejściowych. Kamerdyner wyszedł z jadalni, by otworzyć. Po chwili wrócił na swoje miejsce.

- Któż przyszedł o tak wczesnej porze? - spytała Isabel, starając się, by jej pytanie zabrzmiało możliwie niewinnie.

- Przyniesiono list do jaśnie pana od lorda Min-ster'a - odpowiedział Alders.

- Ojciec bardzo na niego czeka! - wstała tak gwałtownie, że o mało nie zrzuciła talerza. - Sama mu go zaniosę.

- Lokaj powiedział, że pan jeszcze śpi.

- W takim razie wina za obudzenie go spadnie na mnie.

Ponieważ kamerdyner się nie poruszył, spojrzała na niego z poważną miną. - Daj mi ten list, proszę.

Zacisnął wargi i skinął głową. Wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił, trzymając srebrną tacę z listem.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Isabel, chowając papier do kieszeni. Bała się, że zbyt szybko ulegnie pokusie i złamie pieczęć, by przeczytać wiadomość.

- Skończyłam śniadanie. Możesz posprzątać. Oddam list ojcu i będę u siebie.

Alders skinął głową.

- Jak sobie panienka życzy.

Nie wypuszczając z dłoni schowanego w kieszeni listu, Isabel pobiegła na górę. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś słuchał jej kroków, zatrzymała się przed drzwiami do sypialni ojca. Policzyła do dwudziestu, a potem cicho otworzyła drzwi swojego pokoju i weszła do środka.

- Przekonajmy się, o co w tym wszystkim chodzi - powiedziała do siebie, podchodząc do okna i wyjmując list. Złamała pieczęć i lekko drżącymi z emocji dłońmi rozłożyła papier. Wiedziała, że to Sullivan Waring jest odpowiedzialny za kradzieże, ale chciała się dowiedzieć, co zabrał z domu lorda Minstera i dlaczego.

Usiadła w fotelu. Wicehrabia napisał lakonicznie, że w nawiązaniu do prośby przekazanej przez uroczą lady Isabel przesyła listę skradzionych

przedmiotów obejmującą dwa srebrne świeczniki, nefrytową statuetkę, obraz autorstwa Franceski W. Perris, parę nowych butów i złotą obrączkę.

Kolejne malowidło i to tej samej autorki! Nawet jeśli miał to być tylko zbieg okoliczności, zbyt dobrze pamiętała ton głosu Sullivana, kiedy odmówił odłożenia obrazu, który zdjął ze ściany w jej domu. Chwilę później ją pocałował.

Odłożyła list i podeszła do szafy. Sięgnęła po jedwabny woreczek przyczepiony po wewnętrznej stronie dekoltu najbrzydszej z sukien, jaką miała - brązowego monstrum, które założyła tylko raz, podczas wizyty u ciotecznej babki. Upewniła się, że drzwi do pokoju są zamknięte, i wyjęła z woreczka czarną maseczkę. Czemu właśnie te obrazy? W jakim celu je kradł?

Przesunęła palcem po krawędzi maski, a następnie wzięła list lorda Minstera i włożyła wszystko do woreczka, który z powrotem schowała za dekoltem brązowej sukni. Rozwiązywanie zagadek zawsze jest fascynujące. Osoba mogąca udzielić jej kilku odpowiedzi powinna niedługo pojawić się w Chalsey House.

Spodziewała się, że Sullivan Waring może nie chcieć odpowiadać na jej pytania, ale nie zamierzała odpuścić. Nie musiał wiedzieć, że już dawno porzuciła myśl o wydaniu go władzom. Szczerze mówiąc, lepiej dla niej, by niczego się nie domyślił.

Sześć minut przed dziesiątą zeszła na dół. Matka i młodszy brat siedzieli w jadalni, ale Phillip i ojciec wciąż spali. Im mniej gapiów przy stajni, tym lepiej.

Przywitawszy się z matką i Douglasem, wyszła z domu. Akurat w chwili, kiedy Waring podjechał na swoim ogromnym karym ogierze. Nie byłaby zaskoczona, gdyby to zwierzę z piekła rodem żywiło się mięsem. Po

raz kolejny zaczęła się zastanawiać, który z tych dwóch jest bardziej niebezpieczny - koń czy jeździec.

Sullivan także zauważył Isabel. Na widok Achillesa przystanęła i chwyciła się dłońmi za ramiona w obronnym, pełnym niepewności geście, dziwnym u osoby o tak ciętym języku. Natychmiast zatrzymał konia i zeskoczył z siodła, przekazując wodze jednemu ze stajennych. Straszenie kobiet nie leżało w jego naturze. Nawet jeśli chodziło o osobę, która go szantażowała. Zdjął kurtkę i rzucił ją na siodło. Podwinął rękawy i podszedł do dziewczyny.

- Punktualnie o dziesiątej - powiedział, wciągając rękawice, by nie ulec absurdalnej pokusie dotknięcia jej dłoni.

- Gratulacje dla zegarka - odpowiedziała.

Nie zabrzmiało to ani jak wyrzut, ani jak komplement. Nie miała pojęcia, że przez ostatnie dwadzieścia minut kręcił się na Achillesie po ulicach wokół jej domu.

- Możemy zaczynać?

- Oczywiście. W przeciwnym razie pańska punktualność nie miałaby sensu.

- Ty wydajesz rozkazy, pani - odpowiedział i ruszył w stronę stajni. Phipps czekał już z batem i lonżą. - Ja wykonuję swoją pracę.

- Dlaczego pan tu jest, panie Waring?

Zdziwiony uniósł brwi. Najwyraźniej dowiedziała się czegoś o nim i uznała, że nadszedł czas, by uzyskać więcej informacji.

- Ujeżdżam dla pani konia.

- Nie o to mi chodziło - odparła, podążając jego śladem. - To nie jedyne pytanie, jakie chcę panu zadać.

- Proszę pytać. Wygląda na to, że jeszcze długo pozostanę u pani na służbie.

- Niech pan o tym nie zapomina.

- Dziękuję, Phipps - zwrócił się do stajennego, biorąc od niego lonżę. - Zephyr jest trochę niespokojna. Potrzebujemy więcej miejsca.

- Oczywiście, proszę pana - kiwnął głową mężczyzna i dał znak innym, by się rozeszli.

Isabel odkaszlnęła.

- Proszę nie rozkazywać mojej służbie.

- To nie był rozkaz, tylko prośba - odwrócił się i spojrzał na nią. - Zanim zaczniesz mnie pani przesłuchiwać, mam jedno pytanie.

Isabel dumnie uniosła brodę. Jej brązowe oczy nabrały w słońcu barwy miodu. Nagle zapragnął ją pocałować. Szybko wziął się w garść. Co się z nim dzieje?!

- Czy trenowanie Zephyr to tylko pretekst, by zmusić mnie do posłuszeństwa, czy też naprawdę zamierza pani na niej jeździć?

Nie spodziewała się tego pytania. Świetnie! Już dawno temu nauczył się doceniać zalety ataku z zaskoczenia. Czekał w milczeniu, aż dziewczyna udzieli mu odpowiedzi.

- Oczywiście, że chcę na niej jeździć - odparła w końcu. - Niech pan nie będzie śmieszny!

- W takim razie proszę tu podejść.

Skrzyżowała ramiona na swoich kształtnych piersiach. Bram powiedział kiedyś, że najładniejszy kobiecy biust to taki, który mieści się w dłoniach.

- Ja tu wydaję rozkazy - oznajmiła sztywno - nie pan.

- W takim razie, podejdź tu, pani - odpowiedział. Trenując zwierzęta od lat, nauczył się cierpliwości w postępowaniu z nawet najbardziej krnąbrnymi stworzeniami. Teraz ta umiejętność okazała się bardzo przydatna.

- Nie!

- Jeśli czymś cię przestraszyłem, Tibby, zapewniam, że już tego nie zrobię. Wyciągnij tylko rękę.

- Nie. I proszę się do mnie zwracać lady Isabel lub pani.

Zignorował jej słowa, uznając je za próbę odwołania w czasie nieprzyjemnego momentu, i spojrzał na Zephyr. Była pięknym, spokojnym zwierzęciem, ale nie nadawała się dla strachliwego jeźdźca. Ta sytuacja nie była komfortowa dla żadnej ze stron. Gdyby wiedział, czego dokładnie boi się Isabel, może mógłby na to coś poradzić. Wszystko w swoim czasie. Jeśli dziewczyna nie zacznie robić postępów, po prostu zabierze konia i zmusi ją do znalezienia innego sposobu na szantażowanie go.

Przesunął lewą dłoń z lonży i mocno chwycił za kantar. Prawą rękę położył płasko na łopatkę Zephyr.

- Stań za mną i połącz dłoń na moim ramieniu, pani - powiedział.

- To bez sensu - zaproponowała.

- Prawą dłoń na moim prawym ramieniu - powtórzył. - Proszę.

Westchnęła z irytacją - w każdym razie miała nadzieję, że tak to zabrzmiało - i stanęła za nim. Jej spódnica dotknęła jego nóg, a ciepła dłoń spoczęła na bawełnianym rękawie koszuli.

- Zadowolony?

- Prawie - odparł. Jej dotyk sprawił, że wszystkie nerwy w jego ciele napięły się jak postronki.

- Przesuń dłoń na mój łokieć.

- Panie Waring...

- Proszę.

Sposób, w jaki to zrobiła, przypominał pieszczotę. Poczł narastające podniecenie.

- Coś jeszcze? - zapytała. - Może mam przyszyć panu guzik lub wyczyścić buty?

Przesunął się, by nie widziała wyrazu jego twarzy. Nie pozwoliła mu mówić do siebie po imieniu, ale nie zamierzał tytułować jej tak, jak sobie życzyła.

- Teraz dotknij nadgarstka.

Ponieważ podwinął rękawy, nie był pewien, czy spełni jego prośbę, jednak po krótkim wahaniu szybkim ruchem przesunęła dłoń. Do tej pory myślał, że go prowokuje, ale zdradziły ją nerwowe ruchy. Pozostawił to bez komentarza. Dobrze, że stała za nim, bo mógłby zrobić coś nierozsądnego, na przykład zacząć wdychać cytrynowy aromat jej włosów. Ponieważ była drobna, musiał ugiąć rękę, żeby sięgnęła jego dłoni. Stali bardzo blisko obok siebie. Gdyby nie obecność Zephyr, wyglądałoby to dość podejrzanie...

- Połóż dłoń na mojej - powiedział.

- Chyba nie zamierzasz wrzucić mnie na grzbiet konia? - spytała zaniepokojona.

- Nie. Nie jest na to gotowa. Obiecuję, żadnych sztuczek.

Z wahaniem dotknęła jego dłoni. Przez chwilę żałował, że założył rękawiczki, ale potem doszedł do wniosku, że jednak tak jest lepiej. Stał bez ruchu, świadomy obecności policzka Isabel tuż obok swojego ramienia. Drugą dłonią chwyciła jego koszulę, by utrzymać równowagę.

- Co teraz? - zapytała szeptem.

- Przesunę rękę w dół. Nie zabieraj swojej.

Poczuł, że zadrżała, ale nie cofnęła dłoni. Dwa razy pogładził Zephyr po boku i zatrzymał się na jej żebrach.

- Czujesz, jak oddycha? - spytał Isabel.

- Tak - wyszeptała zdławionym głosem.

- Czy dasz radę położyć dłoń tuż obok mojej i dotknąć jej skóry?

Dziewczyna wstrzymała oddech.

- Jutro - odrzekła niespokojnie. - Ale tylko jeśli będziesz obok.

- Obiecuję - w tej chwili byłby gotów roznieść w drobny pył cały francuski regiment.

Lekcja dobiegła końca, ale Isabel nie ruszyła się z miejsca, nadal opierając palce na jego dłoni. Mógłby przysiąc, że otarła policzek o jego ramię. Był tak spięty, że odczuwał to jak fizyczny ból. W tej chwili pragnął tylko obrócić się i chwycić ją w ramiona, ale nie był zdolny do wykonania najmniejszego ruchu. Wystarczyłoby przestawić stopę i...

Zephyr parsknęła i przestąpiła z nogi na nogę. Jakby ktoś zdjął z niej czar, Isabel odskoczyła. Sullivan potrząsnął głową i zaczął uspokajająco klepać klacz po boku. Robił to, dopóki nie odzyskał jasności myślenia i nie nabrał pewności, że nie rzuci się na lady Isabel. Dopiero wtedy się odwrócił.

W drugim końcu stajni stał starszy brat dziewczyny, Phillip. Waring skinął mu uprzejmie głową i podniósł z podłogi upuszczony bał.

- Świetnie ci dziś poszło, pani - powiedział i ruszył z Zephyr w stronę wyjścia.

Isabel odkaszlnęła.

- Dziękuję, że nie naśmiewał się pan ze mnie - odrzekła, idąc za nim w bezpiecznej odległości.

- Zmierzyła się pani ze swoim lękiem. Nie ma w tym nic zabawnego.

Wyszli na wybieg. Rozwinał lonżę i nakłonił Zephyr do kłusa.

- Kim jest dla pana Francesca Perris?

Zmartwił. Dotarcie do prawdy zajęło jej ile? Trzy dni? Dotąd znał ją tylko Bram oraz Tilden i jego ojciec.

- Oczekuję odpowiedzi, panie Waring.

To właśnie dlatego od początku powinien dobrze nastraszyć ją tamtej nocy, zamiast całować i pozwolić, by zdjęła mu maskę. A jeszcze pięć minut temu przyrzekał, że nigdy jej nie skrzywdzi. Byłoby lepiej dla niego, gdyby przestał być takim dżentelmenem.

- Kłus, Zephyr! - zaczął obracać się w miejscu, by nie stracić konia z oczu. Isabel przesuwała się razem z nim, trzymając się za jego plecami.

- Mogę się sama dowiedzieć - powiedziała. - Myślę, że Oliver...

- To moja matka - warknął. - I nie strasz mnie Oliverem Sullivanem, jeśli nie chcesz, bym wbił mu nóż w piersi.

- To twój brat!

- Wyszliśmy z łędźwi tego samego mężczyzny. Tylko tyle.

Zapadła cisza. Przez chwilę pomyślał, że udało się mu ją przestraszyć. Czekał, ale nie odchodziła. Trudno. Najwyraźniej nic, z wyjątkiem koni, nie mogło wywołać u niej lęku. Nawet on.

- Twoja matka jest malarką - bardziej stwierdziła niż spytała.

- Była - sprostował. - Zmarła rok temu.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Zmienił naprężenie lonży i dotknął batem przedniej nogi Zephyr. Gwałtownie zatrzymała się, a potem ruszyła stępą.

- Grzeczna dziewczynka! - uśmiechnął się. Nieźle, jak na pierwszą próbę.

- Lord Dunston naprawdę jest twoim ojcem.

Niech to wszyscy diabli! Ta dziewczyna była niczym gończy pies, który złapał trop.

- Nie mówmy o tym - uciał.

- Rozszyfrowałam cię!

Sullivan spojrział na nią przez ramię.

- Warto było tak się wysilać?

- Jesteś starszy czy młodszy od Olivera?

- Może zajmiesz się swoimi sprawami?

- Jesteś jedną z nich. Zapomniałeś, że cię szantażuję?

Westchnął ciężko, ale poczuł rozbawienie, prawie dorównujące dotychczasowej irytacji.

- Jestem o osiem miesięcy młodszy.

- Pewnie ich nienawidzisz - powiedziała cicho. - Dorastałeś, wiedząc...

Parsknął.

- Jeszcze pięć miesięcy temu nie zaprzątałem sobie nimi głowy.

- Jak to? Lord Dunston cię nie uznał, więc...

- Stój, Zephyr! - zawołał. Wciąż był zły na siebie, że nie potrafi zmusić Isabel, by dała mu spokój, odwrócił się w jej kierunku.

- Moje tajemnice za twoje - powiedział cicho.

Zrobiła krok do tyłu.

- Słucham?

- Dobrze słyszałaś.

- Nie mam żadnych tajemnic - złożyła ręce na piersiach. - Z wyjątkiem tych dotyczących ciebie.

-I bardzo ci się to podoba, prawda?

Na jej policzkach wykwitł rumieniec.

- Co powiedziałaś?

- Ludzie nie lubiący sekretów nie zatrzymują ich dla siebie, a na pewno nie starają się dowiedzieć więcej.

-Ja...

- Jeśli jutro uda ci się dotknąć Zephyr - przerwał jej, czując, że wygrał tę rundę - powiem ci coś więcej o sobie. Im większe postępy będziesz robić, tym więcej się o mnie dowiesz.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, potem przeniosła wzrok na klacz i znów popatrzyła na niego.

- A jeśli to, co mi powiesz, nie będzie warte tego wysiłku?

- Decyzja należy do ciebie.

- Mogłabym cię zmusić do powiedzenia mi wszystkiego - po raz kolejny zastosowała swoją wypróbowaną gierkę,

- Jeśli ci pozwolę - w większości przypadków potrafił odczytać intencje osoby, z którą rozmawiał, równie łatwo jak zachowanie koni. Wciąż nie miał całkowitej pewności co do Isabel, ale powoli zaczynał ją rozgryzać.

- Oczywiście, możesz spróbować, ale to by oznaczało, że stracisz nade mną władzę, a tego byś chyba nie chciała?

Wydęła usta. Przez głowę Sullivana przebiegła myśl: czy Oliver kiedykolwiek ją pocałował? Wezbrały w nim gniew i frustracja. Ona była córką markiza. To, czy Tilden zrobił coś, czy nie, nie miało znaczenia. Miał prawo ją uwodzić. Sullivan Waring tylko trenował jej konia.

- Wracaj do swojej pracy. I nadal masz się do mnie zwracać lady Isabel - powiedziała dziewczyna, odchodząc w kierunku miejsca, w którym stali jej obydwaj bracia. Najwyraźniej doszła do tego samego wniosku co on. Choćby był najlepszym hodowcą, do końca życia pozostanie człowiekiem z ludu.

Bardzo dobrze! Komu na tym zależy? Najważniejsze, żeby dziewczyna trzymała język za zębami i nie rozpowiadała o jego nocnej wizycie.

- Jak sobie życzysz, pani - wycedził i przynaglił Zephyr do kłusa. Do diabła z tym wszystkim! Nawet jeśli Isabel nigdy nie dosiądzie konia, on zrobi to, do czego został wynajęty. Ani mniej, ani więcej.

Dwadzieścia minut później wprowadził klacz do stajni. Sam ją wyczyścił, nakarmił i напоił, odrzucając uprzejme oferty pomocy ze strony stajennych. W swoich stajniach zwykle zostawiał tę pracę innym, ale wiedział z doświadczenia, że to najlepszy sposób, by się uspokoić i mieć czas na spokojne przemyślenia.

- Malujesz?

Wzdrygnął się, zaskoczony. Stała tuż za nim. By się uspokoić, przeczesał jeszcze raz grzywę Zephyr.

- Oczywiście, że maluję - odpowiedział, nie patrząc na nią. Powinien myśleć o niej jako o swojej Nemezis, ale nie mógł zaprzeczyć, że lubi ją coraz bardziej. - Robię to co wieczór, między wyrzucaniem końskiego nawozu a reperacją siodeł.

- Od tego masz pracowników. Zapytałam z uprzejmości. Mógłbyś tak samo odpowiedzieć.

Sullivan wrzucił szczotki i zgrzebła do kubła. Ruszył w kierunku wyjścia. Isabel szła krok w krok za nim.

- Czy to rozkaz, pani?

- Gdybym miała ci cokolwiek rozkazać, tobyś mnie ponownie pocałował.

Jego serce gwałtownie przyspieszyło. Odwrócił się gwałtownie. -Co?!

- Przecież pan słyszał, panie Waring.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Starła się zachować wojowniczą minę, ale jej pierś falowała w rytm przyspieszonego oddechu. Sullivan rozejrzał się po stajni. Byli sami. Postawił kubek na podłodze. Głośny dźwięk sprawił, że Isabel się zdrygnęła. Zignorował to. Ściągnął skórzane rękawice i położył na brzegu wiadra.

Od samego rana pragnął jej dotknąć. Pochylił się i położył palce na jej aksamitnych policzkach. Uniósł jej twarz ku swojej i wargami dotknął jej ust.

Smakowała tostami i herbatą. Poczł się jak odurzony. Chwyła jego koszulę, przyciągając go ku sobie. Poczł gwałtowny dreszcz pożądania. Delikatnie napał na jej wargi językiem, aż pozwoliła mu wsunąć go głębiej.

Jej westchnienie sprawiło, że wrócił do rzeczywistości. Ciężko oddychając, oderwał się od niej. Przecież stali na środku stajni należącej do jej rodziny! Gdyby ktokolwiek ich zobaczył... Są gorsze rzeczy od okradania arystokratów. Na przykład pozbawianie cnoty ich córek.

Ujął Isabel za nadgarstki i delikatnie wyswobodził się z jej uścisku.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, pani. - Z trudem udało mu się zapanować nad głosem. Człł się jak ostatni prostak. Siłą zwalczył chęć wytarcia ust rękawem. Wiedział, że nic nie oczyści go z pożądania, jakie do niej człł.

Isabel rzuciła mu przelotne spojrzenie.

- Było znacznie lepiej niż poprzednim razem - oświadczyła.

Ona także była niespokojna. Poprzednio nie było zastrzeżeń. Spojrzał jej w oczy.

- Cieszę się, że okazałem się przydatny, pani - powiedział.

Rozdział 8

Isabel poznała Olivera Sullivana na jednym z licznych spotkań towarzyskich. Wicehrabia był prawowitym synem i dziedzicem markiza Dunston. Jeszcze zanim zaczął się do niej zalecać kilka tygodni temu, obracali się w tych samych kręgach. Zarówno jego, jak i jej rodzina były znane i poważane. O Sullivanach mówiono, że każdy arystokratyczny ród powinien brać z nich przykład. Lord Dunston był uważany za prawdziwego dżentelmena, bez reszty oddanego swej żonie Margaret.

Isabel lubiła Olivera za jego poczucie humoru, pewność siebie i okazywany jej szacunek. Odkąd zadebiutowała na salonach, zalotnicy nie dawali jej spokoju, ale żadnemu nie okazywała szczególnych względów. Gdyby sprawy biegły utartym torem, Oliver pewnie niedługo by się jej oświadczył. Ona podziękowałaby mu za zaszczyt i powiedziała, że nie zamierza wychodzić za mąż, dopóki nie ukończy dwudziestu jeden lat. Pojawienie się Sullivana Waringa zmieniło wszystko. Okazało się, że markiz Dunston wcale nie był chodzącym ideałem, za jakiego pragnął uchodzić. Sama zaś Isabel, bezwarunkowo kochająca rodziców i braci, była gotowa posunąć się do kłamstwa, by chronić przestępcę. Co więcej - pozwoliła mu się dwukrotnie pocałować, choć zdawała sobie sprawę, na jakie ryzyko się naraża. Najgorsze, że odkąd go poznała, nigdy nie czuła się równie zadowolona z życia. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej stawało się dla niej jasne, iż chodzi tu o coś więcej. Dziwne, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Być może właśnie dlatego tak mocno pragnęła poznać wszystkie tajemnice Waringa.

- Jesteś bardzo poważna, Tibby - odezwał się ojciec, wchodząc do saloniku, by przejrzeć poranną korespondencję.

- Zastanawiałam się - powiedziała, próbując na powrót zebrać rozbiegane myśli.

- Nad czymś szczególnym?

- Jak dobrze znasz lorda Dunstona?

- Całkiem nieźle, o czym zapewne wiesz - uśmiechnął się. - Chodzi o Olivera? A może o pana Waringa? Nie powinnaś zaprzętać sobie głowy takimi sprawami.

- Próbuję sobie wszystko ułożyć - przyznała. - Sprawy, o których myślałam, że wiem, i te, o których dowiedziałam się teraz.

- Cóż, każdy popełnia błędy. Nie znam nikogo, kogo mógłbym nazwać ideałem.

- Z wyjątkiem mnie.

- To chyba oczywiste i nie muszę tego mówić - pocałował ją w czoło i skierował się w stronę drzwi.

- Ojczy, dlaczego lord Dunston nie uznał drugiego syna. Sullivanowi, to znaczy panu Waringowi byłoby łatwiej.

- To bardziej skomplikowane. W grę wchodzi zobowiązania rodzinne, prawo do dziedziczenia... - przerwał na chwilę i dodał:

- Mówiąc krótko, Dunston nie jest jedynym, który ma syna z nieprawego łoża. Prowadzi godne życie i jest z tego dumny. Powinniśmy karać go za popełnienie jednego błędu?

Błędu! Mogło być nim pomylenie nazwisk na przyjęciu, ale trudno nazwać w ten sposób posiadanie dziecka z kobietą, która nie była prawną żoną. Gdyby jeszcze Dunston nie obnosił się ze swoją przyzwoitością i przywiązaniem do rodziny! Oczywiście, nie powiedziała tego głośno. Widziała, że ojciec nie ma ochoty na dalszą rozmowę na ten temat. Jego odpowiedzi pewnie by się jej nie spodobały.

Lord Darshear wrócił na środek pokoju.

- Taki już jest ten świat, córeczko. Mam nadzieję, że wciąż będziesz przychylnie odnosić się do Olivera. Młodzieniec nie jest niczemu winien, bez względu na to, co myślisz o jego ojcu.

- Odnoszę się do niego przychylnie - uśmiechnęła się. - Dziś wybieramy się na przejażdżkę.

- To dobrze. Gdyby pan Waring nie był tak świetnym znawcą koni, nie zgodziłbym się na jego wizyty tutaj. Poza tym, skoro chcesz nauczyć się jeździć konno, w całej Anglii nie znalazłbym lepszego człowieka do tego zadania.

- Dziękuję, ojczu.

Lord Darshear wyszedł z pokoju, a Isabel nieobecny wzrokiem spojrzała przez okno. Oliver rzeczywiście był bez winy. Miał zaledwie osiem miesięcy, kiedy urodził się Sullivan. On także nie był niczemu winien. A jednak tych dwóch szczerze się nienawidziło. Jako córka arystokraty powinna być po stronie prawowitego syna. Wciąż jednak nie miała pojęcia, dlaczego lord Tilden nie kazał aresztować brata, choć wiedział, że to on jest Rabusiem z Mayfair. Stąd jej rosnące zainteresowanie Waringiem i pragnienie poznania wszystkich jego tajemnic.

Niechęć między dwoma mężczyznami oznaczała, że nie powinna była nakłaniać Sullivana do pocałunku. Zrobiła to jednak i teraz serce waliło jej jak młotem, ilekroć o tym pomyślała. Po raz pierwszy w życiu czuła się przerażona i zagubiona. Drugi pocałunek nie był niespodzianką i nie miał na celu ułatwienia Waringowi ucieczki z okradanego domu. Pragnęła do niego doprowadzić. Marzyła o tym od czterech dni. I się nie zawiodła.

Na dole skrzypnęły drzwi wejściowe i rozległ się przytłumiony głos Olivera. Isabel zawołała swoją pokojówkę. Chwilę później Tilden zapukał do saloniku.

- Dzień dobry, Isabel! - powiedział, wchodząc. - Zawsze powinnaś ubierać się na zielono. Pięknie ci w tym kolorze.

Dygnęła zadowolona, że składa jej wizytę podczas nieobecności Sullivana.

- Dziękuję, Oliverze, choć obawiam się, że po pewnym czasie czułabym się jak poduszka mchu.

- Mnie ta barwa kojarzy się ze szmaragdami.

Wyszli przed dom. Młodzieniec pomógł jej wsiąść do powozu i pojechali w stronę Hyde Parku. Wiedziała, że Waring przyjedzie o trzeciej, by znów trenować Zephyr. Do tego czasu na pewno zdąży wrócić z przejażdżki. Ojciec powiedział, że jeśli chce zatrzymać klacz, powinna interesować się jej postęпами, miała więc świetny pretekst, by przebywać w towarzystwie hodowcy. Dobrze powiedziane - pretekst. Jej zainteresowanie Sullivanem miało coraz mniej wspólnego z faktem, że był Rabusiem z Mayfair. Jego osoba intrygowała ją, fascynowała i przerażała jednocześnie. Różnił się od mężczyzn, których spotykała do tej pory. Był jej własną, małą tajemnicą.

- Mam do ciebie prośbę - głos Olivera przerwał jej rozmyślenia. Potrząsnęła głową, jakby budząc się ze snu.

- Słucham cię, Oliverze.

- Znam kogoś, kto trenował konia, zwycięzcę Derby sprzed dwóch lat. Czy pozwolisz, że poproszę go, by zajął się ujeżdżeniem twojej klaczy?

Poczuła gwałtowny przyływ niechęci, ale zmusiła się do spokojnego przemyślenia propozycji. Nie znosiła, gdy ktoś mówił jej - choćby w

najbardziej uprzejmy sposób - co ma robić. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że zbyt mało wie o Sullivanie i musi postępować ostrożnie.

- Zapłaciłam dodatkowo za lekcje u pana Waringa - odezwała się w końcu z czarującym uśmiechem. - Ojciec i brat są zadowoleni z postępów.

- Tom Barrett jest świetny trenerem - nalegał Oliver. - Jestem gotów pokryć wszelkie koszty.

Pokręciła głową.

- Nie chcę jeździć na koniu wyścigowym - na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo. - To czysto handlowy układ. Nic więcej.

Nie dodała, że nie chce mieć względem niego żadnych zobowiązań, za które później musiałaby się rewanżować.

A jednak w jej kontaktach z Sullivanem było coś jeszcze. Oczywiście, nie mogła o tym nikomu powiedzieć. Ani o przyłapaniu go na kradzieży, ani tym bardziej o pocałunku. Pierwsze mogło zagrozić życiu Sullivana Waringa, drugie - zrujnować reputację jej.

- Nie jestem zadowolony, że kręci się wokół ciebie - powiedział Oliver.

- Kręci się wyłącznie wokół stajni.

Tilden ściągnął wodze, zatrzymując powóz, i spojrzał na nią.

- Nie ufaj mu, Isabel. Błagam cię. To bezwzględny i podstępny człowiek. Do tego podłego stanu.

Jej niechęć pogłębiła się.

- Na litość boską, Oliverze! Pan Waring rozmawia wyłącznie z końmi. Zachowujesz się, jakbyś był o niego zazdrosny. To do ciebie niepodobne.

- Zazdrosny? - prychnął. - O pospolitego hodowcę koni? Raczej nie - cmoknął na konie i powóz ruszył dalej. - Współczuję każdej przyzwoitej kobiecie, która na swej drodze napotka tego nędznika.

Isabel z wrażenia wstrzymała oddech, uświadamiając sobie, jak świetnym źródłem informacji może okazać się Oliver. Musi jednak postępować bardzo ostrożnie i nie zdradzić, że wie, iż Waring

I Rabuś z Mayfair to jedna i ta sama osoba. Był jeszcze jeden powód. Oliver na pewno będzie opowiadał straszne rzeczy o swoim przyrodnim bracie. Jeśli ma dowiedzieć się prawdy, musi ich wysłuchać. Nie była pewna, czy jest na to gotowa.

- Moja rodzina zatrudniła pana Waringa, więc będę wdzięczna, jeśli podzielisz się ze mną swoimi wątpliwościami.

- To chyba oczywiste - odpowiedział. - Przede wszystkim, skąd wziął pieniądze na założenie stadniny?

Ciężko pracował, pomyślała, ale oczywiście nie powiedziała tego głośno. Zwykli ludzie, w przeciwieństwie do arystokratów, muszą zarabiać na życie.

- Uważasz, że kogoś okradł? - zapytała ostrożnie.

- Nie zdziwiłbym się. Zauważ, że nikt nie chce mieć z nim do czynienia, z wyjątkiem potencjalnych kupców.

- Jest jednym z najlepszych hodowców.

- Zauważyłaś, że ja nie mam od niego konia?

Była ciekawa, czyja to decyzja: jego czy Sullivana.

- Skoro podejrzewasz, że postępuje niezgodnie z prawem, dlaczego nigdzie tego nie zgłosisz?

Wzruszył ramionami.

- Są rzeczy, których dżentelmenowi nie wypada robić - odpowiedział. - Prędzej czy później sam ukreći linę na swój stryczek.

Wzdrygnęła się, kiedy usłyszała te słowa. Uświadomiła sobie dwie rzeczy: wicehrabia byłby zadowolony, gdyby tak się stało, a po drugie

Sullivanowi Waringowi naprawdę grozi szubienica i Oliver, mimo swoich zapewnień, byłby zdolny go na nią posłać. Uśmiechnęła się gorzko. Tilden znał swojego przyrodniego brata znacznie dłużej niż ona. Gdyby ta rozmowa odbyła się, zanim doszło do spotkania przy księżycu, bez wahania oddałaby Rabusia z Mayfair w ręce policji. Teraz jednak sprawy się skomplikowały. I to bardzo. Nie ma wyjścia - musi dowiedzieć się o Waringu jak najwięcej, a jedynym sposobem jest zaufanie mu i kontynuowanie lekcji konnej jazdy.

- Samuelu, zaprowadzisz dziś Hektora do lorda Brewstera - powiedział Sullivan, kończąc siodłać Achillesa. - Przypomnij mu, że zawarliśmy umowę. Ma dwa tygodnie. Bez względu na to, czy któraś z jego klaczy będzie żrebna, czy nie, jest nam winien sto funtów.

Służący skinął głową.

- Mam być grzeczny czy szczery, proszę pana?

Sullivan się uśmiechnął.

- Grzeczny. Brewster nigdy nie próbował mnie oszukać. Po prostu chcę uniknąć niemiłych niespodzianek.

Z daleka dobiegł dźwięk grzmotu. Waring spojrzał na otwarte drzwi stajni.

- Powiedz mu, że jeśli pogoda nie dopisze, dam mu jeden dzień za darmo.

- Oczywiście, proszę pana.

- Wrócę za jakieś dwie godziny. Zanim wyjedziesz, każ Halliwellowi przyprowadzić parę gniadoszy dla Gilroya. Mają być wypoczęte i wyczesane, gdy przyjedzie je odebrać.

- Proszę się nie martwić.

Miał jeszcze setki spraw do załatwienia, ale kiedy wskoczył na siodło i ruszył klusem w kierunku Mayfair, jego myśli zaprzętała już wyłącznie Isabel. Trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie stała się dla niego tak ważna. Początkowo z powodu szantażu, ale teraz oboje już wiedzieli, że nie zamierza oddawać go w ręce władz. Wczoraj po południu trzymała się od niego z daleka, co, jak się zorientował, było spowodowane obecnością jej młodszego brata. Sullivan był ciekaw, czy chciałaby, by znów ją pocałował. On tego pragnął. I nie tylko tego. Niestety, bez względu na uczucia, jakimi darzył arystokratów, nie zamierzał rujnować jej życia. Znał wiele kobiet ze swojej sfery chętnych zawrzeć z nim bliższą znajomość, ale żadna nie intrygowała go tak jak ta dziewczyna.

Waringa na początku bawiło, że kobiety i mężczyźni z towarzystwa rozpływali się w zachwytach nad jego talentem do koni, dopóki w pobliżu nie pojawił się Dunston, prawowity syn lub ktokolwiek inny z rodziny Sullivanów. Wtedy stawał się niewidzialny. I nic nie mógł na to poradzić. Po powrocie z Hiszpanii zaczął inaczej na to patrzeć. Teraz traktował to jako przejaw hipokryzji i dwulicowości ludzi, z którymi przyszło mu robić interesy. Oczywiście nie wszyscy byli tacy. Na przykład Bram czy wicehrabia Quence - starszy brat Phina Bromleya. I lady Isabel Chalsey. Co do niej mógł się mylić. Wprawdzie za drugim razem sama chciała, by ją pocałował, ale stało się to po tym, jak odkryła, że on i Oliver Sullivan są przyrodnimi braćmi.

Znów rozległ się grzmot. Achilles nerwowo podskoczył. Waring ściągnął wodze i poklepał konia po karku.

- To tylko hałas - powiedział uspokajającym tonem. Nadciągnęły ciężkie, deszczowe chmury. Zrobiło się chłodniej i zaczęło padać.

- Hałas i ulewa - westchnął, naciągając głębiej kapelusz i przytrzymując poły płaszcza. - Piękna pogoda, nie ma co.

Do Chalsey House dotarł całkiem przemoknięty. Znów udało mu się przyjechać na czas, była równo dziesiąta rano. Na dziedzińcu przed stajnią nie było kałuż, ale grunt był dość grząski. Na szczęście koniom nie powinno to przeszkadzać. Dla bezpieczeństwa swojej właścicielki Zephyr musi nauczyć się poruszać w różnym terenie.

- Dzień dobry, panie Waring! - powiedział Phipps, stając w drzwiach stajni. - Piękna pogoda. Myślałem, że będzie pan wołał zostać w domu.

Sullivan uśmiechnął się.

- Bardziej mokry już nie będę.

Stajenny błysnął zębami.

- Zajmę się Achillesem.

- Dziękuję.

Waring wziął derkę i położył na grzbiecie Zephyr. Klacz tylko zastrzygła uszami i posłuszenie dała się wyprowadzić ze stajni. Świetnie. Dziś derka, jutro worek z ziarnem, a za kilka dni - być może - siodło. Przez kilka minut pozwolił jej swobodnie pobiegać, rozwijając lonżę na całą długość. Kuchenne drzwi Chalsey House cały czas pozostawały zamknięte, dlatego uznał, że najlepiej zrobi, jeśli skoncentruje się na pracy. Czyżby poczuł rozczarowanie? Co za głupie przypuszczenie!

- Panie Waring? - Okno na parterze się otworzyło. Z tego, co pamiętał z nocnej wizyty, znajdował się tam przytulny salonik. To jednak nie było ważne. Lady Isabel z rozpuszczoną kaskadą blond włosów zmierzała w jego kierunku.

- Witaj, pani! - zdjął kapelusz i pochylił głowę w ukłonie.

Przez moment jej oczy spoczęły na jego ustach,

- Nie musiałeś dziś przyjeżdżać.
- To tylko deszcz. Koń nie powinien opuszczać żadnego treningu.
- Co za oddanie pracy!

Wykrzywił usta w uśmiechu.

- Jesteś sama?

-Tak.

- Robię to, co wymusiłaś na mnie szantażem. Nie wydaje mi się jednak, żebyś była gotowa wypełnić swoją część umowy.

- Jaka?

- Wymianę tajemnic. Albo informacji, skoro, jak twierdzisz, nie masz żadnych sekretów.

- Nie mam zamiaru wychodzić - powiedziała, dramatycznym gestem wskazując na podwórko. - Przy takiej pogodzie mogłabym nabawić się zapalenia płuc.

Był ciekaw, czy naprawdę boi się deszczu, czy też jest to wygodna wymówka, by nie dotknąć Zephyr. Zauważył przerażone spojrzenie dziewczyny, którym obdarzyła kłusującą i machającą łbem klacz, i nabrał pewności, że chodzi o to drugie.

- Powiedziałam coś zabawnego? - spytała. Nie zdawał sobie sprawy, że się uśmiechnął.

- Przepraszam. Nie przypuszczałem, że tak łatwo zrezygnujesz z poznania moich tajemnic - zaimprovizował odpowiedź.

- Nie zrezygnowałam, tylko odłożyłam na później. Będę cię obserwować przez okno, więc nie próbuj żadnych sztuczek.

Sullivan pochylił głowę.

- Gdzieżbym śmiał. A na pewno nie wtedy, gdy nie ma cię w pobliżu.

Isabel usiadła na parapecie, popijając gorącą herbatę, a on rozpoczął lonżowanie Zephyr. Starał się skoncentrować na pracy, jednak przez cały czas czuł na sobie wzrok dziewczyny.

- Kiedy wsiądę na Zephyr - usłyszał jej głos - czy będzie potrafiła tylko jeździć w kółko?

- Nauczę ją jeszcze ósemek - rzucił przez ramię, ze wszystkich sił starając się ją ignorować, choć łatwiej było mu nie zwracać uwagi na deszcz.

- Jak nauczy się reagować na wodze, skoro wciąż jest na lonży?

- Czytałaś o ujeżdżeniu koni? - zapytał zirytowany, ale i zaskoczony. Wątpił, czy odważyłaby się zadawać tyle pytań, gdyby stała obok niego. W tej chwili z przyjemnością wrzuciłby ją na koński grzbiet, byle tylko przestała się wymądrzać.

- Owszem, czytałam - odparła nieświadoma jego myśli. - Phillip dał mi książkę.

- To może tu przyjdiesz i sprawdzisz swoje wiadomości w praktyce?

- Nie podczas ulewy.

Spojrzał na Zephyr, a kiedy przeszła do stępa, ponownie odwrócił się w stronę okna.

- Pamiętaj, że potrafiłbym wejść przez to okno.

- Podobno jest pan w tym bardzo dobry.

- Uważaj, księżniczko, żebym nie zrobił użytku ze swoich umiejętności.

-I znów dał się złapać?

Tego było za dużo. Rzucił lonżę na ziemię i podbiegł w stronę domu. Kiedy wyciągnął ręce, by chwycić za zewnętrzny parapet, Isabel z bezgłośnym śmiechem zatrzęsła okno. Na koniec pomachała mu zza szyby.

Rzucił jej nieodgadnione spojrzenie i wrócił do pracy. Zamykając okno, zrobiła najmądrzejszą rzecz od chwili, gdy się poznali. Gdyby pozwoliła mu wejść, na pewno by ją pocałował. Tym razem nie ukradłby żadnego obrazu, ale jej cnotę.

- Tibby, nie powinnaś stać przy oknie, patrząc na obcego mężczyznę.

Isabel aż podskoczyła, gdy usłyszała głos matki, która weszła do saloniku, trzymając w dłoniach robótkę.

- To nie jest obcy mężczyzna - odpowiedziała, rzucając spojrzenie na Sullivana i okrążającą go z gracją Zephyr. - Wynajęłam go i sprawdzam, czy należycie wywiązuje się z obowiązków.

Lady Darshear podeszła do córki i spojrzała przez okno.

- Pan Sullivan nawet w deszczu wygląda bardzo atrakcyjnie - powiedziała po chwili.

- Mamo!

Markiza roześmiała się i usiadła na krześle przy kominku.

- Też kiedyś byłam młoda, moja droga. Umiem docenić urodę niebieskich oczu i zgrabnej męskiej sylwetki.

- Są zielone - automatycznie poprawiła ją Isabel i zaczerwieniła się gwałtownie, gdy zdała sobie sprawę, że matka uważnie ją obserwuje. - To także ładny kolor.

- Ojciec powiedział mi, czym prawdopodobnie potomkiem jest pan Waring. Pewnie uznał, że powinnam wiedzieć, kto uczy naszą córkę, zwłaszcza że lord Tilden jest u nas częstym gościem. Ty też jesteś świadoma jego pochodzenia.

Isabel przytaknęła.

- Zdajesz sobie więc sprawę, że ze względu na Olivera powinnaś trzymać się z dala od pana Waringa.

- Przecież to nie jego wina.

- Ale taki już jest świat. Masz szansę na wejście do bardzo szanowanej rodziny. Nie zmarnuj tego, moja droga, tylko dlatego, że podoba ci się pospolity hodowca koni, choćby nie wiem jak urodziwy.

Hodowca koni, włamywacz, wykształcony i dobrze wychowany przystojny mężczyzna. W Sullivanie Waringu nie było nic pospolitego. Wymykał się wszelkim porównaniom i Isabel czuła, że minie jeszcze wiele czasu, zanim pozna wszystkie jego tajemnice.

- Isabel?

- Masz rację, mamó - odpowiedziała nieobecny głosem. - Ale nie wyjdę za Olivera. Nie Kocham go.

- To może się zmienić. Dlatego unikaj spotkań z panem Waringiem. Najlepiej byłoby go odprawić.

- Chcę nauczyć się jeździć konno, a nawet papa mówi, że nigdzie nie znajdę lepszego nauczyciela.

- W takim razie odejdz od okna i zajmij się swoją robótką.

Isabel rzuciła ostatnie spojrzenie przez okno i niechętnie przyłączyła się do matki. Oczywiście, nie mogła jej powiedzieć, że to właśnie Sullivan okradł ich dom, a ona stara się poznać powody, dla których to zrobił, i powstrzymać przed dalszymi włamaniami. Szczerze mówiąc, nie było to do końca prawdą. Ten mężczyzna fascynował ją, a rady, by trzymała się od niego z daleka, odnosiły wręcz przeciwny skutek.

Miała nadzieję, że jutro nie będzie padać, choćby miało to oznaczać konieczność dotknięcia Zephyr. Wiedziała już, o co chce zapytać pana Waringa. Odpowiedzi na te pytania były dla niej bardzo ważne. Miała nadzieję, że będą takie także dla niego.

Oliver Sullivan, lord Tilden, wchodził po schodach Sullivan House, strząsając z płaszcza ostatnie krople deszczu. Przeszedł przez krótki korytarz i zapukał do zamkniętych drzwi gabinetu.

- Kto tam? - usłyszał pytanie wypowiedziane przytłumionym głosem.

- Oliver.

- Wejdz!

Zdjął rękawiczki i nacisnął klamkę. Znalazł się w skromnie urządzonej sypialni, oświetlonej blaskiem świec. Siedzący za biurkiem mężczyzna nawet nie podniósł głowy na jego widok, zajęty wpisywaniem cyfr w grubą księgę. Oliver usiadł na krześle ustawionym po drugiej stronie i uderzył rękawiczkami o udo.

- Coś się stało?

- Pomyślałem, że zechcesz wiedzieć, iż twój bękart spędza codziennie ponad godzinę w Chalsey House, ujeżdżając konia panny, którą pragnę poślubić.

Pióro uderzyło o papier, zostawiając na białej kartce potężnego kleksa. Mężczyzna uniósł głowę zwieńczoną imponującą grzywą siwych włosów.

- Nie mam żadnych bękartów! - ryknął.

- Tylko tobie tak się wydaje.

- Nonsens! Nikt mi niczego nie udowodnił. Nie życzę sobie, byś powtarzał te pomówienia.

Oliver wstrzymał oddech. Nigdy jeszcze nie udało mu się wygrać żadnej słownej potyczki, jakie od czasu do czasu prowadził z ojcem. Skoro jednak podobne rozmowy doprowadzały George'a Sullivana, markiza Dunston, do szału, nie widział powodu, by z nich rezygnować.

- Dobrze. W takim razie pan Sullivan Waring został zatrudniony w domu, który, jak obydwaj dobrze wiemy, obrabował zaledwie tydzień temu.

Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć. Pozwalasz temu człowiekowi bezkarnie uderzać w swoich przyjaciół. Miłego dnia, ojcze!

Wychodząc z gabinetu, Oliver musiał przyznać, że docenia pomysłowość przyrodniego brata. Łajdak znalazł skuteczny sposób na rozwścieczenie ojca, który nie mógł nic zrobić, jeśli nie chciał, by wyszły na jaw jego ciemne sprawy z przeszłości. Na to George Sullivan nigdy by sobie nie pozwolił. Zemsta została świetnie obmyślona. Oliver doszedł do wniosku, że sam wybrałby taką metodę. Oczywiście, gdyby wcześniej okazał się na tyle głupi i łatwowierny, by powierzyć komuś innemu opiekę nad swoim majątkiem podczas pobytu za granicą. Na szczęście lord Tilden nie był na tyle krótkowzroczny. Nie jeśli chodziło o jego własność. A szczególnie o lady Isabel Chalsey.

Rozdział 9

Kiedy Isabel wyszła na dwór w rześki, słoneczny poranek, prawie żałowała, że już nie pada. Miała dużo pytań do pana Waringa i sporo zagadek do rozwiązania. Odkąd zatrudniła Sullivana, nie było nowych włamań. Być może to, że dla niej pracował, wystarczyło, by powstrzymać go przed przestępczą działalnością. Jeśli tak, nie mogła zrezygnować z jego usług. Przerazał ją jedynie fakt, że obiecała zawrzeć bliższą znajomość z Zephyr. Nakłaniając ją do tego, Sullivan Waring wykazał się isticie diabelską przebiegłością.

- Pewnie żałujesz, że deszcz się skończył? - spytał na powitanie, nadchodząc od strony stajni i prowadząc klacz na lonży.

Musiał zgadywać, bowiem na pewno nie znał jej jeszcze na tyle dobrze, by zorientować się, co czuje. Poza tym, to ona miała obserwować jego, a nie odwrotnie.

- Nonsens! - odpowiedziała zdecydowanie. - Czy mógłbyś, z łaski swojej, przez chwilę lonżować Zephyr, zanim z nią do mnie podejdziesz?

Po jego rozbawionej minie zorientowała się, że i tak miał zamiar to zrobić. Cóż, nie zaszkodzi przypomnieć mu, kto tu rozdaje karty. Przez jej ciało przebiegł dreszcz. Na chwilę zamknęła oczy, starając się uspokoić. Wcale nie musiała tu przychodzić. Mogła zostać w domu lub zaprzeczyć, jakoby obiecała dotknąć Zephyr. Obydwoje wiedzieliby jednak, że to kłamstwo, a skoro w tej sprawie minęła się z prawdą, Sullivan mógłby się domyślić, iż nie ma również zamiaru oddawać go w ręce władz. To oznaczałoby katastrofę. Prawdopodobnie świadomość, że w każdej chwili może zostać zadenuncjowany, powstrzymywała go przed kolejnymi włamaniami. Isabel założyła ręce za plecami, kurczowo zaciskając palce, i

obserwowała galopującego konia. Sullivan trzymał koniec lonży, ale nie napinał jej, pozwalając Zephyr wybiegać się do woli. W końcu zatrzymał ją i skracając linę, skłonił klacz, by do niego podeszła. Poklepał zwierzę po grzbiecie, szepnął coś do ucha i poprowadził w pobliże stajni, gdzie stała Isabel i całą siłą woli starała się nie rzucić się do ucieczki.

- Co jej powiedziałaś? - spytała, starając się nie myśleć o tym, co się zdarzy za chwilę. - Żeby mnie kopnęła?

Sullivan chwycił Zephyr za uwiąz tuż przy pysku.

- Poprosiłem, by zachowywała się przyzwoicie. Dziewczyna zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Jesteś niezwykłym włamywaczem.

- A ty niezwykłą szantażystką.

- Spotkałeś jakiegoś, że masz porównanie?

Uśmiechnął się.

- Ani jednej. A ty jakiegoś włamywacza?

- Też nie. Myślisz, że Zephyr cię posłucha?

- Tak. Nawet jeśli nie, obiecuję, że będziesz bezpieczna.

Był bardzo pewny swego, ale ponieważ Isabel chciała, by miał rację, zdecydowała nie wdawać się w dyskusję.

- Niech tak będzie - westchnęła.

- W takim razie stań za mną.

- Nie muszę...

- Jestem twoim niewolnikiem - powiedział, uśmiechając się w sposób, który wprawił jej serce w gwałtowne drżenie - ale na koniach znam się lepiej niż ty. Stań za mną.

- Dobrze - mruknęła. Szczerze mówiąc, nie miała nic przeciwko temu, żeby jego smukłe, umięśnione ciało odgradzało ją od klaczy. Stała za jego plecami i chwyciła za rękaw koszuli, by nie cofnął się w ostatniej chwili.

- Możesz położyć swoją dłoń na mojej, tak jak ostatnim razem?

-Tak...

Powinna zadawać mu pytania i zdecydowanym głosem żądać odpowiedzi, ale przed sobą widziała tylko wielką szarą plamę.

- Zrób to.

- Daj mi minutę.

- Leżałem ranny w lazarecie w Hiszpanii, kiedy dostałem wiadomość o śmierci matki - odezwał się nieoczekiwanie cichym, niskim głosem. - I tak nie zdążyłbym na pogrzeb, więc zostałem ze swoim oddziałem. Miała wielu oddanych przyjaciół, którzy obiecali zająć się jej sprawami, a kiedy zachorowała, poprosiła ich też o opiekę nade mną. Nie było powodu, bym musiał natychmiast wracać do Anglii.

Nie przestając mówić, chwycił jej dłoń drugą ręką. Wiedziała, że słowa mają odwrócić jej uwagę od konia, ale głos Sullivana z własnej woli udzielającego odpowiedzi na kilka dręczących ją pytań, bardzo ją uspokoił.

- Jednak w końcu przyjechałeś.

- Przed sześcioma miesiącami. Rok wcześniej dostałem francuską kulkę w ramię, ale udało mi się uprosić dowódcę, bym mógł wrócić na front. Potem znów zostałem ranny prawie w to samo miejsce. Kiedy wróciła mi przytomność, byłem na statku, w połowie drogi do Dover. Bram wszystko załatwił i odeskortował mnie do domu.

- Lord Bramwell Johns? - Z wahaniem położyła dłoń na jego dłoni.

Skinał głowę.

- Kiedy tylko stanąłem na nogi, pojechałem do domu matki, by przewieźć do siebie obrazy, które namalowała. Nie znalazłem ani jednego. Właściciel ziemi i posiadłości, w której mieszkała, najwyraźniej uznał, że skoro zmarła, cały jej majątek należy do niego, bez względu na jej ostatnią wolę.

W miarę jak snuł swoją opowieść, jego głos stawał się coraz twardszy i chłodniejszy.

- Chyba się domyślam - powiedziała powoli, dotykając policzkiem jego ramienia - od kogo dzierżawiła dom.

- Od Dunstona. Nie wiem, dlaczego tam mieszkała, ale twierdziła, że ma dobre światło. Na pewno chcesz wiedzieć, czemu podpisywała się na obrazach jako Francesca Perris. Kiedy miałem trzy lata, wyszła za Williama Perrisa. Zmarł dwa lata później.

- Nie uważasz, że wciąż darzyła uczuciem markiza? Może właśnie dlatego została?

- Nie. Raczej chciała przypominać mu o wydarzeniach z przeszłości. Stąd moje imię.

- Nie sądzisz, że to okrutne?

- Miała własne zdanie w wielu sprawach - przerwał, a po chwili dodał miękko: - Spójrz na swoją dłoń.

Leżała tuż obok jego ręki, na boku Zephyr. Isabel wstrzymała oddech. Odkąd ukończyła osiem lat, nigdy nie była tak blisko konia.

- Boże drogi! - wyszeptała, niezdolna się poruszyć.

- Wyczuwasz mięśnie pod jej skórą? - spytał tym samym łagodnym głosem. - Żebra poruszające się wraz z oddechem?

Nie miała pojęcia, skąd tak dobrze wie, jak się w tej chwili czuje i jakie słowa chciałaby usłyszeć. Proste, pełne otuchy, upewnijające ją, że

wszystko jest dobrze i na pewno sobie poradzi. Była mu niewyobrażalnie wdzięczna, choć śmiertelnie przerażona. I bardzo z siebie dumna. Powoli uniosła rękę i znów położyła ją na boku Zephyr. Poczwała, jak zadrżały mięśnie klaczy. Jej sierść była sztywniej-sza, niż oczekiwała.

- Wspaniale, Tibby! - szepnął Sullivan. - Widzisz, jak drżą jej uszy? Słucha cię. Powiedz coś do niej.

- Witaj, Zephyr! - powiedziała Isabel, starając się, by jej głos zabrzmiał pewnie. - Jesteś bardzo ładna.

Klacz parsknęła i podrzuciła głowę. Przerażona Isabel podskoczyła, ale Sullivan przykrył jej dłoń swoją, nie pozwalając dziewczynie jej cofnąć.

- Odpowiedziała ci - wyjaśnił spokojnie. - Nie chce się od ciebie odsunąć. Spójrz na jej uszy. Są wyprostowane i skierowane w twoim kierunku. Lubi cię.

- Jesteś pewien?

- Trochę znam się na koniach.

A więc zrobiła to! Dalsze próby byłyby tylko kuszeniem losu. Wysunęła rękę spod dłoni Sullivana.

- Myślę, że na dziś wystarczy - powiedziała, puszczając rękaw jego koszuli i się odsuwając.

- Chcesz potrzymać lonżę?

- Nie - odkaszlnęła nerwowo. - Nie dzisiaj.

- W takim razie, czy zostaniesz ze mną, kiedy będę lonżował Zephyr?

Skinęła głową. Na to mogła się zgodzić. W tej chwili byłaby gotowa zrobić wszystko. Z grymasem, który miał być pełnym entuzjazmu uśmiechem, a wyglądał dość żałośnie (z czego zresztą doskonale zdawała sobie sprawę), poszła za Sullivanem na środek dziedzińca stajni.

- Dziękuję! - szepnęła.

- Nie ma za co! Ruszaj, Zephyr!

Spoglądając na profil Waringa, uzmysłowiła sobie, że jako jedyny nie kpił z jej lęku przed końmi. Nikt z jej rodziny także tego nie robił, ale przyjaciele podjeżdżający do niej konno lub powozami, często komentowali jej zachowanie. Trudno uwierzyć, że człowiek, który znał się na koniach lepiej niż ktokolwiek inny, ani razu z niej nie zażartował.

- Co się stało? - Waring rzucił jej krótkie spojrzenie.

-Nic.

- Żadnych pytań na temat wędzidla, siodeł czy długości lonży?

-Nie.

Wzięła głęboki wdech, zastanawiając się, co każe jej kontynuować rozmowę. Powinna tylko słuchać. Z drugiej strony Sullivan niepytany powiedział tak wiele o sobie. Najwyraźniej jej ufał i chciała mu się zrewanżować tym samym.

- Z moją przyjaciółką Mary byliśmy w Burling, posiadłości moich rodziców. Szliśmy na spacer, kiedy jakiś mężczyzna nadjechał faetonem. Był obok nas, gdy konie poniosły. Jeden kopnął mnie w bok tak mocno, że wpadłam do rowu. Mary zaplątała się w uprzęż. Konie ciągnęły ją przez kilka minut. Pamiętam, jak rozpaczliwie krzyczała. Umarła niedługo potem.

- Stój, Zephyr! - Sullivan zatrzymał klacz i obrócił się w stronę Isabel.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Osiem.

- Przykro mi.

Wzdrygnęła się.

- To było tak dawno.

- O niektórych sprawach trudno zapomnieć.

Isabel się uśmiechnęła.

- Jak na hodowcę koni jesteś bardzo mądry.

- Pierwsza mi to powiedziałaś.

Nie spuszczał z niej uważnego spojrzenia. Poczuła, że oblewa ją fala gorąca. Stali tak blisko siebie. Jej spojrzenie spoczęło na jego wargach. Syn z nieprawego łoża. Złodziej. Zarabiający na życie fizyczną pracą. Młoda dama z dobrego domu powinna unikać takich ludzi. Tak bardzo chciała, żeby ją znowu pocałował.

- Tibby? - usłyszała jego szept.

Otrząsnęła się. Znowu nazwał ją zdrobnieniem używanym przez członków najbliższej rodziny, choć mu tego zabroniła. Do tego prawie go dotknęła. Jego przyrodni brat zalecał się do niej, o czym wszyscy wiedzieli. Sullivan także.

- Proszę wracać do swojej pracy.

Uśmiechnął się ponuro.

- O niektórych sprawach trudno zapomnieć, prawda? - powtórzył jej słowa. - Ruszaj, Zephyr!

- Proszę mnie nie karcić za robienie tego, co wypada.

- Nie podoba mi się, że zachowujesz pozory, kiedy jest ci wygodnie - odpowiedział, odwracając się do niej tyłem. - Szybciej, malutka!

Zephyr przeszła do kłusa.

Magiczna chwila minęła bezpowrotnie.

- Mszcząc się na jednym człowieku, przysparzasz trosk innym - wypaliła.

- Odbieram swoją własność! - parsknął zirytowany.

- Okradając niewinnych ludzi?

- Nikt nie jest ideałem. I nie wyobrażaj sobie, że to strach przed twoimi gierkami powstrzymuje mnie od kolejnych włamań. Miej oczy otwarte, a niebawem usłyszysz to i owo.

- Niech pan się modli, żeby nie usłyszeć szczęku krat więziennych, zatraskujących się za pańskimi plecami - prychnęła. - Tak, to jest ostrzeżenie! - dodała i zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie i omijając szerokim łukiem Zephyr, zdecydowanym krokiem oddaliła się w stronę domu.

Dlaczego do tej pory milczała i nie powiedziała nikomu, co wie na temat Rabusia z Mayfair? Waring być może był godzien współczucia, ale przecież kierowała nim chęć zemsty. Do tego sam przyznał, że zamierza znów uderzyć.

- Głupia! - mruknęła pod nosem, wchodząc przez kuchnię do głównej części domu.

- Mówiłaś coś? - zapytał Douglas, przechylając się przez poręcz schodów.

- Nie.

- Jak myślisz, czy pan Waring pozwoliłby mi patrzeć, jak ujeżdża twoją klacz? - W podskokach zbiegł do holu i stanął przed siostrą.

- Nie lubi, gdy mu ktoś przeszkadza.

- Ty stoisz przy nim przez cały czas.

- To mój koń. Chłopak wykrzywił usta.

- To nie w porządku. Sam go zapytam.

Kiedy przechodził obok niej, chwyciła go za ramię.

- Zaczekaj!

- Nie bądź samolubna. Nie masz pojęcia, jak wielkim poważaniem cieszy się pan Waring wśród innych hodowców.

- Naprawdę?

- Jest bardzo sławny. Świetnie strzela, zna się na wielu rzeczach...

- Rozumiem, nie musisz tak go wychwalać.

- Phillip prawie się rozplakał, kiedy dowiedział się o jego wyjeździe do Hiszpanii. Czy wiesz, że zrobił to, ponieważ Levonzy kazał swojemu synowi wstąpić do armii? Pan Waring co tydzień słał listy do swoich pracowników, instruując ich, jak mają zajmować się końmi. Gdyby zginął na froncie, załamałaby się hodowla rasowych koni w całej Anglii.

- Nie bądź śmieszny!

- Mówię zupełnie poważnie - wyswobodził się z jej uścisku. - Chcę się od niego jak najwięcej nauczyć. Być może kiedyś założę własną stajnię.

Skierował się w stronę kuchni. Isabel odprowadzała go spojrzeniem. Chyba oszalała! Chroniła Sullivana Waringa, szantażowała go, w końcu zmusiła, by ją pocałował. Co się z nią dzieje? Potrzebowała rady kogoś, kto potrafi dotrzymać tajemnicy.

- Douglasie! - zawołała.

- Słucham? - odwrócił się, ale nie zatrzymał. - Pan Waring odjedzie za pół godziny.

- Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Później, Tibby.

- Nie. Teraz. Chodź ze mną.

Niechętnie podszedł do niej i dał się zaprowadzić do saloniku.

- Mam nadzieję, że nie każesz mi znowu mierzyć swoich kapeluszy?

- Obiecuję - powiedziała, zamykając drzwi na klucz.

- To dobrze.

- Mogę ci zaufać, Douglasie? Tak naprawdę? Spojrzał na nią z poważną miną.

- Oczywiście, że możesz. Jestem twoim bratem.

Douglas już kilka razy udowodnił swoją lojalność. Raz, kiedy zgubiła kolczyki matki, i ponownie, gdy postanowiła poślizgać się na zamrożonym stawie i prawie wpadła do wody w Burlington, wiejskiej posiadłości Chalseyów. Tym razem chodziło o znacznie poważniejszą sprawę. Wiedziała jednak, że nie może się zwierzyć żadnej z przyjaciółek. Nie wyobrażała sobie także, by mogła opowiedzieć o wszystkim rodzicom lub Phillipowi.

- Musisz mi obiecać, że to zostanie między nami. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć.

- Zamordowałaś kogoś?

- Daj mi słowo! - poprosiła.

- Dobrze. Obiecuję.

- Szczerze?

- Mam to potwierdzić własną krwią? Przyrzekam, że nikomu nie powiem.

- Dobrze - Isabel wzięła głęboki wdech. Opadła na sofę i zacisnęła kciuki. Sullivan sam powiedział, że szykuje się do kolejnego włamania. Musiała coś zrobić.

- Widziałam twarz człowieka, który włamał się do naszego domu - odezwała się w końcu.

- Co?! - mina Douglasa świadczyła o tym, że udało jej się go zaskoczyć. - Powiedziałaś, że nosił maskę.

-Tak.

- Więc jakim sposobem... ?

- Zdjęłam mu ją.

Douglas zadrżał i pochylił się w stronę siostry.

- Walczyłaś z nim?

- Czy pozwolisz mi dokończyć?

Usiadł na krześle naprzeciwko niej i skrzyżował ręce na piersi.

- Mów. Nie odezwę się ani słowem. Co do tego miała poważne wątpliwości.

- Tak jak mówiłam wcześniej, zaskoczyłam go, ale on nie uciekł od razu. On... mnie pocałował.

Douglas prawie zakrztusił się z wrażenia. Zerwał się z krzesła, a potem usiadł, czerwony jak piwonia. Gestem poprosił ją, by mówiła dalej.

Właśnie dlatego nie mogła powiedzieć całej prawdy rodzicom ani nikomu innemu. Zanimby się zorientowała, siedziałaby w powozie zmierzającym w stronę Burling.

- Zrobił to, by mnie zaskoczyć i mieć czas na ucieczkę. Nie wiedziałam, kim jest, dopóki nie zobaczyłam go następnego dnia w Tattersall.

Douglas wyglądał teraz, jakby połknął owada. Wydał z siebie kilka dziwnych dźwięków, ale nie odezwał się słowem.

- To był Sullivan Waring.

Tym razem chłopak zerwał się na równe nogi.

- Nie, nie, nie! Jeśli nie chcesz już jeździć konno, zrozumieć to. Ale rujnować czyjąś reputację, tylko dlatego...

- Odbiera obrazy malowane przez matkę. Była utalentowaną artystką. Po jej śmierci lord Dunston wszystkie sobie przywłaszczył.

- Ale Dunston jest...

- Jego ojcem. Wiem o tym.

- A ty i Tilden... - wyrzucił obie ręce w powietrze. - Umrę przez ciebie na apopleksję, zanim będę miał szansę pocałować jakąś gąskę!

- Miałbyś większe szanse, gdybyś przestał mówić w ten sposób o wszystkich pannach, które znasz - oświadczyła sucho. - A co do Olivera... On nie ma z tym nic wspólnego.

- Słucham? - przerwał jej. - Naprawdę nic nie rozumiesz? Może ty uważasz, że tak jest, ale jestem gotów postawić sto funtów, że on i Waring mają inne zdanie na ten temat.

Isabel spojrzała na brata biegającego po pokoju i wymachującego rękami. Jeszcze do niedawna nie miała pojęcia o więzach pokrewieństwa łączących Waringa i Tildena. Ale Oliver wiedział o kradzieży. Bez wątplenia znał tożsamość złodzieja, a co więcej - musiał już wcześniej być świadom, że Chalsey House prędzej czy później padnie ofiarą Rabusia z Mayfair. Ale czy Sullivan, całując Isabel, wiedział, że Tilden się do niej zaleca?

- Chyba czegoś nie zrozumiałem - odezwał się w końcu Douglas. - Zatrudniłaś Waringa, wiedząc, że to on jest włamywaczem, który cię pocałował?

- Chciałam mieć go na oku, dopóki nie podejmę decyzji, co zrobić - przyznała.

- Pocałował cię później jeszcze raz?

- Nie - skłamała. - Zresztą takie sprawy nie powinny cię interesować.

- Wiem, co powinnaś zrobić. Opowiedz o wszystkim ojcu.

- Bądź poważny. Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Ponieważ zatrudniłam pana Waringa. Papa mógłby dojść do wniosku, że się w nim zadurzyłam. To mogłoby się skończyć pojedynkiem.

- Ja jestem w nim zadurzony, a mimo to uważam, że powinniśmy przekazać go władzom.

- A jeśli miał powód, by robić to, co robił?
- Mówimy o pocałunku?
- O tym, że stara się odzyskać coś, co zostało mu podstępem odebrane!
- wykrzyknęła Isabel.
- Okradając innych!

Taką samą rozmowę odbyła niedawno z Sullivanem, z tą różnicą, że tym razem trzymała jego stronę.

- Kiedy Oliver dał nam obraz, powiedział, że to prezent od jego rodziny dla naszej. Czy był jakikolwiek powód, by wątpić w czystość jego intencji?

- Nie, ale...
- Gdyby jakiś hodowca koni zapukał do drzwi, wpuściłbyś go do domu?
- Sullivana Waringa na pewno.
- Oddałbyś mu obraz?
- Ja... - zawahał się. - Czy może udowodnić, że należał do niego?
- Wątpię.

Douglas podszedł do okna, a potem zbliżył się do siostry.

- Powiedz mu, by zaprzestał dalszych kradzieży. Jeśli zostanie schwytany, a ludzie dowiedzą się, że zatrudniłaś go po tym, jak nas okradł, ryzykujemy skandal.

- Właśnie dlatego powiedziałam ci o wszystkim. Groził, że znów się do kogoś włamie.

- Jeśli nie chcesz oddać go w ręce władz, musisz go odesłać - oświadczył ponurym głosem. - Nie wierzę, że to powiedziałem.

- Oliver polecił mi kogoś, kto mógłby dokończyć ujeżdżanie Zephyr - wyznała niechętnie. Być może lord Tilden miał rację co do charakteru Sullivana.

- Kogo?

- Nie pamiętam nazwiska. Chyba Barnett.

- Tom Barrett?

-Tak.

Douglas z niesmakiem pokręcił głową.

- To rzeźnik. Potrafi zmusić konia, by pędził jak wiatr, ale nie ma gwarancji, że nieszczęsne zwierzę nie padnie przed kolejnym wyścigiem. Ten człowiek nie zna innego chodu niż galop.

- Okropne! Dlaczego Oliver go zaproponował?

- Naprawdę, straszny z ciebie głuptas, siostrzyczko - westchnął Douglas. - Barrett to nie Waring, nie rozumiesz? Osobiście nigdy nie pozwoliłbym temu pierwszemu układać konia dla damy.

- Więc jednak wciąż mu ufasz, choć teraz wiesz to co ja. Sam widzisz.

- Ufam jego podejściu do koni. To wszystko. Co do reszty, musisz dać mi trochę czasu, bym przemyślał całą sprawę.

- Dobrze. Pan Waring wróci tu po południu.

- Myślisz, że do tego czasu wszystko sobie ułożę? - posłał jej niedowierzający uśmiech. - Będę potrzebował przynajmniej całego dnia.

Usiadł w fotelu.

- Nadal uważasz, że nie mogę nikomu o tym powiedzieć?

- Dałeś słowo.

- Dzień chyba mi wystarczy.

Douglas bywał sarkastyczny, ale miała nadzieję, że udzieli jej kilku cennych rad. Nie powiedziała mu tylko jednego. Bez względu na to, jak

bardzo była zła na Sullivana Waringa, myślała tylko o tym, by znów go pocałować. Z tego nie mogło wyniknąć nic dobrego.

RS

Rozdział 10

- I ona śmie mnie ostrzegać! - zrzędził pod nosem Sullivan, zeskakując z Achillesa i podając wodze służącemu z Bromley House. - Mała szantażystka! Niech lepiej pilnuje własnych spraw.

Frontowe drzwi otworzyły się, zanim zdążył zapukać.

- Witam, panie Waring - powiedział wysoki, siwowłosy mężczyzna ubrany w niebiesko-czarną liberię.

- Dzień dobry, Graves. Lord Bramwell już jest?

- Przysłał wiadomość, że się spóźni, jeśli w ogóle będzie w stanie się zjawić.

Nawet dobrze. Bram bywał zbyt cyniczny i spostrzegawczy, a dziś wieczorem Sullivan potrzebował przede wszystkim trochę spokoju.

- Dziękuję - powiedział. Kamerdyner skinął głową.

- Lord Quence jest w salonie.

Waring podał mu płaszcz, a potem wspiał się krętymi schodami na pierwsze piętro. Czuł się trochę dziwnie, wchodząc do rezydencji głównymi drzwiami. Zwykle odwiedzał takie miejsca nocą, w masce na twarzy, kiedy domownicy byli pogrążeni we śnie.

Gdy tylko przekroczył próg salonu, rozległ się ciepły, męski głos

- Witaj, Sully! Słyszałeś, że Bram może nie przyjść?

Sullivan skinął głową.

- Jego ojciec jest w mieście.

- Tak myślałem. Za to przyjechała Elizabeth, więc przynajmniej będziemy mogli popatrzeć na ładną buzię.

Jakby na potwierdzenie tych słów otworzyły się drugie drzwi i młodsza siostra Quence'a wśliznęła się do pokoju.

- Tak się cieszę panie Waring, że mógł pan do nas dziś dołączyć! - zaszczębiotała, dygając.

- Witam, panno Bromley! - uśmiechnął się.

- Nie wiedziałem, że jest pani w Londynie.

To dlatego Bram był nieobecny. Dziewczyna zachowywała się przy nim jak ćma lecąca do płonącej świecy.

- Uciekłam ze wschodniego Sussex - odpowiedziała żywo, potrząsając brązowymi lokami. Podeszła do brata i pocałowała go w błądy policzek.

- Miałam dość rozmów wyłącznie z własnym odbiciem w lustrze.

- Ciekawe dlaczego? - mruknął lord Quence.

Z kieszeni wyjął kartkę.

- Podaj ten list Sullivanowi. Szedł prawie miesiąc. Pogoda w Hiszpanii musi być okropna.

- To od Phina? - zapytał Waring, z trudem ukrywając zniecierpliwienie. List był adresowany do Elizabeth Bromley. Z tego, co wiedział, Phin nigdy nie pisywał do brata.

- Tak - odpowiedziała dziewczyna, podając mu w końcu pismo. - Pyta o pana.

- Sullivan sam sobie wszystko przeczyta. Mogłabyś zapytać Gravesa, czy obiad jest już gotowy?

Zmarszczyła nos.

- Nie możesz po prostu powiedzieć, żebym wyszła na kilka minut? W byciu szczerym nie ma nic złego. Uważam, że...

- Beth, zostaw nas samych na chwilę - przerwał jej brat.

- Dobrze! - Obdarzywszy Sullivana promiennym uśmiechem, wybiegła z pokoju.

- Obawiam się jej debiutu na salonach w przyszłym roku - westchnął Quence. Skinął na stojącego z boku lokaja, który przesunął jego wózek dalej od kominka.

- Zostawię cię, żebyś spokojnie przeczytał list.

- Daj spokój! - zaprotestował Sullivan, siadając na kanapie. - I tak chciałem cię o coś zapytać, dopóki jesteśmy, wiesz...

- Dopóki małej sroki nie ma w pobliżu? - dokończył Quence. - Pospiesz się, bo znając ją, zaraz tu wróci.

- Ujeżdżam klacz dla córki lorda Darshear - zaczął Waring, uważnie obserwując wyraz twarzy przyjaciela. Zauważył lekkie drgnienie brwi. William musiał o niej słyszeć. Ciekawe, czy wie, kto się do niej zaleca. - Od dawna Tilden ją adoruje?

- Nie powinieneś spytać Bramwella? On zna wszystkie plotki.

- Bram zawsze szuka drugiego dna i zadaje za wiele pytań.

- O co mam cię nie pytać?

Sullivan wzruszył ramionami.

- Nieważne. Chodziło mi tylko o to, czy moja obecność nie będzie przyczyną jakichś nieprzyjemności - skłamał. - Będę tam przyjeżdżał przynajmniej jeszcze przez dwa tygodnie.

Wicehrabia skinął głową.

- Tilden kręci się wokół niej od początku sezonu. W zeszłym roku zalecali się do niej lord Mayhew, Clark Winstead i jeszcze jeden młodzieniec, więc nie mam pojęcia, czy tym razem to coś poważnego.

Sullivan nie był zaskoczony popularnością Tibby. Trzech kawalerów w zeszłym roku i tylko jeden w tym...

- Myślisz, że się jej oświadczy? - zadał to pytanie z zaciśniętymi szczękami. Ostatnie słowo zabrzmiało jak syk węża. Czyżby był zazdrosny? Niemożliwe! Po dwóch pocałunkach i kilku rozmowach, a właściwie kłótniach?

- Całkiem możliwe - odpowiedział Quence. - Dunston nie ma powodu, by nie zgodzić się na to małżeństwo, a jej rodzina także byłaby zadowolona.

Pochylił głowę przedwcześnie przyprószoną siwizną.

- Czy to, co powiedziałem, w jakiś sposób ci pomoże?

Sullivan przytaknął z krzywym uśmiechem.

- Wydaje się zadowolona z jego zalotów, choć trudno jest mi wyobrazić sobie, jak ktoś dobrowolnie chciałby mieć do czynienia z Dunstonem i jego najstarszym synem.

- Tak myślałem. Mam tylko niesprawne nogi, Sully, nie umysł.

- Na szczęście nie zadajesz tylu niewygodnych pytań co Bram.

- Uznam to za komplement. Przeczytaj list od Phina, a ja każę Andrewsowi przynieść wino.

Quence odwrócił fotel do okna i zajął się podziwianiem zachodu słońca, a Waring zagłębił się w lekturze. To właśnie z jego powodu wszedł dziś do Bromley House frontowymi drzwiami. Najwidoczniej rodzina była tak spragniona wieści od kapitana - według listu teraz już majora - że chętnie przyjęłaby każdego. Jak inaczej wytłumaczyć zaproszenie Brama Johnsa cieszącego się reputacją pożeracza niewieścich serc? Quence był gotów zrobić wszystko, by sprowadzić Phina z powrotem do cywilizacji. Cokolwiek można by powiedzieć na temat motywów, jakimi kierował się wicehrabia, zapraszając Sullivana na kolację, ten był bardzo zadowolony z wizyty. William Bromley i jego młodszy brat Phineas byli znani z inteligencji i dowcipu. Waring darzył sympatią starszego z braci, który

mimo ułomności godnie pełnił obowiązki głowy rodu. Co do Phina, to razem z Bramem byli dla Sullivana towarzyszami broni, prawdziwymi braćmi, na pewno bliższymi mu niż Tilden.

Potrząsnął głową, odpędzając od siebie te myśli. Nie lubił wspomnień, zbyt często czuł po nich gorycz. Liczył się przede wszystkim dzień dzisiejszy. Nawet jeśli miało to oznaczać kolejne problemy z lady Isabel Chalsey.

Sullivan usiadł na łóżku. Obudziło go przerwane skrzypnięcie drzwi wejściowych do domu. Wiedział, że to nie sen. Umyślnie nie oliwił zawiasów. Żołnierskie przyzwyczajenia nie znikają łatwo. Wstał bezszelestnie i naciągnął spodnie, rzucając spojrzenie w stronę okna. Między ciemnoniebieskimi zasłonami prześwitywało przytłumione srebrzyste światło. Zbliżał się świt. Zbyt wczesna pora na gospodynię, a pracownicy stajni zawsze pukają przed wejściem.

Z szafki nocnej wyjął pistolet. Usłyszał przytłumione kroki na schodach. Stanął przy drzwiach, opierając się plecami o ścianę. Był spokojny, ale czujny. Zastanawiał się, kto mógł mu złożyć nieoczekiwaną wizytę. Na pierwszym miejscu tej listy znalazła się Isabel, złodziej gdzieś pośrodku, a na końcu członkowie jego „rodziny”.

Klamka poruszyła się i drzwi powoli się otworzyły. Intruz ostrożnie wetknął głowę do pokoju. Sullivan przytknął do niej pistolet i syknął:

- Nawet nie waż się drgnąć.

Tamten wrzasnął przerażony i gwałtownie odskoczył. Waring chwycił go za włosy, pociągnął ku sobie i przycisnął do ściany. Chwilę później wolną ręką obalił nieznajomego na podłogę.

- Niech pan mnie nie zabija! - usłyszał znajomy głos.

Zatrzymał nogę w połowie kopnięcia.

- Douglas Chalsey?

Chłopak skulił się i osłonił głowę rękami.

- To ja! Proszę mnie nie bić!

- A niech to! - Sullivan rzucił pistolet na łóżko i pomógł młodzieńcowi stanąć na nogi. - Co, do diabła, tutaj robisz?

- Chciałem z panem porozmawiać - Douglas ostrożnie dotknął nosa. - Oszpecił mnie pan do końca życia!

- Nie bój się. Nie jest złamany - odparł Waring, przyglądając się jego twarzy. - Zejdź do salonu. Zaraz przyjdę.

Z szuflady wyjął czystą chustkę i podał ją chłopcu. Kiedy tylko za Douglasem zamknęły się drzwi, zaczął się pospiesznie ubierać. Nie chciał, żeby nieoczekiwany gość sam wędrował po domu.

Mógłby jeszcze trafić do niewielkiego pomieszczenia za kuchnią, w którym oprócz paru innych znajdowały się przedmioty jeszcze niedawno należące do Chalseyów.

Po co chłopak tu przyszedł? Powody ku temu mogły być trzy: wiedział, że Sullivan pocałował Isabel, poznał tożsamość Rabusia z Mayfair lub potrzebował rady w sprawie koni. Waring miał nadzieję, że chodzi o to ostatnie. Gdyby wizyta dotyczyła którejś z dwóch pierwszych spraw, byłoby lepiej dla Douglasa, gdyby pojawił się w towarzystwie kogoś starszego i groźniejszego.

Sullivan wciągnął buty i po wąskich schodach zszedł na dół. Jego gość siedział w salonie, przyciskając do nosa chusteczkę.

- Po co tu przyjechałeś? - zapytał mężczyzna, kucając przed kominkiem, by podsycić ogień. - Stąd do Chalsey House jest... - spojrzał na stojący na gzymsie zegar -... trzy i pół godziny drogi.

- Chciałem z panem porozmawiać - odpowiedział Douglas przytłumionym głosem. - W cztery oczy.

Chyba raczej nie chodzi o konie.

- O czym?

Douglas spojrział na niego.

- Zamierza mnie pan znowu uderzyć?

- Tylko przyparłem cię do ściany.

- Małe pocieszenie.

- Włamałeś się do mojego domu.

- Czyli jesteśmy kwita.

Dzięki latom ćwiczenia samodyscypliny Sullivanowi udało się ani na jotę nie zmienić wyrazu twarzy.

- Słucham? - zapytał spokojnie.

- Nie udawaj niewiniątka, Waring. Tibby wszystko mi opowiedziała.

Sullivan poczuł, jak sztywniejają mu mięśnie na karku. Wziął głęboki wdech i usiadł naprzeciwko chłopca.

- Pomyślałeś o tym, że wtargnięcie do domu człowieka, którego uważasz za przestępcę, nie jest zbyt rozsądne? Jesteś tu sam i założę się, że nie powiedziałeś nikomu, dokąd się wybierasz.

Douglas zbladł, ale zmusił się do śmiechu.

- Nigdy nie uważano mnie za błyskotliwego. Nie przyjechałem tu, by być świadkiem pańskiego aresztowania.

- Masz ikrę, ale mało rozsądku. O czym chcesz ze mną rozmawiać?

- Chcę prosić, by zostawił pan moją siostrę w spokoju. Tibby uważa pana za bardzo tajemniczego i niebezpiecznego i dlatego się panem interesuje - opuścił chusteczkę i spojrział na widoczną na niej plamę krwi. -

Ona jest tylko o trzy lata starsza ode mnie i widzę, że wplątała się w nie lada kłopoty.

Uważa go za tajemniczego! To lepsze niż pozostać w ogóle niezauważonym. Przez chwilę Sullivan napawał się tą częścią przemowy Douglasa, ignorując resztę. Tajemniczy! Mogło to oznaczać tylko jedno - była nim zainteresowana. Ten drugi pocałunek... Sullivan nie był głupcem i dostrzegł to i owo, ale co innego usłyszeć taką opinię wypowiedzianą na głos. Zauważył podejrzliwy wyraz twarzy Douglasa i prychnął:

- Nie wiem, czy ma mi pochlebiać, że uważasz mnie za zagrożenie, czy też mam się czuć obrażony, iż młodzieniec z mlekiem pod nosem przychodzi mnie pouczać.

- Nie grożę panu! - zapewnił Douglas drżącym głosem.

- Ależ owszem. Robisz to w sposób bardziej uprzejmy niż większość ludzi, ale to groźba - wstał. - Powinienem cię udusić i pogrzebać pod podłogą domu? A może postarać się, by śmiertelnie kopnął cię koń?

- Panie Waring - przerwał mu chłopiec, także podnosząc się ze swojego miejsca. Nawet wyprostowany sięgał Sullivanowi zaledwie do nosa. - Niech pan ujeździ Zephyr, za co zapłaciliśmy, i zostawi nas w spokoju. Proszę zatrzymać obrazy i drobiazgi, które zabrał pan z naszego domu, ale Tibby nie jest dla pana.

Więc powiedziała mu wszystko! Sullivan spojrzał na Douglasa, czując, że ogarnia go coraz większy gniew. Szczególnie ostatnie słowa wypowiedziane przez chłopca okazały się bolesne.

- Młodzieńcze - rzekł cicho i spokojnie. - Nie zamierzam rujnować swojej reputacji, zadając się z jakąkolwiek osobą z twojej sfery. Uwierz mi, wiem, jak wygląda wasz świat.

- To dobrze - w głosie Douglasa usłyszał ulgę.

- Jeszcze jakieś życzenia?

- Skoro pan zapytał... Proszę się już nigdzie nie włąmywać. Ponieważ wiemy o panu wszystko, a nikomu o tym nie powiedzieliśmy, jesteśmy współwinni.

- W takim razie donieście na mnie.

Był to prawdopodobnie jedyny sposób, by Dunston w końcu zwrócił na niego uwagę.

- Nie chcę tego robić.

Ta dyskusja prowadziła donikąd.

- Stanęliśmy w martwym punkcie. Nie powinieneś wracać do domu, zanim ktoś zauważy twoją nieobecność?

Na twarzy chłopca pojawił się rumieniec.

- Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy nie mógłbym pomóc panu przy koniach.

Sullivan uniósł brwi ze zdziwienia.

- Słucham?

- Pańska sława sięga daleko. Moi przyjaciele z uniwersytetu zzielenieją z zazdrości, kiedy dowiedzą się, że otrzymałem kilka rad od samego Sullivana Waringa.

A więc ludzie z wyższych sfer chcieli się od niego uczyć, byle tylko trzymał się z daleka od ich sióstr i córek. Potrząsnął głową. Tej lekcji nauczył się już dawno temu. Trzeba przyznać, że ten młodzieniec jest odważny. Może też dostarczyć kilku użytecznych informacji na temat Isabel. Sullivan pokiwał głową.

- Zostaw płaszcz tutaj. Czeka cię trochę pracy, a wątpię, czy chciałbyś wrócić do domu, cuchnąc końskim nawozem.

Douglas wykrzywił usta w uśmiechu.

- Dziękuję panu!

Waring pomyślał, że szykują się kolejne kłopoty. Zaczęły się, odkąd pierwszy raz spojrzął na lady Isabel Chalsey. Mimo to nie zamierzał się z niczego wycofywać. Przynajmniej jego życie stało się teraz trochę ciekawsze.

- To bardzo miłe z twojej strony, Oliverze - powiedziała Isabel, wrzucając kolejną kostkę cukru do herbaty - ale nie chcę opuszczać Londynu w pełni sezonu.

- Nawet dla rozrywek Brighton? - spytał lord Tilden. - Możesz zabrać ze sobą którąś z przyjaciółek. Ojciec obiecał, że za dwa tygodnie pozwoli mi wydać wielkie przyjęcie.

- Wolę zostać - odrzekła. Korzystając z tego, że Oliver pochylił się, by podnieść upuszczoną łyżeczkę, rzuciła szybkie spojrzenie przez okno. Niestety, nie była w stanie zobaczyć, co działo się w stajni. Przez ostatnie trzy dni prawie nie widziała Zephyr i jej trenera. Najwyraźniej Oliver poznał plan zajęć Sullivana, bowiem przyjeżdżał każdego ranka tuż przed przybyciem hodowcy i zostawał do jego odjazdu. Po obiedzie organizował dla Isabel przejażdżki lub inne rozrywki, tak że pojawiała się w domu już po zakończeniu popołudniowego treningu.

Isabel nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy, ale cieszyła się z jednego. Na razie Sullivan powstrzymał się od kolejnych włamań. Nie była pewna dlaczego, ale wątpiła, by przyczyną tego były jej groźby.

- Czy jest jakaś konkretna przyczyna, dla której tak ci zależy na pozostaniu w Londynie? - zapytał od niechcienia Tilden. - Kiedy kilka tygodni temu wspominałem o wycieczce, wydawałaś się zachwycona tą perspektywą.

- Niedawno rozpoczął się sezon i bawię się tak wspaniale, że po prostu zmieniłam zdanie.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymała go, unosząc rękę.

- Oliverze, proszę! Dobrze wiem, dlaczego chciałbyś, bym wyjechała, ale zapewniam cię, że nie ma takiej potrzeby. Przestańmy już o tym rozmawiać.

Pochylił głowę, z głośnym stuknięciem odstawiając spodeczek z filiżanką na stolik.

- On jest tu codziennie.

- Ty też - pomyślała, a zamiast tego powiedziała: - Po to go zatrudniliśmy. Przykro mi, że jesteś niezadowolony, ale nie miałam pojęcia o dzielących was animozjach.

- Teraz wiesz, a mimo to nie odesłałaś go, choć poleciłem ci świetnego znawcę koni.

Kiedy Phillip usłyszał o Tomie Barretcie, jego reakcja była jeszcze gwałtowniejsza niż Douglasa.

- Jeśli dalej zamierzasz się poddawać tej obsesji, Oliverze, będę zmuszona poprosić cię, byś...

- Widziałaś?! - krzyknął Douglas, jak burza wpadając do pokoju i o mały włos nie przewracając pokojówki dotrzymującej towarzystwa Isabel i Oliverowi.

- Przepraszam! - zmitygował się.

- Co miałam widzieć? - spytała Isabel rozbawiona entuzjazmem malującym się na twarzy młodszego brata. - I co, na litość boską, masz na butach?

- Końskie odchody, oczywiście. Albo błoto. Nie jestem pewien.

Chłopiec z szerokim uśmiechem wytarł dłonią twarz, zostawiając na niej kolejną smugę brudu.

- Chodź i zobacz!

Przynajmniej miała wymówkę, by iść do stajni. W końcu ojciec prawie nakazał jej bywać tam codziennie, ale nawet on nie sprzeciwił się, gdy spędzała większość dnia z młodzieńcem z dobrego domu, jakim był Oliver. Ukrywając radość z widocznej irytacji Tildena, przyjęła ramię, które jej zaoferował, i we dwoje ruszyli za Douglasem w stronę kuchni.

- Pozwolił mi sobie pomagać - trajkotał Douglas z miną kota w piwnicy pełnej myszy. - To fascynujące móc obserwować go przy pracy. Nigdy nie używa ostróg. Batem tylko lekko łaskocze konia, przypominając mu, co ma robić.

- Też chętnie przypomniałbym mu o tym i owym - mruknął Oliver.

- Mówiłeś coś? - spytała niewinnie Isabel, choć usłyszała każde słowo.

- Nic, moja droga - uśmiechnął się. - To dobrze, że pan Waring zna się na koniach. W przeciwnym razie czyściłby stajnie, rozwoził warzywa lub co tam prości ludzie robią, by mieć pieniądze.

Nie było to zbyt subtelne. Jakby trzeba jej było przypominać, gdzie jest czyje miejsce.

- Zastanawiałaś się, kim byś był, gdyby twoi rodzice nie zostali małżeństwem?

Oliver zwolnił i obrócił głowę w jej kierunku.

- Nigdy. Jestem legalnym potomkiem, tak samo jak ty, a nie owocem przelotnego romansu w garderobie.

Douglas pchnął drzwi do kuchni i odwrócił się.

- Uważaj, Tilden. Nie wiem, czy mojej siostrze przystoi słuchać takich rzeczy.

Wprawdzie to ona zaczęła tę rozmowę, ale skinieniem głowy podziękowała bratu za te słowa. Bez względu na to, czy Oliver miał rację, czy nie, jako wicehrabia nie powinien wyrażać się lekceważąco o kimś gorzej urodzonym.

- Masz rację, Douglasie - przyznał teraz gładko. - Nie powinienem dawać się ponieść emocjom. Wybaczysz mi, Isabel?

Uśmiechnęła się, ale jej uwaga była już skupiona na wysokim, smukłym mężczyźnie stojącym na wybiegu przy stajni. - Oczywiście, że ci wybaczam.

Douglas prowadził ich w stronę wybiegu. Kiedy Isabel powiedziała mu prawdę o Waringu, bała się, że brat zacznie odnosić się wrogo do hodowcy, co może doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia. Jednak chłopak zachowywał się jak psiak uradowany z powrotu swojego pana. Nie miała pojęcia, jaka jest tego przyczyna i co zaszło między tymi dwoma, ale była zadowolona, że nie ona jedna cieszy się z obecności Sullivana, nawet znając jego tajemnicę.

Zanim odwróciła się, by spojrzeć na Waringa, przystanąła na chwilę. Czuła się jak w Boże Narodzenie tuż przed otwarciem długo oczekiwanego prezentu. Wiedziała, że to co najmniej nierozsądne zachowanie. Sullivan był interesujący, inny niż mężczyźni, których знаła, ale nie nadawał się na obiekt romantycznych westchnień. To nie był kandydat do ręki dla panny z dobrego domu. Uznała zatem, że w tej sytuacji myśl o pocałowaniu go nie będzie niczym niestosownym.

- Widzisz? - emocjonował się Douglas. - Tylko spójrz, Tibby!

Popatrzyła na Zephyr, która zataczała szerokie kręgi wokół stojącego pośrodku Sullivana. Klacz miała uniesioną głowę, uszy skierowane w stronę hodowcy. Na jej grzbiecie znajdowało się siodło kupione niedawno przez

Phillipa dla Isabel. Miała też założone ogłowie, do którego przypięta była lonża.

- Fascynujące - rzucił sucho Oliver. - Osiodłany koń pod wierzch.

Isabel poczuła zimny dreszcz przebiegający jej po plecach. Skoro klacz dała sobie założyć uprząż, już niedługo będzie gotowa, by na niej jeździć.

- I co ty na to, Tibby?

Otrząsnęła się wewnętrznie, przenosząc wzrok z uradowanej twarzy Douglasa na nieodgadnione oblicze Sullivana.

- Wspaniale - powiedziała głośno. - Co za niezwykły postęp.

- Zephyr jest bardzo pojętna - odpowiedział Waring, zatrzymując klacz. Isabel zauważyła, że nawet nie spojrzał na Tildena.

- W takim razie zakładam, że niedługo skończysz ją szkolić - Oliver mówił spokojnie, ale wyczuła w jego głosie agresję.

- Lady Isabel, musisz się teraz zdecydować - Sullivan całkowicie go zignorował - czy chcesz od razu uczyć się jazdy na Zephyr, czy też wcześniej poćwiczysz na spokojnej, starszej klaczy.

Znów zrobiło jej się zimno. Dlaczego nie kazała mu ujeżdżać konia dla Douglasa, tylko powiedziała, że chce mieć własnego? Teraz musi się nauczyć na nim jeździć. Zorientowała się, że mężczyźni patrzą na nią wyczekująco. Skinęła głową.

- Zastanowię się - odpowiedziała.

- Mam starą klacz, która będzie się nadawała - kontynuował Sullivan. - Mogę ją jutro przyprowadzić. Zobaczymy, pani, czy przypadniecie sobie do gustu.

- Z koniem? - prychnął Oliver. - Może potem wypiją razem popołudniową herbatkę?

- Oliverze! - spojrzała na niego groźnie i zwróciła się do hodowcy:

- To dobry pomysł, panie Waring.

Tilden ujął jej dłoń.

- Chodź, Isabel. Pojedziemy na spacer do Hyde Parku. To zbyt ładny dzień, by spędzić go, stojąc w błocie.

Sullivan rzucił Oliverowi krótkie spojrzenie. Potem skierował wzrok na Isabel i uśmiechnął się.

- Życzę miłego dnia, lady Isabel. Do zobaczenia jutro.

Wracając do domu, z wrażenia nie mogła oddychać. To nie miało sensu. Była w towarzystwie przystojnego, miłego młodego człowieka, czekała ją przyjemna wycieczka, a mogła myśleć tylko o czekających ją jutro dwóch kwadransach z Sullivanem Waringiem.

Rozdział 11

Sullivan spojrział na prawie pustą ulicę. O tej porze nocy jedynie najwytrwalsi bywalcy przyjęć przemykali się między domami w Mayfair. Minał go powóz z herbem na drzwiach. Markiz St. Aubyn wyjątkowo wcześniej wracał do domu. Zdarzało się, że Waring widywał arystokratę w wieczorowym stroju przemierzającego ulicę bladym świtem. Przez chwilę przyglądał się odjeżdżającemu pojazdowi, a potem - upewniwszy się, że ulica jest pusta - skręcił za szpaler wiązów rosnących wzdłuż północnej ściany rezydencji księcia Levonzy. Zawiązał na twarzy czarną maseczkę i zaczął kolejno sprawdzać okna na parterze domu. Żadnego nie udało mu się otworzyć. Księżę zawsze był ostrożny i tego samego wymagał od swojej służby.

Waring zaklął cicho i przemknął ku południowej ścianie domu. Drewniane kraty, po których pięły się róże, wyglądały dość solidnie. Wciągnął grube skórzane rękawice i zaczął się wspinać. Po drodze zaczepił o kolce i urwał kilka białych kwiatów, których płatki, spadając na ziemię, wypełniły powietrze słodkim zapachem.

Na pewno byłoby łatwiej, gdyby księżę wyjechał, ale i tak obecność licznej służby utrudniała Sullivanowi działanie. Przynajmniej udało się przekonać Bramę, by mu nie towarzyszył, choć lista przedmiotów do zabrania, jaką od niego dostał, była doprawdy imponująca. Jakby wybierał się na zakupy, a nie złodziejską eskapadę.

W połowie drogi wyprostował się i sięgnął w bok, ku jednemu z okien. Udało mu się przesunąć skrzydło o kilka centymetrów. Za drugim razem poszerzył szczelinę na tyle, że mógł się już przez nią prześliznąć. Chwycił za parapet i odbił się od pergoli. Przez chwilę wisiał na rękach. Ostry ból w

lewym ramieniu przypomniał mu o dwóch postrzałach, które dostał w zeszłym roku. Zacisnął zęby i podciągnął się, a potem wsunął przez okno. To była droga w jedną stronę. Z obrazem pod pachą będzie musiał znaleźć inne wyjście, najlepiej na parterze. Rozejrzał się. Był w pokoju bilardowym. Starał się przypomnieć sobie plan domu, w który zaopatrzył go Bram. Szkoda, że nie mógł włamać się wcześniej, zaraz po wizycie przyjaciela u ojca. Wtedy na pewno lepiej pamiętałby rozmieszczenie pokoi. Z drugiej strony nie chciał jednak, by jego druh znalazł się w kręgu podejrzanych.

Drzwi na korytarz stały otworem. Z tego, co zauważył, w rezydencji nie paliły się żadne światła. Poczł dreszcz podniecenia, podobny do tego, który towarzyszył mu na froncie przed każdą walką. Ze zdziwieniem uzmysłowił sobie, że zaczyna ogarniać go gniew. Nie na mieszkańców domu, do którego się włamał, ale na Dunstona. Markizowi było mało, że nie uznał Sullivana za swojego syna, postanowił jeszcze odebrać mu należne i jakże cenne dla niego dziedzictwo - kilkanaście obrazów namalowanych przez matkę. Nie było mowy, by odzyskał je w legalny sposób. Gdyby spróbował pozwać któregoś z obdarowanych arystokratów, Dunston znalazłby sposób na ukreślenie głowy całej sprawie. Bez trudu przekonałby sąd, że Sullivan Waring jest kłamcą i obrazy mu się nie należą. Do diabła ze wszystkimi wysoko urodzonymi! Nie potrzebuje ich!

To znaczy... Z jednym wyjątkiem. Nie potrafił zmusić się, by odczuwać niechęć do Isabel czy jej rodziny. Co więcej, zaczynał darzyć ich sympatią. Na to nie był przygotowany. Za kilka godzin znów znajdzie się w domu, a raczej stajni należącej do rodziców dziewczyny. Chociaż ona i jej młodszy brat poznali jego drugą twarz, nie wydawali się skłonni donieść na niego władzom. Być może rozumieli pobudki, jakimi się kierował, choć niekoniecznie je aprobowali. Szczerze mówiąc, dla wszystkich byłoby

najlepiej, gdyby znikł na kilka miesięcy. Zwłaszcza że koło Isabel kręci się Oliver Sullivan. Co, u diabła, ona widzi w tym pewnym siebie głupku? Bogactwo, władzę, urodę? Sullivana Waringa też wychowano na dżentelmena, choć nigdy nie miał szansy nim zostać.

Gdzieś w głębi domu zaczął bić zegar. Mężczyzna potrząsnął głową, odsuwając od siebie natrętne myśli. Nie powinien się teraz rozpraszać. Ma misję do wykonania.

Połowa przedmiotów, których kradzież zlecił mu Bram, znajduje się w pokoju bilardowym. Sullivan podszedł do kolekcji broni zawieszanej na jednej ze ścian. Bez trudu znalazł dwa srebrne pistolety pojedynkowe wiszące jeden nad drugim. Zdjęcie ich i ukrycie w przepastnych kieszeniach kurtki zajęło mu minutę. Kolejne kilka sekund i książkę nie miał już swoich cygar. Na pocieszenie zostanie mu mahoniowa kasetka. Jeśli Bram chce dostać kilka sztuk, musi na nie zapracować i znaleźć ostatnie trzy obrazy Franceski W. Perris.

Skończywszy z pokojem bilardowym, cicho zszedł szerokimi schodami na parter. Na słupach podtrzymujących dół balustrady zauważył dwa kamienne gryfy strzegące wejścia. Uśmiechnął się - jak widać nie na wiele się zdały. Pstryknął jednego w nos.

Gabinet księcia znajdował się dokładnie tam, gdzie mówił Bram. Sullivan zatrzymał się na chwilę pod drzwiami, a potem bezszelestnie wśliznął się do środka. Od razu zauważył obraz oświetlony słabym blaskiem księżycy.

- Mam cię! - szepnął.

Malowidło było zbyt duże, by schować je pod płaszczem, ale Sullivan miał ze sobą koc, którym ostrożnie owinał dzieło. Zabrał jeszcze srebrny kałamarz stojący na biurku. A potem rozejrzał się w poszukiwaniu

birmańskiego bożka płodności, o którym wspomniał Bram. Bez trudu poznał go po trzydziestocentymetrowym przyrodzeniu. Sama figurka była mniej więcej o połowę mniejsza, ale wydawała się piekielnie ciężka. Nie było mowy, by zdołał ją wynieść. Mając nadzieję, że nie przyniesie mu to pecha, chwycił wyprężoną męskość bożka i odłamał tuż przy nasadzie. Schował niezwykle trofeum do kieszeni.

- Wybacz, przyjacielu - mruknął. - Uznaj to za przysługę.

Chwycił obraz pod pachę i wyszedł na korytarz. Frontowe drzwi były dokładnie zamknięte. Gdyby Levonzy lepiej zadbał o zabezpieczenie okien na piętrze, jego dom zmieniłby się w niedostępną twierdzę.

Okna w saloniku także były szczelnie zamknięte, ale na szczęście, by je otworzyć, nie był potrzebny specjalny klucz. Sullivan oparł obraz o ścianę i podszedł do okien wychodzących na ogród. Kolejno próbował je podnieść. Nic. Zaklął i przyjrzał się uważnie framugom. Były sklezione grubą warstwą niedbale nałożonej farby. Sullivan wiele słyszał od Brama o starym księciu i nie darzył go sympatią, ale teraz zaczął go szczerze nienawidzić.

Z pochwy przy bucie wyjął nóż i przejechał ostrzem wzdłuż framugi, a potem włożył je w powstałą szczelinę i podważył. Okno przesunęło się z piskiem. Niedobrze! Waring nie lubił zbyt długo przebywać w obcym domu, kiedy już udało mu się odzyskać swoją własność. Nie wszyscy mieszkańcy byli równie uroczy jak lady Isabel Chalsey.

Starając się zachowywać jak najciszej, zaczął pospiesznie przepychać obraz przez wąską szczelinę. Kiedy skończył, znów wziął nóż i wziął się do pracy. Za każdym pchnięciem skrzydło unosiło się o centymetr. Levonzy powinien zatrudnić dobrego cieślę i kazać mu zreperować okna. Miał tyle pieniędzy co mityczny Krezus, a nie stać go było na porządnych rzemieślników.

Silny błysk rozświetlił pokój i rozległ się głośny huk. Sullivan instynktownie się pochylił. Kula przeleciała tuż obok jego ucha i rozbiła jedną z szyb.

- Przeklęty złodzieju! - ryknął książę Levonzy - Będziesz wisiał!

Słyszając dźwięk odwodzonego kurka drugiego pistoletu, Waring zrobił jedyną rzecz, jaką mógł: skoczył, ramieniem uderzając w szybę. Szkło rozprysło się wokół, a on sam wylądował na klombie stokrotek. Podnosząc się, sięgnął po zawinięty w koc obraz. W tym momencie książę dobiegł do okna i oddał kolejny strzał. Sullivan był przy narożniku domu, kiedy pień drzewa tuż za nim eksplodował deszczem drzazg. Poczował ostry ból w udzie. Zatoczył się, ale nie upuścił obrazu. Zagryzając z bólu zęby, pobiegł przed siebie.

- Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej? - spytała Isabel pokojówkę, odrzucając kołdrę i siadając na łóżku.

Penny wyszła z garderoby z niebieską muślinową sukienką.

- Proszę o wybaczenie, ale nie wiedziałam, że panienka chce wcześniej wstać mimo późnego powrotu do domu.

- Nieważne - rzuciła Isabel, zdejmując nocną koszulę i pośpiesznie wkładając sukienkę. - Nie chcę, żeby pan Waring narzekał, że każę mu być punktualnym, a sama spóźniam się na lekcję.

Pokojówka dziwnie na nią popatrzyła.

- Co się stało? - zapytała dziewczyna.

- Nic, panienko.

- Znam to spojrzenie.

- No dobrze, panienko - westchnęła Penny, biorąc do ręki szczotkę, by rozczesać potargane włosy Isabel. - Powiedziała panienka, że nie chce, by

pan Waring narzekał, ale przecież on pracuje dla panienki, więc nie wyobrażam sobie, jak mógłby powiedzieć cokolwiek nieprzyjemnego...

- Masz rację. To była przerośnia. Kazałam mu być o dziesiątej, dlatego nie wypada mi się spóźnić.

Oczywiście, doskonale wiedziała, że Sullivan będzie narzekać, a ona nie pozostanie mu dłużna. Nie mogła się tego doczekać.

Kiedy skończyła się ubierać, zbiegła na dół, gdzie zastała Aldersa w połowie drogi między holem a drzwiami do jadalni.

- Gdyby ktoś o mnie pytał - powiedziała - jestem przy stajni z Zephyr i panem Waringiem.

- Pan Waring jeszcze się nie pojawił - odrzekł kamerdyner.

- Jak to? Już kwadrans po dziesiątej!

- Zgadza się, panienko. Czy mam podać śniadanie? Zawiadomię panienkę, jak tylko przyjedzie.

- Bardzo proszę.

Kiedy wchodziła do jadalni, do Aldersa podszedł jeden z lokajów i zaczął mu coś szeptać na ucho. Dobiegło ją słowo „włamanie”. Poczowała, jak jej serce zaczyna bić szybciej. Obróciła się i podeszła do obu mężczyzn.

- O czym rozmawialiście?

Kamerdyner dał znak lokajowi, by odszedł.

- Proszę nie zwracać na to uwagi, panienko. To tylko plotki.

- O czym? - naciskała. - Nalegam, żebyś mi powiedział.

Kamerdyner otworzył przed nią drzwi do jadalni i odsunął krzesło.

- Stevens usłyszał od naszego kucharza, który usłyszał od mleczarza, a ten od kucharza księcia Levonzy, że dziś rano ktoś włamał się do domu jego wysokości. Najpewniej Rabuś z Mayfair.

Serce Isabel waliło jak oszalałe.

- To straszne! - wyszeptała. Jednak to zrobił! Ostrzegała go, ale nie posłuchał!

- Wiadomo, co zginęło?

- Nie wiem, czy te wieści są prawdziwe, ale...

- Rozumiem. Co usłyszałeś?

- Złodziej zniszczył kilka przedmiotów, ukradł srebra, obraz i cygara. Książę oddał kilka strzałów do łajdaka i mam nadzieję, że trafił. Pewnie znajdują go martwego na ulicy. Jego miłość jest świetnym strzelcem.

O tym wiedziała od dawna. Trzęsąc się, wstała z krzesła tak gwałtownie, że prawie je przewróciła.

- Zapomniałam, że byłam umówiona z Barbarą. Czy Douglas już wstał?

- Chyba nie, panienko.

- Sprawdź. Obiecał mi towarzyszyć.

- Już idę.

Alders wyszedł, a Isabel zaczęła niespokojnie krażyć między oknem a drzwiami. Z jadalni nie była w stanie dostrzec tego, co działo się w stajni. Wyszła i korytarzem ruszyła w stronę saloniku. Jeśli książę zastrzelił Sullivana? Jeśli...

Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech. Waring był złodziejem. Przecież zaskoczyła go na kradzieży we własnym domu. Tyle razy go ostrzegała! Dlaczego, na Boga, tak bardzo się boi, że coś mogło mu się stać? Naprawdę była przerażona. Przez chwilę walczyła z chęcią, by pobiec do stajni i zażądać wierzchowca. Szybko odrzuciła tę myśl. Nawet gdyby nie bała się koni i potrafiła jeździć, nie miała pojęcia, gdzie mieszka Sullivan.

- Co się dzieje? - Douglas wszedł do salonu. Miał rozpiętą kamizelkę i tylko jeden but. Drugi trzymał w ręku.

- Zamknij drzwi! - powiedziała.

Wzruszył ramionami, ale wykonał polecenie. Usiadł na krześle i wciągnął drugi but.

- Prawie do rana grałem w wista z Phillipem.

- W nocy Rabuś z Mayfair włamał się do domu księcia Levonzy - wyrzuciła z siebie. - Książę oddał kilka strzałów. Jest już po dziesiątej, a Sullivan jeszcze nie przyjechał.

Douglas gwałtownie się wyprostował.

- Niech to piekło pochłonie! Levonzy jest świetnym strzelcem!

- Wiem. Musisz mnie zabrać do Sullivana.

- Słucham?!

- Kto inny mu pomoże, jeśli jest ranny? - podeszła do niego i chwyciła za rękę, zmuszając, by wstał. - Nie wiem, gdzie mieszka.

- Mogę pojechać sam. Tobie nie wypada...

- Nie mów, co mi wypada, a co nie, Douglasie Raymondzie Chalsey! - syknęła. - Każ przygotować powóz.

Westchnął zirytowany.

- Wpędzisz nas w kłopoty, Tibby. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Jestem tego świadoma bardziej niż myślisz.

Lepiej kierować się rozumem niż wpadać w panikę, szczególnie jeśli nie można zidentyfikować powodów zdenerwowania. Gdyby od początku postępowała logicznie, powinna zawiadomić władze i doprowadzić do aresztowania Waringa. Nie zrobiła tego. Co więcej, była przerażona, że Levonzy mógł zastrzelić hodowcę. Tu nie chodziło już o tajemnice i sekrety, ale o coś zupełnie innego. Coś, czego nie potrafiła lub bała się nazwać.

- Dziękuję, że mi pomagasz - powiedziała do brata.

- Na to jeszcze za wcześnie. I nie zwracaj się więcej do mnie pełnym imieniem. Spotkamy się za pięć minut przed domem.

Wybiegł z pokoju. Słyszała, jak woła Aldersa i prosi o kawę. Sama znów rozpoczęła bezsensowną wędrówkę po salonie. Była gotowa do wyjścia, pozostało jej więc tylko czekać. Im dłużej to trwało, tym bardziej była zdenerwowana.

Gdyby coś się stało Waringowi, wszyscy mówiliby, że na to zasłużył. Przecież włamywał się do cudzych domów. Był nieuchwytnym Rabusiem z Mayfair. Znała jego tajemnicę i była gotowa jej dotrzymać, ale sprawy zaszły za daleko. Co ma robić? Martwiła się o niego, wmawiając sobie, że to normalna troska o innego człowieka. Cóż by innego?

Wyjrzała przez okno i zobaczyła stajennych zaprzęgających parę koni do kariolki. Chwyliła szal

I wybiegła z pokoju.

- Panienko, co mam powiedzieć jaśnie państwu, gdy pytają, kiedy panienka i panicz Douglas wrócą? - usłyszała za sobą głos Aldersa.

- Nie jestem pewna, ale to nie zajmie nam dużo czasu.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z domu. Phipps podał jej rękę, pomagając wsiąść do powozu. Douglas wskoczył z drugiej strony i wziął wodze.

- Wierzchem pewnie byłoby szybciej - odezwała się po chwili.

- To nie wchodzi w rachubę - odparł Douglas, manewrując kariolką między licznymi o tej porze dnia powozami. - Poza tym nie zamierzałem wstać wcześniej niż za dwie, trzy godziny.

- Akurat! Znając twoje zamiłowanie do koni, pewnie tylko czekałeś na pojawienie się Waringa.

- Pozostawiam to tobie - rzucił jej przelotne spojrzenie. - Powinnaś przestać.

- Co? Martwić się, że ktoś, kogo znam, może być ranny?

- Nie jest naszym służącym, ale nie pozwól, by zawrócił ci w głowie.

Isabel uderzyła go w ramię.

- Przecież widzisz, że powożę! - zawołał.

- Przyjmij do wiadomości, Douglasie - odezwała się oficjalnym tonem.

- Pan Waring nie zawrócił mi w głowie. Jest hodowcą koni. To, że pocałowaliśmy się kilka razy, nie oznacza...

- Kilka razy? - przerwał jej. - Powiedziałaś, że pocałował cię raz, by móc uciec.

A niech to!

- Nieważne - odrzekła. Na przyszłość musi uważać na to, co mówi. - Jest dla mnie... jak przyjaciel. Ty się o niego nie martwisz?

- Może. Trochę. Kazałem mu zaprzestać kradzieży, zanim wplącze nas wszystkich w poważne kłopoty.

- Naprawdę?

- Tak. I nie musiałaś mnie bić.

- Masz tak grubo wypchane ramiona żakietu, że pewnie nawet tego nie poczułeś.

Wyprostował się.

- Taka moda. Poza tym założę się, że żakiet Tildena jest jeszcze grubiej wypchany.

Nie miała pojęcia, czy tak jest naprawdę, ale była pewna, że Sullivan tego nie potrzebuje.

- Daleko jeszcze? Gdzie on w ogóle mieszka?

- Ma olbrzymią stadninę i przynajmniej trzy akry ziemi. Jeszcze około mili.

Codziennie przejeżdżał trzy mile, by trenować Zephyr! To dawało do myślenia. Oczywiście, zapłaciła mu za ujeżdżenie konia i szantażowała go, ale zdążyła się już domyślić, że ma do czynienia z człowiekiem, który robi to, na co ma ochotę. Gdyby nie chciał przyjeżdżać do Chalsey House, po prostu by się tam nie pojawił.

Naprawdę miała szczerą nadzieję, że nic złego mu się nie stało.

RS

Rozdział 12

Sullivan jęknął, wciągając buty. Bandaż, który miał na udzie, na szczęście się nie zsunął, ale z jazdą konną będzie miał dziś problemy. Najpierw będzie musiał usprawiedliwić spóźnienie przed lady Isabel. Z bliżej nieznanym sobie powodów chciał to zrobić osobiście, dlatego do tej pory nie wysłał umyślnego z wiadomością do Chalsey House.

Kto by pomyślał! Czekają go wymówki, ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Bardziej liczyło się to, że niedługo ją zobaczy. Zdenerwowała się, gdy zasugerował, by, zanim dosiądzie Zephyr, spróbowała pojeździć na spokojnym, starszym koniu. Jej niechęć była w pełni zrozumiała. Lepiej niech zacznie naukę od przejażdżek na bardziej doświadczonym zwierzęciu. Gdyby wszystko zależało tylko od niego, Zephyr wciąż ćwiczyłaby chodzenie na lonży. Już nawet młodszy brat Isabel zauważył, że klacz trochę zbyt wolno robi postępy. Sullivan wolał słowo „metodycznie” - zresztą w ten właśnie sposób wyjaśnił swoje postępowanie Douglasowi. Oczywiście nie mógł się przyznać, że świadomie wydłuża czas treningu, byle dłużej przyjeżdżać do Chalsey House. To mogłoby mieć fatalne skutki dla reputacji Isabel.

Ostrożnie zszedł po schodach, by sprawdzić, czy zagotowała się woda w imbryku, który powiesił nad paleniskiem. Nie był przyzwyczajony, by wstawać tak późno, miał jednak nadzieję, że filiżanka mocnej kawy, jeśli nie złagodzi bólu, to przynajmniej podziała odświeżająco. Gospodyni, pani Howard, mogła pojawić się w każdej chwili, a nie chciał, by widziała go w takim stanie.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

- To ja, Halliwell! - rozległ się przytłumiony głos.

- Wejdz! - zawołał. Wlewając wodę do filiżanki, prawie oparzył się w palec. Może jednak powinien poczekać na gospodynię?

- Ma pan klienta. Pyta, czy może porozmawiać z panem w domu.

Niech to diabli! Już jest spóźniony prawie o godzinę! Nie oznacza to jednak, że może sobie pozwolić na zlekceważenie potencjalnego nabywcy.

- Poproś go, Halliwell. Upewnij się, że Achilles jest gotów do drogi i kaź założyć Molly damskie siodło.

Stara klacz była najspokojniejszym i najbardziej cierpliwym z jego zwierząt, idealną towarzyszką dla nerwowych i chorych koni. Miał nadzieję, że z jej pomocą uda mu się przełamać lęk Isabel przed jazdą.

- Tak jest, proszę pana - Halliwell zrobił krok do tyłu i przepuścił czekającego na zewnątrz mężczyznę.

Mimo odniesionej w nocy rany Sullivanowi poprawił się humor. Potencjalni kupcy powinni być wdzięczni pannie Isabel Chalsey za bardziej przystępne ceny, jakich był teraz gotów żądać za swoje konie. Oczywiście, nikt z nich nie będzie miał o niczym pojęcia. Odwrócił się.

- Witam milordzie... - jego twarz steżała w grymasie. - Wynoś się z mojego domu!

George Sullivan, markiz Dunston, zamknął drzwi końcem laski, jakby obawiał się zarażenia jakąś wyjątkowo nieprzyjemną chorobą, gdyby dotknął czegokolwiek w domu człowieka nie ze swojej sfery. Niech się cieszy, że jeszcze nie ma noża w brzuchu.

- Jestem zainteresowany jednym z pańskich wierzchowców do polowania - powiedział, zdejmując kapelusz.

- Niczego ci nie sprzedam i nie mam zamiaru brać udziału w twoich brudnych gierkach. Wynoś się, zanim zarobisz kopniaka!

- Chcę tylko porozmawiać, panie Waring.

- Jesteśmy sami, więc oszczędź sobie tych uprzejmości.

Sullivan był zaskoczony, że tak długo utrzymywał nerwy na wodzy. Cały czas walczył z przemożną chęcią przyłożenia markizowi - jedynemu człowiekowi w Londynie, który nie chciał przyznać, że Waring jest jego synem. Od ich ostatniego spotkania minęło pół roku. Sullivan niechętnie musiał przyznać, że Dunston wygląda jak zwykle bardzo dobrze. Wolałby go widzieć postarzałego, przygniecione go wyrzutami sumienia. Niestety, chyba jeszcze długo nie będzie mu to dane.

Ponieważ markiz nie odpowiedział, Waring zrobił krok w jego kierunku.

- Wynoś się z mojego domu. Trzeci raz już tego nie powtórzę.

- Nie przyszedłem tu na towarzyskie pogaduszki, Waring - padła spokojna odpowiedź.

Sullivan obrzucił go uważnym spojrzeniem. W ciągu ostatnich kilku lat miał okazję przyjrzeć mu się kilka razy, ale było to jeszcze przed jego wyjazdem do Hiszpanii i śmiercią matki. George Sullivan był przystojnym mężczyzną, choć zdążył nieco przytyć, a na jego policzkach i wokół wciąż zaciśniętych ust pojawiły się zmarszczki.

- Masz natychmiast zaprzestać kradzieży - odezwał się w końcu markiz. - Słyszałem, że Levonzy cię postrzelił. Nie ma sensu ryzykować życia dla tego nonsensu.

- Według ciebie to nonsens? - mruknął Sullivan, odwracając się, by zrobić sobie kawy. Dzięki temu nie musiał patrzeć na swojego rozmówcę.

- Tak.

- Ale nie dla mnie. A mówiąc o sumieniu... Twoje jest równie nieczyste jak moje.

Obrócił się, spoglądając na Dunstona. Markiz poblądł z wściekłości.

- Jak śmiesz! Byle bękart nie będzie mnie pouczał...

- Ty mnie nim uczyniłeś! - przerwał mu Sullivan.

- Ale nie kazałem ci kraść. Masz z tym natychmiast skończyć!

- A kto okradł mnie pierwszy, gdy wyjechałem do Hiszpanii walczyć z Francuzami?! Ciekawe, co zamierzasz zrobić, by powstrzymać mnie przed odzyskaniem mojej własności?

Wziął łyk kawy. Była za mocna i za gorąca, ale tego nie zauważył. - Każ mnie aresztować, bardzo proszę! Wykrzyczę ze swojej celi, jak pozbawiłeś mnie wszystkiego i zmusiłeś do popełniania przestępstw, ojciec.

Dunston zacisnął tak mocno pięści na rękojeści laski, że skóra na kłykciach zrobiła się zupełnie biała.

- Posuwasz się za daleko, chłopcze. Twoja matka nadała ci imię, nie pytając mnie o zdanie. Jak gdyby uważała, że należy ci się ode mnie jeszcze więcej.

Sullivan zmrużył oczy. Czuł, że lada chwila straci panowanie nad sobą. Ostatni raz był w takim stanie, kiedy przyjechał do domu Franceski i zobaczył, że jest ogołocoony z obrazów, które markiz rozdał rodzinie i przyjaciołom.

- Matka niczego od ciebie nie oczekiwała. Chciała tylko przypomnieć ci o twojej hipokryzji i braku odpowiedzialności.

- Nie pozwolę ci zniszczyć mojej rodziny tylko dlatego, że ta nieszczęsna kobieta postanowiła nazwać swojego bękartu moim imieniem w nadziei, że wychowam go jak prawowitego syna. Czego się spodziewała? Że dam ci ziemię? Podzielę się majątkiem? To śmieszne!

- Możesz mówić, co chcesz, jeśli ma to uspokoić twoje sumienie, ale wynoś się z tego domu!

- Najpierw daj słowo, że przestaniesz kraść i będziesz trzymał się z daleka od Chalsey House. Twoja obecność tam denerwuje mojego syna.

- Mały Oliver poskarżył się na mnie? - Sullivan uśmiechnął się złośliwie, ciekaw, czy Dunston zdaje sobie sprawę, jak niewiele brakuje, by gorąca kawa znalazła się na jego twarzy. - Zostałem wynajęty przez rodzinę lady Isabel. W przeciwieństwie do niektórych, wywiązuję się z zobowiązań.

- Obiecuj, że nie będziesz obrażał Olivera ani wspominał mojego imienia, rozpowiadając bzdury o naszym rzekomym pokrewieństwie.

Waring spojrział na drzwi, ignorując markiza.

- Jestem pewien, że lord Tilden potrafi sam obronić się przed prostym hodowcą koni - odpowiedział zimno.

Dunston nie kazał mu trzymać się z dala od Isabel, uważając widocznie, że sam pomysł, iż człowiek bez tytułu może być zainteresowany panną z arystokratycznego domu, jest całkowicie absurdalny.

- Mam dość słuchania o tobie za każdym razem, kiedy sprzedasz komuś kolejnego konia. Nie wiem, dlaczego twoja matka nie utopiła cię zaraz po urodzeniu.

- Pewnie dlatego, żebym mógł uprzykrzać ci teraz życie. - Sullivan podszedł do drzwi i otworzył je. - Z chęcią wymierzyłbym ci teraz kopniaka, ale powiem tylko: wynoś się!

- Trzymaj się z dala ode mnie i mojej rodziny, Waring, zanim ktoś rzeczywiście cię zastrzeli. I uprzedzam, nie przyślę kwiatów na pogrzeb.

George Sullivan rzucił synowi ostatnie spojrzenie, z uniesioną głową okręcił się na pięcie i wyszedł.

Sullivan z hukiem zatrzasnął za nim drzwi. W tej samej chwili rozległo się ciche, nieśmiałe pukanie. Zamarł, a potem z rozmachem je otworzył. Na

zewnątrz stała Isabel Chalsey. Jedną dłoń miała przy ustach, drugą przyciskała do serca.

- Dzień dobry, laleczko - mruknął, czując, jak ogarnia go fala gorąca. - Chyba pomyliłaś drogę?

- Słyszałam plotki, że księżę Levonzy postrzelił włamywacza - odpowiedziała bez tchu. Nie był pewien, czy w jej głosie brzmi niepewność czy strach, ale podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła.

- Martwiłaś się o mnie? - Otworzył szerzej drzwi i podszedł do niej.

- Nie przyjechałeś na trening...

Chwycił ją za ramiona, przycisnął do framugi i ustami przylgnął do jej warg. Odkąd się spotkali, robił wszystko, by być w jej pobliżu. Bał się przyznać sam przed sobą, ale pragnął jej wręcz rozpaczliwie.

Chwyciła go za koszulę, przyciągając do siebie i namiętnie oddała pocałunek. Przez chwilę mógł smakować jej język, ale zaraz odepchnęła go od siebie i wyszeptała:

- Nie jesteśmy sami.

Sullivan odsunął się od niej akurat w chwili, gdy Douglas Chalsey pojawił się na ganku.

- Witaj - powiedział do młodzieńca, odwracając się i idąc w stronę saloniku. Nie chciał, żeby chłopiec widział, jak bardzo... hm... pobudzająco działa na niego obecność Isabel.

- A więc żyjesz? - bardziej stwierdził niż spytał Douglas. - Zobaczyliśmy przed twoim domem powóz Dunstona, dlatego podjechaliśmy od tyłu.

Waring skinął głową i nałożył płaszcz. Jak mógł się nie domyślić, że Isabel nie przyjechała sama? Przecież nie potrafi jeździć konno.

- Przepraszam za spóźnienie. To się nie powtórzy.

- Jesteś ranny! - powiedziała dziewczyna.

Sullivan spojrział na rodzeństwo. Brązowe oczy Tibby spoglądały na niego krytycznie. Była w równym stopniu oburzona co zmartwiona.

- To tylko draśnięcie - powiedział beztrąsko, nie wspominając, że „draśnięcie” miało postać piętnastocentymetrowej drzazgi do połowy wbitej w udo. - Zaraz możemy ruszać.

- Douglasie, mógłbyś przyprowadzić powóz pod drzwi? - spytała Isabel, nie spuszczać wzroku z Sullivana.

- Ale...

- Daj nam chwilę - przerwał mu Waring.

- Mogłeś to powiedzieć od razu - mruknął Douglas, oddalając się.

- Często odwiedzasz ludzi, których zatrudniasz, kiedy spóźniają się... - spojrział na zegar stojący na kominku - pięćdziesiąt dwie minuty?

- Ostrzegałam, że powinien pan skończyć tę swoją... nocną działalność, panie Waring.

- A ja powiedziałem, że tego nie zrobię. Sugeruję, byś oddała mnie w ręce władz, ponieważ niedługo znów się gdzieś włamię.

Popatrzyła na niego.

- Rozumiem dlaczego, ale...

- Ty rozumiesz - odpowiedział. - Ty.

- Tak, ja. Słyszałam twoją rozmowę z Dunstonem. W każdym razie część.

Niech to diabli!

- Jak widzę, oprócz szantażowania, do swoich umiejętności możesz zaliczyć podsłuchiwanie. Niedługo zaczniesz włamywać się do domów... Stajesz się coraz bardziej podobna do mnie, moja droga.

Uniosła dumnie brodę.

- Nie zamierzam się nigdzie włamywać - oświadczyła. - Myślałam, że jesteś ranny... Martwiłam się.

Z najwyższym wysiłkiem zachował spokój.

- Co kazało ci sądzić, że to ja włamałem się do domu księcia? Jego syn jest moim najbliższym przyjacielem. Gdybym to zrobił, świadczyłoby to, że jestem zdemoralizowany do szpiku kości.

- Ukradzono obraz - powiedziała cicho. - Czuję, że to ty. Nie rozumiem, dlaczego zaprzeczasz. Wiem wystarczająco dużo, żeby wpędzić cię w poważne kłopoty.

To była prawda. Sullivan powoli skinął głową.

- Książę chybił. Trafił w drzewo. W udo wbiła mi się potężna drzazga.

- Potrzebujesz lekarza?

- Miewałem gorsze rany - przerwał jej. - Nieważne.

Świadomy, że Douglas może pojawić się w każdej chwili, zrobił krok w jej kierunku.

- Doceniam, że przejechałaś taki szmat drogi, by przekonać się, że nie zginąłem.

- Zainwestowałam w ciebie dwadzieścia funtów.

- To jedyny powód?

Isabel rozejrzała się po niewielkim pokoju.

- Dlaczego nie mówisz jak zwykły hodowca koni?

- Ponieważ wychowano mnie na dżentelmena. Prywatni nauczyciele, dobra szkoła, podróż do Europy śladami Napoleona...

- Twoja matka oczekiwała, że lord Dunston w końcu cię uzna?

Faktycznie, nie słyszała całej rozmowy. Gdyby tak bardzo nie chciał jej znów pocałować, na pewno byłby mniej skłonny do udzielenia jej odpowiedzi na to pytanie.

- Od początku postawił sprawę jasno - odrzekł cicho. - Matka uważała, że wykształcenie da mi wolność robienia w życiu tego, co będę chciał. Nie miałem ochoty zostać pastorem, prawnikiem ani buchalterem.

- Nie wyobrażam sobie ciebie za biurkiem - odpowiedziała, uśmiechając się nieśmiało. - Widzę, jak bardzo lubisz to, co robisz. Jesteś w tym naprawdę dobry.

- Dziękuję, ale nie potrzebuję twojej aprobaty. Zmarszczyła brwi.

- Być może dużo wiesz o koniach, ale udało mi się wprawić cię w zakłopotanie.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej kierunku. Mógł jej teraz dotknąć, pocałować ją... Nagle dotarło do niego, co przed chwilą powiedziała.

- Słucham? - spytał z niezbyt mądrą miną.

- Najpierw mnie całujesz, potem obrażasz. Sam nie wiesz, czego chcesz, prawda?

Chwyił ją za ramiona, przyciągając do siebie.

- Doskonale wiem, czego chcę, Isabel. Ciesz się, że dotąd tego nie wzięłem.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Znow nie udało ci się mnie przestraszyć.

- Nawet nie próbuję - wyszeptał. - Jedyne ostrzegam.

- Ponieważ nie jesteś dżentelmenem?

Sullivan potrząsnął głową. Tak bardzo jej pragnął!

- Wcale mi tego nie brakuje.

- Zaczynam myśleć, że właśnie to w tobie lubię.

Stał nieporuszony, kiedy uniosła ręce i zanurzyła palce w jego włosach. Potem przyciągnęła jego twarz ku swojej i delikatnie dotknęła ustami jego warg. Otoczył jej kibić ramionami i unióś dziewczynę tak, że

ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Czuł, jak szaleńczo bije jej serce. To było niebezpieczne. Dla niej i dla niego. Może dlatego jej obecność działała na niego tak odurzająco? Wydawało mu się jednak, że nawet gdyby nie dzieliła ich różnica urodzenia, Isabel zawróciłaby mu w głowie. Była słodka i cyniczna jednocześnie. Silna i bezbronna, bystra i uroczo naiwna.

Do jego uszu dobiegł trzask frontowych drzwi. Gwałtownie postawił dziewczynę na ziemi, aż zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę. Podał jej rękę, akurat gdy na progu salonu pojawił się Douglas.

- Chodźmy, lady Isabel. - Miał nadzieję, że wygląda to jak dżentelmeńska przysługa. - Oczywiście, jeśli nadal ma pani chęć na lekcję.

Wzięła głęboki wdech. Jej policzki zaróżowiły się uroczo.

- Sam pan powiedział, że nie wolno przerwać treningu Zephyr nawet na jeden dzień. Możemy jechać. I zapewniam pana, że nie mam w zwyczaju nachodzić osób, które dla mnie pracują.

- A całować? - spytał szeptem, gdy go mijała.

Isabel chciała przebywać w jego towarzystwie. Nie zamierzał słuchać ostrzeżeń Dunstona, by trzymał się z daleka od Chalsey House i nie wchodził w drogę Oliverowi. Będą musieli go zastrzelić albo zamknąć w więzieniu. Nie ma innego sposobu, by zrezygnował z widywania swojej uczennicy.

Kiedy Douglas podjeżdżał przed Chalsey House, Isabel po raz kolejny spojrzała przez ramię. Kilka metrów za powozem Sullivan jechał na potężnym ogierze, prowadząc za sobą drugiego konia. Właśnie tę gniadą klacz Waring wybrał dla dziewczyny na pierwszą przejażdżkę. Perspektywa spędzenia nawet kilku minut w siodle wywołała u Isabel atak prawie panicznego strachu. Nagle straciła wszelką ochotę na rozmowę z

Sullivanem, nie mówiąc o przebywaniu w jego towarzystwie. Kiedy była wśród przyjaciółek lub na balu, otoczona zalotnikami, sama myśl o pocałowaniu naturalnego syna markiza Dunston wydawała jej się śmieszna. Jednak gdy Sullivan znajdował się w pobliżu, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Jako dziecko pierwsza wskakiwała do jeziora i razem z braćmi wspinała się na drzewa. Robiła wszystko to, czego nie wypada robić panience z dobrego domu, i zawsze dostawała to, czego chciała, obojętne, czy chodziło o stroje czy biżuterię. Może dlatego Waring wydawał się jej tak atrakcyjny, ponieważ wiedziała, że nie jest dla niej? Spojrzała na niego. Właśnie zeskakiwał ze swojego ogiera. Oddał wodze obu koni Phippsowi. Zakazany owoc zawsze kusił. Fascynowała ją aura tajemniczości otaczająca Sullivana. Dzięki podsłuchanej rozmowie z lordem Dunstonem zdołała dopasować do siebie prawie wszystkie elementy układanki, co sprawiło, że hodowca koni wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny. Jest lepiej wykształcony od niejednego z młodzieńców starających się o jej wdzięki, a na pewno więcej zrozumiał z tego, czego się nauczył. Mówi szczerze, co myśli, choć od osób z jego pozycją społeczną nie oczekuje się, by dzieliły się swoimi przemyśleniami. I rozumie lęki Isabel tak dobrze jak jej rodzina. Odwrócił głowę i napotkał jej wzrok. Na jego zmysłowych ustach pojawił się cień uśmiechu. Jej serce zabiło gwałtownie. W tej chwili usłyszała oddalone jeszcze głosy swojego ojca i Phillipa. Natychmiast przywołała na twarz obojętną minę. W końcu ten człowiek pracował dla niej. I zeszłej nocy okradł dom księcia Levonzy. Jednak dopóki pragnie, by ją całował, nie ma wyboru, jak tylko utrzymać wszystko w tajemnicy.

- Tu jesteś! - powiedział lord Chalsey, pomagając jej wysiąść z powozu. - Cokolwiek wymyśliłyście z Barbarą, wolałbym, żebyś następnym razem powiedziała coś więcej, niż tylko „Muszę wyjść”.

- Przepraszam, ojciec - odparła, całując go w policzek.

- Isabel nie była sama - wtrącił Douglas lekko urażonym tonem. - Jestem wystarczająco dorosły, by móc obronić jej cnotę.

- Nawet swojej nie potrafisz upilnować - parsknął Phillip.

- Dzieci, wystarczy! - przerwał im ojciec. - Wracam do swoich rachunków. Zachowujcie się jak należy!

Wicehrabia wrócił do domu, a Phillip podszedł do Sullivana i zaczął rozmawiać z nim o czymś przyciszonym głosem. Po chwili dołączył do nich Douglas.

- Będziesz dziś jeździć, Tibby? - Nieoczekiwanie usłyszała słowa brata. Spoglądał na gniadą klacz.

Poczuła, jak ręce wpadają jej w nerwowy dygot. Nagle zapagnęła napić się wody.

- Jeszcze nie zdecydowałam - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Mogę osiodłać Zephyr, panie Waring? - wmieszał się Douglas z błagalną miną.

- Tak, jeśli będziesz zachowywał się spokojnie.

- Zawsze jestem spokojny.

Phillip zachichotał.

- Teraz naprawdę mnie przeraziłeś. Pospiesz się, bo spóźnimy się do Hoby'ego.

- Zapomniałem! - młodszy brat uderzył się otwartą dłonią w czoło i pobiegnął do stajni. Phillip powoli ruszył za nim.

- Gotowa?

Isabel spojrzała na Sullivana.

- Na co?

- Na pierwszą przejażdżkę.

Zadrżała i schowała dłonie za plecami, by nie zauważył ich nerwowego dygotania. Waring skrzyżował ręce na piersi.

- Siedziałaś kiedyś w siodle?

-Nie.

- W takim razie od tego zaczniemy.

Skierował się w stronę stajni, zmuszając ją, by za nim podążyła.

- Ja tu wydaję rozkazy! - przypomniała mu. Jeszcze mógłby pomyśleć, że pocałunek daje mu prawo do rozkazywania jej.

Zatrzymał się.

- W takim razie, co rozkażesz, pani? Uniosła dumnie brodę.

- Pójdziemy do stajni, żebym mogła nauczyć się siedzieć na koniu.

- Jak sobie życzysz, milady.

Rozdział 13

- A co będzie, jeśli mnie przygniecie? - spytała z powątpiewaniem Isabel, dotykając czubkiem buta przewróconej na bok beczki, na którą Sullivan założył siodło.

- Nie bój się - odpowiedział. Kucnął z przodu w taki sposób, że unieruchomił pojemnik kolanami. - Jesteś bezpieczna.

Spojrzała na ciasno zapięty popręg, ale miała poważne wątpliwości, czy pierwsza próba wspięcia się na beczkę nie zakończy się upadkiem.

- Nie wygląda to mądrze.

- Jest wystarczająco nisko. Poza tym zapewniam, że nie ruszy się z miejsca. To tylko pusta beczka. Nikt nie będzie się z ciebie śmiał.

Wykrzywiła usta.

- Skoro tak mówisz...

Zebrała spódnicę i wspięła się na siodło, zahaczając prawą nogę o kulę.

- Nie jestem odpowiednio ubrana.

- Ale i tak świetnie sobie poradziłaś.

- W końcu to tylko beczka.

Uśmiechnął się, spoglądając na nią z dołu. Nagle zapragnęła go pocałować. Powstrzymało ją tylko to, że Phipps i chłopcy stajenni kręcili się w pobliżu. Jak zwykle, gdy nie mogła czegoś zdobyć, nabrała ochoty na więcej.

- Czujesz się pewnie?

- Zamierzasz zacząć kręcić beczką?

-Nie.

- W takim razie, czuję się dość pewnie.

- To dobrze.

Odwrócił głowę i zawołał do Phippsa:

- Możesz podać mi uzdę?

Z pomocą stajennego ułożył ją sobie na ramionach, a potem podał Isabel wodze.

- Nie są na dobrej wysokości, ale to nic. Weź je do tej ręki, w której będzie ci wygodnie, tylko nie okręcaj ich wokół palców. Końce przytrzymaj drugą dłonią, w razie gdyby ci się wysunęły.

- A mogą?

- Raczej nie powinny, ale nie chcę, żebyś była zaskoczona, gdyby tak się stało.

Skinęła głową i chwyciła wodze w taki sposób, jak powiedział. Widząc, jak kurczowo je ściska, Sullivan mruknął uspokajająco:

- Nie ma się czego bać. To krowia skóra. Na pewno sama nie wyrwie ci się z rąk.

Isabel roześmiała się i poluzowała uścisk. Czowała się w miarę swobodnie, choć doskonale wiedziała, że siedzenie na beczce to nie to samo co jazda na koniu.

Z wielką uwagą i cierpliwością Sullivan pokazał jej jak nakłonić zwierzę do skrętu, zmusić je do posłuszeństwa i utrzymać się w siodle. Wszystko to robił z uzdą ułożoną na ramionach, pokazując jej, jak w każdej sytuacji zachowywałby się prawdziwy wierzchowiec. Nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo, kto zgodziłby się wyglądać śmiesznie, byleby czegokolwiek ją nauczyć.

- Mogę ci zadać pytanie? Sullivan spojrzał na nią.

-I tak to zrobisz, bez względu na to, czy się zgodzę, czy nie.

- Już o to pytałam. Malujesz?

Wzruszył ramionami.

- Kiedyś rysowałem, ale nie robię tego od lat.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie jestem wystarczająco utalentowany, by z tego wyżyć, a nie mogę sobie pozwolić na marnowanie czasu - przez jego twarz przemknął grymas. - Czas, byś spróbowała dosiąść prawdziwego konia lub pozwoliła mi potrenować z Zephyr.

Oparłszy ręce na jego ramionach, zsunęła się z beczki. Jego mięśnie były twarde jak skała. Nie potrzebował wywatowanego żakietu, by imponować szerokimi ramionami. Niechętnie opuściła dłonie.

- Może zrobię to, gdy klacz będzie w stajni.

Wstał, zdejmując z siebie uzdę.

- Nie - odpowiedział. - Jeśli wierzgnie, mogłaby złamać ci nogę i wtedy koniec z tańcami.

Zabrzmiało to prawie tak, jakby chciał ją urazić, ale tym razem nie zamierzała z nim dyskutować. Spojrzała na jego lewą nogę.

- Tu wbiła się drzazga?

Skinął głową.

- Na razie bandaż wytrzymał. A więc ty czy Zephyr, laleczko?

Lubił tak ją nazywać. Zabroniła mu używać zdrobnienia, którym zwracali się do niej członkowie rodziny i przyjaciółki, a on najwyraźniej nie miał ochoty mówić do niej lady Isabel.

- Jak nazywa się ten drugi koń? - spytała lekko drżącym głosem.

- Molly. Ma piętnaście lat i jest świetną towarzyszką dla niespokojnych zwierząt. Bardzo zrównowazona, nie lubi kłusować, nie wspominając o galopie.

- Uważasz, że jestem niespokojna? Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Może trochę zbyt gwałtowna.

Isabel wzięła głęboki wdech. Przez głowę przemknęło jej z tysiąc usprawiedliwień, które w końcu ustąpiły myśli, że jeśli dzisiaj nie wsiądzie na konia, jej ojciec każe Sullivanowi zabrać Zephyr i więcej nie zobaczy przystojnego hodowcy. Tu już nie chodziło o to, że chciała mieć go na oku. Po prostu... lubiła przebywać w jego towarzystwie.

- Będziesz trzymał Molly?

- Masz moje słowo.

- W takim razie dosiędę jej.

Tego się nie spodziewał. Isabel Chalsey okazała się odważniejsza, niż przypuszczał. Kiedy pobiegła do domu przebrać się w amazonkę, odwiesił siodło treningowe na kołku i przy okazji odpowiedział na kilkanaście pytań zadanych przez podekscytowanych stajennych, a dotyczących karmienia i pielęgnacji koni. Nawet rozmawiając, a potem oprowadzając Molly wokół stajni, by przyzwyczaiła się do nieznanego jej miejsca, nieustannie rozmyślał o Isabel. Wciąż mu rozkazywała, ale zauważył, że często robi to dla zabawy lub by przypomnieć mu, że go zatrudniła, a nie dlatego, że się go boi. Jakby starała się odwrócić jego uwagę... Ciekawe od czego? Może od tego, że zaczyna go lubić? Gdyby była znudzoną życiem bogatą mężatką, bez trudu zwabiłby ją do łóża, a potem poszedł swoją drogą. Zdarzało mu się postępować w ten sposób z kobietami z wyższych sfer. Traktował to jako rodzaj zemsty. Niektóre damy były urocze i zabawne i nie czuł do nich nienawiści, ale stawiał sprawę jasno. Krótki romans i nic więcej.

Isabel Chalsey to co innego. Gdyby była córką pastora lub najmłodszą latoroślą jakiegoś barona, ich mariaż nie spotkałby się z powszechną aproba-

ta, ale nie byłby niemożliwy. Potrząsnął głową. Mariaż? Co też przychodzi mu do głowy?! Kilka słodkich pocałunków, parę rozmów i wymownych spojrzeń. Mógł sobie wyobrażać, co chciał, ale z jej urodzeniem była dla niego nieosiągalna.

Właśnie wyszła z domu. Na jej widok stanęło mu serce. Nie wiedział, że kupiła sobie strój do jazdy konnej. Teraz miała go na sobie i wyglądała... oszałamiająco. Zielona amazonka z czarnymi dodatkami podkreślała jej kobiecą figurę. Spod szerokiej spódnicy błyskały czubki czarnych skórzanych butów. By się opanować, Sullivan zaczął gorączkowo myśleć o sprzątanii stajni, ale nie na wiele się to zdało.

Tymczasem dziewczyna podeszła do niego i powiedziała, nerwowo spoglądając na Molly:

- Miejmy to już za sobą, zanim się rozmyślę.

To nie była pora na towarzyskie pogawędki ani wpatrywanie się w nią z cielecym zachwytem, tym bardziej że w oknie salonu zauważył jej rodziców. Wyglądali na przynajmniej tak samo zdenerwowanych jak Isabel, co było najzupełniej zrozumiałe.

- Najgorsza rzecz, jaka może ci się zdarzyć, to upadek w błoto - powiedział, prowadząc klacz w kierunku kamiennego postumentu służącego do wsiadania na konia.

- Nie wiem, czy chcę tego słuchać, panie Waring.

- Rozumiem, ale pamiętaj, że jedyna nieprzyjemność, jaka może cię spotkać, to ubłocona suknia. Zresztą postaram się, by do tego nie doszło.

- Jest pan bardzo pewny siebie - posłała mu wymuszony uśmiech. - Mam nadzieję, że się pan nie myli.

- Na pewno nie.

Wyciągnął w jej kierunku prawą rękę, lewą przytrzymując siodło Molly. Po krótkiej chwili wahania Isabel wspięła się na blok i z pomocą Sullivana dosiadła konia. Jej blada twarz zbieleła jeszcze bardziej, ale dziewczyna pozostała w siodle. Po tym jak kurczowo trzymała wodze, widział, jak bardzo jest przerażona. Uszy klaczy poruszyły się nerwowo.

- Powiedz coś do niej - polecił Sullivan. - Boi się, że jej nie polubiłaś.

- Ona się boi? - Isabel zadrżała ze strachu, ale posłusznie powiedziała:

- Spokojnie, Molly! Jesteś dobrym konikiem.

Sullivan był pod coraz większym wrażeniem. Doskonale rozumiał, przez co przechodzi teraz Isabel, i podziwiał ją, że tak dzielnie się trzyma.

- Bardzo dobrze - rzekł miękko. - Rób wszystko tak, jak cię uczyłem, a ja poprowadzę Molly wokół dziedzińca.

Sztywno skinęła głową. Wątpił, czy cokolwiek byłoby w tej chwili w stanie wyrwać jej wodze z ręki, ale nie powiedział ani słowa. Poprosił Boga, żeby wszystko poszło jak trzeba i pozwolił klaczy wyjść na środek podwórka. Był zadowolony z wyboru konia. Molly prawdopodobnie potraktowała Isabel jak kolejnego niedoświadczonego żrebaka.

- Jak się czujesz? - zapytał głośno.

- Dobrze - odpowiedziała dziewczyna lekko zduszonym głosem. - Trochę buja.

Uśmiechnął się.

- Powinnaś przejechać się na wielbłądzie. To dopiero jest nieprzyjemne.

- Jeździłeś na wielbłądzie?

- W Hiszpanii. Ciekawe zwierzęta. Potrafią bardzo celnie pluć. O szczegóły możesz zapytać Brama Johnsa.

Kątem oka zauważył, że wyciągnęła rękę i delikatnie poklepała Molly po grzbiecie. Udał, że tego nie zauważył, ale miał ochotę krzyknąć z radości. Bez względu na to, w jakie tarapaty go wpędziła, ostatnie tygodnie były tego warte.

Lord Darshear razem z żoną wyszedł przed kuchenne drzwi.

- Wspaniale, Tibby! - zawołał, uśmiechając się.

Markiza zaklaskała.

- Wyglądasz jak prawdziwa amazonka, kochanie!

Sullivan nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Spóźnił się do Chalsey House, przedłużył lekcję i na pewno spóźni się na spotkanie z lordem Masseyem, ale co tam!

Po trzykrotnym okrążeniu dziedzińca zauważył, że Isabel nieco się rozluźniła. Siedziała teraz wyprostowana i nie ścisnęła wodzy tak kurczowo.

- Chcesz sama poprowadzić ją do bloku? - zapytał.

- Jak daleko odejdziesz?

- Będę tuż przy was.

Isabel poprawiła chwyt wodzy.

- Dobrze, ale nie odchodź.

- Możesz być pewna.

Puścił uzdę Molly, stając tak, by w każdej chwili móc chwycić dziewczynę, gdyby zaczęła zsuwać się z siodła. Cmoknęła, lekko ciągnąc wodze w prawo. Molly posłusznie zmieniła kierunek.

Kiedy dotarli do kamiennego bloku, odebrał wodze od dziewczyny i przywiązał konia, a potem wyciągnął rękę. Isabel prawie w nie sfrunęła, z całej siły przytulając się do niego.

- Udało się! - zawołała - Dziękuję! Dziękuję!

Przez jedno uderzenie serca trzymał ją w ramionach, a potem postawił na ziemi.

- Ja tylko dostarczyłem konia. Gratulacje, lalczko.

Kiedy Isabel biegła do rodziców, kątem oka zauważył jakiś ruch. Pod dom podjeżdżał powóz. Siedzący w nim Oliver miał minę, jakby rozgryzł wyjątkowo gorzki owoc. Sullivan pozwolił sobie na chwilę cichego triumfu, zanim przeniósł wzrok na towarzyszące młodzieńcowi osoby. Jedną z nich była przyjaciółka Isabel, lady Barbara, drugą jakaś nieznana mu panna. Dziewczęta zaczęły szeptać do siebie, a potem spojrzały na niego. Poczuł, że robi mu się zimno.

Czy widziały, jak przytulił Isabel? Był pewien, że tak. Oliver na pewno nie zrobi skandalu, ale nie był pewien, czy dziewczęta potrafią być równie lojalne.

- Lady Isabel! - zawołał. - Czy mam odprowadzić Molly i zacząć trening z Zephyr?

Odwróciła się i spojrzała na niego zaskoczona. Wcześniej nigdy nie pytał jej o pozwolenie. Potem jej wzrok powędrował w kierunku, który wskazywały jego oczy.

W jednej chwili zrozumiała wszystko.

- Tak, bardzo proszę - odpowiedziała, odchodząc od rodziców, by powitać przyjaciół.

- To twoja nowa klacz? - spytała Eloise Rampling. - Wygląda na wiekową.

- Dotąd mało jeździłam konno - odpowiedziała Isabel obronnym tonem. - Chciałam poćwiczyć, zanim wsiądę na świeżo ujeżdżonego wierzchowca.

- Pan Waring nie ujeżdża zwierząt - wtrąciła Barbara z wymuszonym uśmiechem. - On je oswaja.

- Nie tylko je - zauważyła Eloise.

Isabel zmusiła się do uśmiechu.

- Wejdźcie do środka, a ja pójdę się przebrać. Zaczekasz, Oliverze? Tilden skinął głową.

- Oczywiście, jeśli wciąż masz chęć na zakupy.

- Nigdy nie omijam okazji do odwiedzenia sklepów.

- Ja też nie - dodała Barbara. - Pięknie wyglądałaś w siodle, Tibby.

Posłała przyjaciółce uśmiech wdzięczności.

- Wejdźcie! Kucharz upiekł dziś pyszne ciasteczka.

Robił to każdego ranka, ale każdy sposób był dobry, by odwrócić uwagę gości od tego, co widzieli, podjeżdżając pod dom. Im prędzej zapomną, tym lepiej.

Z drugiej strony, przecież po prostu dziękowała temu człowiekowi za to, że pomógł jej w czymś bardzo ważnym. Mimo to wciąż miała wrażenie, że zrobiła coś złego. Rzuciła krótkie spojrzenie w stronę Sullivana i zauważyła, że odwraca od niej wzrok. Tu już nie chodziło o powstrzymanie włamywacza przed kolejnymi kradzieżami. Po raz kolejny uzmysłowiła sobie, że dzieje się coś znacznie poważniejszego.

Rozdział 14

Sullivan ciężko opadł na fotel i jęknął z bólu. Piekielna rana poważnie dawała mu się we znaki. Kiedy pani Howard uprzątnęła naczynia po kolacji, natychmiast odesłał ją do domu, by móc cierpieć w samotności. Miał w kieszeni płaszcz piersiówkę z brandy, ale brakowało mu sił, by wstać i ją przynieść. Ogień płonący w kominku sprawił, że mały pokój wydawał się przytulny i radosny. Za to jego właściciel był w wyjątkowo ponurym nastroju.

Trzasnęły frontowe drzwi.

- Przyniosłem ci dwa obole dla Charona - rozległ się głos Brama i po chwili przyjaciel wszedł do pokoju. - Podobno jesteś martwy i szykujesz się do przepłynięcia Styksu.

- Dlaczego nikt nigdy nie puka? - spytał Sullivan. - Jakbym był otoczony przez włamywaczy.

- I kto to mówi! Masz brandy?

- W kredensie w kuchni. Mnie także nalej.

- Jak na człowieka utrzymującego się z pracy rąk, masz niezły gust, jeśli chodzi o napitki - powiedział Bram, wracając z kuchni z butelką i dwiema szklankami.

- Dziękuję.

- Naprawdę cię postrzelił? - spytał przyjaciel, hojną ręką napełniając naczynia i siadając w fotelu naprzeciwko Sullivana. - Chwalił się w klubie cały dzień. Podobno na ulicy była krew.

- Trafił w drzewo. Dostałem drzazgą. Bram spojrzał na niego znad szklanki.

- Znam kilku lekarzy, którzy potrafią zachować dyskrecję.

- Nie trzeba. I dzięki, że po osiemnastu godzinach przyszedłeś sprawdzić, czy nie wyzionąłem ducha.

- Byłem rano.

Sullivan zeszytniał. Podniósł szklanę do ust, by ukryć niepokój.

- Naprawdę? Chyba zauważyłbym twoją obecność.

- Zobaczyłem powóz Dunstona przed domem i krążącą na tyłach kariolkę Chalseyów. Przeraziłem się i odjechałem.

- Czyli nie miało to nic wspólnego z nagłym odpływem przyjacielskich uczuć - odetchnął z fałszywą ulgą Waring, by pokryć zmieszanie.

- Czego chciał markiz? - Bram wyprostował nogi w kierunku kominka. Był ubrany w wieczorowy strój, ale wyraźnie nigdzie się nie spieszył. Sullivan też miał czas. Noga mocno mu dokuczała, jednak była jeszcze inna rzecz, która martwiła go znacznie bardziej.

Widząc, że Bram czeka na odpowiedź, wzruszył ramionami.

- Kazał mi zaprzestać złodziejskich eskapad i trzymać się z daleka od Olivera i jego wybranki.

- A lord Darshear? Też przyjechał w sprawie córki? Mógł się umówić z Dunstonem, żeby się nie dublować.

Sullivan zawahał się. Ufał Bramowi, ale wiedział, że przyjaciel jest znany ze swojego cynizmu.

- To nie był Darshear, ale jego dzieci. Johns pochylił się w jego kierunku.

- Cała trójka?

- Douglas i Isabel. Usłyszeli, że twój ojciec zastrzelił złodzieja i chcieli wiedzieć, czy chodziło o mnie.

- Oboje?

- Tibby powiedziała o mnie bratu.

- Ranisz moje uczucia. Myślałam, że to będzie nasza tajemnica, a wie o tym połowa Londynu.

- Bardzo zabawne. Nie dostaniesz ode mnie ani jednego cygara.

- Mieliśmy umowę.

- Książę mnie postrzelił. Sam sobie kup cygara.

Bram prychnął i wstał.

- Żebyś wiedział. Jadę na przyjęcie do Fordhamów. Książę też się tam wybiera. Pozbyłeś się tego piekielnego bożka płodności?

- Był za duży, ale pozbawiłem go najważniejszego atrybutu. Mogę ci go podarować.

- Nie, dziękuję! Może później. Nie mogę się doczekać rozmowy z księciem. Postaram się okazać mu wiele współczucia.

Sullivan obserwował, jak przyjaciel kieruje się w stronę drzwi, zastanawiając się, czy powinien powiedzieć coś jeszcze. W końcu podjął decyzję.

- Bram?

Johns zatrzymał się z dłonią na klamce.

- Czy możesz mieć oko na lady Isabel? Dziś po raz pierwszy wsiadła na konia. Była tak uszczęśliwiona, że mnie uściskała. Jej przyjaciółki to widziały.

- Jesteś jedną wielką zagadką - westchnął Bram, odwracając się ku niemu. - Opowiadasz mi o kradzieży i postrzale, ale zatajasz, że dziewczyna...

- To było całkowicie niewinne - przerwał mu Waring.

- W przeciwieństwie do pocałunku.

- Pocałunków.

- A niech cię! - Bram wrócił na swój fotel. - Nie jestem najodpowiedniejszą osobą do udzielania rad dotyczących spraw serca czy alkowy, ale... Chcesz zrujnować tę biedaczkę?

- Oczywiście, że nie! Jak możesz o to pytać?!

- Nigdy nie darzyłeś sympatią ludzi z mojej sfery, szczególnie teraz, odkąd przywiozłem cię z Hiszpanii.

- Nie powinienesz był tego robić.

- Powinienem. W końcu wstąpiłeś do armii, ponieważ ja zostałem do tego zmuszony.

- To twoja wersja - odparł Sullivan z krzywym uśmiechem.

- Jedyna prawdziwa. Dlatego chciałbym wiedzieć, czy ta cała afery z lady Isabel jest aktem zemsty na Tildenie?

- Tibby w niczym nie zawiniła. Miała pecha, że zaskoczyła mnie podczas włamania. Nie jestem tak głupi, żeby myśleć... mieć nadzieję... - nie dokończył.

- Uważaj, Sully! Ratowanie cię z tarapatów może mi się któregoś dnia znudzić.

- Będę o tym pamiętał. Uważaj dziś na nią, dobrze?

- Nic mi nie umknie.

Kiedy przyjaciel w końcu wyszedł, Waring usiadł i dokończył szklaneczkę brandy. Do tej pory, bez względu na swoją pozycję w społeczeństwie, był odpowiedzialny tylko za swój los. Niczym więcej. Nieoczekiwanie okazało się, że musi zacząć troszczyć się o kogoś jeszcze. Mógł tylko czekać do rana i mieć nadzieję, że przyjaciółki Isabel okażą się lojalne.

- Jak twoja głowa? - spytała lady Darshear, kładąc dłoń na czole córki.

- Dobrze, mam - odpowiedziała Isabel, dając kuksańca Phillipowi, żeby zrobił jej więcej miejsca w powozie.

- Jeśli tak mówisz...

W rzeczywistości Isabel nie była pewna, jak się czuje. Wymawianie się bólem głowy było niezbyt błyskotliwe, ale nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak. Wyprawa z przyjaciółkami jak zwykle należała do udanych, choć kilka razy miała wrażenie, że z czegoś żartowały za jej plecami. Nie pamiętała, by kiedykolwiek spotkało ją coś podobnego, dlatego uznała, że szuka dziury w całym i wszystko jest w całkowitym porządku. Barbara pogratulowała jej jazdy na Molly, ale była jedyną osobą, która wiedziała, ile wysiłku wymagało od Isabel pokonanie lęku przed koniem. Eloise i Oliver nie powiedzieli nic, ale też nie skomentowali jej uścisku z Sullivanem. Być może, tak jak jej rodzice, uważali to za coś absolutnie niewinnego. Kto wie, czy w ogóle coś zauważyli. Bo, mówiąc szczerze, ten uścisk był daleki od niewinności. Doskonale wiedziała, że gdyby na miejscu Waringa znajdował się Phipps, Delvin lub nawet Oliver, nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. Uściskałaby tak któregoś z braci, ale na pewno nie czułaby takiej euforii jak w obecności Sullivana.

- Pamiętasz zeszłoroczny bal u Fordhamów? - spytała matka - Twój karnecik był wypełniony w ciągu kilku minut.

Isabel zachichotała.

- A Phillip dostał tyle kart wizytowych, że nie wiedział, gdzie ma je chować.

- Cóż, trudno oprzeć się mojemu urokowi - wtrącił starszy brat. - Choć nie jestem tak ładny jak Tibby.

-I bardzo dobrze! Byłabym zazdrosna.

Czuła się dziś wyjątkowo atrakcyjnie. Miała na sobie nową suknię w kolorze burgunda, z dekoltem i rękawami ozdobionymi koronką. We włosy wplotła wstążkę w tym samym głębokim kolorze. Gdyby nie towarzyszące

jej dziwne uczucie niepokoju, dzisiejszy wieczór już od początku zaliczyłaby do udanych.

Wciąż może taki być. Niepotrzebnie tak się przejmuję. Przecież nie zrobiła nic złego. Doskonale знаła powód, dla którego uściskała Sullivana Waringa. Po prostu nie potrafiła się powstrzymać. To, co zaczęło się jako gra, już dawno przestało nią być. Zakazany owoc kusił jeszcze silniej. Niczym Romeo i Julia, z tą różnicą, że ukochany nie należał do wrogiej patrycjuszowskiej rodziny. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Dunston uznał Sullivana za swojego syna. Z tego, co usłyszała rano, wywnioskowała, że nigdy tego nie zrobi.

- Isabel? - dotarł do niej głos matki.

Otrząsnęła się z dręczących ją myśli. Sądząc z tonu, lady Darshear odezwała się do niej nie po raz pierwszy. Przecież idzie na jeden z najważniejszych balów w sezonie! Swoją obsesją na punkcie Sullivana Waringa może zająć się później.

- Słucham, mamó?

- Czemu jesteś taka rozkojarzona?

- Po raz pierwszy jechałam konno. Chwaliłam się przyjaciółkom, ale one uważają, że zachowuję się dziwnie.

- My nie - odezwał się Phillip. - Naszym zdaniem nie dziwniej niż zwykle.

- Piękne dzięki, braciszku!

- Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Tibby - wtrąciła matka.

- Zastanawiałem się, czy nie kupić od Waringa tej klaczy. Jestem pewien, że nie miałby nic przeciwko temu, by zamienić ją na Zephyr. Kiedy będziesz pewnie czuła się w siodle, znajdziemy dla ciebie młodszego wierzchowca.

- Nie chcę!

- Słucham?

Zdała sobie sprawę, że wykrzyknęła to trochę za bardzo podniesionym głosem. Ujęła ojca za rękę.

- Gdybym zrezygnowała z Zephyr to tak, jakbym przyznała, że nie jestem w stanie przezwyciężyć swojego lęku. Naprawdę zamierzam na niej jeździć.

- To dobrze. Mam nadzieję, że to się nie zmieni.

Dzięki Bogu, nie kontynuował już tej rozmowy.

Gdyby oddał Zephyr, Sullivan nie miałby po co przyjeżdżać do Chalsey House. To nie był mężczyzna dla niej, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby przestać go widywać. Jeszcze nie teraz. Jej postępowanie było samolubne i mogło na wszystkich spowodować kłopoty, lecz nie potrafiła nic na to poradzić.

Kiedy powóz zatrzymał się, ubrany w żółtą liberię lokaj pospieszył, by otworzyć drzwi i pomóc damom wysiąść. Isabel udało się ostatecznie wygonić Sullivana Waringa ze swoich myśli. Phillip zaoferował jej ramię. Z uśmiechem położyła dłoń na ciemnym rękawie jego fraka. Dziś będą aż trzy walce! Coś takiego rzadko miało miejsce. Ciekawe, czy Sullivan umie tańczyć walca? Sam powiedział, że został wychowany jak dżentelmen, a walc już jakiś czas temu przestał być traktowany jako skandalizujący i stawał się coraz popularniejszy w Londynie.

Potrząsnęła głową. Jakie to miało znaczenie? Nigdy ze sobą nie zatańczą, ponieważ nie ma mowy, by Waring kiedykolwiek został zaproszony na bal.

Uspokój się, dziewczyno! - nakazała sobie w myślach, dotrzymując kroku rodzicom i starszemu bratu.

Kamerdyner zaanonsował ich wejście i po chwili znaleźli się w największej z sal balowych Fordham House.

- Co za tłum! - stwierdziła radośnie markiza. Isabel skinieniem głowy przyznała jej rację. Gdzieś pośrodku sali zauważyła Eloise Rampling i pomachała do niej, ale przyjaciółka oddaliła się w przeciwnym kierunku. Sala była tak zatłoczona, że znalezienie konkretnej osoby było bardzo trudne, nie mówiąc o prowadzeniu rozmowy. Mimo to Isabel znów poczuła w sercu ukłucie niepokoju.

- Możesz mnie tak nie ścisnąć? - odezwał się Phillip. - Za chwilę złamiesz mi rękę.

Natychmiast poluzowała uścisk.

- Przepraszam.

Uśmiechnął się.

- Nie ma za co - nieoczekiwanie dotknął jej dłoni i z troską spojrzał w oczy.

- Na pewno nic cię nie martwi? - spytał ścisłym głosem. - Żałuję, że nie widziałem twojej pierwszej przejażdżki. Mam nadzieję, że nie...

- Nie oczekiwałam fanfar na moją cześć - postarała się przywołać na twarz uśmiech. Naprawdę wszystko jest w porządku.

- To dobrze - spojrzał przez ramię. - Zauważyłem Barbarę. Czy muszę ci towarzyszyć? Jej obecność mnie deprymuje.

- To dlatego, że chce za ciebie wyjść.

- Właśnie.

Puściła jego rękę.

- Zmykaj, tchórzu!

- Dziękuję! - Z uśmiechem ulgi wmieszał się w tłum.

- To był lord Chalsey? - spytała Barbara, gdy w końcu przecisnęła się w kierunku Isabel.

- Zobaczył przyjaciela z uniwersytetu i poszedł się z nim przywitać - odpowiedziała dziewczyna, spoglądając na niebiesko-żółtą suknię przyjaciółki.

- To ten jedwab, który wybrałaś u pani Wranglem? Piękny!

- Dziękuję - dygnęła Barbara. Nieoczekiwanie rozejrzała się wokoło, a potem wzięła Isabel za rękę i pociągnęła w kierunku jednego z podcieni.

- Musimy porozmawiać - powiedziała tajemniczo.

Isabel wzdrygnęła się, ale szybko odzyskała spokój.

- Co się stało? - spytała, pozwalając Barbarze zaprowadzić się w mniej zatłoczone miejsce. - Znalazłaś nowy obiekt westchnień zamiast Phillipa?

W końcu trafiły na pustą wnękę. Przyjaciółka oparła się o ścianę i szepnęła:

- Chodzi o Eloise.

- Coś się jej stało?

- Plotkuje o twojej zażyłości ze stajennym.

Serce Isabel zamarło na moment.

- Mówiłam jej, żeby przestała, ale...

- Rozmawiałaś z nią przez całe popołudnie - przerwała jej Isabel. - Mogłaś powiedzieć mi wcześniej.

- Próbowałam obrócić wszystko w żart. Powinna zrozumieć, że coś takiego nigdy nie przysłoby ci do głowy.

- Mimo wszystko, mogłaś mnie uprzedzić.

- Wiem. Mówię ci to teraz. Musisz coś z tym zrobić.

-Co?

- Na przykład powiedzieć, że stajenny wcale ci się nie podoba, bo twoje serce już od dawna należy do Olivera. Po prostu współczujesz panu Waringowi.

- Przede wszystkim on nie jest stajennym.

A Oliver nie skradł jej serca. Jedynym złodziejem, który interesował ją w tej chwili, był jego brat z nieprawego łoża.

- Wiem, lecz...

- Oliver chce, by wszyscy tak o nim myśleli, ale pan Sullivan Waring to szanowany hodowca. Pomagał mi w nauce konnej jazdy. Co w tym złego, że mu podziękowałam?

- Profesja pana Waringa nie jest twoim największym problemem - westchnęła Barbara, marszcząc brwi. - Jest nieślubnym synem, którego ojciec nigdy nie uznał, a Eloise opowiada wszystkim, że jesteś w nim zakochana.

Isabel zbladła.

- Co za nonsens!

Przez długą chwilę tylko spoglądała na Barbarę, starając się zebrać rozbiegane myśli.

- Nikt jej nie uwierzy - powiedziała w końcu. - Na tej sali jest wiele moich dobrych przyjaciółek.

Chyba nikt nie podejrzewa, że mogłabym zrobić coś takiego.

- Tibby... - westchnęła Barbara. Jej spojrzenie wyrażało wszystkie najgorsze obawy Isabel. Plotki. Mogła się przed nimi bronić, jedynie im zaprzeczając, ale to sprawi, że więcej osób da im wiarę. Ignorowanie ich było równie bezsensowne, ale przynajmniej zachowałyby odrobinę godności. Poza tym była lubiana. Przecież Barbara nie uwierzyła w te podłe pomówienia. Inni na pewno także. Znała tych ludzi, od dziecka obracała się

w ich towarzystwie. Dopóki jej cześć pozostała niezagrożona, nikt nie ma prawa mieć do niej pretensji, że przyjaźni się z hodowcą koni.

- Wracajmy - zdecydowała.

- A Eloise?

- To tylko zazdrosna gąska rozsiewająca plotki. Skoro wierzą jej, uwierzą i mnie. Poza tym prawda jest po mojej stronie.

- Niech ci będzie - powiedziała Barbara z wahaniem w głosie. - Może byłoby lepiej, gdybyś wróciła do domu i poczekała, aż jakaś inna sensacja zaprzątnie ich uwagę.

Być może był to rozsądny pomysł, ale myśl o ucieczce wydała się Isabel niesmaczna. Owszem, pocałowała Sullivana i marzyła, by zrobić to jeszcze nie raz, ale przecież nie o tym plotkowała Eloise. To, co zobaczyła, było niewinne. Prawie całkowicie niewinne.

Zanim dołączyły do rozbawionego tłumu, uścisnęła przyjaciółkę.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś.

- Oby tylko Eloise nie zdążyła oblecieć całej sali. Jednak kiedy weszły na salę, Isabel zorientowała się, jak płonne były nadzieje Barbary. Wydawało się, że wszyscy spoglądają na nią znacząco, a w ich uśmiechach brakowało zwykłej sympatii. Musiała koniecznie powiedzieć o całej sprawie bratu i rodzicom, zanim ktoś zrobi to za nią. Znalazła ich przy stole ze słodyczami. Ojciec rozmawiał z Phillipem, a matka z lekkim popłochem rozglądała się po sali.

- Mamo... - Isabel dotknęła jej ręki.

- Tu jesteś, Tibby! Kto wpisał ci się do karneciku?

- Nikt. Właśnie o tym...

- Nie żartuj ze mnie.

- Posłuchaj mnie, mamo...

Isabel skinęła na ojca i brata, by podeszli bliżej, a potem opowiedziała im wszystko, czego dowiedziała się od Barbary. Kiedy skończyła, twarz markizy przybrała barwę papieru, a lord Darshear i jego syn mieli miny, jakby chcieli kogoś pobić.

- To śmieszne! - parsknął Phillip.

- Ja nic nie słyszałam - oświadczyła trzęsącym się głosem markiza. - Może przesadzasz, Barbaro.

Przyjaciółka przez cały czas stała u boku Isabel, choć uśmiech dawno zniknął z jej twarzy.

- Obawiam się, że państwo usłyszeliście te plotki jako ostatni. Na tym to przecież polega, prawda?

- Niestety tak - skinął głową Phillip, a potem uśmiechnął się, ujmując dłoń Barbary. - Jeśli nie ma pani zajętego następnego tańca, czy wyświadczyłaby mi pani ten zaszczyt?

Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

- Oczywiście.

Młodzieniec spojrzał teraz na Isabel.

- Później chciałbym zatańczyć z tobą. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Myślę, że nie będzie z tym problemu.

Gdy Phillip i Barbara wyszli na zatłoczony parkiet, Isabel zapisała imię brata w karneciku obok wiejskiego tańca. Gdyby nie to, nie byłoby tam żadnego nazwiska. Na balu w Fordham House! Przebiegł ją zimny dreszcz.

- To po prostu śmieszne! - wysyczał przez zaciśnięte zęby lord Darshear. - Gdzie jest rodzina Eloise? Zaraz porozmawiam z jej ojcem!

- Lord Rampling nigdy nie przychodzi na takie bale - odparła Isabel. Dobrze o tym wiedziała, ponieważ do dzisiaj ona i Eloise były dobrymi przyjaciółkami. W każdym razie tak jej się wydawało.

- A matka? Gdzie jest lady Rampling? - dołączyła się markiza, wyraźnie coraz bardziej zdeprimowana brakiem kandydatów do tańca z jej córką. - Muszę zamienić kilka słów z Martą.

Isabel potrząsnęła głową.

- Jeszcze nic złego się nie stało, więc nie pogarszaj sprawy. Pójdę do Eloise i powiem jej, żeby przestała rozgłaszać te głupstwa.

Po kilku minutach udało jej się przekonać rodziców, żeby pozwolili jej to zrobić, i udała się na poszukiwanie zdrajczynie. Znalazła ją, otoczoną wianuszkami przyjaciółek i kawalerów. Podeszła i dotknęła jej ramienia.

- Eloise?

Dziewczyna aż podskoczyła. Spojrzała na Isabel, a na jej twarzy pojawił się fałszywie serdeczny uśmiech.

- Tibby! Nie przypuszczałam, że przyjdiesz. Myślałam, że będziesz wołała spędzić czas ze swoim stajennym.

W grupie rozległy się przytłumione chichoty. Isabel z najwyższym trudem zachowała zimną krew, choć miała wielką ochotę uderzyć Eloise w zadarty nosek.

- Przykro mi, że cię zawiodłam - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Czyżbyś była tak spragniona romantycznych uniesień, że kiedy dziś rano pan Sullivan Waring uratował mnie przed zsunieniem się z konia w błoto, uznałaś to za przejaw gorących uczuć? Jedyne, co czułam do niego, to wdzięczność, że nie zniszczyłam sobie nowej sukni.

Śmiechy, które rozległy się tym razem, były odrobinę mniej nieprzyjemne. Przez głowę Isabel przemknęła myśl, że właśnie dlatego

Sullivan nie cierpi arystokratów. W tej chwili ona sama miała ich dość, choć przecież należała do towarzystwa.

- Słyszałem plotkę... - usłyszała za sobą miękki, niski, męski głos. Zesztywniała z niepokoju, ale udało jej się utrzymać beztroski wyraz twarzy. Odwróciła się.

- Lord Bramwell...

Wysoki, ubrany na czarno mężczyzna, złożył leniwy ukłon.

- Ktoś mi powiedział, że lady Isabel Chalsey jest najlepszą tancerką na dzisiejszym balu. Chciałbym się o tym przekonać - wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Teraz?

Spojrzał przez ramię na kłębiący się na parkiecie tłum tancerzy.

- Muszę sprawdzić, czy to prawda, zanim poproszę panią o walca.

Lord Bramwell Lowry Johns najwyraźniej pospieszył jej z pomocą. Dygnęła najładniej, jak potrafiła, starając się, by na jej twarzy nie pojawił się wyraz ulgi, którą poczuła w tej chwili. Ujęła jego dłoń.

- Jest pan bardzo bystry, milordzie - powiedziała, gdy dołączyli do innych tancerzy.

- Wszystkim to powtarzam.

- I ma pan niezwykle wyczucie sytuacji - dodała, gdy znaleźli się obok siebie podczas kolejnej figury.

- Ptaszek mi wyćwierkał, że może pani dziś potrzebować wsparcia.

O mały włos pomyliłaby kroki. Więc to Sullivan wszystko zaaranżował? Chciałaby zapytać o to Bramwella, ale wiedziała, że jakakolwiek wzmianka o Waringu nie byłaby w jej sytuacji na miejscu. Myślał o niej! Przysłał pomoc. Nie spodziewała się czegoś podobnego.

- Mimo wszystko, bardzo dziękuję - powiedziała, mijając go.

Lord Bramwell posłał jej mroczny uśmiech, który trochę ją zaniepokoił.

- Po prostu lubię, kiedy ludzie mi coś zawdzięczają. Tak jak pani teraz - odparł, okrążając ją.

Na chwilę zmienili partnerów, a kiedy znów stanęli naprzeciw siebie, dodał przyciszonym głosem.

- Wyświadczę ci, pani, jeszcze jedną przysługę. Radzę, trzymaj się z dala od tego ptaszka. Z nim możesz wplątać się w nie lada kłopoty. Lepiej, żeby nie było cię w pobliżu, gdy rozpocznie się sezon polowań.

Poczuła, jak po jej plecach przebiega zimny dreszcz.

- Jemu też pan to powiedział?

- Od początku wiedział, że to się dobrze nie skończy.

- Co, jeśli... - zawahała się. Dlaczego miałyby ufać temu człowiekowi? Kiedy tylko zadała sobie to pytanie, już знаła odpowiedź. Przecież Sullivan mu wierzył. - Co, jeśli uda mi się go przekonać, by zszedł z obranej ścieżki? Czarne oczy oceniały ją przez chwilę.

- Ktoś przegra - odpowiedział w końcu i zaczął klaskać, bo orkiestra skończyła grać. Potem zaoferował Isabel ramię, by odprowadzić ją do rodziców.

- Jeśli przy nim zostaniesz, tym kimś możesz być ty - dodał.

- A pan po czyjej jest stronie?

Uśmiechnął się krzywo.

- Jestem wyrachowanym, myślącym wyłącznie o sobie osobnikiem. Wybieram tego, kto ma większe szanse na zwycięstwo.

Kiedy się żegnał, Isabel nie była pewna, czy mu wierzyć, czy nie. Miał opinię człowieka o chwiejnym charakterze. A jednak jej pomógł...

- Tu jesteś, Isabel! - Oliver podszedł, by przywitać się z nią i jej rodzicami. - Mam nadzieję, że nie przyjechałem za późno i znajdziesz dla mnie miejsce w karneciku.

Być może ten wieczór nie będzie całkiem nieudany.

- Możesz wybrać taniec, Oliverze.

- W takim razie poproszę o pierwszego walca.

- Należy do ciebie.

Phillip wrócił, by poprosić ją na parkiet. Teraz mogła powiedzieć z czystym sumieniem, że ma wystarczającą liczbę partnerów do tańca, choć wolałaby nigdy więcej nie znaleźć się w podobnej sytuacji.

Słowa lorda Bramwella głęboko zapadły jej w pamięć. Miał rację, mówiąc, że Sullivan Waring brnie w coraz większe kłopoty. Dzisiaj ona także miała przez niego problemy. Co gorsza, nie była pewna, że to się nie powtórzy.

Rozdział 15

Sullivan ziewnął. Lubił wstawać rano, szczególnie gdy rozpoczynał dzień od wizyty na targu koni w Tattersall, ale dziś wolałby pojechać jak najwcześniej do Chalsey House. Bram nie zadał sobie trudu, by po wczorajszym balu wstąpić i poinformować go, jak przyjaciółki potraktowały Isabel. Waring przez całą noc denerwował się, czy to, co zaszło między nimi, zrujnowało jej opinię.

Nad ziemią unosiła się jeszcze lekka poranna mgiełka, z której wylaniały się stajnie i wybiegi dla koni. Mimo wczesnej pory na targu panowało ożywienie. Sullivan starał się wsłuchiwać w rozmowy, ale dotyczyły one głównie wad i zalet wystawianych na sprzedaż zwierząt. Nawet gdyby na balu doszło do jakiegoś skandalu, wieść o tym nie do-
tarłaby jeszcze do Tattersall.

Jeden z koni, które Sullivan przeznaczył dziś na sprzedaż, podszedł do ogrodzenia i potarł pyskiem o ramię hodowcy.

- Już chcesz jabłko, Ariadno? - Mężczyzna odwrócił się, sięgając do kieszeni. - Proszę bardzo!

Gniada klacz z gracją przyjęła poczęstunek. Gdyby ludzi dało się zrozumieć równie łatwo jak konie! Sullivan uśmiechnął się do siebie gorzko, klepiąc zwierzę po karku.

Niespodziewany cios łopata pod kolana zwałił go z nóg. Instynktownie przewrócił się na bok, chwytając deskę ogrodzenia, by pomóc sobie wstać. Przed nim stało czterech nieznanych mu mężczyzn. Wszyscy uzbrojeni w łopaty.

- Witam, panowie - powiedział, czując przyływ emocji jak przed bitwą. - Widzę, że macie coś do mnie. Może dowiem się najpierw o co chodzi?

- Żebyś trzymał się takich jak ty - ryknął największy z napastników, próbując wymierzyć mu cios.

Sullivan zablokował go ramieniem, jednocześnie uderzając pięścią w szyję. Mężczyzna upadł. Z jego gardła wydobyło się głuche rżenie. Waring wyrwał mu z ręki łopatę i uderzył drugiego złoczyńcę w kolana. Niestety, trzeci zdołał wymierzyć mu cios w plecy, obalając go na ziemię. Błyskawicznie wstał, jednocześnie blokując kolejne uderzenie. Rozległ się głośny trzask, gdy drewniany trzonek łopaty pękł na jego głowie. Znow upadł. Gdzie, do diabła, są jego ludzie?! Przewrócił się na plecy, zablokował kolejny cios i z całej siły pchnął łopatą, trafiając w czyjś brzuch. Kiedy wstawał, kątem oka dostrzegł znajomą postać stojącą przy stajni. Oliver Sullivan z krzywym uśmiechem odwrócił się na pięcie i znikł z pola widzenia.

Nagle wszystko nabrało sensu, choć ta wiedza nie złagodziła bólu, jaki odczuwał. Sullivan zaatakował, rozdając ciosy na oślep. Przeciwnicy byli zwykłymi opryszkami, a on przez cztery lata walczył na froncie. Zranione udo paliło go żywym ogniem, lecz udało mu się to zignorować. Chcieli go zranić czy raczej zabić? Nie sądził. Wtedy pierwszy cios otrzymałby w głowę, nie w nogi. Oczywiście nie oznaczało to, że nie miał prawa robić wszystkiego, by się bronić. Od powrotu z Hiszpanii marzył o porządnej walce.

Dostał pięścią w ramię. Zachwiał się, ale utrzymał się na nogach. Udało mu się wyprowadzić cios i trafić w czyjąś twarz. Osobiście wolałby, żeby Oliver nie załatwiał swoich spraw cudzymi rękami. Skoro jednak jego

przyrodni brat zostawił go sam na sam z czterema łotrami, dlaczego nie spróbować przekupstwa?

- Czy zapłata, jaką dostaniecie, jest warta dziury w głowie? - spytał między jednym a drugim ciosem.

Dwóm opryszkom udało się chwycić go pod rękę i rzucić na ogrodzenie.

- Zależy, czyja to będzie głowa - odpowiedział trzeci, największy, i wymierzył Sullivanowi potężny cios w twarz. Przed oczami hodowcy pojawiła się mgła. Chwilę później zapadł w ciemność i kolejnego uderzenia już nie poczuł.

Otworzył oczy, czując, jak ktoś potrząsa jego ramieniem. Odruchowo wyprostował rękę, starając się wymierzyć cios. Usłyszał czyjś jęk i znajomy głos zawołał:

- Panie Waring, na litość boską, to ja!

Zamrugnął i otworzył oczy.

- Halliwell! Pomóż mi wstać!

- Przegoniliśmy tych łotrów - powiedział stajenny, wraz z Samuelem podtrzymując swojego pracodawcę, gdy ten chwiejnie stanął na nogach. - Myśleliśmy, że pana zabili.

- Chcieli mi tylko przekazać wiadomość.

Otrzepał się z piasku i siana. Krzywiąc się z bólu, dotknął poobijanej szczęki. Bolała go głowa i żebra, ale jednego był pewien: żaden z napastników nie mógłby się dziś pokazać na rodzinnym przyjęciu.

- Lord Massey czeka, by porozmawiać o Spartanie - poinformował Samuel, podnosząc z ziemi rękawice Sullivana.

Mała bójka, a potem powrót do interesów. Biorąc pod uwagę uczucia, jakimi w tej chwili Sullivan darzył arystokrację, biedny Massey nie będzie uradowany, gdy usłyszy cenę konia. A co do Olivera...

Waring zacisnął pięści. Napaść niewątpliwie miała związek z Isabel. Podszedł do beczki i zanurzył głowę w lodowatej wodzie. Otepienie, które czuł, ustąpiło błyskawicznie. Potrząsnął głową. Oliver uważał go za rywala? Interesujące! Nie wyobrażał sobie, by rodzice Isabel patrzyli przychylnie na jej zażyłość z hodowcą koni, wiedząc, że zaleca się do niej wicehrabia. A jednak Oliver wydawał się zaniepokojony. I na pewno nie chodziło o interesy. Przede wszystkim nie może dać się sprowokować i ponieść emocjom. Mógłby osaczyć gdzieś Tildena i dać mu porządną nauczkę, co dałoby mu wiele satysfakcji, ale szybko zaprowadziło za kraty. Na to nie mógł sobie pozwolić. Miał jeszcze trzy obrazy do odzyskania, co oznaczało trzy okazje do wytknięcia Dunstonowi jego hipokryzji. Znów pomyślał o Isabel. Wiedział, że go lubi. Czuł to od chwili, gdy zaczęła mu rozkazywać. Czy jednak jej sympatia była na tyle widoczna, że Oliver miał powód, by traktować go jak rywala? Najwidoczniej tak.

- Panie Waring?

Zamrugał, wracając do rzeczywistości.

- Zaraz idę do Massey'a. Halliwell, masz dokumenty pozostałych trzech koni?

- Tak, proszę pana.

- To dobrze. Kiedy sfinalizuję transakcję z Masseyem, pojedę do Chalsey House na poranną sesję treningową. Jak wrócisz do domu, weź na lonżę Hektora. Niech się dobrze wybiega. Jutro zawożę go do lorda Esquille'a i chcę, żeby był w romantycznym nastroju, a nie nękał klacze.

- Oczywiście. Czy mam wysłać kogoś z panem?

- Słucham? - Sullivan spojrział na swojego pracownika, a potem dotknął posiniaczonej szczęki. - Nie trzeba. Tamci zrobili to, po co ich wysłano. Już tu nie wrócą.

Chyba że on znów postąpi w sposób, który nie spodoba się Oliverowi.

- Muszę przyznać, Phillipie, że nie byłam zbyt zadowolona, kiedy w zeszłym miesiącu zaprosiłeś lorda Bramwella Johnsa na obiad, ale chyba go nie doceniłam - odezwała się lady Darshear znad robótki. - Gdyby wczoraj nie poprosił Tibby do tańca, ten wieczór nie byłby dla nas najprzyjemniejszy.

- To śmieszne! - rzucił Douglas, odkładając książkę o hodowli koni, którą znalazł wśród lektur Isabel. - Dlaczego komukolwiek może się nie podobać, że zatrudniliśmy pana Waringa? Wszyscy chcą, by dla nich pracował!

Isabel prychnęła. Miała nadzieję, że zabrzmiało to jak dezaprobata, a nie przejaw paniki.

- Nie o to chodzi. Znaleźli świetny temat do plotek. Jakby to, że uściskałam pana Waringa, bo nauczył mnie jeździć konno, miało od razu oznaczać, że go uwodzę.

- Mimo wszystko powinnaś być rozważniejsza- odrzekł Phillip. - Szczególnie w obecności Olivera Tildena.

- Byłeś zadowolony jak kot w spizarce, kiedy zatrudniłam pana Waringa - przypomniała mu siostra. - A przecież wiedziałeś, co łączy go z Oliverem.

- Oficjalnie nic.

- Nie próbuj teraz zaprzeczać faktom. Sullivan jest synem Dunstona, bez względu na to, co ten mówi.

Zauważyła spojrzenie, jakie wymienili między sobą rodzice, i dodała:

- Ta cała sprawa jest po prostu śmieszna. Jestem pewna, że za dzień lub dwa pojawi się następna plotka i wszyscy zajmą się obmawianiem innej osoby, zapominając o moim... sama nie wiem, jak to nazwać... powiedzmy, wyrazie wdzięczności.

- Masz rację - skinął głową ojciec - ale bardzo cię proszę, bądź uważniejsza. Nie ma sensu narażać się na takie nieprzyjemności.

- Ludzie są jednak bardzo głupi.

- Zgadza się i dlatego, dla twojego dobra, proszę, pamiętaj o tym.

- Oczywiście, ojcze.

Na pewno nie zapomni tej nauczki, jednak czy zmieni ona w jakikolwiek sposób jej zachowanie względem Waringa, to już zupełnie inna sprawa. Zeszły wieczór otworzył jej oczy na wiele spraw.

Do pokoju wszedł kamerdyner.

- Przyjechał pan Waring. Jaśnie pan prosił, by go o tym powiadomić - powiedział, kłaniając się.

Markiz wstał.

- Wybaczcie mi na chwilę.

Serce Isabel gwałtownie zabiło. Tak że zerwała się z fotela.

- O czym chcesz porozmawiać z panem Waringiem?

Spojrzał na nią ze smutkiem.

- Muszę zamienić z nim kilka słów.

- Wynajęłam go w pewnym celu - powiedziała, wychodząc za ojcem z pokoju. - Chcę, by wywiązał się ze swoich zobowiązań.

- Nawet kosztem twojej reputacji?

- Więcej go nie uściskam - odrzekła, doskonale wiedząc, że kłamie.

Kiedy chodziło o Sullivana Waringa, wszystko inne przestawało się liczyć.

- Ojcze, proszę!

- Wiem, że lubisz robić wszystko po swojemu - kontynuował markiz, idąc korytarzem. - Ale powinnaś zachować zdrowy rozsądek. Znajdziemy kogoś, by dokończył ujeżdżenie Zephyr.

- Sam mówiłeś, że Sullivan Waring jest najlepszy.

- Owszem, ale nie warto, byś przez niego przeżywała kolejny wieczór podobny do wczorajszego. Byłaś zdruzgotana.

- Wcale nie, byłam zła. I nadal jestem. Myślałam, że Eloise jest inna. A moje rzekome przyjaciółki słuchały jej z przyjemnością! Są żałosne!

- Nie wiem, czy będziesz czuła się tak jak teraz, gdy następnym razem nikt nie pospieszy ci z pomocą.

Z tym nie mogła się zgodzić. Istniały gorsze rzeczy, które mogły ją spotkać. Cała się trzęsła, brakowało jej tchu. Położyła drżącą dłoń na ramieniu ojca.

- Mam prawie dwadzieścia lat - powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. - Potrafię sobie poradzić z panem Waringiem.

- Isabel...

- Ojczy, proszę! Będę rozważniejsza.

Przez długą chwilę spoglądał jej w oczy z poważnym wyrazem twarzy.

- Niech tak będzie, Tibby. Przez to, kim jest, przyciąga uwagę. Bacz, jak zachowujesz się w jego obecności. Obiecujesz, że będziesz rozsądna?

- Tak. Oczywiście. A teraz pozwól, że pójdę na lekcję.

Z miny ojca wywnioskowała, że on nie uważa tego za najlepszy pomysł. Logiczna część jej natury zgadzała się z nim. Za to ta druga, bardziej niesforna, pragnęła jak najszybciej pobiec do stajni. Tym razem Isabel zdecydowała się jednak posłuchać głosu rozsądku. Wygładziła suknię i powolnym krokiem wyszła z domu.

W stajni jak zwykle panował ruch, ale gdy tam zajrzała, ku swojemu zdziwieniu nie zobaczyła Sullivana.

- Phipps! - zawołała - Myślałam, że pan Waring już przyjechał.

- Jest w boksie z Zephyr - odpowiedział stajenny z dziwnym wyrazem twarzy. - Dzisiaj chyba lepiej trzymać się od niego z daleka.

- A to dlaczego?

- Nie mogę powiedzieć, panienko.

- W takim razie przekonam się sama.

Znów poczuła niepokój podobny to tego, który nie odstępował jej wczoraj wieczorem, ale bez wahania weszła do budynku. Rozejrzała się uważnie i w końcu dostrzegła głowę i ramiona Sullivana.

- Widzę, że udało się panu przyjechać punktualnie - powiedziała, podchodząc do boksu Zephyr. Nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu.

Sullivan nie odwrócił się, zajęty zakładaniem siodła i ogłowia.

- Staram się, jak mogę. Jak minął wczorajszy wieczór?

Zmarszczyła brwi.

- Rozmawiał pan z lordem Bramwellem?

- Nie.

- Poprosił go pan, by ze mną zatańczył. Wsunął dłoń pod siodło, by poprawić czaprak.

- Porosłem go, by miał cię na oku. Taniec był jego pomysłem - odrzekł, nie odwracając się. - Bram to uwodziciel, chyba o tym słyszałaś.

- Nawet sam mi to powiedział. Isabel oparła dłonie o deski boksu.

- Pewnie prędzej czy później się o tym dowiesz, dlatego sama ci powiem, że początek balu nie był dla mnie zbyt przyjemny, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

- Miło mi to słyszeć.

Uderzyła dłonią o deskę.

- Sullivanie Waring, spójrz na mnie, gdy do ciebie mówię!

Odwrócił się, a ona zmartwiała z przerażenia.

- Co ci się stało?! - wyszeptała bez tchu.

Jeden z rękawów jego koszuli był rozdarty do łokcia, przy kamizelce brakowało guzików, jednak dopiero wygląd jego twarzy sprawił, że Isabel zrobiło się słabo. W poprzek szyi biegło brzydkie, szerokie zadrapanie. Połowę twarzy miał posiniaczoną, a opuchnięta lewa powieka sprawiała, że prawie nie mógł otworzyć oka.

- Co się stało? - powtórzyła, wyciągając rękę, by dotknąć jego czoła. Zanim się cofnął, poczuła, jakie jest gorące.

- Pokłóciłem się.

- Z niedźwiedziem?

Wykrzywił usta w uśmiechu, co sprawiło mu widoczny ból.

- Nawet kilkoma - odpowiedział.

Zwinął lonżę i otworzył drzwi boksu. - Będiesz chciała pojeździć dziś na Molly?

- Najpierw powiedz, co ci się stało.

- W takim razie nie. Chodź, Zephyr.

Isabel skrzyżowała ręce na piersi i zastąpiła mu drogę.

- Odpowiedz mi.

Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Obracam się w nieco innym towarzystwie niż ty, Tibby - powiedział.
- Nie rozmawiajmy o tym.

- Musisz mi powiedzieć, co się stało! Zatrzymał się przed nią.

- Przyjechałem o umówionej porze, żeby trenować twoją klacz, tak jak to ustaliliśmy. Nic więcej nie powinno cię obchodzić.

- A jednak.

- Niepotrzebnie.

- W takim razie niepotrzebnie się ze mną kłóciłeś i niepotrzebnie mnie całowałeś - odparła. - Jesteśmy przyjaciółmi i chcę wiedzieć...

- Przyjaciółmi? - przerwał jej.

Chwycił jej rękę i przyciągnął ją do siebie.

- Naprawdę tak uważasz, lady Isabel? - zapytał tonem, który ją przeraził.

- Tak - udało jej się odpowiedzieć.

- Ty...

- Czy gdy uściśniesz któregoś ze swoich normalnych przyjaciół, całe miasto zaczyna o tym plotkować? - przerwał jej. - Rozmawiamy i całujemy się w tajemnicy. Gdyby ktoś uznał, że jesteśmy sobie bliscy, twoja reputacja ległaby w gruzach.

Isabel desperacko starała się zachować spokój, choć bliskość Sullivana sprawiała, że robiło się jej na przemian zimno i gorąco.

- Ktoś pobił cię, ponieważ cię uściskałam?

- Nie nadaję się na twojego przyjaciela, Tibby - powiedział cicho. - Masz wystarczająco wielu innych, którzy nie wplączą cię w kłopoty. Nie przyjeżdżam tu jako twój przyjaciel.

- Przyjeżdżasz, bo cię szantażuję - odpowiedziała, mając nadzieję, że nie słyszy, jak szaleńczo bije jej serce.

Potrząsnął głową i przyciągnął ją jeszcze bliżej siebie.

- Przyjeżdżam, bo cię pragnę. Twojego dotyku, pocałunków. Za to zostałem pobity.

Boże!

- Sullivan, ja...

- Zanim dokończysz, przypomnij sobie, jaki zamęt wywołał jeden niewinny uścisk. Jeśli chcesz powiedzieć, że pragniesz przyjaźni ze mną, pamiętaj, przyjaciele nie robią pewnych rzeczy.

Nieoczekiwanie pochylił się i pocałował ją. To był gwałtowny, prawie brutalny pocałunek, który wyssał jej dech z piersi. Ona też go pragnęła. Chciała, by stali się jednością, by nic już nigdy ich nie rozdzieliło. Przywarła do niego, zagłębiając dłonie w jego włosach. Czowała, że on także jej pożąda.

Nieoczekiwanie odsunął ją od siebie.

- Zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz - powiedział szorstko, ocierając usta dłonią. - Pomyśl o swojej zrujnowanej reputacji, o niebezpieczeństwach, na jakie mogę cię narazić. Dobrze wiesz, jak może się skończyć znajomość z kimś takim jak ja. - Kiedy już to wszystko przemyślisz

- kontynuował, z trudem zachowując spokój - jeśli jesteś gotowa na potępienie, spotkamy się w stajni dziś o północy. Jeżeli jednak zachowałeś choć trochę zdrowego rozsądku, zobaczymy się jutro rano, kiedy przyjadę trenować twoją klacz. -Ale...

- Jeśli w tej chwili jeszcze raz spojrzę na ciebie, dla nas obojga źle się to skończy. Wracaj do domu, Isabel. Tam będziesz bezpieczna.

Chciała coś powiedzieć, zaprotestować, ale nic nie przyszło jej do głowy. Mogła tylko patrzeć, jak Sullivan wychodzi ze stajni, wyprowadzając Zephyr.

Miał rację. Musiała dobrze zastanowić się, czego naprawdę chce. Odwróciła się i wyszła, zmierzając w stronę domu. Waring mylił się tylko w jednej sprawie. Wiedząc, że jest na zewnątrz, wcale nie czuła się bezpiecznie.

Rozdział 16

Isabel otworzyła kopertę zegarka pożyczonego od Douglasa. To znaczy, zamierzała tak powiedzieć, gdyby kiedykolwiek brat zauważył jego brak. Do północy zostało dziesięć minut. Sullivan wybrał idealny dzień. Obrady w parlamencie zaczęły się wczesnym rankiem i na wieczór nie zaplanowano żadnych towarzyskich spotkań. Chalsey House był pogrążony w ciszy. Cała rodzina już dawno udała się na spoczynek. Także Isabel miała na sobie nocną koszulę. Przebrała się w nią tylko dlatego, by nie budzić podejrzeń pokojówki. Jak wytłumaczyłaby Penny chęć położenia się w sukience? Na wszelki wypadek zdmuchnęła stojącą przy łóżku świecę, by przypadkowo przechodzący lokaj nie zorientował się, że jeszcze nie zasnęła. Zamiast położyć się do łóżka, wciąż siedziała przy toalecie, co kilka chwil spoglądając na wędrujące w żółtym tempie wskazówki zegarka. Ze zdumieniem zaczęła uświadamiać sobie jedną rzecz: Sullivan Waring znał ją lepiej, niż przypuszczała. Od początku wiedział, że zmuszając go, by jej służył, tak naprawdę wcale nie miała zamiaru go szantażować. Pierwszy ją pocałował, ale później to ona szukała okazji, by znów znaleźć się w jego ramionach. Wiedziała, czym to się może skończyć, a jednak nie potrafiła się wycofać.

Znów spojrzała na zegarek. Do północy pozostało sześć minut. Gdyby Sullivan został uznany przez swego ojca, wtedy mógłby nawet zacząć starać się o jej rękę, nie wywołując wielkiego skandalu. Niestety, teraz był tylko hodowcą koni, włamującym się nocą do siedzib arystokratów, by odzyskać obrazy, których i tak nie mógł nikomu pokazać. Znalazł się na prostej drodze do zguby. Co gorsza, ona także zamierzała na nią wejść.

Sullivan nie chciał się z nią żenić, a jedynie zaspokoić swoje żądze. Ona także pragnęła poczuć jego dłonie i usta na swoim ciele. Czy aby zrealizować grzeszne zakusy, warto tracić cnotę? Przecież kiedyś będzie chciała wyjść za mąż. Oliver wydawał się nią poważnie zainteresowany, ale gdy widziała, jak traktuje Sullivana, coraz bardziej traciła do niego serce. Spotykała się z nim tylko dlatego, by nie zorientował się, jak lubi jego przyrodniego brata. Gdyby Tilden dowiedział się, że straciła dziewictwo z Waringiem, nie chciałby mieć z nią więcej do czynienia. Ta myśl nie zrobiła na niej wrażenia. Jeśli będzie chciała kogoś poślubić, na pewno znajdzie się mężczyzna, który przedłoży korzyści wynikające z mariażu z arystokratką nad pewne braki w jej... charakterze. Jednak nie tylko o utratę dziewictwa tu chodziło. Przekonała się o tym dobitnie zeszłego wieczoru. Dotąd była pupilką towarzystwa, zawsze otoczoną wianuszkami przyjaciółek. Młodzieńcy prześcigali się, by wpisać ich do karnecika. Wczoraj zobaczyła, jak krucha to popularność. Nie wiedziała, co się stanie, gdy utraci ją na zawsze. Czy tylko dzięki osobom okazującym jej sympatię była tym, kim była? Czy warto podjąć ryzyko, by się o tym przekonać?

Cztery minuty... Z trzaskiem zamknęła kopertę zegarka. Wystarczyło, że zostanie dziś w nocy w pokoju, a będzie bezpieczna. Nie przed swoimi pragnieniami i marzeniami, ale przynajmniej przed skandalem i uzyskaniem odpowiedzi na wszystkie dręczące ją wątpliwości.

Włożyła zegarek do szuflady i wstała, zarzucając na siebie peniuar. Ostatnie dwa lata spędziła, bawiąc się i flirtując, tak jak tego oczekuje się od panny z dobrego domu. Nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia ani przeznaczenie. Jednak gdy zaczynała marzyć o Sullivanie Waringu, nie było siły, która przegoniłaby go z jej myśli. Obawiała się, że tak już będzie zawsze, a w każdym razie dopóki nie zrobi tego, na co ma ochotę.

Wzięła głęboki wdech, a potem cicho podeszła do drzwi i ostrożnie je uchyliła. Wciąż mogła zmienić zdanie. Wystarczyło, że pójdzie tylko do kuchni, weźmie jabłko i wróci na górę, tak jak miała zrobić tamtej nocy, gdy zaskoczyła włamywacza w salonie.

Zawahała się z dłonią na kuchennej klamce. Sullivan był zgorzkniałym, złym człowiekiem, zarabiającym na życie pracą własnych rąk. Na drugiej szali stał zamożny wicehrabia, który pewnego dnia odziedziczył tytuł markiza, z wyglądu przypominający Waringa. Gdyby udało jej się oprzeć pokusie, mogłaby zdobyć mężczyznę, którego wprawdzie nie pragnęła, ale który był podobny do obiektu jej westchnień.

Oprzeć się pokusie... Dobrze sobie. Miała ochotę na jabłko, ale nie to z kuchni. Czuła się jak Ewa kuszona przez węża. Kto wie, czy podobnie jak ona nie zostanie wkrótce wygnana z raju. Mimo fizycznego podobieństwa Sullivan miał coś, czego brakowało Oliverowi: niesamowitą energię, żywotność i wiedzę o ludzkiej naturze, którą zdobywał z trudem przez lata.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, już była na zewnątrz i biegła przez noc w kierunku stajni. W pewnej chwili potknęła się i o mało nie upadła. Cicho zaklęła, a potem zdjęła pantofle i postawiła je za kamienną ławką, tak by nikt ich nie zauważył.

Drzwi do stajni były lekko uchylone. Żaden ze stajennych zatrudnionych w Chalsey House nigdy by ich tak nie zostawił. Isabel przygryzła dolną wargę i starając się powstrzymać drżenie rąk, lekko pchnęła skrzydło, by móc przecisnąć się przez szczelinę. Serce waliło jej jak oszalałe. W środku panowała całkowita ciemność. Słyszała tylko oddechy koni i stukanie kopyt o podłogę.

- Sullivan? - wyszeptała prawie bezgłośnie. Czyjeś palce zacisnęły się na jej ramieniu, a druga dłoń zasłoniła jej usta.

- Jesteś bardzo punktualna - wyszeptał Waring wprost do jej ucha.

Zadrzała. Nie czekała na słowa zachęty, tylko sama odwróciła się w jego kierunku, wspięła na palce i przyciągnęła jego twarz do swojej. Pocałowała go, czując, jak obejmuje ją swoimi silnymi ramionami. Jakby otoczyło ją morze ognia.

-Sulli...

- Nic nie mów - wyszeptał, przesuwając dłoń w dół, ku wiązaniu peniuaru. Pociągnął za tasiemki, a kiedy puściły, zsunął go z jej ramion i rzucił na ogrodzenie boksu. - Nic nie mów - powtórzył - bo zmienisz zdanie.

- Nigdy...

Znów ją pocałował. Jego dłonie przesuwały się wzdłuż jej nagich ramion. Miał zgrubiałą skórę u nasad palców. Wiedziała, że to od ciężkiej pracy, ale niczyj dotyk nie działał na nią równie oszałamiająco. Twarde palce wsunęły się pod ramiączka nocnej koszuli. Jeszcze chwila, a całkowicie zatraci się w jego pieścizotach.

- Nie mów mi, co mam robić - wyszeptała między pocałunkami. -I nie przerywaj mi.

Cofnął się o krok. Jej oczy przywykły już do ciemności, mogła więc dostrzec, że przygląda się jej z mieszaniną rozbawienia i irytacji.

- Czy mogłabyś nie podnosić głosu?

- Nic takiego nie zrobiłam - odparła. Trudno było mówić cicho, nadając jednocześnie słowom rozkazujący ton.

Sullivan zsunął lewe ramiączko jej koszuli, a potem pochylił się i przesunął ustami po jej ramieniu.

- Gdybyś była kim innym... - wyszeptał między jednym pocałunkiem a drugim.

- Co przez to rozumiesz?

Poczuła, że się uśmiechnął.

- Nic... Rozkazuj, pani.

Jęknęła cicho, kiedy jego wargi dotknęły jej szyi. Zrozumiała, co chciał powiedzieć. Nie należał do ludzi lubiących, by im rozkazywano, a jednak był gotów poddać się jej woli.

- Zdejmij koszulę! - nakazała drżącym głosem. Znów ją pocałował, prawie wysysając z niej oddech.

- Pragnę cię - powiedział cicho, jednym ruchem uwalniając koszulę ze spodni. Błyskawicznie zdjął ją przez głowę i rzucił obok peniuaru Isabel. Znów chciał ją przytulić, ale w obronnym geście wyciągnęła przed siebie rękę, dotykając jego piersi. Poczuła dotyk delikatnej skóry, pod którą kryły się stalowe mięśnie. Sullivan był od niej silniejszy i bez trudu mógł zrobić, co chciał, ale zatrzymał się.

- Zmieniłaś zdanie? - spytał, mrużąc oczy.

- Rozłóż jakąś derkę. Nie chcę się ubrudzić - powiedziała.

- Niewiele to da - odpowiedział, odchodząc na moment. Gdy wrócił, trzymał naręczce końskich derek, które rozłożył na podłodze pustego boksu. - I wiesz dobrze, że tego brudu nie zmyjesz wodą.

- Myślałam, że masz mnie uwodzić - odrzekła, wchodząc za nim.

- Jesteś bosa - oznajmił niespodziewanie, spoglądając na jej nagie stopy.

- Zostawiłam pantofle pod ławką - odpowiedziała. - Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, że...

- Robisz coś nieprzyzwoitego - dokończył za nią. - Z kimś całkowicie nie do zaakceptowania.

- Wiem, kim jesteś - odparła nieco ostrzejszym tonem. - Starasz się mnie zniechęcić do siebie, czy może boisz się mnie i czekasz tylko, kiedy się znudzę i sobie pójdę?

- Odważne słowa jak na grzeczną panienkę z dobrego domu - mruknął, spoglądając na nią niczym drapieżnik na ofiarę. Poczula, że się czerwieni. Zaczepił palcem o dekolt jej koszuli i przyciągnął do siebie. Drugą ręką sięgnął ku jej włosom, wyciągając z nich spinkę. Bursztynowe loki rozsypały się na jej ramiona.

- Gdybyś nie przyszła, pewnie wszedłbym do twojego pokoju przez okno. Co ty na to?

Zadrzała, kiedy zaczął bawić się jej włosami. Przesunęła dłońmi po jego muskularnej piersi. Nagle dotarł do niej sens wypowiedzianych przez niego słów. Wcześniej twierdził, że daje jej wybór, teraz nie była już tego taka pewna. Pomyśl, że mógłby wejść do jej sypialni, wydał jej się bardzo podniecający.

- Powinieneś przestać tyle mówić - oświadczyła. - Chyba że to wszystko, co masz mi do zaoferowania.

- Naprawdę masz niewyparzony język - roześmiał się krótko, a potem chwycił materiał jej nocnej koszuli i pociągnął, rozrywając cały przód od góry do dołu. Wzdrygnęła się zaskoczona. Zanim zdołała wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie. Znow ją pocałował, namiętnie i głęboko. Dłonią przykrył jej nagą pierś i zaczął drażnić palcami twardniejący sutek. Przeniknął ją rozkoszny dreszcz, prawie pozbawiając zmysłów. Usta Sullivana przesunęły się z jej warg ku szyi, a potem jeszcze niżej. Wstrzymała oddech. Językiem i zębami delikatnie pieścił twardą brodawkę. Isabel jęknęła, wczepiając się palcami w jego włosy. Ledwo trzymała się na nogach. Sullivan zauważył to i ostrożnie

ułożył ją na derkach. Skończył pieścić jej pierś i teraz całował brzuch, a potem zsunął się jeszcze niżej, ku gorącemu zakamarkowi między jej udami. Instynktownie uniosła biodra.

- Sullivan! - jęknęła drżącym głosem.

- Kazałaś mi przestać mówić - powiedział, podnosząc głowę. Klęczał teraz nad nią niczym lew gotów do ataku. Opuścił głowę i zajął się drugą piersią dziewczyny. - Jeśli jednak wolno mi coś powiedzieć - dodał, znów spoglądając na nią - wyznam, że nie widziałem piękniejszej kobiety.

Gwałtownie oddychając, wbiła palce w jego ramiona i zamknęła oczy. Gdziekolwiek dotknął, skóra paliła ją żywym ogniem. Rozkoszne ciepło wypełniało całe ciało, wędrując arteriami wraz z każdym kolejnym uderzeniem serca.

Jego dłoń powoli przesunęła się na jej brzuch, a potem jeszcze niżej. Przez chwilę pieścił palcami złocisty gąszcz między jej udami, potem wsunął je głębiej, w gorące, wilgotne wnętrze. Jęknęła i otworzyła oczy.

- Podniecam cię - wymruczał niskim, zmysłowym głosem, unosząc głowę i spoglądając na nią. - Pragniesz mnie.

Wsunął się jeszcze głębiej. Przez jej ciało przebiegł gwałtowny dreszcz. Wypreżyła się, wyrzucając z siebie jego imię. Przykrył jej usta dłonią.

- Ćśś! - powiedział, rozglądając się, a potem wrócił do przerwanej pieśczoły. Poczula, że dłużej nie wytrzyma.

- Sullivan... - wyszeptała najciszej, jak potrafiła.

- Ty tu rozkazujeś, pani. Co mam teraz zrobić?

Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że jej ciało pragnie więcej pieśczoły.

-Ja...

- Może powinienem zdjąć spodnie?

Także był niespokojny. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, nieco się uspokoiła, choć nadal czuła, że nie jest w stanie myśleć logicznie. Ledwo udało jej się powiedzieć:

- Tak. Zdejmij je natychmiast. Buty też.

Usiadł obok niej. Nie potrafiła powstrzymać się, by go nie dotykać, dlatego także się podniosła i zrzuciła z siebie resztki podartej nocnej koszuli. Położyła mu ręce na ramionach i zaczęła całować po karku. Poczowała w ustach słony smak jego skóry, odurzający niczym najlepsze wino. Czuła, jak pod jej palcami jego mięśnie drżą, i zdała sobie sprawę, że naprawdę ma nad nim władzę. Pragnął jej tak samo jak ona jego. Koniuszkiem języka przesunęła po wargach.

- Zmieniłam zdanie. Znieruchomiał.

- Słucham?

- Myślę, że to ja powinnam zdjąć ci spodnie.

- Bardzo proszę.

Położył się na plecach. Sama nie wiedziała, skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł, ale była z niego zadowolona. Skoro i tak skazuje się na zatracenie, przynajmniej będzie miała w tym swój udział. Sullivan pociągnął ją na siebie i znów zaczął całować. Jego doświadczony palce igrały z jej sutkami.

- Dotknij mnie - wyszeptał jej do ucha. Ujął jej dłoń i położył na wezbranej pożądaniem męskości.

Nawet przez materiał spodni poczuła, jaki jest gorący i twardy. Odruchowo zacisnęła palce. Sullivan odrzucił głowę do tyłu i jęknął. Isabel uniosła się i drżącymi rękami zaczęła rozwiązywać troki przy jego

spodniach. Trudno jej się było skoncentrować, ponieważ dłonie mężczyzny błądziły po jej ciele, pieszcząc każdy jego fragment.

- Podnieś się! - rozkazała.

- Jak sobie życzysz.

Spełnił jej polecenie. Udało jej się zsunąć mu spodnie na biodra. Ujrzała jego dumnie wzniesioną męskość.

- On...

- Za chwilę znajdzie się w tobie - dokończył, jednym ruchem pozbywając się odzienia.

Obrócił ją tak, że Isabel znów znalazła się na dole. Spoglądała w jasnozielone oczy Sullivana, który powoli opadł na nią, a jego członek naparł na jej uda. Już niedługo jej reputacja zostanie całkowicie zrujnowana. Ku swojemu zaskoczeniu zapragnęła, by stało się to jak najszybciej. Waring znów ją pocałował, głęboko i namiętnie. Poczowała, że dłużej nie wytrzyma, każdy nerw jej ciała był napięty niczym struna.

- Pospiesz się! - jęknęła.

- Co mam robić? - zapytał - Powiedz mi, lalczko.

- Chcę cię poczuć w sobie - szepnęła, powtarzając słowa, które usłyszała od niego przed chwilą.

- Jak sobie życzysz - uśmiechnął się. Pchnął biodrami, zmuszając ją, by rozsunęła uda. Czowała, jak w nią wchodzi. Czas się zatrzymał. Istniał tylko Sullivan. Słyszała jego przyspieszony oddech i swoje serce bijące szaleńczo. Przez moment jej ciałem wstrząsnął ból, ale zanim zdążyła krzyknąć, Waring stłumił krzyk pocałunkiem.

- Wybacz - powiedział niespokojnie. - Zapamiętaj to uczucie. Może będziesz musiała odegrać tę scenę przed mężem.

W tej chwili nie chciała, by jej przypominał, że ich związek nie ma przyszłości. Był w niej i to tylko się liczyło. Zaczęła poruszać się wraz z nim. Jej ciało reagowało instynktownie, jakby od dawna wiedziało, co ma robić. Sullivan wchodził w nią głęboko i wycofywał się, coraz szybciej i gwałtowniej. Z każdym jego ruchem ogarniały ją fale rozkoszy, każda potężniejsza od poprzedniej. W końcu poczuła, że dotarła do krawędzi. Wyprężyła się, wbijając paznokcie w jego plecy. Z jej gardła wydobył się długi, zmysłowy jęk. Sullivan poruszał się coraz szybciej i szybciej. Nagle gwałtownym ruchem wycofał się z niej i opadł obok na derki, ciężko oddychając. Dostrzegła, że drży. Jej wiedza o fizycznej miłości była raczej uboga, ale wystarczyła, by zorientować się, że wszystko powinno skończyć się inaczej.

- Sullivan?

- Wybacz - rzekł zduszonym głosem, z trudem łapiąc oddech. - Nie możemy ryzykować, że staniesz się brzemienna.

Nawet o tym nie pomyślała. Przytuliła się do jego ramienia.

- Dziękuję.

- I tak jesteś zrujnowana - powiedział, odwracając się ku niej i delikatnie całując we włosy.

- Już od wczorajszego wieczoru - odpowiedziała słabym głosem. - Do diabła z tym.

Sullivan uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

- Cieszę się, że tak mówisz - rzekł cicho, bawiąc się jej włosami.

- Dlaczego?

- Nareszcie zobaczyłaś, jak głupi i małostkowi potrafią być ludzie z twojej sfery.

Żałowała, że wciąż nie potrafi jasno myśleć. Nie była do końca pewna, co Sullivan chciał powiedzieć ani czy się z nim zgadza.

- Nie wszyscy są tacy - udało się jej zaprotestować.

- Owszem. Ty, Bram, lord Quence i jego rodzina. Może jeszcze dwóch lub trzech innych, których znam.

Palcem zataczał teraz leniwe koła wokół jej piersi. Poczowała, że znów zaczyna ogarniać ją rozkoszne ciepło.

- Pożądałeś mnie, bo chciałeś mnie zrujnować? - spytała. - Czy dlatego, że uważasz mnie za wyjątek.

- Jesteś wyjątkowa - odpowiedział miękko, a potem dodał zupełnie innym tonem:

- Nie możemy tu zostać. Ktoś mógłby nas zobaczyć.

- Więc to już koniec? Dostałeś, co chciałeś, więc możesz iść?

- Co mam zrobić, Tibby? Iść do twojego ojca i prosić o twoją rękę? - uśmiechnął się gorzko. - Poza tym to wcale nie koniec. - Przyciągnął ją do siebie i obdarzył kolejnym namiętnym i głębokim pocałunkiem, który wprowadził jej serce w szaleńczy rytm. - To wszystko jest bardzo skomplikowane - kontynuował po chwili. - Stałaś się moją obsesją. Nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka.

W jej uszach zabrzmiało to jak najpiękniejsza muzyka.

- Rozumiem, co czujesz - odpowiedziała. Przesunęła palcem wzdłuż jego ramienia, aż natrafiła na twardą skórę.

- Tu dostałeś postrzał?

-Tak.

Teraz dotknęła jego lewego uda.

- A to pamiątka po ostatniej eskapadzie?

Roześmiał się.

- Dotykaj mnie w ten sposób, a nigdy stąd nie wyjdziemy - wyszeptał jej do ucha.

- Ładna mi drzazga - mruknęła.- Wielka jak sztacheta z płotu.

- Nie przesadzałbym.

Sullivan wstał. Nagi przypominał greckiego boga. Sięgnął po peniuar i podał go Isabel.

- Musisz się pozbyć koszuli nocnej.

- Trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego jest rozdarta na pół - skinęła głową.

Znów usiadł na derkach, tym razem, by założyć spodnie i wciągnąć buty.

- Zobaczymy się rano.

- Skąd ten pośpiech?

- Wiesz, że nie możemy tu zostać.

- Ale... Nie chcę, żebyś odchodził.

- Bez względu na wszystko, nie zamierzam do końca zrujnować twojej reputacji.

Obserwowała, jak wkłada koszulę, kamizelkę i żakiet. Nagle ją olśniło.

- Chcesz się włamać do czyjegoś domu! Dlatego tak się spieszysz!

Wyciągnął ku niej dłoń i pomógł jej wstać.

- Dziś nie. Jutro - odpowiedział, zawiązując troczki jej peniuaru. - Uważaj na siebie, Tibby. Wiem jedno: gdybym nie odszedł teraz, zostałbym tu z tobą do rana. Dobranoc, laleczko.

Delikatnie pocałował ją w usta i już go nie było. Isabel została sama w ciemnościach, wsłuchując się w odgłosy dobiegające ze stajni. Więc tak to się odbyło. Sullivan pożądał jej, dostał to, czego chciał, odszedł i nie omieszkał jej poinformować, że planuje kolejne włamanie. Nawet nie

zdążyła powiedzieć mu, by tego nie robił. Być może miał rację, uważając, że stanęła po jego stronie. W pewnym sensie została jego współniczką. Gdyby teraz go wydała, do końca życia miałyby wyrzuty sumienia, że skazała swojego kochanka na śmierć lub wygnanie.

Potrząsnęła głową. To nie było ważne. Teraz liczyło się tylko jedno: kiedy znów go zobaczy. Popęłniła straszliwy błąd i nie miała pojęcia, co będzie dalej.

RS

Rozdział 17

Sullivan wymknął się ze stajni Chalsey House. Przeszedł kilka metrów i oparł się o ścianę. Przez chwilę próbował się zastanawiać, co powinien teraz zrobić, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Przed oczami pojawiła mu się twarz Isabel. Znow widział ekstazę w jej spojrzeniu, a potem gorzkie rozczarowanie, gdy powiedział, że zamierza ukraść kolejny obraz. Czego właściwie oczekiwał? Przecież to, co się stało przed chwilą, nie zmieni jej w kogoś innego.

- Jesteś skończonym idiotą! - mruknął do siebie. Nagle usłyszał szelest dobiegający od drzwi stajni. Przesunął się bardziej w cień i dostrzegł Isabel wychodzącą z budynku. Była bosa, ubrana jedynie w ciasno zawiązany peniuar. W dłoni ścisnęła podartą koszulę nocną. Usiadła na kamiennej ławce i zaczęła wycierać stopy. Pochyliła się i wyjęła schowane pantofle. Wstała, po raz ostatni rozejrzała się po dziedzińcu i pobiegła w stronę domu. Sullivan obserwował ją, dopóki nie znikła za kuchennymi drzwiami.

Dotąd nigdy nie przejmował się, że nie należy do londyńskiego towarzystwa i domy arystokratów na zawsze będą dla niego zamknięte. Teraz to się zmieniło. Mroczna strona jego natury triumfowała: posiadł pannę z szanowanej rodziny, zbrukał ją, uczynił równą sobie. Jednocześnie wiedział, że nie spotkał jeszcze tak bystrej, wesołej i uroczej młodej kobiety. Miał rację, mówiąc Isabel o swojej obsesji. Najchętniej zostałby do rana wpatrzony półprzytomnym wzrokiem w jej okno. Zaklął i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Zanim dotarł do domu, musiał jeszcze odebrać Achilleasa z publicznej stajni, w której zostawił go wieczorem.

Znał swoje miejsce w społeczeństwie i wiedział, ile mimo to udało mu się osiągnąć. Kradł, ponieważ ktoś odebrał mu to, co powinno należeć do

niego, a nie było innego sposobu, by mógł odzyskać swoją własność. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, ale po raz pierwszy czuł, że chciałby czegoś więcej od życia. Co miał zrobić? Porozmawiać z Bramem? Nie był w nastroju, by wysłuchiwać kąśliwych uwag przyjaciela i odpowiadać na jego zbyt przenikliwe pytania. Wolałby spotkać się z Phinem, ale ten wciąż był w Hiszpanii. Musiał radzić sobie sam.

Rozejrzał się wokoło i stwierdził, że skręcił w Burton Street. Zatrzymał Achillesa. Po lewej stronie, otoczony starannie utrzymanym ogrodem różanym, stał Sullivan House. Na pewno znajdowały się tam jakieś dzieła jego matki, ale ten dom był jedynym, w którym jego noga nigdy nie postanie. Ani w dzień, ani w nocy. Po raz pierwszy od kilku lat znajdował się tak blisko rezydencji. Kiedy po powrocie z Hiszpanii rozmawiał z Dunstonem o obrazach, spotkali się w Warwickshire. Wtedy też nawet nie został zaproszony do środka.

Zeskoczył z konia i podszedł kilka kroków bliżej, wpatrując się w ciemne okna. W środku spał markiz i jego przeciętna żona Margaret Sullivan oraz dwoje ich młodszych dzieci: Walter i Susan. Oliver miał własny dom.

Sullivan przykucnął i podniósł kamień leżący na podjeździe. Wstał i wykonał mocny zamach. To, co robił, było głupie i niegodne człowieka, za jakiego się uważał, ale nie potrafił się powstrzymać. Rozległ się przeraźliwy dźwięk tłuczonego szkła i jedna z szyb rozsypała się na kawałki. Waring wskoczył na grzbiet Achillesa i obserwował, jak w domu zapalają się światła. Nie poczuł się lepiej. Pokręcił głową i klusem ruszył przed siebie.

- Co ci się stało? - spytał Bram Johns.

Sullivan, siodłający Achillesa, odwrócił się, posyłając mu pytające spojrzenie.

- To znaczy?

Przyjaciel wskazał jego twarz.

- Do karnawału jeszcze daleko. Nie wiem, czy sinofioletowy będzie najmodniejszym kolorem na balach maskowych. Wyglądasz strasznie.

Prawie zapomniał o pobiciu. To naprawdę wydarzyło się zaledwie wczoraj?

- Trafił mi się zbyt nerwowy rozmówca. Dlaczego przyjechałeś?

- Czy muszę mieć powód, by odwiedzić przyjaciela?

- Jeszcze nie ma dziesiątej. To dla ciebie błądy świt.

Waringowi trudno było zachować spokój. W tej chwili marzył tylko o jednym: wskoczyć na grzbiet Achillesa i pogalopować do Chalsey House. Do Isabel. Był zaskoczony, jak bardzo nie może doczekać się spotkania.

- Masz rację. Przyjechałem w pewnej sprawie.

Sullivan odliczył myślach do pięciu.

- Jakiej?

Bramwell rozejrzał się po stajni, w której uwijało się kilkudziesięciu ludzi.

- Naprawdę chcesz, bym rozmawiał tu z tobą o pewnej dzierlatce?

- Wystarczy! - warknął wściekle Sullivan. Kilku stajennych spojrzęło na niego zaskoczonych. - Wyjdźmy na dwór.

Bram ruszył pierwszy. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo.

- Mam do ciebie prośbę. Właściwie dwie.

Sullivan spojrzęło na niego podejrzliwie.

- Jakiej?

- Dziś jem obiad z Quence'em. Dobrze by było, gdybyś wprosił się do niego na lunch.

Waring poczuł ukłucie niepokoju.

- Coś się stało Phinowi?

- Nie, ale jego starszy brat chyba nie czuje się tak dobrze, jak chciałby, byśmy myśleli. Lubi cię, dlatego pomyślałem, że powinieneś go odwiedzić i zapytać, co się dzieje. Mnie ani Phinowi nie powie ani słowa, ale przed tobą może się otworzyć.

Kolejny element niepasujący do dziwnej z pozoru układanki, jaką był charakter Bramwella Johnsa. Bez mrugnięcia okiem łamał kobiece serca, ale szczerze przejmował się losem kalekiego brata swojego przyjaciela.

- Zaraz wyślę do niego wiadomość, że chętnie zjem dziś lunch z nim i Beth. Co to znaczy, że nie czuje się dobrze?

- Beth mówiła, że kaszle i lekko gorączkuje. Może to nic poważnego, ale kto wie.

Sullivan skinął głową.

- A druga prośba?

- Nie chodź dziś w nocy do Fairchild House.

Tego się nie spodziewał.

- Sam mi powiedziałeś, że mają obraz.

- Owszem, ale ostatnim razem książkę omal nie wpakował ci kulki w łeb. Fairchild to prawdziwy furia, a strzela jeszcze lepiej niż Levonzy.

- Martwisz się o mnie?

- Ja? Przecież mnie znasz. Po prostu jesteś jedynym człowiekiem, który ma gorszego ojca niż mój. Znajomość z tobą pozwala mi spoglądać inaczej na wiele spraw. Nie chciałbym się tego pozbawiać.

- Rozumiem. Dostałem już tyle postrzałów, że jestem na nie uodporniony. Możesz spokojnie zająć się swoimi sprawami.

- To nie było zbyt uprzejme - mruknął Bram.

- Spieszę się i nie chcę się spóźnić.

- By trenować konia? W Chalsey House jesteś bezpieczny. Gdyby lady Tibby chciała cię wydać władzom, już dawno by to zrobiła.

Oczywiście wyobraźni Sullivan ujrzał twarz Isabel otoczoną burzą złocistych włosów. Poczul, jak ogarnia go fala gorąca. Potrząsnął głową, by pozbyć się wizji.

Bram przytrzymał go za ramię.

- Zostawisz dziś Fairchildów w spokoju?

-Nie.

- Przeciągasz strunę.

- Będę pamiętał o twoich ostrzeżeniach.

- Gdybym miał serce, czułbym się zraniony. Po co to wszystko? Przecież nigdy nie będziesz mógł nikomu pokazać tych obrazów.

- Chcę sprawiedliwości. Reszta się nie liczy.

Aż do ubiegłej nocy nie potrafił znaleźć słów, by wyrazić, czego naprawdę chciał, ale wiedział jedno: Dunston i jemu podobni zabrali mu już zbyt dużo. Jeśli, dając się schwytać, miałby okazję publicznie obnażyć hipokryzję markiza, był gotów ponieść ofiarę. Teraz to się zmieniło. I Isabel miała w tym swój udział.

Wjechał na dziedziniec stajni Chalsey House w momencie, gdy zegar na kościelnej wieży zaczął wybijać dziesiątą. Stajenni zdążyli już osiodłać Molly na wypadek, gdyby Isabel chciała pojeździć. Zephyr czekała w boksie. Znów założył jej uzdę i siodło, ściągnając popręg mocniej niż poprzednio. Wyprowadził klacz z boksu i przemawiając uspokajająco, położył jej na grzbiecie dwa worki z piaskiem. Zephyr niespokojnie zastrzygła uszami, ale nie zauważył innych oznak zaniepokojenia.

- Grzeczna dziewczynka! - pochwalił ją, podając jej jabłko wyjęte ze stojącej w stajni beczki.

Przez szeroko otwarte drzwi wpadł lekki powiew wiatru, niosąc delikatną woń cytryny, która przebiła się przez zapach koni i uprząży. Sullivan poczuł, jak podnoszą mu się włosy na ramionach. Isabel...

Na chwilę zamknął oczy, rozkoszując się delikatnym aromatem. Potem otworzył je i się odwrócił.

- Dzień dobry - powiedział spokojnie.

Stała na progu ubrana w zieloną amazonkę i uroczy kapelusik. Wyglądała cudownie. Poczuł, jak ogarnia go fala pożądania. Pragnął jej jak jeszcze żadnej kobiety.

- Dzień dobry - odpowiedziała, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Dziś jestem punktualnie - rzekł, byle się odezwać.

- Zauważyłam.

Jej spojrzenie powędrowało z jego twarzy w dół i z powrotem, budząc jego męskość. Gorączkowo zaczął wymieniać w myśli części, z których składa się siodło. Trochę pomogło.

- Chciałabym dziś znów pojeździć.

Te słowa przypomniały mu, co robili w nocy. Tym razem skupił się na workach z owsem.

- Dobrze - powiedział całkiem spokojnie. - Najpierw wezmę Zephyr na lonżę, a potem możemy wybrać się do Hyde Parku.

- Wyjedziemy z padoku? - policzki Isabel przybrały barwę papieru.

- Na spacer. Będę jechał obok ciebie.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Zdecyduj... - Kątem oka zauważył wchodzącego do stajni Phillipa i dokończył: -... pani. Nie był pewien, czy ma dziękować losowi, czy go przeklinać, że nie może po prostu stać i patrzeć na Isabel przez cały dzień.

- Czy dobrze słyszałem? - zapytał lord Chalsey, całując siostrę w policzek - Wybierasz się na przejażdżkę? To wspaniale, Tibby!

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Chętnie bym wam towarzyszył, ale razem z grupą przyjaciół z uniwersytetu jedziemy odwiedzić naszego starego profesora.

- Przy okazji będziesz mógł pochwalić się Ulissem - powiedziała Isabel, nie spuszczając wzroku z Sullivana.

- Co poradzę, że mam najwspanialszego konia do polowań w całym Londynie? - Roześmiał się i wyciągnął rękę w kierunku Sullivana. - A to dzięki panu Waringowi.

Sullivan nie mógł się powstrzymać od myśli, że gdyby młodzieniec miał pojęcie, co zeszłej nocy działo się w stajni, nie wymienialiby teraz uścisku dłoni, ale stali naprzeciw siebie z pistoletami. Ponieważ jednak nie zamierzał robić afrontu bratu Tibby, uściśnął prawicę Phillipa.

Lord Chalsey skinął na Phippsa i odszedł w kierunku boksu Ulissesa.

Waring spojrzał na Isabel, czekającą przy wejściu do boksu.

- Chciałbym wyprowadzić Zephyr.

- Proszę.

Odsunęła się, robiąc mu przejście. Mijając ją, ukradkowo ścisnął jej dłoń, nie zwalniając kroku. Było gorzej niż poprzednio, kiedy pragnął jej, nawet nie przypuszczając, że jego marzenia mogą się spełnić. Teraz wystarczyło, by poczuł zapach jej skóry, a tracił zdolność logicznego myślenia.

- Chodźmy! - rzucił, zwalczając chęć odgarnięcia z jej twarzy zabłąkanego pasma złocistych włosów.

Przytaknęła skwapliwie i ruszyła za nim na padok. Przez chwilę pozwoli Zephyr kłusować po okręgu, obserwując ułożenie worków na siodle. Klacz chodziła miękko, co rokowało dobrze na przyszłość.

- Jest bardzo ładna - odezwała się stojąca za nim Isabel.

- Ty też - mruknął.

- Przestań!

Miała rację.

- Prr! - zawołał. Klacz posłusznie zatrzymała się. Sullivan podał lonżę Isabel.

- Teraz ty.

- Nie potrafię! - zaprotestowała, ale nie cofnęła się tak jak w poprzednie dni.

- Potrafisz. Będę przy tobie. Zephyr musi przyzwyczaić się do twojego głosu i dotyku.

Spojrzała na niego, z łatwością odczytując z jego twarzy to, czego nie powiedział głośno. Przez chwilę obawiał się, że odmówi, skrzyżuje ręce za plecami i odejdzie, jak to miała w zwyczaju, ale ku jego zaskoczeniu wzięła koniec lonży.

Zephyr zastrzygła uszami i uderzyła kopytem w ziemię.

- Co mam robić? - spytała Isabel.

- Pociągnij raz za lonżę i każ jej ruszyć stępa. Nie napinaj liny. Gdy będziesz chciała, by stanęła, zawołaj „prrr”, a „kłus”, by zaczęła kłusować. Nie okazuj słabości.

- Łatwo powiedzieć - mruknęła. - Tylko nigdzie nie odchodź!

- Nie zamierzam.

Wzięła głęboki wdech.

- Ruszaj, Zephyr! - zawołała.

Lady Darshear poprawiła się w fotelu przysuniętym do okna salonu i spojrzała na męża.

- Chyba mamy problem - powiedziała.

Harry Chalsey, markiz Darshear, spojrzał na zegarek, poczym zamknął kopertę i schował go do kieszeni kamizelki. Zrezygnował dziś z udziału w porannych obradach parlamentu, ale teraz nie był pewien, czy dobrze zrobił, zostając w domu.

- Pomógł jej przezwyciężyć strach, z którym nie mogliśmy sobie poradzić przez lata.

- W jego oczach widać, że darzy ją czymś więcej niż tylko przyjaźnią.

Musiał przyznać żonie rację. Co gorsza, w oczach Isabel dostrzegł ten sam żar.

- Odesłanie go teraz tylko potwierdziłoby plotki.

- Mogłoby też oznaczać, że dbamy o dobre imię naszego domu. Musimy coś zrobić, Harry. To przecież... człowiek z ludu.

- Cieszy się wielkim poważaniem.

- Jest hodowcą koni! Naprawdę zgodziłbyś się mieć go za zięcia? Jego własny ojciec go nie uznał! To człowiek bez nazwiska. Co będzie, jeśli okaże się, że także bez honoru? Widziałeś, ile złego uczyniła jedna plotka. Gdyby okazała się prawdą, Tibby byłaby zgubiona.

- Może martwimy się na zapas - odpowiedział po chwili zastanowienia, nie do końca pewien swoich słów. - W przyjaźni nie ma nic złego. Za kilka dni usłyszymy jakąś nową sensację i tamto pójdzie w niepamięć.

- Jesteś zbyt pobłażliwy. Pozwolenie Tibby na kontynuowanie tej znajomości nie przyniesie nam i jej nic dobrego. Szczególnie że jest nią zainteresowany Oliver Sullivan.

- Wiem, Helen - odrzekł nieco ostrzej, niż zamierzał. - Jednak nasza interwencja mogłaby sprawić, że Isabel by się od nas odwróciła, a wtedy Bóg jeden wie, co mogłaby zrobić.

Markiza westchnęła.

- Będziemy mieć ich na oku. To, że go podziwiasz, nie znaczy, że zaakceptujemy go w innej roli niż nauczyciela.

- Oczywiście, moja droga. Kiedy tylko nasza córka nauczy się jeździć, odprawimy go. Tibby znajdzie sobie inny obiekt westchnień i wszystko będzie jak dawniej.

- Obyś miał rację. Nie zamierzam jednak siedzieć z założonymi rękami.

- Ja też nie.

Isabel wbiegła do domu, by napisać krótką wiadomość dla Barbary i odwołać wspólny lunch i zakupy. Jeszcze kilka dni temu na samą myśl o konnej przejażdżce poczułaby dreszcz przerażenia. Nigdy też nie zrezygnowałaby z tego powodu ze spotkania z przyjaciółką. Szczerze mówiąc, radość, jaką odczuwała w tej chwili, miała niewiele wspólnego z perspektywą siedzenia w siodle. Liczyło się tylko to, że spędzi kilka godzin z Sullivanem. Pewnie pojawią się kolejne plotki, ale po ostatniej nocy przestała się tym przejmować. Przynajmniej na razie. Obojętne, jak się zachowa, ludzie i tak będą gadać.

Błyskawicznie skreśliła kilka słów wyjaśnienia, oddała list kamerdynerowi i wróciła na dziedziniec stajni.

- Gotowa? - spytał Sullivan, prowadząc Molly w kierunku bloku do wsiadania.

To było nieuniknione. Z lekkim drzeniem wspięła się na kamienny postument. Jedną rękę oparła na ramieniu Waringa, a stopę postawiła na jego złożonych w koszyczek dłoniach. Po chwili już siedziała w siodle. Poprawiła się, by było jej wygodniej, i spojrzała w dół, na jego uniesioną w jej kierunku twarz. Przez chwilę miała ochotę pochylić się i pocałować go. Sullivan musiał wyczytać to z jej oczu, bowiem rozejrzał się i powiedział trochę za głośno:

- Pamiętaj, jak trzymać wodze?

- Tak, oczywiście!

Pokazał jej krótką linę, którą doczepił do uzdy Molly.

- To na wszelki wypadek, gdybyś nie mogła jej opanować.

Isabel skinęła głową i chwyciła wodze, tak jak ją nauczył. Waring zręcznie wskoczył na grzbiet Achillesa. Zobaczyła, że jeden ze stajennych, Delvin, także dosiada konia. A niech to! Zapomniała, że musi mieć przyzwoitkę, choć przejażdżka była tylko częścią lekcji.

- Trzymaj się z tyłu, Delvin! - polecił Sullivan. - Molly jest bardzo spokojna, ale nie chcę, żeby ktokolwiek przestraszył ją, galopując za nami.

Mężczyzna przytknął palce do róna kapelusza.

- Tak jest, panie Waring!

Sullivan uśmiechnął się, by dodać Isabel odwagi.

- Kaź jej ruszyć - powiedział.

Starając się powstrzymać drzenie dłoni, dziewczyna puściła luźno wodze i lekko cmoknęła. Choć wydawało jej się, że jest przygotowana na to, co stanie się za chwilę, o mało nie zsunęła się z siodła, kiedy klacz zrobiła pierwszy krok.

- Grzeczna dziewczynka! - szepnęła, klepiąc konia po karku.

Obok niej Sullivan spokojnie jechał stępa na Achillesie. Pewnie wolałby galopować, ale dla niej takie tempo było najzupełniej wystarczające. Na krótką chwilę w jej myślach pojawiło się wspomnienie ciągniętej przez konie Mary. Zacisnęła dłonie na wodzach. To już przeszłość. Dziś koń będzie się jej słuchać. Zresztą Sullivan na pewno nie pozwoli, by stało się coś złego.

Gdy wyjechali na ulicę, minął ich wóz z mlekiem. Isabel zeszywniała.

- Patrz na uszy Molly, jeśli nie wiesz, jak zareaguje - usłyszała spokojny głos swojego przewodnika. - Widzisz? Usłyszała mój głos i znów jest skoncentrowana. Jeśli zobaczysz, że słucha czegoś innego, przypomnij jej, kto tu rozkazuje. Isabel skinęła głową.

- Wiem, że zachowuję się głupio.

- Wcale nie. Jesteś bardzo odważna.

- Nie żartuj ze mnie!

Spojrzała na niego. Miał poważną minę.

- Nie mam zamiaru. Twój strach przed końmi był w pełni uzasadniony. Moim zadaniem jest pokazać ci, jak unikać w przyszłości niebezpiecznych sytuacji, ale to ty sama podjęłaś decyzję, by zmierzyć się ze swoim lękiem i nauczyć się jeździć.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Dziękuję, Sullivanie.

Również się uśmiechnął i lekko skinął głową.

- Nie ma za co, Isabel.

Kiedy wjechali na teren Hyde Parku, nie mogła się powstrzymać, by nie rozglądać się w poszukiwaniu znajomych twarzy. O tej porze dnia parkowe aleje były zatłoczone i bez trudu zauważyła kilka znanych sobie

powozów i jeźdźców. Wszyscy mogli zobaczyć, że wybrała się na przejażdżkę w towarzystwie Sullivana Waringa. Na pewno pojawią się kolejne plotki. Tym razem część z nich na pewno będzie prawdziwa. Nagle zmroziła ją myśl: a jeśli Sullivan zostanie schwytany podczas dzisiejszego włamania? Nie chciała psuć tej pięknej chwili, ale nie mogła się powstrzymać.

- Czy mogę cię o coś prosić? - zapytała, czując, że miły nastrój pryśnie za chwilę jak bańka mydlana.

- O co?

- Nie włamuj się dziś... Zobaczyła, że zacisnął szczęki.

- Isabel...

- Spójrz, ilu ludzi na nas patrzy - przerwała mu. - Nie przeszkadza mi, że wiedzą o naszej... przyjaźni i nie obchodzi mnie, co będą mówić, ale czy wiesz, co się stanie, jeżeli zostaniesz schwytany? Albo ranny? - jej głos załamał się.

- Przyjaciele - powiedział ponuro. - Znow do tego wracamy.

- Zostawisz mnie tu, jeśli będę mówić dalej?

- Oczywiście, że nie - odparł, zaciskając usta.

- Naprawdę uważam cię za swojego przyjaciela. I dlatego proszę, byś przestał ryzykować wolność i życie dla...

-I twoją reputację.

- Ją także.

- Myślisz tylko o sobie. Mężczyźni!

- Ty też! - wybuchła. - Nawet tego nie widzisz, prawda? Nie miałam pojęcia, że obraz, który dał nam Oliver, należał do kogoś innego. Kogo chcesz zranić?

- Nikogo - odparł sztywno. - Chcę odzyskać swoją własność. Gdybym starał się zrobić to zgodnie z prawem, nigdy by mi się nie udało.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Chcesz zemścić się na swoim ojcu, lordzie Dunstonie.

- Nie nazywaj go moim ojcem!

- A ja? - naciskała. - Co ze mną? Ostatnia noc będzie miała dla mnie konsekwencje, bez względu na to, jakie podjąłeś... środki ostrożności.

- Sama do mnie przyszedłaś, więc nie wiń mnie za utratę cnoty.

Poczuła, że się czerwieni.

- Nie o to mi chodzi! Stałeś się częścią mojego życia i nie żałuję tego.

- W takim razie zrobię, co zechcę. Ty także, jak sądzę.

- Co to ma oznaczać?

Ściągnął wodze, zatrzymując Achillesa. Niechętnie zrobiła to samo z Molly.

- Nie rozumiem, dlaczego tak bronisz lorda Fairchilda! - prawie ryknął. - Ten człowiek ma coś, co należy do mnie. Poza tym jest gotów rozpowszechniać plotki o tobie z równą gorliwością jak wszyscy.

A więc kolejną ofiarą będzie rodzina Fairchildów!

- Nie bronię go. Ten człowiek może nie mieć pojęcia, że zrobił coś złego. Proszę cię tylko, byś nie narażał się na niebezpieczeństwo. Zresztą, jak chcesz się włamać dziś w nocy, skoro w rezydencji odbędzie się bal maskowy?

- Wiem o tym. Będziesz tam, prawda?

- Nie rób tego!

Przyglądał się jej przez długą chwilę.

- Powiedz szczerze, czy posłuchałabyś mnie, gdybym poprosił, żebyś więcej nie spotykała się z Tildenem?

Był o nią zazdrosny!

-Ja...

- Pochodzimy z dwóch różnych światów. Chciałbym spędzać z tobą kolejne noce, ale nigdy nie będziemy do siebie należeć. W dzień jestem tylko człowiekiem, którego zatrudniłaś, by nauczył cię jeździć konno. Nie myśl, że nie zauważyłem, jak rozglądasz się po parku, czy ktoś z twoich znajomych przypadkiem nie zobaczy nas razem - westchnął głęboko. - Muszę się trzymać z dala od ciebie. Sprawiałaś, że zapomniałem o rzeczach, o których zawsze powinienem pamiętać.

- Nie obchodzą mnie plotki - odpowiedziała, czując przejmujący ból w sercu. Zrozumiała, że jeśli go teraz nie przekona, mogą już nigdy się nie zobaczyć. - Naprawdę uważam cię za przyjaciela.

- Nie chcę nim być - odwrócił głowę. - To mi nie wystarczy.

-Ale...

- Pod koniec tygodnia zaczniesz jeździć na Zephyr. Potem już nie będziesz potrzebowała mojej „przyjaźni”. Tak będzie lepiej i bezpieczniej dla nas obojga.

Cmoknął na Achillesa i konie ruszyły stępa. Isabel jechała, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma. A więc za tydzień będzie po wszystkim. Więcej nie spotka Sullivana. Miał rację: przyjaźń to za mało. Nie miała pojęcia, jak to zmienić, i nie była pewna, czy w ogóle tego chce.

Rozdział 18

Pomysł przebrania się za motyla wydawał się genialny, jednak Isabel szybko zorientowała się, że ma pewne wady. Najpierw jednym z usztywnianych, półprzezrzystych skrzydeł o mały włos nie wytrąciła matce z ręki kieliszka madery, a wkrótce potem natknęła się na Eloise Rampling ubraną w podobny kostium, tyle że w odcieniach żółci i zieleni. Ona sama wybrała głębokie błękity z dodatkiem fioletu i uważała to zestawienie za znacznie atrakcyjniejsze. Czuła się wolna i otoczona nimbem tajemnicy. Choć uchwyciła kilka nieprzychylnych spojrzeń, tego wieczoru jej karnecik był prawie pełen.

Na prośbę Olivera zarezerwowała dla niego pierwszego walca. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, jak zbliża się w jej kierunku w masce tygrysa zasłaniającej połowę jego twarzy.

- Dobry wieczór! - przywitała go. - Wyglądasz bardzo groźnie.

Miał na sobie czarny frak, pomarańczową kamizelkę i czarne rękawiczki. Rzeczywiście przypominał drapieżnika czającego się do ataku. Przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia, że wydał jej się tak niesamowicie atrakcyjny.

Pochylił głowę w ukłonie i sięgnął po jej karnecik.

- W powozie Tildena pękło koło - usłyszała znajomy głos. - Sądzę, że pojawi się dopiero pod koniec balu.

Sullivan!

Twarz Isabel przybrała kredowobiałą barwę, którą na szczęście zamaskował makijaż w kolorach motyli skrzydeł. Chwyciła Waringa za ramię i wyszeptała głosem pełnym przerażenia:

- Co tu robisz?!

- Proszę o walca - odpowiedział, wpisując słowo „tygrys” obok nazwy tańca. - Dziękuję, że go dla mnie zostawiłaś.

-Ale...

Ujął jej rękę i uklonił się, delikatnie ściskając jej palce.

- Chciałem zobaczyć coś innego niż wnętrze stajni. Każ mi odejść, a już mnie nie zobaczysz.

- Skąd wiedziałaś, że Oliver będzie przebrany za tygrysa?

Posłał jej szelmowski uśmiech.

- Mam swoje sposoby.

- Czy... Czy udało ci się już odzyskać swoją własność?

- Później.

To oznaczało, że zamierza z nią zatańczyć, zanim dokona kradzieży. I jedno, i drugie było niezwykle ryzykowne. Gdyby ktokolwiek odkrył jego tożsamość... Bała się nawet o tym pomyśleć. Jednak poczuła się podekscytowana.

- Chcesz dać się złapać? - zapytała, by nie zauważył, jak bardzo fascynuje ją ta sytuacja.

- Nie dziś wieczorem.

- Witaj, Oliverze! - rozległ się głos Phillipa. Brat Isabel podszedł do nich, wyciągając rękę na powitanie. - Powinienem być wybrać groźniej wyglądający kostium.

- Nonsens! - pospiesznie wtrąciła Isabel, aby Sullivan nie musiał się odzywać. - Jeleń to bardzo majestatyczne zwierzę.

- To rogi są wyjątkowo ciężkie. Mogę ci je dać, jeśli chcesz.

Orkiestra zaczęła grać walca i Sullivan wyciągnął ku niej dłoń.

- Wybaczysz nam? - przeprosiła Isabel i razem odeszli w kierunku zatłoczonego parkietu. Sullivan otoczył ręką jej kibić i kiedy miała spytać,

czy w ogóle wie, jak się tańczy walca, wykonał pierwszy krok. Naprawdę był świetnym tancerzem. Poruszał się pewnie i z gracją. Zza czarno-pomarańczowej maski błyskały jego bladozielone oczy.

- Jesteś szalony - wyszeptała. - Całkowicie.

- Jak wiesz, przyzwyczailem się do noszenia maski.

- Na tej sali są prawie wszyscy, których okradłeś. Co będzie, jeśli postanowię cię wydać?

- Nie zrobisz tego, laleczko.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ też jesteś odrobinę szalona. Tańczysz z hodowcą koni - pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Może powinienem wpisać się jeszcze do innych karnecików?

- To byłoby bardzo ryzykowne - poza tym wcale nie chciała, by tańczył z innymi kobietami. W końcu przyszedł tu dla niej.

- Nie narzekasz dziś na brak partnerów. Twój karnecik jest prawie pełny.

- Zostało kilka wolnych miejsc. Poza tym to moja sprawa.

- Chętnie podyskutowałbym na ten temat, ale walc jest na to zbyt krótki.

Lekko przyciągnął ją do siebie. Wystarczyło, żeby pochyliła się jeszcze trochę i mogłaby go pocałować. Wszyscy myśleliby, że to Oliver, więc Sullivan byłby bezpieczny. Jednak jej reputacja znów by ucierpiała. Westchnęła.

- O czym myślisz, Tibby? - zapytał szeptem.

- Że chciałabym cię pocałować.

Sullivan na moment stracił rytm.

- A niech cię, Tibby!

Uśmiechnęła się. Świadomość, że potrafi jednym zdaniem wyprowadzić go z równowagi, była niezmiernie podniecająca. Oczywiście, on też potrafił sprawić, że traciła pewność siebie, ale coraz bardziej zaczynało jej się to podobać.

- A gdyby mój karnecik był pusty?

- Przetańczyłbym z tobą cały bal.

- A gdyby był pełny?

- Dałbym komuś po głowie i zatańczył z tobą zamiast niego.

Na jej twarzy znów pojawił się uśmiech, choć biorąc pod uwagę jego czyny, mógł mówić zupełnie serio.

Pozwoliła nieść się muzyce, zatopiła w ramionach Sullivana, pewnie prowadzącego ją po parkiecie. Taniec z nim był czymś wspaniałym. Przez chwilę wyobraziła sobie, że naprawdę został zaproszony na bal, a nie wśliznął się, udając kogoś innego. Chciałaby dać mu każdy taniec. Gdyby w tej chwili powiedział jedno słowo, poszłaby za nim bez wahania.

Wróciła do rzeczywistości i rozejrzała się po sali. Zauważyła, że przygląda im się kilka osób. Nic dziwnego, stanowili piękną parę. W tej chwili uświadomiła sobie dwie rzeczy: bardzo, bardzo lubi Sullivana Waringa, a on musi opuścić salę, zanim pojawi się prawdziwy Oliver.

Walc skończył się zbyt szybko. Rozległy się krótkie brawa, a potem Sullivan ścisnął jej rękę.

- Muszę iść - powiedział, przesuwając kciukiem wzdłuż jej dłoni. - Jeśli ktoś zauważy, że coś znikło z rezydencji, ty nic nie wiesz. Pamiętaj, jesteś pewna, że tańczyłaś z nim.

Skinęła głową. Sullivan posłał jej pożegnalny uśmiech i zniknął w tłumie. Nie musiał tak się o nią troszczyć. W końcu to ona sama wplątała się

w tę całą historię, ryzykując utratę reputacji. I była gotowa stracić ją do reszty, byleby przetańczyć z nim całą noc.

- Piękna panno Motyl - rozległ się przytłumiony głos. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z młodzieńcem ukrytym za maską dzika. - Kadryl jest mój.

Wyciągnęła rękę.

- Oczywiście, panie Henning. A może powinnam powiedzieć: panie Dziku?

Francis Henning zachichotał.

- Dopiero niedawno zorientowałem się, że mówiąc na mnie „dzik”, nikt nie chce mnie obrazić. Myślałem, że chodzi im o „dziki”.

Zmusiła się do śmiechu. Żart nie był zbyt wyszukany, ale młodzian starał się przynajmniej być zabawny. Najważniejsze, że chciał z nią zatańczyć.

- W takim razie pozostanę przy panu Henningu.

Kiedy orkiestra zaczęła grać, rozejrzała się w poszukiwaniu Sullivana, ale nigdzie go nie dostrzegła. Ich znajomość od początku otaczał nimb tajemnicy, jednak im więcej dowiadywała się o Waringu, tym bardziej była nim zainteresowana. To, że zmierzał ukraść dziś kolejny obraz, wydawało jej się teraz mało ważne. Przyszedł, ponieważ chciał z nią zatańczyć.

Sullivan powiesił swoją najnowszą zdobycz na ścianie w niewielkim pokoju bez okna, ukrytym na tyłach domu. Odzyskał już dwanaście obrazów. Pozostały jeszcze tylko dwa. Potem niechętnie, ale skończy z włamaniami, choć każde było kolejnym policzkiem wymierzonym Dunstonom. Uniósł lampę, oświetlając ciasne wnętrze. Powiedział Tibby, by nie martwiła się o niego, i z tego, co słyszał, Fairchildowie wciąż nie mieli pojęcia, że zostali obrabowani podczas balu. Pewnie zorientują się rano. Bez

względu na to, kogo obwinia, wiadomość o zuchwałym napadzie prędzej czy później dotrze do Dunstona, który będzie doskonale wiedział, kto za tym stoi. O nic innego mu nie chodziło.

Zanim opuścił pokój, wyjął z obszernych kieszeni płaszcza inne skradzione przedmioty: srebrną tacę na wizytówki, grawerowany zegarek i parę pojedynkowych pistoletów o rękojeściach inkrustowanych kością słoniową. Dołączyły do kolekcji pozostałych trofeów zabieranych wyłącznie po to, by utrudnić stróżom prawa ustalenie tożsamości Rabusia z Mayfair.

Przerzucił płaszcz przez ramię i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz. Gospodyni przygotowała pieczeń, której aromat roznosił się po całym domu. Spojrzał na zegar stojący na kominku. Dochodziła pierwsza w nocy, ale nie czuł się jeszcze senny. Wręcz przeciwnie - rozpierała go niezwykła energia jak zwykle, kiedy udało mu się dokonać włamania i wymknąć, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Tym razem był jeszcze bardziej podekscytowany niż zwykle. Zatańczył z Isabel i to na oczach kilkuset zaproszonych na bal gości. Kiedyś w podobnej sytuacji poszukałby jakiegoś damskiego towarzystwa. Oczywiście, nie myślał o zwykłych ulicznicach. Te były żalosne i myślały tylko o pieniądzach. Znał jednak kilka dobrze urodzonych dam, które w swoim życiu dokonały złych wyborów i znalazły się poza nawiasem społeczeństwa. One potrafiły docenić jego towarzystwo i nie miały złudzeń co do przyszłości. Dziś było inaczej: pragnął tylko jednej, szczególnej kobiety, Isabel, obawiał się jednak, że swoją lekkomyślnością może przyczynić się do jej upadku. Dziś już wystarczająco ryzykowali. Nie był pewien, czy jest sens bardziej kusić los.

- Niech to diabli! - zaklął cicho, wchodząc do salonu. Sięgnął po butelkę wina, ale rozmyślił się i nalał sobie brandy. Wychylił kieliszek, odstawił go i wstał. Narzucił czarny płaszcz, w którym dokonywał

kradzieży, i wybiegł z domu. Sprawdzi chociaż, czy Tibby bezpiecznie dotarła do swojej rezydencji, i dowie się, czy na balu nie doszło do towarzyskiego skandalu z jej udziałem. Tylko tyle. Chwila rozmowy i nic więcej.

Wszedł do stajni. Uznając, że Achilles wystarczająco się dzisiaj napracował, osiodłał swojego ulubionego wałacha Parysa i pogalopował w stronę Mayfair. Zostawił wierzchowca w publicznej stajni i ostatnie pół mili dzielące go od Chalsey House przebył pieszo. Przez całą drogę zastanawiał się, czy postępuje rozsądnie.

Kiedy zbliżył się do rezydencji, zauważył, że w oknach wciąż widać światła. Najwyraźniej bal już się skończył, ale Chalseyowie nie udali się jeszcze na spoczynek. Na podjeździe zauważył powozy. A więc nie byli sami! Podkraść się bliżej i ukrył w cieniu wiązków rosnących przed domem. Na drzwiach pierwszego pojazdu rozpoznał herb Stanleyów. Widocznie Barbara i jej rodzice wstąpili z krótką wizytą. Drugi herb przywołał na jego twarz grymas wściekłości. Powinien się tego spodziewać: Tilden! Spóźniony tygrys najwyraźniej nie zakończył jeszcze polowania.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe. Sullivan ukrył się za pniem. Na progu pojawiła się lady Barbara, jej młodsza siostra i rodzice razem z całą rodziną Chalseyów. Waring wstrzymał oddech. Ujrzał Isabel wciąż ubraną w swoją oszałamiającą błękitno-fioletową kreację. Choć motyle skrzydła były złożone, i tak wyglądała nieziemsko, niczym wróżka z krainy baśni. Jej jasne włosy udekorowane wstążkami spływały na plecy falującą kaskadą. Była jak klejnot między polnymi kamieniami. W innym, lepszym świecie mogła należeć do niego.

Lord Tilden został w środku. Kiedy Chalseyowie wrócili do domu, Sullivan zamknął oczy. Powinien odejść, pojechać do domu, położyć się

spać albo znaleźć sobie jakąś uliczną blond piękność, której nie będzie przeszkadzało, jakim imieniem ją nazwie.

Oliver będzie zalecał się do Isabel, być może ją poślubi, a ona znajdzie jakiś sposób, by wyjaśnić brak cnoty. Jeśli nie padnie nazwisko Sullivana, Tilden prawdopodobnie przełknie ten despekt. Będą mieli urocze dzieci, które odziedziczą tytuł. Być może kiedyś spotka któreś z nich, gdy będzie chciało kupić od niego konia. Nie mógłby nawet przyjść na ślub Isabel. Nawet nie dlatego, że nikt go nie zaprosi. Po prostu nie mógłby znieść, że zostaje oddana komuś innemu.

- Piekło i szatani! - zaklął i zaczął przekradać się w stronę północnej ściany domu. Isabel nie mogła być jego na zawsze, ale przecież mógł mieć ją teraz. Z radością przyjmie to, czym ona zdecyduje się go obdarzyć.

Obrośnięta winoroślą pergola ciągnęła się prawie pod dach, przechodząc tuż przy oknie Douglasa. Teraz Sullivanowi przydały się umiejętności nabyte podczas włamań. Szybko wspiał się na samą górę i pochyłony przebiegł po dachu, zatrzymując się nad trzecim z kolei oknem. Kiedy po raz pierwszy wtargnął do Chalsey House, dostał od Brama szczegółowy plan rezydencji. Ostrożności nigdy za wiele, dlatego zawsze opracowywał więcej niż jedną drogę ucieczki. Nie mógł pozwolić, by go schwytano, dopóki nie odzyska wszystkich obrazów. Przerzucił ciało przez gzyms i zawisł na rękach. Końcem buta udało mu się sięgnąć okna i podważyć je. Dalej poszło łatwo. Kiedy szczelina była wystarczająco szeroka, wśliznął się do środka. Nie zastanawiał się jeszcze, w jaki sposób opuści dom, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

Kilka sekund później usłyszał skrzypnięcie klamki w drzwiach. Błyskawicznie ukrył się za wielką mahoniową szafą. Do pokoju weszła pokojówka Isabel.

- Kto zostawił otwarte okno? - powiedziała głośno do siebie. Zasunęła górną część i zamknęła na haczyk. Później wyjęła koszulę nocną, rozścieliła łóżko i rozpałała ogień w niewielkim kominku. Przez cały czas Sullivan tkwił w bezruchu w cieniu rzucanym przez szafę. Był zadowolony, że ubrał się w ciemne rzeczy. W końcu dziewczyna wyszła, zostawiając otwarte drzwi. Waring na wszelki wypadek policzył w myślach do dziesięciu i opuścił kryjówkę. Cicho wyszedł z sypialni i ruszył korytarzem. Z dołu słyszał przytłumione głosy i śmiech. Rozpoznał głos Tildena. Zacisnął szczęki. Nie czas na zemstę, choć z radością odpłaciliby się wicehrabiemu za podbite oko i opuchnięty nos. Zdawał sobie jednak sprawę, że nawet gdyby wygrał bójkę, mógłby na zawsze utracić Isabel. Wszyscy na dole wydawali się w wyśmienitych humorach, co uznał za dobry znak. Najwyraźniej nikt nie odkrył jego małej mistyfikacji. W końcu do jego uszu dotarły życzenia dobrej nocy. Usłyszał szcęk otwieranych i zamykanych frontowych drzwi. Jego serce zaczęło bić szybciej - nie z niepokoju, lecz podniecenia. Dla londyńskiego towarzystwa mógł być nikim, ale dla Isabel znaczył coś więcej. Na razie.

Wrócił do kryjówki za szafą i czekał. W końcu usłyszał kroki na schodach. Wydawało mu się, że minęły godziny, zanim Isabel z pokojówką weszły do pokoju. Poczłł odurzający zapach cytrusów.

- Czy mam wyjąć sukienkę na jutro? - spytała pokojówka, pomagając swojej pani rozpiąć guziki motylej kreacji.

Sullivan zauważył, że Isabel spojrzała w kierunku szafy. Poruszył się, zdradzając swoją obecność i położył palec na ustach. Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co się stało panienko? - spytała zaniepokojona Penny.

- Nic. Powstrzymałam ziewanie - odpowiedziała pospiesznie Isabel.

- Możesz już iść. Sama się wszystkim zajmę.

- Ale suknia balowa...

- Dziękuję, Penny. Poradzę sobie. Jestem bardzo zmęczona.

Pokojówka dygnęła.

- Czy mam obudzić panienkę o dziewiątej?

- Bardzo proszę. Dobranoc.

- Dobranoc, panienko Isabel.

Kiedy tylko za Penny zamknęły się drzwi, Isabel syknęła przez zęby:

- Co, do licha, robisz w mojej sypialni?

- Nie takiego powitania oczekiwałem - odpowiedział sucho, podchodząc bliżej. Nie potrafił się opanować i delikatnie pogładził palcem jej szyję.

- Zrezygnowałeś z włamania do Fairchild House?

- Nie. Obraz jest już u mnie.

- Sullivan!

- Chciałem się upewnić, że po moim odejściu nie spotkało cię nic nieprzyjemnego. Czy nikt się nie zorientował, że przyszedłem na bal? - przesunął palcami wzdłuż jej ramienia i wziął ją za rękę. - U ciebie wszystko w porządku?

- Oliver chyba czegoś się domyślił, ale nic nie powiedział. Kilka pań widziało, jak wspaniale radził sobie na parkiecie i bardzo chciały, by je poprosił do ostatniego walca.

Uniósł jej dłoń i pocałował. Poczuł, jak drżą jej palce. Uśmiechnął się.

- To dobrze.

- Jutro usłyszysz o rabunku i będzie wiedział, że tańczyłam z tobą.

Sullivan spoważniał.

- Jeśli cię spyta, powiedz, że byłaś pewna, iż to on jest tygrysem. Wątpię, by chciał rozwijać ten temat. Musiałby wtedy przyznać się do porażki.

- Traktujesz mnie jak nagrodę w próbie sił? - spytała.

- W żadnym wypadku!

Za nic nie przyznałby się, że kiedyś tak było. Isabel posłała mu nieodgadnione spojrzenie. Wyswobodziła dłoń z jego uścisku i odwróciła się.

- Rozepnij mi suknię.

- Jak sobie życzysz - mruknął, przerzucając jej włosy do przodu, żeby dostać się do guzików. Rozpinając je kolejno, za każdym razem całował odsłonięty kawałek skóry. - Chcesz, żebym został? - zapytał między pocałunkami.

- Jeszcze nie zdecydowałam - odpowiedziała lekko drżącym głosem. - Jesteś całkiem dobrym tancerzem.

- Dziękuję. Ty też. Szkoda, że przy sukniach do jazdy konnej nie ma takich skrzydeł.

Chciał zapytać, co mówił Oliver, kiedy w końcu dotarł na bal, ale czuł, że nie skończyłoby się to dla niego przyjemnie i musiałby szybko szukać drogi ucieczki. Z drugiej strony, nie był pewien, czy na pewno pragnie usłyszeć, o czym Isabel z nim rozmawiała.

- Być może to przekona cię, byś pozwoliła mi zostać - powiedział, zsuwając suknię z jej ramion i odsłaniając piersi. Ujął je w dłonie i zaczął końcami palców delikatnie pieścić brodawki, aż stały się rozkosznie twarde. Isabel westchnęła i oparła się o niego plecami. Przez chwilę zastanawiał się, czy jako żona byłaby równie odważna w łóżu. Fascynowała go, chyba nawet trochę za bardzo. Każdy rozsądny mężczyzna zastanowiłby się dwa albo i

trzy razy, zanim uwiódłby młodą damę w domu jej ojca. Sullivan nie był rozsądny. Marzył o Isabel prawie od chwili, gdy pocałował ją po raz pierwszy.

Schadzka w stajni mu nie wystarczyła. Gorzej - jeszcze bardziej rozpałała jego pożądanie.

Zsunął jej suknię jeszcze niżej, aż zatrzymała się na biodrach. Przestał pieścić jej piersi. Teraz jego dłonie gładziły jej brzuch, a potem ześliznęły się jeszcze niżej, w złociste runo między jej udami. Była gotowa na jego przyjęcie. Jedną ręką odwrócił jej twarz ku sobie i pocałował ją. Rozchyliła wargi, pozwalając by jego język wsunął się do środka. Sullivan jęknął. Isabel odwróciła się ku niemu. Włożyła ręce pod jego płaszcz i pomogła mu pozbyć się ciężkiego odzienia.

- Laleczko... - wyszeptał, obejmując ją i przyciągając do siebie. Wydawała się taka krucha, ale nie brakowało jej odwagi. Przewyciężyła swój strach przed końmi i była gotowa wiele zaryzykować, byle powstrzymać go przed popełnieniem kolejnych przestępstw.

Wyjęła jego koszulę ze spodni i wsunęła dłonie pod materiał. Poczuł dotyk jej gorących dłoni. Jego uwięziona męskość boleśnie nabrzmiała. Jednocześnie ogarnął go przyjemny dreszcz zbliżającego się spełnienia. Jednym ruchem pozbył się koszuli i znów pochylił, by całować Isabel.

- Nie martwiłam się o siebie - powiedziała, zabierając się do rozpinania jego spodni. - Nie chciałam, żebyś wplątał się w jeszcze większe kłopoty.

Wziął ją na ręce, by zanieść na łóżko.

- Ty jesteś moim największym kłopotem - powiedział. Usiadł na skraju, zdejmując buty. Nie czuł się na miejscu w dziewczęcej sypialni,

pełnej koronkowych poduszek, żółtych i różowych kwiatów, przesyconej zapachem cytrusów.

- Na co patrzysz? - spytała, siadając za nim. Zaczęła delikatnie gładzić go po plecach.

- Wiesz idealne życie - odpowiedział cicho, świadomy obecności Douglasa w pokoju obok. - Nie pasuję tutaj.

- Ale jesteś - rzekła, pociągając go do tyłu, aż położył się obok niej. - Gdybym powiedziała, żebyś wyszedł, po tym jak przyłapałam cię na podglądaniu mnie, zrobiłbyś to.

- Nie podglądałem - zaprotestował. - I skąd pewność, że posłuchałbym?

- Gdy przyłapałam cię tamtej nocy - powiedziała, pochylając się nad nim i muskając wargami jego szeroką pierś - byłam zła i sfrustrowana, ale muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie spotkałam tak wrażliwego i szczerego mężczyzny.

Uśmiechnął się, zadowolony z komplementu.

- Zapomniałaś o pożądanym. Przyznaj, że właśnie ono przekonało cię do mnie.

- Nic z tych rzeczy.

- Jesteś pewna? - uniósł głowę i zaczął pieścić językiem jej pierś.

Jęknęła, wbijając paznokcie w jego ramiona. Nigdy wcześniej nie pragnął tak żadnej kobiety. Nie tylko fizycznie. Uwielbiał z nią rozmawiać. I tańczyć. Dotąd z ludźmi z jej sfery dyskutował jedynie o koniach. Z Isabel mógł mówić o wszystkim. Nawet kłótnie sprawiały mu przyjemność.

Udało mu się w końcu zdjąć spodnie. Mógłby teraz szybko w nią wejść, zaspokajając swoje żądze, ale nie wyobrażał sobie potraktowania jej w ten sposób. Nie był dżentelmenem, ale zwierzęciem także nie.

- Sullivan - wyszeptała drżącym głosem, kiedy wsunął dłoń między jej uda - mogę cię dotknąć?

Przecież nie robiła nic innego! Dopiero po chwili zauważył, na co skierowany jest jej wzrok.

- Oczywiście - uśmiechnął się.

Wyprostował się, opierając na łokciach. Ostrożnie dotknęła jego męskości, muskając ją palcami. Zacisnął zęby, by się uspokoić. Mieli jeszcze czas.

- Dobrze? - zapytała. W jej głosie zabrzmiało podniecenie.

- Tak - wyszeptał. Wziął ją za rękę. - Czas na kolejną lekcję jazdy - powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jak... - Nagle zrozumiała. - Pokaż mi - wyszeptała niecierpliwie.

Pociągnął ją na siebie tak, by usiadła na jego biodrach, a następnie oparł dłonie na jej smukłej talii i powoli wszedł w nią, przez cały czas pieszcząc jej piersi. Była cudownie wilgotna i gorąca, gotowa na jego przyjęcie. Spoglądał w jej zamglone z rozkoszy oczy, wsłuchiwał się w coraz szybszy oddech. Kiedy z jękiem opadła na jego pierś, przetoczył się tak, że teraz on był na górze. Poruszał się coraz szybciej, aż poczuł, że za chwilę dojdzie do spełnienia. W ostatniej chwili wysunął się z niej i długo leżeli spleceni w ciasnym uścisku. Kiedy znów mógł spokojnie oddychać, wstał, by doprowadzić się do porządku. Gdy wrócił do łóżka, Isabel położyła mu głowę na piersi i znów go objęła. Czuł, jak mocno bije jej serce.

- Jesteś zadowolony - szepnęła.

- Ty też, laleczko - odpowiedział, zdając sobie sprawę, że niewiele brakowało, a zostałby w niej do końca. Tak bardzo tego pragnął! Nawet

kosztem całkowitego zrujnowania jej reputacji, gdyby miało się okazać, że urodzi jego dziecko. Potrząsnął głową. Na to nie mógł pozwolić.

- Oliver odprowadził nas po balu - odezwała się Isabel po chwili milczenia. - Usiłował dowiedzieć się, co dziś robiłeś, bez wspomnienia twojego nazwiska. To było naprawdę zabawne. Bał się spytać, jak to się stało, że tańczyłam pierwszego walca z tygrysem.

- To dlatego, że według jego rodziny nie istnieję - odpowiedział.

- Był bardzo miły. Wiem, że go nie lubisz i nie podoba mi się sposób, w jaki odnosi się do ciebie, ale przecież żaden z was nie jest winien tej sytuacji.

- Może nie był winien na początku - odrzekł. - Ale odkąd dorośliśmy, odpowiadamy za swoje czyny.

- Masz powody, by odczuwać gniew. Oliver także. Czy jednak musicie tak wszystko komplikować?

- A co powinienem zrobić?

- Być bardziej tolerancyjny.

- Tolerancja nie zmaże grzechów, Isabel.

Pewnie uznała, że ma na myśli włamanie, ale on miał na myśli znacznie gorsze przewinienie. Popełnił fatalny błąd: zakochał się w córce człowieka z nie swojej sfery.

Rozdział 19

Isabel spojrzała przez okno. Powoli zaczynało się rozwidniać.

- Właściwie, jak się tu dostałeś? - zapytała. - Gdybyś wszedł frontowymi drzwiami, ktoś na pewno by cię zauważył.

Sullivan stanął za nią i wsunął dłoń pod peniuar, kładąc ją na jej piersi. Dziewczyna westchnęła i oparła się o niego. Minęły już cztery godziny! Nigdy w życiu nie czuła się tak spełniona, jednak jego dotyk sprawił, że znów poczuła zmysłowy dreszcz.

- Ześliznąłem się z dachu - odpowiedział zgodnie z prawdą. Pochylił się i ustami zaczął muskać jej kark.

- Nie będziesz mógł tamtędy wrócić.

- Zastanawiasz się, jak się mnie pozbyć?

W jego głosie nie było rozżalenia.

- Zaczyna świtać. Oboje wiemy, co się stanie, jeśli zostaniesz przyłapany w moim pokoju.

- Ty trafisz do klasztoru albo spędzisz resztę życia na wsi, ja zostanę wygnany lub powieszony.

- Raczej stracisz cały majątek, ponieważ nikt już nie kupi od ciebie konia - sprostowała.

- To może lepiej wyskoczę przez okno i skończę ze sobą.

Na zewnątrz rozległ się znajomy klekot wozu z mlekiem. Oznaczało to, że część służby już wstała.

- Sprawdzę korytarz i wyprowadzę cię - powiedziała niespokojnie.

- Wracaj do łóżka, laleczko. Poradzę sobie - odwrócił ją ku sobie i miękko pocałował w usta.

-Sullivan...

- Zobaczymy się za... - wyjął z kieszeni zegarek - pięć godzin.

Wypuścił ją z objęć i podszedł do drzwi. Isabel nagle poczuła dreszcz przerażenia. Ruszyła za Sullivanem i chwyciła go za rękę. Zatrzymał się.

- Co się stało?

- Mogę ci zadać pytanie?

Skinał głową, ze zdumieniem unosząc brew.

- Gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach... - przerwała niepewna, co tak naprawdę chce powiedzieć i czy pragnie usłyszeć odpowiedź. Była na prostej drodze do zguby, ale im więcej będzie wiedziała, tym lepiej. - Czy nadal byś mnie lubił? - dokończyła, spuszcżając wzrok.

Przez długą chwilę spoglądał na nią w milczeniu, z poważną miną.

- Gdyby okoliczności były inne - powiedział w końcu, przyciągając ją do siebie - przyszedłbym do twojego ojca i oficjalnie spytał, czy mogę starać się o twoją rękę.

Przez chwilę wydawało się, że chciał powiedzieć coś innego. Jej serce na moment stanęło z przerażenia. Czy naprawdę zależy mu na niej? Czy marzy o niej tak jak ona o nim? Odkąd się poznali, nie przestawała o nim myśleć. Nie musiała go nawet widzieć, by pojawiał się w jej myślach.

- Ta historia nie skończy się szczęśliwie, prawda? - wyszeptała.

Pogładził palcem jej policzek.

- Nie, laleczko - odpowiedział smutno. - W każdym razie na pewno nie dla mnie.

Pocałował ją.

- Gdybyś była rozsądna, odprawiłabyś mnie dziś i zatrudniła kogoś innego.

Wypuścił ją z objęć i ostrożnie otworzył drzwi sypialni. Wiedziała, że ma rację, jednak kiedy tylko znikł jej z oczu, natychmiast zapragnęła znów go zobaczyć.

Obydwoje byli szaleni i nierozsądni. Nigdy nie czuła się bardziej rozbita. Sullivan nie powinien był do niej przychodzić, a ona nie powinna iść z nim do łóżka. Jednocześnie czuła, że gdyby można było cofnąć czas, bez wahania zrobiłaby to samo.

Co teraz? Co stanie się jutro, za miesiąc, za rok? Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją wierzchem dłoni. Mogła mieć tylko nadzieję, że nikt nie odkryje jej tajemnicy, a plotkarze znajdą sobie inny cel.

Zdjęła peniuar i położyła się do łóżka. Pachniało Sullivanem, na nowo wzbudzając w niej pożądanie. Przez jakiś czas przewracała się niespokojnie z boku na bok, aż w końcu wstała, wzięła książkę i usiadła w stojącym przy oknie fotelu.

Obudziło ją gwałtowne pukanie do drzwi. Zdziwiona uniosła głowę i zobaczyła, że za oknem jest całkowicie jasno. Tak długo przesiedziała drzemiąc w fotelu?

- Proszę! - zawołała.

Douglas wpadł do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

- Słyszałaś? - zawołał i zaraz sobie sam odpowiedział: - Na pewno nie. Ale co, do licha, robisz o tej porze w fotelu?

- Czytam książkę - skłamała. - Która godzina?

- Wpół do dziewiątej. Chciałem obudzić cię już pół godziny temu, ale bałem się, że zarobię kuksańca.

- I bardzo słusznie. O czym nie słyszałam?

- Anders usłyszał od rzeźnika, że lord Fairchild został dziś w nocy obrabowany. To się stało podczas balu! Wszyscy rozmawiają tylko o

Rabusiu z Mayfair! Jeśli Waring będzie tak głupio ryzykował, prędzej czy później go schwytają. Wiedziałaś, że tam będzie?

- Skąd pewność, że to Sullivan? - spytała, choć dobrze znała odpowiedź, zastanawiając się, dlaczego usiłuje zaprzeczyć oczywistym faktom.

- Tibby! Z domu znikł obraz. Tak w każdym razie mówi Alders.

- Przecież to tylko kamerdyner!

- Ale potrafi słuchać. Zresztą dobrze wiesz, że to Waring. Ja też go lubię, musi jednak skończyć z tymi kradzieżami. Jeśli ludzie dowiedzą się, że znaleźliśmy jego zamiary, będziemy skończeni. Mogą nas nawet aresztować.

- Przyjedzie tu o dziesiątej. Wspomnę mu o twoich obiekcjach.

- Jeszcze jedno! Oliver przysłał liścik. Przyjedzie za godzinę i pyta, czy masz ochotę na przejażdżkę po Hyde Parku.

Uniosła brwi.

- Dlaczego nie wspomniał o tym wczoraj?

Kolejny problem. Jeśli lord Tilden kiedykolwiek dowie się, z kim dzieliła łóżce, może p olać się krew. Tego była pewna. Spotykała się z nim tylko dlatego, by zapobiec tragedii. Douglas wykrzywił się w uśmiechu.

- Może mu się przyśniłaś i to go zainspiowało.

Isabel uderzyła go lekko w głowę.

- Jesteś okropny! Mam nadzieję, że pewnego dnia poznasz pannę, dla której kompletnie stracisz głowę.

- Ty mi wystarczysz.

- Idź już sobie i przyślij Penny. Muszę się ubrać.

- Jak sobie życzysz, pani - odpowiedział z głębokim ukłonem.

- Przestań!

- Nie ma kawalera, który by cię nie podziwiał, *ma petite!* - ujął jej dłoń i znów się uklonił. - Wszyscy z chęcią oddamy za ciebie życie.

Skrzywiła się.

- Nie mówiłbyś tego, gdybyś widział mnie na przyjęciu u Fordhamów.

- Phillip mi opowiedział. Eloise Rampling powinno się odciąć ten gadzi język.

- Douglasie!

- Nie przejmuj się jej kłamstwami. U Fairchildów było zupełnie inaczej, prawda?

- Miałam chyba dwunastu tancerzy - odpowiedziała. Jeszcze chwila, a przyznałaby się bratu, że prawie żadnego z nich nie pamięta, ponieważ chciała tańczyć tylko z jednym.

- Zgódź się na przejażdżkę z Tildenem. To zamknie usta plotkarzom.

I być może pomoże naprawić nadszarpniętą reputację. Mimo to czuła się jak zdrajczyni. Przecież dobrze wiedziała o nienawiści, jaką darzą się Sullivan i Oliver. Zmartwiona potarła czoło.

W końcu udało jej się wygonić Douglasa z pokoju. Usiadła przy toalecie, by wyszczotkować włosy. Gdy przyjechał Oliver, była już gotowa i zdążyła nawet zjeść lekkie śniadanie. Po nocy spędzonej z Sullivanem czuła wilczy głód.

- Dzień dobry! - powitała wicehrabiego, dygając z gracją.

- I znowu tu jestem - uśmiechnął się Oliver. - Niedługo twoja rodzina będzie miała mnie dość.

- Nonsens! Dziękuję za zaproszenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - podał jej ramię. - Jedziemy?

Penny i lokaj Olivera zajęli wąską ławkę z tyłu faetonu i pojazd ruszył w kierunku Hyde Parku. Mimo dość wczesnej pory alejki były zatłoczone.

Isabel nie mogła się doczekać rozmów ze znajomymi. Nie minęło jednak pięć minut, a zorientowała się, że z nikim się nie spotka. Powozy dziwnym zbiegiem okoliczności skręcały w boczne alejki, jeźdźcom przypominało się nagle coś ważnego i zawracali, a spacerujący nieoczekiwanie nabierali chęci do podziwiania kwiatów rosnących na odległych klombach. A więc nikt nie zapomniał jeszcze plotek rozsiewanych przez Eloise Rampling! Najwyraźniej wczorajszy wieczór był wyjątkiem, a nie powrotem do normalności. Isabel naprawdę uważała Eloise za przyjaciółkę, podobnie jak wiele osób, które dziś ją ignorowały. Widocznie przyjaźń znaczy dla tych ludzi coś innego niż dla niej.

Spojrzała na Olivera i zauważyła grymas złości na jego twarzy. Kiedy zobaczył, że go obserwuje, zmusił się do uśmiechu.

- Wszyscy są dziś bardzo zajęci - powiedział.

- Najwidoczniej.

Na pewno słyszał plotki i domyślił się, dlaczego ludzie trzymają się od nich z daleka. W obecności Olivera nikt nie ośmielił się powiedzieć jej czegokolwiek, ograniczając się do ignorowania powozu, w którym siedziała. Gdyby była sama, spotykałby ją afront za afrontem. Kiedy wracali do Chalsey

House, miała tylko nadzieję, że Sullivan zdążył już odjechać. Zachowanie Olivera nieco ją zaskoczyło, zważywszy na jego uczucia do przyrodniego brata. Oznaczało, że nadal chce się o nią starać, pomimo plotek o jej rzekomej fascynacji handlarzem koni. Isabel powstrzymała westchnienie. Być może powinna bardziej go lubić.

Kiedy wjechali na dziedziniec przed stajnię, lokaj przytrzymał konie, a Tilden zeskoczył na ziemię, by pomóc jej wysiąść.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

- Naprawdę nie masz za co - odparł. - Nie zrobiłaś nic złego. Okazałaś dobre serce. To nie twoja wina, że inni ocenili cię za to według swoich nędznych kryteriów.

- Traktuję to jako objaw zazdrości - potwierdziła.

Tilden uśmiechnął się.

- Słusznie. Nie pozwól jednak, by twoja dobroć uczyniła ci szkodę lub zaszkodziła reputacji.

Nagle przeniósł wzrok poza nią i z wściekłością zacisnął usta. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, minął ją i ruszył przed siebie.

Odwróciła się i zobaczyła Sullivana wyprowadzającego Zephyr ze stajni.

Tylko nie to!

- Masz czelność przychodzić tutaj po tych wszystkich kłopotach, jakie sprowadziłeś na tę rodzinę? - zawołał Oliver z ledwo powstrzymaną furią, idąc w kierunku brata.

Sullivan posłał mu przelotne spojrzenie i dalej szedł przed siebie. Serce Isabel gwałtownie przyspieszyło. Nie tylko dlatego, że znów ujrzała Waringa, ale ponieważ przeczuwała, co stanie się za chwilę.

- Oliverze! - zawołała.

Tilden zwolnił.

- Idź do domu, Isabel.

- Tylko jeśli obiecasz, że napijesz się ze mną herbaty - odparła, spoglądając na Sullivana. Miał zaciśnięte szczęki, ale zachowywał kamienny spokój.

- Za chwilę do ciebie dołączę. Jeśli jesteś zbyt uprzejma, by załatwić to sama, z chęcią zrobię to za ciebie.

Isabel zebrała spódnicę i pobiegła przez dziedziniec. Stała między dwoma mężczyznami.

- Nie będziesz nic robił - zwróciła się do Olivera, stając z nim twarzą w twarz.

- Odsuń się! - rzucił.

- Nie ma sensu, pani, byś wchodziła między nas - odezwał się zza jej pleców Sullivan. - Lord Tilden nie ośmieli się stanąć ze mną do bezpośredniej konfrontacji. To nie byłoby jego zdaniem właściwe. Woli wynająć w tym celu zbirów, którzy ubrudzą sobie ręce za niego.

- Nie mam pojęcia, o czym bredzi ten człowiek - odparł chłodno wicehrabia.

- Czyżbyś narzekał na problemy z pamięcią?

Isabel spojrzała do tyłu, na Sullivana.

- Twoja twarz... Tak to się stało?

- Nie według niego. Przynajmniej może mówić, że ma czyste ręce.

- Odsuń się, Isabel. To sprawa między nim a mną.

Poczuła dłoń na swoim ramieniu.

- Wszystko w porządku, Tibby - usłyszała szept Sullivana. - Idź do domu.

- Mój Boże!

To był głos Olivera. Odwróciła się w jego stronę. Ujrzała, jak wpatruje się w rękę hodowcy spoczywającą na jej ramieniu. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. On wie!

- Jesteś skończony, Waring! - syknął Tilden. Przez chwilę spoglądał w oczy Isabel.

- Latawico! - rzucił. Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem odszedł w kierunku faetonu.

- Och, nie! - jęknęła Isabel. Serce waliło jej tak mocno, jakby za chwilę miała zemdleć.

- Nie daruję mu, że tak cię nazwał - warknął Sullivan i rzucił lonżę Zephyr.

- Powiedział, że jesteś skończony.

Waring odwrócił się.

- Ja się tym nie przejąłem.

- A powinieneś. I nie zostawiaj Zephyr bez opieki. Nie chcę, żeby uciekła.

Z ponurym wyrazem twarzy podniósł koniec lonży.

- Chodzi mi tylko o ciebie - powiedział, prowadząc klacz w kierunku padoku.

Isabel ruszyła za nim.

- Nie powinieneś lekceważyć jego grózb.

- Nic mi nie robi.

- Wybacz, ale nie wierzę. Jeśli publicznie oskarży cię o kradzież, a mnie o współudział, to, że nazwał mnie latawicą, będzie najmniejszym problemem.

- Nie robi nic wbrew woli ojca. Jeśli chce po nim dziedziczyć, będzie musiał go słuchać. A Dunston nie dopuści do skandalu. Twoja reputacja jest bezpieczna.

- Nie mówiłam o... nas - zaprotestowała, spoglądając w ślad za Oliverem. - Chodzi mi o kradzież. Włamałeś się do nas, a następnego dnia wynajęłam cię, byś ujeździł Zephyr. A ludzie pamiętają, że przyłapałam złodzieja na gorącym uczynku.

Posłał jej uśmiech, który wywołał drżenie jej serca.

- Na przyłapaniu się nie skończyło.

- Czy możesz mnie posłuchać, na litość boską?! - Jeśli Oliver postąpi wbrew ojcu, to nie jej reputacja może zawisnąć na szubienicy. - Dla ciebie to gra, ale ja się martwię.

- Wiem. O to, czy znajdziesz odpowiedniego męża.

Zacisnął dłonie na lonży, a potem zwolnił uścisk i westchnął:

- Cóż, zabawa skończona.

Zamrugnęła zdziwiona.

- O czym ty mówisz?

- Martwisz się o swoją przyszłość. Oboje wiemy, że nie mogę być jej częścią. Odsuń się i pozwól mi pracować z Zephyr. Poczekaj, aż Oliverowi przejdzie gniew i powiedz mu, że zaintrygowałem cię, ponieważ nigdy wcześniej nie rozmawiałaś z hodowcą koni. Przecież to właśnie Tildena wybrałaś na przyszłego męża, prawda?

Przez chwilę wyglądał jak chłopiec, który traci ulubioną zabawkę. Szybko się jednak opanował, odgarnął z twarzy pasmo włosów i poprowadził Zephyr na padok.

Isabel tak mocno zacisnęła pięści, że paznokcie prawie wbiły się jej w dłonie. Powoli rozprostowała palce. Czuła ból. Nie rąk - serca. Nie chciała być żoną Olivera Sullivana, ale wiedziała, że nie może należeć do Sullivana Waringa. To nie do końca była prawda. Mogła mieć Sullivana, ale wtedy jej noga nie powstałaby więcej w żadnym domu należącym do osoby z towarzystwa. Już nigdy nie zatańczyłaby z synem księcia czy wicehrabiego, a przyjaciele i rodzina odwróciliby się od niej. Gdyby tylko chodziło o obcych, jeszcze mogłaby to znieść, ale rodzice? Phillip? Douglas? Jak długo Barbarze starczyłoby odwagi, by się z nią spotykać? To było żalosne! Nawet jeśli widziała otaczającą ją hipokryzję, jak mogłaby chcieć zniszczyć swoje życie dla kogoś takiego jak Sullivan? Co on zrobił dla niej? Potrafił całować

i robić inne rzeczy, ale... To przez niego przyjaciółki śmiały się za jej plecami, a mężczyzna, który zalecał się do niej od tygodni, nazwał ją latawicą.

Sullivan ją rozumiał, był uroczy i cierpliwy i mogła powiedzieć mu wszystko, nie obawiając się, że wykorzysta to przeciwko niej. Gdy była w jego towarzystwie, czuła się ważna. Nie traktował jej jak ładnej, ale naiwnej gąski z dobrego domu, która wniesie w posagu srebrne świeczniki i będzie miło uśmiechać się na przyjęciach.

- Tibby? - usłyszała głos matki. Odwróciła się. Markiza stała kilka kroków od niej z zaskakująco jak na nią poważnym wyrazem twarzy.

- Co się stało, mamó?

- Wejdźmy do domu.

Isabel spojrzała na padok, gdzie Sullivan trenował klacz. -Ale Zephyr...

- Musimy porozmawiać, moja droga. I musisz przestać patrzeć w ten sposób na pana Waringa.

Isabel jakimś cudem udało się przywołać na twarz wyraz zaskoczenia.

- Na nikogo nie patrzyłam - skłamała, przyglądając fałdy spódnicy. - Przyznam, że jestem trochę zmęczona i chętnie wypiję filiżankę herbaty...

... Tylko dlatego, że jest jeszcze za wcześnie na whisky - dodała w myślach.

Sullivan starał się nie patrzeć na lady Darshear, gdy szła w kierunku Isabel. Udawał, że nie słyszy szeptów zatrudnionych w stajni ludzi i że jest zadowolony, iż w końcu powiedział Tibby, by trzymali się od siebie z daleka.

Tak będzie dla niej najlepiej. Oczywiście, idealnie byłoby, gdyby w ogóle jej nie tknął. Jednak zrobił to i co gorsza, pragnął więcej. Najchętniej rozszarpałby każdego, kto powiedział choć jedno złe słowo o Isabel.

Zatrzymał Zephyr i z zaciśniętymi szczękami podszedł do niej, by mocniej zacisnąć popręg.

- Skoncentruj się! - nakazał sobie w myślach. Jeśli nigdy ma już nie dotknąć Tibby, musi jak najszybciej wywiązać się ze swojego zadania i raz na zawsze opuścić Chalsey House. Wiedział, że nie będzie w stanie patrzeć na Isabel ze świadomością, że jest dla niego nieosiągalna.

Wyprostował się.

- Delvin! - zawołał do stajennego. - Ile ważysz? 60 kilogramów?

- Po sutym posiłku, proszę pana. Trochę za dużo, ale mniej niż sam Sullivan.

- Jeździłeś kiedyś w damskim siodle? Chłopak zaczerwienił się jak piwonia, a inni stajenni ryknęli śmiechem.

- Nie, panie Waring.

- Dzisiaj spróbujesz. Boisz się?

Delvin niechętnie wspiął się na kamienny blok.

-Tak.

- Lady Isabel też będzie przerażona.

Zaczął zdejmować z grzbietu klaczy worki z piaskiem i mąką. Zrobił wszystko, by przyzwyczać

Zephyr do chodzenia z obciążeniem, ale teraz potrzebował prawdziwego jeźdźca. Nie zamierzał pozwolić, by coś się stało Tibby, kiedy wsiądzie na konia. Phipps podszedł, by mu pomóc. Podczas gdy Sullivan przemawiał uspokajająco do Zephyr, Delvin wspiął się na jej grzbiet. Klacz

cofnęła się kilka kroków, ale Waring przytrzymał ją delikatnie, aż uspokoiła się i skierowała uszy w jego stronę. Odetchnął z ulgą.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział. - Delvin, weź wodze, ale nie prowadź jej.

- Dobrze, proszę pana.

Zaczęli od spaceru po padoku w jedną i drugą stronę. Kiedy Zephyr przywykła do jeźdźca na swoim grzbiecie, Sullivan pozwolił Delvinowi mocniej ująć wodze i spróbować nią pokierować. Musiał przyznać, że klacz reagowała idealnie. W końcu zdecydował się odczepić lonżę i odsunąć kilka kroków. Czuł się niczym dumny ojciec obserwujący, jak jego pociecha stawia pierwsze kroki. Jeśli popołudniowa lekcja pójdzie równie dobrze, jutro Isabel dosiadzie Zephyr. To oznacza, że za dzień lub dwa jego praca będzie zakończona. Wróci do domu, zajmie się swoimi sprawami i już nigdy nie zobaczy Tibby. Nie był szczęśliwy z tego powodu, ale wiedział, że to najmądrzejsza rzecz, jaką może zrobić. Gdyby miał jakikolwiek wybór... Zapłaciłby każde pieniądze, by ktoś podpowiedział mu rozwiązanie.

Rozdział 20

- Jeśli zamierzasz powiedzieć mi coś nieprzyjemnego, miejmy to już za sobą - odezwała się Isabel znad filiżanki herbaty. Przez cały czas czuła na sobie zafrasowany wzrok matki, dlatego na wszelki wypadek nie podnosiła oczu, poświęcając uwagę zawartości naczynia.

- Skąd myśl, że to, co chcę powiedzieć, jest nieprzyjemne?

- Ponieważ powiedziałaś, że musimy porozmawiać, a od kwadransa nie odezwałaś się ani słowem.

- Dobrze, w takim razie porozmawiajmy. - Markiza westchnęła. - Ale najpierw spójrz na mnie. Siedzisz skulona jak przerażone kocię.

- Wcale nie! - zaprotestowała Isabel, prostując się. Podniosła głowę i napotkała pełne troski spojrzenie matki. Nie poprawiło jej to humoru. Postanowiła pierwsza zacząć rozmowę w nadziei, że może w ten sposób rozładuje atmosferę.

- Widziałaś, że Zephyr chodzi pod siodłem? Za kilka dni zacznę na niej jeździć.

- To naprawdę niezwykle - markiza uśmiechnęła się. - Jestem bardzo dumna z twojej odwagi.

- Sullivan jest świetnym nauczycielem.

- Sullivan... - powtórzyła lady Darshear. - Jesteś z panem Waringiem po imieniu?

- Zaprzyjaźniliśmy się - odpowiedziała niewinnie Isabel. Gdyby jej matka wiedziała, jak bliska jest to znajomość, po tej rozmowie zamknęłaby ją w klasztorze.

- Jak on się do ciebie zwraca?

Dziewczyna zaczęła się gorączkowo zastanawiać: zignorować pytanie czy skłamać? Powiedzenie prawdy w żadnym wypadku nie wchodziło w rachubę.

- O co ci chodzi? - zapytała w końcu.

- Nie udawaj, Isabel. Słyszałam plotki.

- Wierzysz Eloise? Na miłość boską, mamó! Zobaczyła, jak dziękowałam Sullivanowi za pierwszą w życiu konną przejażdżkę! Uśmiechnęłam się do niego, może uścisnęłam. Nie pamiętam! - Właściwie niewiele minęła się z prawdą.

- Musisz rozważniej dobrać przyjaciół, Tibby. Nie zapomnij, że stara się o ciebie przyrodni brat tego człowieka. Jak myślisz, co poczuł lord Tilden, kiedy dotarły do niego te wszystkie plotki? To naprawdę szlachetne z jego strony, że zabrał cię dziś na przejażdżkę.

- Czy równie szlachetne jest obrażanie wynajętego przeze mnie niewinnego człowieka, który stara się dobrze wykonywać swoją pracę? - wypaliła Isabel. - Albo opłacenie ludzi, żeby go pobili?

Wolała nie wspominać o tym, jak nazwał ją Tilden.

Matka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Kazał pobić pana Waringa?

- Tak!

- Rozumiem, że mu współczujesz, ale musisz myśleć o swojej przyszłości. Gdybyś nie spotkała pana Waringa, Oliver do tej pory na pewno już by ci się oświadczył. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Oczywiście, że była tego świadoma, ale budziło w niej to zupełnie inne uczucia, niż uważała matka. Isabel była raczej zła niż zaniepokojona. Najchętniej odrzuciłaby jego zaloty, tak jak czterech poprzednich młodzieńców, którzy starali się o jej względy. Gdyby jeszcze Oliver jej nie

obrazil! To oznaczało tylko jedno - nie zależy mu na niej tak bardzo, jak twierdził.

- Jeśli moja przyjaźń z inną osobą wystarczy, by zniechęcić Olivera, nie jest wart mojego zainteresowania.

- Nie zapominaj, że tą osobą jest jego przyrodni brat z nieprawego łoża. Nie możesz oczekiwać, że lord Tilden zachowa się inaczej.

- Powtarzam ci, że Sullivan nie jest winien, że jego życie ułożyło się tak, a nie inaczej.

- Nie rozmawiamy w tej chwili o Waringu, ale o twojej przyszłości, więc nie zachowuj się jak rozkapryszona dziewczynka.

Isabel w żadnym wypadku nie uważała się za dziewczynkę, ale akurat o tym nie było sensu dyskutować z matką.

- Sullivan za kilka dni skończy swoją pracę - powiedziała. Ta perspektywa martwiła ją bardziej niż brak propozycji małżeństwa ze strony Olivera.

- Przykro mi, że nie możesz dalej przyjaźnić się z panem Waringiem - rzekła matka po chwili milczenia. - Uważam go za człowieka nie pozbawionego zalet. Nie możesz jednak pozwolić, by ludzie plotkowali na twój temat. Wiem, że to dla ciebie przykre, ale z tej znajomości nie wyjdzie nic dobrego.

Isabel poczuła łzy w oczach.

- Wiem - powiedziała cicho, odstawiając filiżankę. - Jeśli się zgodzisz, przejadę się na Molly, żeby nie wyjść z wprawy, zanim Zephyr będzie gotowa.

- Chodź do mnie! - Lady Helen wyciągnęła rękę do córki.

Isabel podeszła i chwyciła matczyne palce. Ich dłonie były tej samej wielkości. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Przestała być dzieckiem i to

nie tylko dlatego, że spędziła noc z Sullivanem Waringiem. Dostała kilka bolesnych lekcji, zrozumiała, czym jest przyjaźń. Trudno było jej sobie wyobrazić, by mogła znów być tą samą beztroską dziewczyną, którą była jeszcze kilka tygodni temu.

- Jesteśmy bardzo dumni, że nauczyłaś się jeździć konno, Tibby, a ja cieszę się, że nie oceniasz ludzi, kierując się wyłącznie opinią innych. Pamiętaj jednak, że obowiązują cię zasady. Rozumiesz?

- Tak, mamó. Markiza puściła jej dłoń.

- To dobrze. Wybierzesz się dziś ze mną na zakupy? Załóż budkę, żeby nosek ci nie poczerwieniał od słońca. Musisz ładnie wyglądać na dzisiejszym balu u Fontaine'ów.

- Oczywiście.

Cały ranek i dużą część popołudnia spędziła więc na Bond Street, oglądając kapelusze, biżuterię i suknie. Zwykle uwielbiała zakupy, ale dziś była tak zdenerwowana, że nie potrafiła czerpać z nich radości. Znajomi, których spotkała, traktowali ją uprzejmie, choć więcej czasu spędzali na rozmowie z jej matką niż z nią. Czyżby jednak nie skreślili jej całkowicie, a jedynie chcieli dać nauczkę, by na przyszłość nie otaczała się niewłaściwymi ludźmi?

- Widzisz, moja droga? - powiedziała markiza, gdy wsiadały do powozu pełnego większych i mniejszych paczek i pudeł. - Nic złego na szczęście się nie stało. Musisz tylko być ostrożniejsza. Jeśli chcesz, ojciec poprosi pana Waringa, by zakończył pracę u nas. W ten sposób nie będziesz musiała już go widywać.

- Chcę, żeby ujeździł Zephyr - zaprotestowała Isabel, ledwie zachowując spokój. - Nikomu bardziej nie ufam w tej materii.

W oczach matki dostrzegła wyraz niezadowolenia, jednak markiza nie powiedziała ani słowa. Za to Isabel czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Im wyraźniej widziała, jak chętnie ludzie byli skłonni skreślić ją z powodu jednej plotki, tym mniej chciała mieć z nimi do czynienia i tym bardziej pragnęła znów zobaczyć Sullivana. Musi udowodnić mu, że nie jest jedną z tych pełnych hipokryzji arystokratek, których tak nienawidził.

Gdy wróciły do Chalsey House, Isabel pobiegła do swojego pokoju. Zdjęła budkę i wróciła na dół. Sullivan zawsze był punktualny, dlatego wiedziała, że ma jeszcze kwadrans, zanim skończy ćwiczyć Zephyr i pojedzie do domu. Miała w głowie kompletny chaos. Nic nie było takie, jak sobie wyobrażała. Jeśli uniknie skandalu, będzie to doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności. W tej chwili pragnęła tylko jednego - pocałować Sullivana Waringa.

Znalazła go na padoku obserwującego biegającą po okręgu klacz, na której grzbiecie siedział najmłodszy ze stajennych.

- Co o tym myślisz? - zapytał, jakby nic się nie stało, kiedy podeszła bliżej. - Jest gotowa. A ty?

W ogóle nie mogła myśleć.

- Mogę zamienić z tobą słowo? - zapytała sztywno.

Zmarszczył brwi.

- Oczywiście, pani. Delvin, ćwicz dalej z Zephyr. Za jakiś czas zmień kierunek.

Chłopak skinął głową. Sullivan i Isabel weszli do stajni.

- Zostawcie nas samych - rzuciła dziewczyna i wszyscy stajenni natychmiast opuścili budynek.

Waring przybrał jeszcze bardziej pochmurną minę.

- Jeśli chcesz, bym odszedł, mogłaś powiedzieć to przy wszystkich.

Bez słowa chwyciła go za włosy, przyciągając jego twarz do swojej. Pocałowała go namiętnie, jakby chciała stopić się z nim w jedno. Przez moment czuła jego wahanie, ale po chwili odwzajemnił pocałunek, przyciskając ją mocno do muskularnej piersi. Czas stanął w miejscu. Isabel pragnęła tylko jednego - by ta chwila nigdy się nie skończyła.

- Tibby! - usłyszała jego głos.

- Nic nie mów! - nakazała. Jej wargi przesuwwały się po jego twarzy i szyi, docierając wszędzie, gdzie mogła dosięgnąć.

- Przestań! - ujął ją za ramiona i odsunął od siebie na tyle daleko, by nie mogła się do niego przytulić. - Przestań. Jeszcze ktoś nas zobaczy.

- Nie dbam o to.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedział, ignorując jej dłonie błądzące po jego torsie. - Nie chcę, by przez moje grzechy twoja reputacja legła w gruzach.

- Twoje grzechy? Oboje je popełniliśmy.

- Za każdym razem, kiedy cię dotykam... - westchnął głęboko, jakby szukał odpowiednich słów. - Nie jestem dobrym człowiekiem. Kradnę. Gdy byłem na wojnie, zabijałem ludzi. Nienawidzę arystokracji. Ty jesteś wyjątkiem, ale to niczego nie zmienia. Nie jestem mężczyzną dla ciebie i znajomość ze mną nie przyniesie ci żadnych korzyści.

- Moglibyśmy uciec. Powiedz, że tego chcesz!

- Chciałbym też przejechać się konno po pokojach rezydencji Dunstona, ale nigdy tego nie zrobię - uśmiechnął się gorzko. - To już koniec, Isabel.

- Nie mów do mnie w ten sposób - prychnęła. Ponieważ wciąż nie pozwalał jej się do siebie przytulić, odeszła kilka kroków. - Moja matka

powiedziała, że gdyby nie moja znajomość z tobą, Oliver już by mi się oświadczył.

Spojrzał na nią ponuro.

- W to nie wątpię.

- To znaczy, iż fakt, że nazwałam cię przyjacielem, wystarczył mu, by nie prosić o moją rękę. W takim razie tu nie chodzi o miłość, tylko o urażoną dumę. Jego i twoją.

- Kocha cię?

Pokręciła głową.

- Lubi, a w każdym razie lubił. Na początku sezonu tańczył z wieloma pannami. Pewnie stwierdził, że jestem warta zainteresowania. Nie wiem, jak jest teraz.

- Oliver nie ukrywa uczuć. - Sullivan skrzyżował ręce na piersi. - Kiedy byliśmy dziećmi, pluł na mnie, ilekroć się mijaliśmy.

- Za to ty okradasz innych.

- Naprawdę chcesz porównywać mnie z tym...

- Och, przestań! To nie jest ani twoja, ani jego wina. Przynajmniej tak było z początku. Ponieważ nie wydaje mi się, byście obydwaj zachowywali się jak należy, daruj sobie te uwagi.

Sullivan wpił w nią wzrok.

- A ty, czy go kochasz... kochałaś?

- Kocham ciebie - odpowiedziała odruchowo i przerażona swoim wyznaniem, przycisnęła dłonie do ust.

Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Bładozielone oczy wpatrywały się w nią z nieodgadnionym wyrazem. Potem Sullivan zaczął się cofać, aż się oparł plecami o ścianę.

- Sullivan? - zapytała dziwnie piskliwym głosem.

Bez słowa odwrócił się i wyszedł ze stajni.

Isabel usiadła na odwróconej do góry dnem beczce. Nagle całkiem opadła z sił. Oczywiście wspólna przyszłość nigdy nie była im pisana, ale udało jej się zniszczyć i to.

- Głupia! Głupia! - szepnęła, chowając twarz w dłoniach.

Nagle usłyszała kasznięcie. Zerwała się na równe nogi, o mało nie wymawiając na głos imienia Sullivana. Na szczęście się powstrzymała. W drzwiach stajni stał Delvin.

- Co się stało? - zapytała może trochę za ostro. Czuła, że zaczyna boleć ją głowa.

Uklonił się, odgarniając włosy z twarzy.

- Przepraszam, panienko, ale pan Waring powiedział, że jeśli chce pani dziś pojechać na Zephyr, to on czeka na zewnątrz.

Przez chwilę nie mogła w to uwierzyć.

- Dziękuję! - powiedziała głośno.

Ma wsiąść na konia, który jeszcze dwa dni temu nie nosił na grzbiecie żadnego człowieka. Niech i tak będzie. Poczowała, że zaczyna drżeć. Z niepokoju i nadziei. Jeszcze chwila, a jej serce tego nie wytrzyma.

Wyszła ze stajni, starając się zachować spokój. Sullivan stał odwrócony tyłem i rozmawiał z Phippsem.

- Zaraz przyjdę, panie Waring - zawołała, biegnąc w stronę domu. - Muszę się przebrać.

Zignorował ją. Z początku była gotowa się tym nie przejąć, ale nagle dotarło do niej, że przecież nie zrobiła nic złego, więc nie ma powodu tak jej traktować.

- Panie Waring! - powiedziała surowo, zatrzymując się i odwracając w jego kierunku. - Proszę patrzeć na mnie, kiedy do pana mówię!

Z kamienną twarzą odwrócił się w jej kierunku.

- Tak jest, pani.

- Dobrze. Zaraz wrócę. Niech się pan nie oddala.

Skinał głową.

- Oczywiście.

Patrzył, jak biegnie w stronę domu, przytrzymując spódnicę, by się w nią nie zaplątać. Boże drogi! Kochała go! I co teraz? Ma wrzucić ją na koński grzbiet i wywieźć do swojego zamku? Najgorsze, że właśnie to pragnął zrobić. Tak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona na oczach ludzi i żeby nic się nie stało. Żadnych złośliwych uśmieszków, plotek, zrujnowanej reputacji. Tak się nigdy nie zdarzy. Bez względu na to, co powiedziała Isabel.

- Panie Waring?

Sullivan otrząsnął się i spojrzał na Phippsa.

- Przepraszam - powiedział. - Przyrowadź Parysa.

Nie bez powodu przyjechał dziś na gniadym wałachu. Nie zamierzał pozwolić, by podczas pierwszej jazdy Isabel na Zephyr towarzyszył im ogier. Nigdy nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć.

Phipps odszedł, a Sullivan zajął się sprawdzaniem rzędu klaczy. Podciągnął popręg, sprawdził wodze i upewnił się, że w kieszeni płaszcza ma kilka jabłek. Klacz była dziś lekko spięta. Najwyraźniej wyczuwała jego zdenerwowanie. Musiał jak najszybciej się uspokoić.

To, co powiedziała Isabel, niczego nie zmieni. Ona pozostanie w swoim świecie przyjęć, porannych zakupów i przejażdżek po parku. On będzie nadal hodował konie, spróbuje odzyskać ostatnie obrazy matki i unikać Dunstona. Na chwilę przymknął oczy. Do tej pory jakoś akceptował swoje życie. Teraz zaczął je serdecznie nienawidzić.

- Jestem gotowa.

Odwrócił się. Miała na sobie swoją ciemnozieloną amazonkę, cudownie podkreślającą krągłości jej ciała. Wydawało mu się, że poczuł delikatną woń cytrusów.

- A więc? - spytała sztywno. Z trudem wziął się w garść.

- Proszę o wybaczenie. Jest pani gotowa na przejażdżkę?

Nerwowo popatrzyła na Zephyr.

- To chyba najbardziej odpowiedni moment - odpowiedziała po chwili.

- Nie chciałabym zaprzepaścić pańskich starań.

- Nie zabrzmiało to uprzejmie - mruknął cicho, ale tak, by go usłyszała. Poprowadził Zephyr do kamiennego bloku ułatwiającego wsiadanie.

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie Waring. Czego mogę oczekiwać?

- Zephyr ma więcej energii i znacznie mniej doświadczenia niż Molly. Jeszcze niezbyt pewnie chodzi pod siodłem, zbyt prędko przenosząc ciężar ciała z przodu do tyłu. Proszę trzymać się prosto w siodle. Będę jechał na Parysie, trzymając klacz na uwięzi, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy się oddalić.

Twarz Isabel przybrała jeszcze bardziej zaniepokojony wyraz.

- Może tak się stać?

- Raczej nie. To grzeczna dziewczynka. Proszę jej tylko o tym przypominać. Dużo do niej mówić. Lubi panią i zna pani głos.

Isabel uniosła brew, choć nie spuszczała oczu z Zephyr.

- Czy to nie interesujące? - spytała, podchodząc ostrożnie do klaczy, by poklepać ją po karku. - Lubi mnie i okazuje mi swoją sympatię.

Najwyraźniej miała wystarczająco dużo czasu, by zdać sobie w końcu sprawę, że Sullivan Waring jest skończonym głupcem i ostatnim gburem.

- Na pewno będzie wam dobrze ze sobą - rzekł. - Pasujecie do siebie.
- A pan chciał przeznaczyć ją na klacz rozplodową. Była na niego zła.

Zacisnął szczęki.

- Pomyliłem się.
- Zauważyłam. Mam wsiadać, czy zmienił pan zdanie?

A niech to!

Podał jej rękę, by mogła wejść na kamienny blok.

- Przestań - powiedział szeptem.
- Co mam przestać? Zephyr jest moja. Chyba mogę z nią rozmawiać, kiedy najdzie mnie taka ochota. Nie może mi pan tego zabronić.

Zrobił krok w jej stronę i przyciągnął do siebie, tak że musiała oprzeć się plecami o jego pierś.

- Czy zmieniłoby cokolwiek, gdybym powiedział ci, co czuję? - syknął jej wprost do ucha.
- Puść mnie!
- Jeszcze nie.

Stanął tak, by osoby obserwujące ich z domu, widziały tylko jego plecy.

- Jesteś okrutna, Isabel. Nie powinnaś była mówić tego, co powiedziałaś.

Siłą wyswobodziła się z jego objęć.

- Wcale tego nie chciałam - odparła zaczepnie. - To przez ciebie. Wytrąciłeś mnie z równowagi.

Rozmowa zaczynała robić się interesująca.

- Nie chciałaś? - powtórzył. - Mam rozumieć, że tylko przez przypadek wyznałaś swoje najgłębsze uczucia?

- Tak. Żądasz za to przeprosin?

Sullivan pochylił się, wciągając w nozdrza zapach jej włosów.

- To ja przepraszam, że nie jestem tym, na kogo zasługujesz.

Usłyszał stukot kopyt Parysa prowadzonego przez Phippsa.

- Jesteś gotowa wsiąść na swojego konia?

- Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać.

- Możemy się kłócić dalej podczas przejażdżki po parku.

Poczuł, jak westchnęła. Z ledwością powstrzymał się, by jej nie objąć. Przesunął dłonie na jej kibić i podniósł ją, by mogła bezpiecznie usiąść w siodle. Na wszelki wypadek przytrzymał wodze. Zephyr nie była spokojnym, doświadczonym zwierzęciem jak Molly i kto wie, jak mogła się zachować, czując niedoświadczonego jeźdźca.

Isabel była blada jak papier. W tej chwili zapomniała o swojej złości, choć Sullivan wolałby chyba, by dalej była na niego wściekła.

- Wyglądasz uroczo - szepnął.

Rumieńce powróciły na jej policzki. Przeniosła wzrok z uszu Zephyr na jego twarz.

- Nie praw mi komplementów, jeśli to tylko puste słowa - powiedziała.

Zaczeplił uwiąz o ogłowie klaczy i wskoczył na grzbiet Parysa.

- Nic z tego, co powiedziałem, nie jest pustym słowem.

Rozdział 21

Dziwnym zbiegiem okoliczności cała rodzina Isabel była w domu i mogła być świadkiem niezwykłego wydarzenia. Dziewczyna nie dopuszczała do siebie myśli, że rodzice i bracia na wszelki wypadek obserwowali jej zachowanie w obecności Sullivana. Kiedy przejeżdżała na Zephyr przed gankiem, na którym wszyscy się zgromadzili, ośmieliła się unieść dłoń i nieśmiało im pomachać.

- Brawo, Tibby! - zawołał ojciec. W jego głosie usłyszała nieklamany podziw.

- Niedługo wrócimy! - odpowiedziała, koncentrując uwagę na prawidłowym napięciu wodzy. Zephyr zastrzygła uszami i posłusznie skreśliła w prawo.

Jadący obok niej na Parysie Sullivan z uznaniem skinął głową.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją.

- Dziękuję - odpowiedziała. Jedną ręką puściła wodze i poklepała klacz po karku.

- Grzeczna dziewczynka - wyszeptała.

Nawet taka nowicjuszka jak ona czuła, że Zephyr różni się od Molly. Była niczym przyczajony kot, gotowa na najmniejszy znak jeźdźca przejść do kłusa lub galopu. Poruszała się z niezwykłą gracją i posłusznie szła stępą, jakby płynęła w powietrzu.

- Mam wrażenie, że zrobi wszystko, o co ją poproszę - odezwała się Isabel.

- Na pewno, choć musicie dać sobie trochę czasu, by się do siebie przyzwyczaić - odpowiedział Sullivan spokojnym, ciepłym tonem, jakiego zawsze używał w obecności koni. - Jeśli zrobi coś nieoczekiwanego,

pamiętaj, że nie ma w tym złośliwości. Musisz być cierpliwa, ale stanowcza. Przejdźmy do kłusa.

- Mam nadzieję, że nie spadnę - w głosie Isabel można było wyczuć niepewność.

- Upadki się zdarzają - odparł. - Nie musisz się bać. Po prostu bądź przygotowana. Gdybyś czuła, że lecisz do tyłu, chwyć kulę przy siodle. Gdybyś jednak zaczęła spadać, skul się. Staraj się nie uderzyć plecami w ziemię, bo zabraknie ci oddechu.

- Nie pocieszyłeś mnie.

Wzruszył ramionami.

- Mówię, jak jest, ale nie obawiaj się. Dziś nie spadniesz.

Spojrzała przelotnie na jego przystojną twarz i zobaczyła, że się uśmiecha. Codziennie chciałyby widywać go takim.

- Jak mam się odprężyć, skoro przez cały czas muszę być przygotowana na najgorsze?

- Będzie ci coraz łatwiej. To jak nauka chodzenia. W pewnej chwili po prostu przestajesz o tym myśleć.

- Nauczyłam się chodzić osiemnaście lat temu. Mam w tym trochę więcej praktyki niż w jeździe konnej.

Roześmiał się.

- Ale sama nauka trwała najwyżej rok lub dwa. Poza tym, nie jesteś już małym dzieckiem.

- Co mam zrobić, że tak się czuję?

- Wyglądasz, jakbyś jeździła od lat. Uroczą z ciebie amazonka.

- Przestań - zganiła go. - Powiedziałam ci chyba największy komplement, jaki kobieta może powiedzieć mężczyźnie. Skoro nie umiesz lub nie chcesz zrewanżować się tym samym, lepiej nic nie mów.

- Owszem, nie ma porównania - przyznał po chwili milczenia - ale na pewno mniej boli.

- Według ciebie.

Sullivan spojrział na nią przeciągle.

- Niech będzie - odpowiedział w końcu. Jego zielone oczy były pełne niewypowiedzianych obietnic, których - wiedziała to - już nigdy nie pozna.

- Kocham cię - powiedział cicho. Chcę cię widzieć każdego dnia, rozmawiać z tobą, tulić. Sprawiasz, że marzę o rzeczach, które są dla mnie nieosiągalne.

Głos mu się załamał. Isabel milczała. Nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć. Poczula, jak po policzku spływa jej łza. Starła ją, zanim ktokolwiek mógłby zauważyć.

Waring pochylił głowę.

- Sprawiałaś, że zapragnąłem być kimś innym. Chciałbym przestać się bać, że to, co robię, narazi cię na skandal, a mnie wpędzi w kłopoty. Wcześniej nigdy mi to nie przeszkadzało. Czy teraz czujesz mniejszy ból?

Potrząsnęła głową. Kolejna łza spłynęła jej po policzku i upadła na skórzaną rękawiczkę.

-Nie.

- Ja też nie.

- Sullivanie Waring!

Ostry, obcy głos przeciął powietrze niczym uderzenie bicia. Zephyr skuliła uszy, potrząsnęła głową i zrobiła kilka kroków w bok. Przerazona Isabel ściągnęła wodze. Klacz parsknęła i lekko przysiadła.

- Spokojnie, maleńka! - powiedział cicho Sullivan, ustawiając Parysa łeb w łeb z klaczą. - Przemów do niej i obserwuj uszy.

- Spokojnie, Zephyr! - powtórzyła, kurczowo ściskając wodze. - Już dobrze. Przepraszam, że cię przestraszyłam.

Uszy konia obróciły się w jej kierunku. Pod wpływem uspokajających słów, których nie szczędziła jej Isabel, Zephyr wyraźnie się odprężyła. Pochyliła łeb i zaczęła skubać trawę.

- Bardzo dobrze, milady - pochwalił Waring.

Dopiero teraz się rozejrzała. Sullivan nadal siedział w siodle, ale ręce miał uniesione. Otaczało go sześciu jeźdźców. Wszyscy byli uzbrojeni, z pistoletami wymierzonymi w jego pierś.

- Co to ma znaczyć?! - zapytała, starając się, by w jej głosie nie dało się wyczuć strachu.

Mężczyzna znajdujący się najbliżej niej, ubrany tak jak pozostali w granatowy płaszcz i czerwoną kamizelkę, rzucił w jej kierunku przelotne spojrzenie.

- Nie mieszaj się, panienko. To sprawa policji...

- Mówisz do lady Isabel Chalsey - przerwał mu Sullivan. - Traktuj ją z należnym szacunkiem.

Mężczyzna zacisnął szczęki, ale pochylił głowę w ukłonie.

- Wybacz, pani. Mamy rozkazy - znów spojrzał na hodowcę. - Sullivanie Waringu, na mocy danego nam prawa aresztujemy cię za kradzież.

- To niedorzeczne! - wtrąciła Isabel. Była półżywa z przerażenia. Ci ludzie wyglądali na takich, co nie zawahają się użyć broni, jeśli uznają, że zachodzi taka potrzeba. Jak trafili na jego ślad? Dlaczego chcą go aresztować chwilę po tym, jak wyznał jej miłość. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

- Pan Waring trenuje mojego konia. Nie mam pojęcia, co...

- Proszę o wybaczenie, pani, ale dostaliśmy informację, że ten człowiek przez ostatnich kilka tygodni dokonywał włamań do rezydencji w Mayfair. Mamy rozkaz odprowadzić go do aresztu.

- Nie - oświadczył Sullivan.

Policjanci unieśli broń, a jeden z nich zeskoczył z konia, wyjmując z przytroczonej do siodła sakwy parę kajdanek.

- Zsiadaj, zanim cię do tego zmusimy - rozkazał Waringowi.

- Odpowiadam za lady Isabel - odpowiedział Sullivan, zachowując kamienny spokój. - Nie zostawię jej tu samej.

- Służący ją odprowadzi - odrzekł mężczyzna, wskazując na Phippsa.

Isabel zupełnie zapomniała o obecności stajennego, który siedział na swoim koniu, z poszarzałą twarzą obserwując całą scenę. Pomyślała, że ona sama musi w tej chwili podobnie wyglądać. Znaleźli Sullivana, a co gorsza, wiedzieli, co zrobił. Znali tożsamość Rabusia z Mayfair! Kto im o tym powiedział?

- Skąd pewność, że chodzi o pana Waringa? - zapytała.

- Nie możemy powiedzieć.

- Ja to zrobię! - Oliver Sullivan lord Tilden wjechał pomiędzy stróżów prawa. - Czuję się w obowiązku wypełnić swoją obywatelską powinność, Isabel. Wybacz, że stało się to w tak niefortunnym momencie. Odprowadzę cię do domu.

- Stanowczo odmawiam! - przerwała mu i zwróciła się do dowódcy patrolu:

- Pan Waring został przeze mnie zatrudniony i nie wyobrażam sobie, by miał mnie pozostawić bez eskorty. Możecie, panowie, jechać za nami.

Nie było to wiele, ale zyskają trochę cennego czasu, by coś wymyślić.

- Pan Waring pojedzie z nami - odpowiedział policjant.

- Nie rozumiem. Lord Tilden nie ma żadnych dowodów na poparcie swojego oskarżenia. Jedynym powodem, dla którego...

- Phipps! - przerwał jej nieoczekiwanie Sullivan - Weź uwiąz. Nie oddalaj się od lady Isabel o więcej niż trzy stopy i doprowadź ją bezpiecznie do domu, bo inaczej będziesz miał się z pyszna. Zrozumiałeś?

- Tak jest, panie Waring.

- Sullivan...

- Wszyscy na nas patrzą, Tibby! - szepnął, powoli zsiadając z konia. Policjanci przez cały czas trzymali go na muszce. - Stając w mojej obronie, możesz tylko zaszkodzić sobie. Nic nie mów i wracaj do domu.

Zacisnęła wargi. Dopiero teraz uważniej rozejrzała się wokoło i zobaczyła, że za kręgiem utworzonym przez policjantów zebrał się spory tłumek spacerowiczów, którzy o tej porze wybrali się do Hyde Parku. Ludzie szeptali do siebie, spoglądając zarówno na Sullivana, jak i na nią. Wcześniej ich nie zauważyła. Teraz była świadoma ich obecności, ale niewiele ją obchodzili.

- Macie jakieś dowody?

- Proszę się tym nie kłopotać, pani. Poślemy ludzi do domu pana Waringa, gdzie, według lorda Tildena, powinniśmy znaleźć wszystkie skradzione przedmioty. Chalsey House także padło ofiarą włamania, nieprawdaż? Oliver podjechał bliżej.

- Nie mówmy w tej chwili o tym, panie Seifley. Pozwól się odprowadzić, Isabel.

- Nie zbliżaj się do mnie! Po tym, co mi powiedziałeś, nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

Sullivan dotknął jej stopy. Wzdrygnęła się, a policjanci czujnie unieśli broń.

- Na litość boską, jedź do domu, Tibby! - wyszeptał, udając, że poprawia coś przy siodle. - Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. Trzymaj się ode mnie z daleka, a przed odjazdem najlepiej wymierz mi solidnego kopniaka.

- Nigdy! - odpowiedziała tym samym tonem.

Wyprostowała się.

- Jestem gotowa, panowie. Phipps! Odprowadź mnie do domu!

Stajenny zeskoczył z konia i zabrał uwiąz od Sullivana, a potem wyprowadził Zephyr na zewnątrz kręgu złożonego z policjantów i gapiów. Isabel spoglądała przez ramię, by upewnić się, że Sullivanowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Kiedy dowódca patrolu zakładał mu kajdanki, Waring rzucił jej ostatnie spojrzenie, a potem się odwrócił.

Isabel zrobiło się słabo. Zaciśnęła zęby, obawiając się, że lada chwila straci przytomność. Jak mogli aresztować Sullivana w samym sercu Hyde Parku! Jeśli będą mieli dowody w rękę, wyrok bez wątpienia będzie surowy. A jeśli skażą go na śmierć?

- Pani - odezwał się Phipps. - Musimy wracać do Chalsey House.

Zamrugła. Policjanci niedługo pojawią się w domu Sullivana. Na razie nie mają dowodów, a jedynie słowa Olivera.

- Jeszcze nie - odpowiedziała głośno.

-Ale przecież...

- Pojadę do domu sama - oświadczyła, starając się mówić pewnie. - Ty udasz się natychmiast do lorda Bramwella Johnsa i opowiesz mu dokładnie, co się tu wydarzyło. Wiesz, gdzie mieszka?

- Tak, panienko. Ale pan Waring kazał mi panienkę eskortować do domu.

- To moja rodzina cię zatrudnia, Phipps. Jedź!

Odpiął linę od uzdy Zephyr i wskoczył na swojego konia.

- Proszę uważać, panienko. Będzie panienka całkiem sama.

Bardziej martwiło ją to, że będzie jechała konno bez niczyjej asysty.

- Ruszaj! Nie ma czasu!

Skinał głową i pospiesznie odjechał. Isabel wzięła głęboki oddech. Nie była na to gotowa.

- Ruszaj, Zephyr! - powiedziała, luzując wodze, tak jak pokazywał jej Sullivan. Klacz zaczęła iść stępą podobnie jak na padoku, prowadzona pewną ręką hodowcy. Isabel była pewna, że wykona każde jej polecenie.

Gniady ogier podjechał z boku i zrównał się z Zephyr.

- Nie bądź uparta, Isabel! - powiedział Oliver. - Pozwól się odprowadzić.

- Dziękuję, nie trzeba - odpowiedziała sucho. Chętnie przeszłaby do kłusa, ale nie chciała, by Tilden zorientował się, ile nerwów ją to kosztuje, i zaczął winić Sullivana, że nie potrafił nauczyć jej jeździć.

- Pan Waring jest złodziejem - odezwał się wicehrabia po chwili milczenia. - Moim obowiązkiem było oddać go w ręce władz.

- Bzdura! - parsknęła, spoglądając na niego. - Kazałeś go aresztować z zazdrości.

- Z zazdrości? - powtórzył, unosząc brwi. - Jak mógłbym być zazdrosny o jakiegoś hodowcę koni? Ten człowiek zarabia na życie pracą własnych rąk!

- To właśnie powiem każdemu, kto zechce mnie wysłuchać - oświadczyła Isabel, żałując, że nie zdążyła nauczyć się galopować. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i zorganizować pomoc dla Sullivana. - Wszyscy dowiedzą się, że Oliver Tilden, człowiek cieszący się wszystkimi przywilejami wynikającymi z wysokiego urodzenia, rzucił oskarżenie na

swojego przyrodniego brata, ponieważ nie mógł znieść myśli, że ten mógłby być szczęśliwy.

- Rozumiem, że to dzięki tobie miał tak się poczuć - odparł, zniżając głos. Jego ton sprawił, że zadrżała. - Wyszłaby z tego bardzo interesująca plotka.

- Nie próbuj mnie zastraszyć, mój panie! Mam w zanadru jeszcze jedną, znacznie ciekawszą opowieść. O obrazach, które dziwnym sposobem znalazły się w posiadaniu twojej rodziny.

- Nie ośmielisz się!

- Poczekaj, a zobaczysz - zmęczona rozmową i powolnym tempem, w jakim poruszała się klacz, lekko trzepnęła wodzami. - Kłus, Zephyr! Proszę zostawić mnie w spokoju, lordzie Tilden. Nie sądzę, byśmy mieli prędko się zobaczyć.

Zephyr przyspieszyła, a Isabel poczuła, że traci równowagę. Chwyliła za przedni łęk i udało jej się utrzymać w siodle. Musiała przyznać, że poza innymi zaletami Sullivan był naprawdę świetnym nauczycielem i znawcą koni. Musiała znaleźć sposób, by go ocalić.

Wydawało się, że droga do Chalsey House zajęła jej całe wieki. Kiedy wjechała na dziedziniec stajni, nie pomyślała nawet, by pogratulować sobie pierwszej w pełni samodzielnej konnej przejażdżki. Znajdzie na to czas później.

- Delvin! Smith! Zaprzęgnijcie do koczka parę najszybszych koni!

Stajenni, zaskoczeni jej pojawieniem się i rozkazującym tonem głosu, bez wahania rzucili się, by wykonać polecenie. Isabel została sama na dziedzińcu, uświadamiając sobie, że nie potrafi zsiąść z konia. Nigdy nie robiła tego sama, zawsze pomagał jej Sullivan.

- Tibby? - jakby na zawołanie w drzwiach stajni pojawiła się postać Douglasa. - Co ty wyprawiasz? Gdzie Waring?

- Dzięki Bogu, że jesteś! Pomóż mi zejść!

Podszedł do Zephyr i wyciągnął ręce, asekurując siostrę. Prawie na niego upadła.

- Chyba złamałaś mi rękę! - zawołał z wyrzutem.

- Na pewno nie. Potrzebuję cię.

- Co się stało?

- Sullivan został aresztowany. Oddział policji jedzie do jego domu szukać skradzionych przedmiotów. Posłałam Phippsa do lorda Bramwella Johnsa, ale kto wie, czy zastanie go w domu. Musimy natychmiast jechać do Sullivana i zabrać obrazy, zanim tamci je znajdą.

Douglas spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Oszalałaś? - krzyknął - Masz pojęcie, co się z nami stanie, jeśli zostaniemy schwytani na pomaganiu złodziejowi?

- Nie obchodzi mnie to. Powiedz, że ze mną pojedziesz, albo poszukam kogoś innego.

- Do stu diabłów! - zaklął, spoglądając w stronę domu. - Wyślą mnie za to na drugi koniec świata. Ciebie też. I nie mów, że nie robi to na tobie wrażenia.

- Kocham Sullivana - przerwała mu. - Pomogę mu z tobą lub bez ciebie.

- Dobry Boże! - jęknął kompletnie zdruzgotany Douglas.

- Wiem, wiem. Trudno w to uwierzyć. Jeśli jednak jest jakikolwiek sposób, by mu pomóc, jestem gotowa na wszystko. Pojedziesz ze mną?

Brat przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem skinął głową.

- Pomogę ci, ale jeśli rodzice wyślą mnie potem do Ameryki na stanowisko podrzędnego urzędnika, będę na ciebie naprawdę wściekły.

- Jeśli już, to pojedziemy obydwój.

Powóz był gotowy. Isabel wybrała kocz, ponieważ miał rozkładaną budę i było w nim sporo miejsca, by przewieźć obrazy i inne przedmioty. Douglas kazał stangretowi zejść i sam zajął miejsce na koźle. Odwrócił się i zauważył, że siostra wciąż stoi na dziedzińcu.

- Wsiadaj, Tibby! - zawołał, a gdy wykonała polecenie, dodał ciszej: - Nie chcę, by którykolwiek ze służących został aresztowany, ponieważ nam pomagał.

Miał rację.

- Jedź! - powiedziała, zamykając drzwi. Jeśli nie da rady ocalić Sullivana, to przynajmniej nie podda się bez walki.

Mógłby spróbować się wymknąć. Stróże prawa nie oczekiwali podobnej brawury po kimś zakutym w kajdanki, a mógł się założyć, że w pościgu za Parysem żaden z policyjnych koni nie miałby szans. Kilka tygodni temu byłby gotów zaryzykować, choć oznaczałoby to utratę wszystkiego, co miał, i życie wygnańca. Udana ucieczka zaszkodziłaby reputacji Dunstona równie mocno jak skazanie jego nieślubnego syna na szubienicę.

Sullivan spojrział na otaczający go tłum ciekawskich, a potem przeniósł wzrok dalej, na parkową aleję, gdzie siedząca na Zephyr Isabel dyskutowała o czymś zawzięcie z Phippsem. Kto wie, jakie piekło czeka ją przez niego. Po co narażać ją jeszcze bardziej? Pozwolił policjantom wsadzić się na grzbiet Parysa i w milczeniu przebył całą drogę, ignorując gwizdy i okrzyki zgromadzonych ludzi. W końcu nie spodziewał się niczego innego. Od początku wiedział, że któregoś dnia tak to się skończy i Bram nie musiał mu

tego powtarzać przy każdej okazji. Zdawał sobie też sprawę, że jego czyny uderzą nie tylko w ojca, który się go wyrzekł, ale także w młodą damę właśnie opuszczającą samotnie Hyde Park. Miał tylko nadzieję, iż będzie na tyle domyślna, by odgrywać zdziwioną i zaskoczoną. Tylko w ten sposób ma szansę ocalić swoje dobre imię.

Chciałby, żeby nie musiała tego robić. Wszystko powinno wyglądać zupełnie inaczej. Jak? Teraz będzie miał sporo czasu, by to sobie wyobrazić.

RS

Rozdział 22

- Skąd wiesz, które z tych obrazów zostały skradzione? - zapytał Douglas, zdejmując ze ściany niewielkie malowidło. Pod pachą trzymał już egipską wazę.

- Wkładaj wszystko do powozu - powiedziała Isabel, sięgając po kolejny rysunek. - Później będziemy się zastanawiać.

- Policja zacznie coś podejrzewać, jeśli znajdzie puste ściany.

- Pomyśl, co będzie, jeżeli przyłapią nas podczas wywożenia tych rzeczy.

- Nie znalazłem jeszcze niczego, co by należało do nas - rzekł Douglas z kwaśną miną.

Isabel także nie. Kiedy poprzednio odwiedziła Sullivana, była jedynie w salonie. Nie miała pojęcia, gdzie mógł ukryć skradzione przedmioty. Być może w ogóle nie trzymał ich w domu? Wiedziała jedno - mieli coraz mniej czasu.

- Zabierz wszystkie obrazy, Większość z nich to dzieła Franceski Perris. Miejmy nadzieję, że chociaż kilka z nich to te, które skradziono.

- Raczej nie.

Isabel wzdrygnęła się na dźwięk obcego głosu, prawie upuszczając malowidło, które właśnie zdjęta ze ściany. Przerażona odwróciła się ku drzwiom i odetchnęła z ulgą na widok znajomej postaci.

- Lord Bramwell!

- Łamiecie prawo - powiedział, skinąwszy głową Douglasowi, który wyłonił się zza fotela, gdzie znalazł najbezpieczniejsze jego zdaniem schronienie.

- Policja będzie tu lada chwila - przypomniała mu Isabel, zdejmując z kominka dwa srebrne świeczniki.

- Wracajcie do domu. Wszystkim się zajmę - odpowiedział jej syn księcia Levonzy.

- Pan? Na razie to ja pomagam Sullivanowi, podczas gdy pan tylko mówi.

Na jego twarzy pojawił się przelotny wyraz rozbawienia.

- Jak pani wie, jestem w tym dobry. A tak przy okazji - wiem, gdzie Sullivan trzyma skradzione przedmioty i przywiozłem ze sobą ludzi do pomocy. Te wszystkie rzeczy to legalna własność tego nieszczęśnika. Radziłbym pani pójść ze mną.

Odwrócił się i ruszył korytarzem. Douglas rzucił siostrze przelotne spojrzenie, odłożył na podłogę przedmioty, które trzymał w ręku, i wyszedł za Bramwellem. Isabel spojrzała na ogołoczone ściany w salonie. W powozie znajdowało się chyba ze dwanaście obrazów. Nie było czasu, by odwieść je z powrotem. Pobieгла za mężczyznami.

Poprzednio nawet nie zauważyła drzwi w spiżarni. Były pokryte taką samą dębową boazerią jak ściana i po zamknięciu całkowicie wtapiały się w tło.

- Przepraszam, panienko! - Postawny mężczyzna w liberii w barwach rodowych Johnsów minął ją i wszedł do skrytki. Po chwili wynurzył się z niej, trzymając pod pachami dwa obrazy.

- Dziękuję, lordzie Bramwell! - zawołała, widząc, jak pół tuzina służących sprawnie wynosi rzeczy.

- Nie robię tego dla pani, lady Isabel - odpowiedział. -I proszę mi mówić Bram.

- Sullivan ma w panu przyjaciela.

- Owszem.

- Ufa pan tym ludziom? - zapytała, nie potrafiąc się przemóc, by użyć jego przydomka. Szczerze mówiąc, lord Johns lekko ją przerażał.

- Zapłaciłem im wystarczająco dużo - odparł. - Teraz najlepiej będzie, jeśli oboje stąd odjedziecie. Oddział policji może się tu zjawić lada chwila. W tej sprawie nie będą sobie mogli pozwolić na opieszałość.

-Ale...

- Kiedy się tu pojawią, nie powinni cię, pani, zobaczyć.

- To wszystko stało się przeze mnie.

Bramwell pokręcił głową.

- Sullivana i lorda Tildena łączą dwie osoby: ojciec i pani. Prędzej czy później Sully zostałby aresztowany, nawet gdyby pani nie poznał. A nawet jeśli nie wpadłby w ręce policji, cała sprawa zakończyłaby się wielkim skandalem. Jedno tylko się zmieniło: w tej chwili na pewno nie zaryzykuje ucieczki. Ze względu na panią. - Johns przesunął się, by Isabel mogła wyjść z kuchni. - Mówiłem mu, że nie warto ryzykować życia dla kobiety. Musi być pani kimś naprawdę wyjątkowym.

Jej serce zabiło mocniej. Czy Sullivan mu to powiedział? Może sam Bramwell zorientował się, jak drogi jest jej Waring?

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Proszę teraz wracać do domu, zanim sprawy jeszcze bardziej się skomplikują.

-Ja...

Lord Bram ujął ją pod ramię i praktycznie wyprowadził z domu. Prawdopodobnie wrzuciłby ją bezceremonialnie do kocza, gdyby nie chwyciła się framugi drzwi wyjściowych.

- Czy uwolnią go, jeśli nie znajdą dowodów? - spytała.

Johns zacisnął usta.

- Chyba nie. Został oskarżony przez przyszłego markiza, który czuje się głęboko urażony w swojej dumie. Sullivan będzie musiał udowodnić swoją niewinność.

- Co więc mamy zrobić? - zapytała drżącym głosem, zaczynając zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. - On... Przecież on nie jest niewinny.

Czarne oczy lorda Bramwella wpatrywały się w nią przez chwilę z uwagą.

- Mam parę pomysłów - powiedział w końcu.

- Pani musi przede wszystkim wrócić do domu i robić wszystko... a raczej nie robić nic, co mogłoby wciągnąć panią w krąg podejrzeń.

- Nie będę potulna jak owieczka idąca na rzeź - odpowiedziała, wsiadając do powozu.

- Nie ma pani w sobie nic z owieczki. Wręcz przeciwnie, dostrzegam nawet coś z wilczycy - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Ruszajcie!

Siedzący już od jakiegoś czasu na koźle Douglas gwizdnął na konie i kocz odjechał, podskakując na nierównościach drogi. Bram obserwował go przez chwilę, jakby chcąc upewnić się, że Isabel nie każe bratu zawrócić, a potem wszedł do środka.

- Pospiesz się, Grimes! - powiedział do najstarszego lokaja - Tylko uważaj, żeby nie zniszczyć obrazów.

- Oczywiście, proszę pana.

Bram zasepił się. Niechętnie musiał przyznać sam przed sobą, że Isabel trafiła w sedno: w oczach sądu brak dowodów przeciw Sullivanowi nie oznaczał jego niewinności. Zwłaszcza że oskarżenie padło z ust arystokraty.

Wszedł do skrytki i otworzył szafę ustawioną przy tylnej ścianie. Znajdowały się w niej stare koce i prześcieradła. One mogły zostać, w przeciwieństwie do jednego przedmiotu wciśniętego w róg. Bram podniósł czarną maskę. Westchnął. Wygląda na to, że czeka go jeszcze jedna wizyta, którą będzie musiał jakoś wcisnąć między przyjęcie u Fontaine'ów a kolację z Hanną Price - najnowszą sensacją londyńskich scen.

- Powinniśmy zostać w domu - oświadczył Phillip, wsiadając do powozu.

- Zgadzam się - przytaknęła siedząca w środku Isabel. Ciekawe, co powiedzieliby rodzice, gdyby wiedzieli, że zaledwie kilka godzin temu kocz był pełen przedmiotów wywiezionych z domu Sullivana Waringa. Teraz wszystkie leżały ukryte bezpiecznie pod stertą siana i derek w najdalszym kącie stajni.

- To nie nasza wina, że wynajęliśmy pana Waringa - odezwał się lord Darshear, choć minę miał równie ponurą jak jego starszy syn. - Nie mieliśmy pojęcia, że jest Rabusiem z Mayfair.

- Nie to jest najważniejsze - wtrąciła jego żona. - Znow wszyscy będą dziś mówić o afekcie, jakim darzyła go Tibby. A już miałam nadzieję, że plotki przycichną.

- Nie mam zamiaru za nic przeproszać - powiedziała twardo Isabel. - Sullivan jest w więzieniu i to jest najważniejsze, a nie to, co ludzie będą o mnie mówić.

- Zmienisz zdanie, kiedy wejdziemy na salę.

- Zdaję sobie sprawę, że nie będzie przyjemnie - wzięła głęboki wdech.

- Dlatego wolałabym odwiedzić Sullivana, niż jechać na to przyjęcie.

- Słucham? - wyrzuciła z siebie markiza zduszonym głosem.

- Wszyscy go potępili - odpowiedziała Isabel.

Fakt, iż Sullivan rzeczywiście miał sporo na sumieniu, jakby zupełnie wyleciał jej z głowy. W końcu został zmuszony, by kraść, a poza tym zabierał tylko to, co prawnie mu się należy. - To wszystko wina Olivera. Nie podobało mu się, że Sullivan uczył mnie jeździć. To moja wina.

Lord Bram miał na ten temat inne zdanie, ale Isabel wiedziała swoje. I było jej z tym bardzo źle. Powiedziała Waringowi, że go kocha, i wszystko się popsuło.

- To nie twoja wina. I skąd pewność, że pan Waring rzeczywiście nie miał nic wspólnego z włamaniami? - Humor lady Helen nie poprawił się od chwili, gdy Douglas podjechał powozem przed dom.

- Wiecie, czego się dowiedziałem? - wtrącił Phillip - Wszystkie skradzione obrazy zostały namalowane przez matkę Waringa.

Markiz wyprostował się.

- Chcesz powiedzieć, że to on włamał się do naszego domu i groził Tibby?

- Nikt mi nie groził! - przerwała ojcu, czując, jak ogarnia ją panika. - Wystraszyłam złodzieja. Nie pamiętacie?

- Francesca W. Perris - powiedział w zamyśleniu lord Darshear. - „W” może być skrótem od Waring.

- Boże drogi! - jęknęła markiza, wachlując się dłonią. - W cośmy się wplątali?! Tibby, jeśli coś wiesz, koniecznie nam powiedz.

Po policzku Isabel spłynęła łza. Czuła, że osuwa się w ciemność. Trudno byłoby jej opisać uczucia, jakimi darzyła Sullivana. Względem kogo miała zachować lojalność, a kogo zdradzić?

- Isabel? - odezwała się matka łagodniejszym tonem - Wiesz coś, prawda? Proszę, powiedz nam.

To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Dziewczyna z łkaniem rzuciła się w wyciągnięte ramiona matki. Jak mogła myśleć, że wie, co ma robić? Była taka głupia!

- Tibby? - ojciec dotknął jej ramienia. - Wiemy, że go lubiłaś. Nauczył cię jeździć konno i...

- Jego matka zmarła, gdy walczył w Hiszpanii - zaczęła, nadal wtulona w ramiona matki. - Kiedy wrócił do domu, okazało się, że Dunston i Oliver zabrali wszystkie obrazy, które miał odziedziczyć. Zrobili to, ponieważ jej dom stał na ich ziemi, i dlatego, że mogli to uczynić. Kto stanąłby po stronie hodowcy koni przeciwko markizowi? Sullivan chciał tylko odzyskać swoją własność.

- Dobry Boże! - jęknął markiz.

- Sam ci to powiedział? - spytał Phillip, tak samo jak rodzice zszokowany jej słowami.

- Miał zamiar przestać po odzyskaniu ostatniego obrazu. Zostały mu jeszcze dwa. Oliver i Dunston wiedzieli o wszystkim. Markiz nie chciał, by sprawa się wydała, ale Oliver... zobaczył, że zaprzyjaźniłam się z Sullivanem i doniósł na niego władzom. A teraz go powieszają. Wiem to!

Nie potrafiła przestać mówić. Mogłaby jeszcze długo opowiadać, z twarzą przytuloną do ramienia matki. Przynajmniej nie musiała patrzeć na pełne dezaprobaty miny brata i rodziców. Nie miała wątpliwości, że są oburzeni jej zachowaniem. Gdyby wiedzieli, że wciągnęła we wszystko Douglasa!

- Przestań płakać, Tibby! - odezwała się markiza.

- Nie mogę! - jęknęła Isabel.

- Harry, zatrzymaj powóz!

Lord Darshear zastukał w sufit i pojazd stanął.

- Co się dzieje, Helen?

- Czy możecie z Phillipem wysiąść na chwilę? - spytała i dodała: - Natychmiast.

Isabel podniosła głowę, pociągając nosem i spojrzała na matkę. Taką minę widziała u niej tylko kilka razy w życiu. Ostatnio, kiedy Douglas wpuścił do jadalni w Burling żywą gęś, wywołując panikę wśród zaproszonych na obiad gości. Nic dziwnego, że mężczyźni bez słowa opuścili powóz, zamykając pospiesznie drzwi.

Lady Helen spojrzała przez okno i poruszyła ręką, najwyraźniej dając mężowi i synowi znak, by odeszli dalej. Następnie zwróciła oczy na Isabel.

- Jesteś brzemienna? - zapytała pustym głosem, z pobladłą twarzą.

-Nie!

- Dzięki Bogu! Więc skąd te łzy?

- Ponieważ... - Isabel zamknęła oczy. Czowała się osaczona. Nie wiedziała, czy wyznanie komuś prawdy pomoże, czy też pogorszy sprawę. Do tej pory rodzice zawsze okazywali jej zrozumienie i współczucie. To ona oszalała.

- Kocham go - powiedziała głośno.

Markiza nie wyglądała na zaskoczoną.

- W zeszłym roku kochałaś Johna Hilgrandta, a wcześniej Clarka Winsteadę.

- To co innego! Chyba widziałaś, mamó, że nie traktowałam ich poważnie. John był zabawny, a Clark dobrze tańczył.

- W takim razie co z Oliverem?

- Nie lubię go.

- Przestałaś przed aresztowaniem czy po aresztowaniu pana Waringa?

- Przed. I to znacznie wcześniej. Nie mówiłam mu tego, bo obawiałam się, że będzie winił Sullivana. Oliver zawsze robi to, co wypada.

Matka wyprostowała się, splatając dłonie.

- Nie widzę w tym nic złego.

- Może masz rację. - Isabel otarła łzy. Czuła, że ma zapuchnięte oczy. - To takie... przewidywalne. Kilka tygodni temu zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czym się interesuje. Nigdy go o to nie pytałam. On też nie zadał sobie trudu, by dowiedzieć się czegokolwiek o mnie.

- A pan Waring?

- Udało mu się przekonać mnie do koni. Jest bardzo mądry. Jego matka chyba miała nadzieję, że Dunston w końcu go uzna, ponieważ wychowała go na dżentelmena.

- Ale lord Dunston tego nie zrobił i pan Waring nie jest dżentelmenem.

- Wiem - głos Isabel się załamał. - Postępowałam nierozważnie, ale nie straciłam do końca zdrowego rozsądku. Dużo o tym myślałam.

Markiza przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

- Czy doszłaś do jakichś wniosków? - spytała w końcu.

- Nie wiem, co będzie, mamó, ale jeśli jest jakikolwiek sposób, bym mogła uratować Sullivana, skorzystam z niego. Nawet jeśli miałabym żyć na ulicy i żebrać o jedzenie, wolałabym to niż świadomość, że przeze mnie stracił życie.

- A ja chciałabym mieć pewność, że to nie kolejny przejaw twojej melodramatycznej natury. Mówisz o życiu na ulicy, ale nie wiem, czy do końca zdajesz sobie sprawę, co by się z tobą stało, gdybyś zdecydowała się wesprzeć pana Waringa.

Matka miała rację. Isabel sama wiedziała, że ma skłonności do egzaltacji i dramatyzowania. Przecież z początku traktowała znajomość z

Sullivanem jako fascynującą zabawę. Wiedziała, co do niego czuje, ale rodzice nie musieli wierzyć w głębię jej uczucia. Wyprostowała się.

- W takim razie jedźmy na bal. Udowodnię wam, że poważnie traktuję uczucie do Sullivana i rozumiem konsekwencje swoich czynów. Potem pojedę go odwiedzić.

- Zobaczymy - odpowiedziała markiza i otworzyła drzwi powozu.

- Harry! Phillipie! Możecie wsiąść. Czeka nas bardzo interesujący wieczór.

RS

Rozdział 23

- Co pan z nimi zrobił?

Sullivan nie ruszył się z miejsca. Stał oparty o kamienną ścianę swojej celi w lochach Old Bailey i ze stoickim spokojem przyglądał się swojemu rozmówcy.

- Proszę sprecyzować, co ma pan na myśli.

Sędzia poprawił perukę i przeniósł wzrok na dwóch strażników, stojących obok niego.

- Nie przesłuchuję więźniów - oświadczył. - Jestem tu jedynie ze względu na szczególne okoliczności dotyczące pańskiego urodzenia i pozycję społeczną ofiar kradzieży. Radzę mówić prawdę, zanim każę pana przenieść do mniej przytulnego pomieszczenia.

- Być może sprzedałem jednego konia czy dwa drożej niż powinienem - odparł Sullivan - ale nic więcej nie zrobiłem. Nie mam pojęcia, skąd lord Tilden wziął swoje oskarżenia.

Sędzia, który nawet nie zadał sobie trudu, by się przedstawić, wyjął z pod ręcznej torby plik papierów i pomachał nimi w powietrzu. Waring nie miał pojęcia, czy ten gest miał go przestraszyć, czy dać mu coś do zrozumienia. Wszyscy poza nim wyglądali na mocno zdenerwowanych, co w pewien sposób dodawało mu otuchy.

- Dostałem mnóstwo listów od pańskich przyjaciół - powiedział sędzia, z powrotem wkładając dokumenty do torby. - Wysoko postawionych przyjaciół. Najwyraźniej ma pan nadzieję, że ich poparcie uchroni go przed szubienicą. To błąd.

- Kilku osobom bardzo się nie spodobało, iż aresztowano mnie bez przyczyny i nie omieszkały poinformować pana o tym fakcie - odrzekł spokojnie Waring.

Ludzie często nie wiedzieli, jak się do niego zwracać. Oczywiście, zwracali się do niego po nazwisku, ale Dunston nie popisał się, zaprzeczając wszem wobec, że Waring jest jego synem. Albo - co bardziej prawdopodobne - Francesca zadbała, by jej wysoko postawieni klienci, dla których malowała obrazy, poznali prawdę o pochodzeniu Sullivana. Nie był dżentelmenem, ale nie był także człowiekiem z ludu, co wiele osób wprawiało w konsternację. On sam nie był zachwycony, że uważano go za dziwadło, ale dziś sytuacja wyglądała interesująco. Zamknięto go samego w niewielkiej, ale w miarę wygodnej celi Old Bailey, zamiast wrzucić do jakiejś pełnej najgorszych zbirów dziury w więzieniu Newgate. Mogło to oznaczać, że chcą jak najszybciej go skazać, ale przynajmniej miał wygodne miejsce, by się położyć.

Sędzia uśmiechnął się krzywo.

- Pozwólmy szlachetnie urodzonym potrząsać szabelkami. Jutro znajdą sobie inne zajęcie, a pan zgnije w celi, chyba że powie nam, gdzie są wszystkie skradzione przedmioty.

Jeszcze kilka tygodni temu przyznałby się od razu, ponieważ sprowadziłoby to kłopoty na Dunstona i jego rodzinę. Nie traktowano go jak pospolitego przestępcy, więc jego zeznania zrobiłyby wrażenie. Teraz jednak był zakochany. Nigdy nie przypuszczał, że do tego dojdzie, ale skoro już tak się stało, nie zamierzał narażać Isabel. I tak wpadła przez niego w niezłe tarapaty. Gdyby przyznał się, że jest Rabusiem z Mayfair, zrujnowałby ją ostatecznie. Uniósł brwi.

- Mógłby mi pan w końcu powiedzieć, co jakoby miałem ukraść. Może starą podkowę albo worek owsa?

Jeden ze strażników prychnął śmiechem, za co sędzia wymierzył mu solidne uderzenie w głowę.

- Nie ma w tym nic zabawnego, Danning. Wicehrabia twierdzi, że ten człowiek jest Rabusiem z Mayfair. Znajdziemy dowody bez względu na to, czy pan Waring będzie z nami współpracować, czy nie.

Danning potarł bolące miejsce.

- Byłem u niego osobiście. Wygląda, jakby przez dom przeszedł huragan, ale nie znaleźliśmy ani jednego przedmiotu z listy, którą dostaliśmy - powiedział przygnębiony.

- Wracajcie tam i przeszukajcie jeszcze raz. Skoro był tam jeden ukryty pokój, gdzieś może być następny.

Strażnik skinął głową.

- Tak jest, wasza wielmożność. Chodź, Howard!

Sullivan słuchał tej rozmowy z rosnącym zdziwieniem. Znaleźli skrytkę, ale była pusta! A jego dom został przewrócony do góry nogami.

- Przepraszam - wtrącił, nie mogąc się powstrzymać - wygląda na to, że to ja zostałem okradziony!

- Jeśli to robota twoich wspólników, znajdziemy ich. Zobaczymy, czy będziesz równie skłonny do żartów, gdy założą ci pętlę na szyję. Miłego wieczoru, panie Waring!

Sędzia wyszedł, a Sullivan osunął się na zimną, kamienną podłogę. To nie miało sensu. Znaleźli ukryty pokój. Pusty. Czy to Bram zabrał wszystkie znajdujące się w nim rzeczy? Był jedyną osobą, która wiedziała o drugim życiu Waringa. Jedyną oprócz Isabel i Douglasa. Poczul zimny dreszcz. Tibby! Pojechała do jego domu i zabrała wszystko, co uważała za

skradzione. Gdyby policjanci zaskoczyli ją tam... Nawet bał się o tym pomyśleć.

To się musi skończyć! Podziwiał jej odwagę i lojalność, ale nie mógł pozwolić, by tak dla niego ryzykowała. Powinna trzymać się od niego z daleka, a najlepiej dołączyć do grona słusznie oburzonych obywateli. Straci ją, ale przecież tak naprawdę nigdy nie należała do niego. Zamknął oczy. Czy przyszlaby na jego egzekucję? To dodałoby mu sił. Potrząsnął głową... Nie. Nie chciałby, żeby widziała go w takiej chwili. Nie miał wątpliwości, że uznają go za winnego. Przecież popełnił przestępstwa, o które go oskarżono. Wydawało mu się, że Dunston i jego syn nie ośmielą się go wydać w obawie przed skandalem. Niestety, nie wziął pod uwagę Isabel Chalsey. Oliver zalecał się do niej i zazdrość wygrała w nim z poczuciem honoru. Uśmiechnął się do siebie. Choć raz udało mu się wywołać zazdrość u przyrodniego brata. Nie przypuszczał tylko, że będzie go to kosztowało życie.

Usłyszał trzask drzwi na końcu korytarza, ale zignorował to. Dziś już go przesłuchano. Pewnie kolej na następnego nieszczęśnika. Naraz usłyszał gwizdy dochodzące z sąsiednich cel. Zdziwiony otworzył oczy. Działo się coś niezwykłego. Usłyszał kroki, które umilkły pod jego cełą.

- Masz gościa, Waring! Wstawaj!

Pewnie Dunston przyszedł napawać się zwycięstwem.

- Tak jest mi wygodnie - odpowiedział, znów zamykając oczy.

- Sullivan! - wyszeptał kobiecy głos.

Przez wszechobecny odór więzienia przebił się słaby zapach cytrusów.

Skoczył na równe nogi.

Postać stojąca po drugiej stronie krat ubrana była w ciemną pelerynę z kapturem. W jednej chwili zapomniał o swoim zamiarze trzymania się jak najdalej od Isabel. Podbiegł do niej i urywanym głosem wyszeptał:

- Co, na Boga, robisz tutaj?!

- Musiałam cię zobaczyć - Isabel uniosła dłonie, by zdjąć kaptur. Nie namyślając się, sięgnął przez kraty i powstrzymał ją przed odsłonięciem twarzy.

- Nie możesz tu przychodzić! - powiedział z naciskiem.

- Jak widać, mogę.

- To niebezpieczne, Isabel. Jak w ogóle się tu dostałaś? Chyba nie przyjechałaś na Zephyr? Gdyby czegoś się przestraszyła...

- Ćśś! - położyła mu palec na ustach. - Nie bój się. Nie jestem konno.

Cofnęła rękę, zanim zdążył ją uchwycić, i skinęła na drugą postać w pelerynie stojącą w głębi korytarza. Ten ktoś był wyższy i cięższy od niej. Mężczyzna.

- Kto to? - spytał Sullivan

- Mój ojciec.

- Twój... ?! - przerwał kompletnie zaskoczony. - Mój Boże!

- Panie Waring.

- Milordzie, musi pan jak najszybciej zabrać stąd córkę! Jeśli ktokolwiek ją tu zobaczy, jej reputacja legnie w gruzach.

- Jestem tego świadom. Niech mi pan wierzy, że próbowałem wszystkiego, może z wyjątkiem zamknięcia jej w pokoju.

Markiz znów się wycofał, najwyraźniej po to, by Sullivan i Isabel mogli swobodnie rozmawiać.

- Nie bądź uparta, Tibby! - odezwał się Waring.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co może cię spotkać. Wiem, że uwielbiasz tańczyć. Pomyśl, nikt może cię więcej nie poprosić...

- Wczoraj byłam na balu u Fontaine'ów - przerwała mu, wkładając rękę między kraty, by chwycić go za przód koszuli. - Tańczyłam tylko z lordem Bramwellem, Phillipem i moim ojcem.

Starł się dojrzeć wyraz jej twarzy ukrytej w głębokim kapturze.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Powinienem się domyślić, co zamierza Tilden. Nie rzucał słów na wiatr. To duży błąd, że byłaś ze mną, gdy mnie aresztowano.

- Nie chciałam być nigdzie indziej - odrzekła. Zauważył, jak trzęsą jej się ręce. - Nie dbam o taniec. Ludzie są głupi. Potrafią tylko słuchać plotek.

- Ale przecież zrobiłem to, o co jestem oskarżony - szepnął Sullivan, zaciskając dłonie na kratkach. - Pojechałaś do mnie, prawda? Podobno dom wyglądał jak pobojuwisko.

- Nie wiedziałam, gdzie trzymasz skradzione rzeczy. Obawiam się, że zabrałam sporo przedmiotów należących do ciebie.

- Zatrzymaj je - odpowiedział krótko. Lepiej ona niż Dunston. - Nie masz niczego... innego?

Pokręciła głową.

- Zabrał je twój przyjaciel.

Spojrzała w głąb korytarza. Nie wiedziała, co ojciec powiedział strażnikowi, ale ten trzymał się na tyle daleko, że na pewno nie mógł słyszeć ich rozmowy.

- W porządku - powiedział głośniej. - Teraz jedź do domu i bądź oburzona, że cię oszukałem. Zrób wszystko, co trzeba. Ja nie mam nic do stracenia.

- Nie musisz robić z siebie męczennika - rzuciła.

Uśmiechnął się krzywo.

- Nie rozkazuj mi. Już dla ciebie nie pracuję.

- Przestań żartować! To poważna sprawa.

- Dobrze o tym wiem. Dlatego chcę, żebyś jak najszybciej stąd wyszła.

- A gdybyś się przyznał i powiedział sędziemu, dlaczego kradłeś obrazy? - przerwała mu, jakby nie słyszała, co do niej mówił. - Może wtedy skazaliby cię tylko na banicję, a nie na śmierć.

Po policzku potoczyła jej się łza. Choć bardzo tego pragnął, powstrzymał się od otarcia jej.

- Warto przemyśleć taką możliwość - przyznał. W jej oczach dostrzegł błysk i nagle zrozumiał, dlaczego zadała to pytanie.

Naprawdę kochał tę kobietę.

- Nie pojedziesz ze mną do Australii - powiedział, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej przekonujące brzmienie. - Wolałbym zawisnąć, niż narazić cię na coś takiego.

- Sullivan...

- Nie.

- Pięć minut dobiegło końca, panie Smith! - rozległ się głos strażnika. Mężczyzna podszedł do nich z miną, która jasno wskazywała, że nie wierzy w nazwisko, jakie podał mu lord Darshear.

Isabel mocniej chwyciła koszulę Sullivana, jakby chciała wyciągnąć go z celi.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytała trzęsącym się głosem. - Powiedz!

- Trzymaj się ode mnie z daleka - odpowiedział, pochylając się w jej kierunku. - Zapomnij o moim istnieniu.

- Chodź, kochanie - rzekł ojciec, podchodząc do niej i kładąc jej dłoń na ramieniu. - Musimy iść.

- Nie! Chcę tu zostać!

- Isabel, proszę! - wyszeptał Sullivan. - Idź!

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odrzekł. - I proszę cię o wybaczenie. Gdybym mógł, dałbym ci wszystko, ale oboje wiemy, że to niemożliwe. Mogę jedynie podarować ci szansę na odbudowanie reputacji. Pozwól mi chociaż na to.

Załkała żałościwie. Widząc ją w takim stanie, Sullivan czuł, jakby ktoś wbił mu nóż prosto w serce. Popatrzyła na niego, a potem odwróciła się i ukryła twarz w fałdach ojcowskiej peleryny. Lord Darshear otoczył ją ramieniem, a potem spojrzał na Sullivana. Waring wytrzymał jego spojrzenie. Miał nadzieję, iż markiz odczyta z jego twarzy, jak bardzo kocha Isabel.

W końcu mężczyzna z lekkim skinieniem głowy odwrócił się i podtrzymując córkę, ruszył korytarzem w kierunku wyjścia. Sullivan przywarł do krat, obserwując odchodzącą parę, dopóki nie skryła ich ciemność. Dźwięk zamykanych drzwi zabrzmiał w jego uszach jak uderzenie żałobnego dzwonu.

- Tibby, zejdź na śniadanie!

Isabel nawet nie ruszyła się z fotela przy oknie sypialni. Skoro ją wołali, musiał już wstać dzień. Nawet tego nie zauważyła.

Do pokoju wszedł Douglas.

- Przesiedziałaś tu całą noc?

Pomyślała, że to wcale nie długo. Wrócili z ojcem z Old Bailey około drugiej nas ranem. Czas jakby przestał dla niej istnieć. Podobnie jak cały świat.

Brat ukląkł przy fotelu.

- Zejdź na dół coś zjeść. Potem możemy wybrać się na przejażdżkę. Wspaniale wczoraj wyglądałaś na Zephyr. Pod koniec tygodnia nauczymy cię skakać przez niskie przeszkody.

My? To znaczy Douglas i kto? Bo przecież nie Sullivan. Jego nie zobaczy już nigdy. Zresztą i tak nie miała ochoty na skoki. Nic jej już nie interesowało.

- Zejdzie? - zapytał Phillip, wkładając głowę do pokoju.

Douglas odwrócił się, by spojrzeć na starszego brata.

- Jest kompletnie załamana.

- Nie dziwię się. Mogłeś powiedzieć komuś z rodziny.

- Że Sullivan był złodziejem? Obrazy, które ukradł, należały do jego matki.

- Nie to miałem na myśli.

- Że Tibby go kochała? Nie zwierzała mi się z tego. Sam zauważyłem. A ja nawet nie pocałowałem jeszcze żadnej panny. Mówi ci to coś?

Dlaczego używali czasu przeszłego? Jakby przestała go kochać. Albo jakby już nie żył. Może powinna przywyknąć, że taka forma jest najbardziej odpowiednia.

- Nie wymawiaj jego imienia - ostrzegł brata Phillip - bo tylko pogorszysz sprawę.

- Jakby to było w ogóle możliwe. Nawet nie wiem, czy ona oddycha.

Phillip wszedł do pokoju i pochylił się nad siostrą.

- Wstawaj, Tibby. Nie rób przedstawienia.

- To nie było miłe.

Nie robiła przedstawienia, a w każdym razie nie celowo. Po prostu nie chciała być w tym pokoju, w tym domu... Nigdzie. Czy jednak powinna przysparzać swoim zachowaniem zmartwień najbliższym?

- Dobrze. Chodźmy coś zjeść.

Bracia wymienili spojrzenia i chwycili ją pod rękę, pomagając podnieść się z fotela. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, jak bardzo zeszywniała. Naprawdę musiała przesiedzieć w bezruchu ładnych kilka godzin. Poprowadzili ją do drzwi, a potem schodami w dół i do jadalni. To wszystko było bardzo dziwne. Nawet nie zwróciła uwagi, kiedy znalazła się przy stole. Ktoś odsunął krzesło, by mogła usiąść. Czy była odpowiednio ubrana? Chyba tak, w przeciwnym razie ktoś by powiedział coś na ten temat.

- Powiedziałem wam, chłopcy, żebyście zostawili ją w spokoju - usłyszała głos ojca dobiegający gdzieś z prawej strony.

- Siedziała zupełnie bez ruchu. Chciałem ją nawet popchnąć, żeby sprawdzić, czy zareaguje - powiedział Douglas, stawiając przed nią talerz z tostem i truskawkami.

- I gdzie, do licha, podziała się Penny? Tibby wciąż ma na sobie wieczorową suknię. - Phillip przyniósł jej filiżankę z czymś, co wyglądało jak herbata.

Nagle od tyłu otoczyły ją czyjeś ciepłe ramiona.

- To w tej chwili nie jest najważniejsze - odezwała się lady Helen. - Zajmiemy się tym po śniadaniu.

Przed oczyma Isabel pojawiła się twarz Douglasa.

- Ona nie je - powiedział.

Faktycznie, śniadanie! Po to zeszła na dół. Nie powinna martwić najbliższych.

- Przebiorę się, jak zjem - rzekła, biorąc do ręki truskawkę.

- Włóż ją do ust - poinstruował Douglas.

-Daj jej spokój!

- Od pięciu minut trzyma ten parszywy owoc...

- Douglasie!

- Wybacz, ojciec. To trwa bardzo długo.

Isabel zamrugała.

- Ale nie pięć minut.

- Właśnie, że tak - odpowiedział brat. - Musisz jeść, Tibby.

Czas znów płatał jej figle. Raz zwalniał, raz przyspieszał. Następnym razem, kiedy Isabel przymknie powieki, Sullivan może być już martwy.

- Która godzina? - spytała ze ściśniętym ze strachu sercem. Być może już jest za późno.

- Prawie południe - odpowiedziała matka łagodnie.

- Którego dnia? - dziewczyna zerwała się od stołu. - Musimy coś zrobić!

- Najpierw zjedz, a potem porozmawiamy.

Czuła, że traci rozum. Nic nie miało sensu. Skoro tak, to czemu czuła ból? Sullivan! Jak ma mu pomóc?!

- Powieszę Sullivana! - wykrzyknęła.

- Chyba wraca do życia - stwierdził Douglas.

- Przestań mówić, jakby mnie tu nie było - odcięła się. - Ojciec, znasz ludzi, którym ukradł obrazy, prawda?

- Większość tak, ale...

- My... Ty... Porozmawiaj z nimi. Jeśli uda ci się ich przekonać, by nie wnosili oskarżenia, sędzia będzie musiał wypuścić Sullivana.

- Nasza Isabel wróciła!

- Przestań, Douglasie? Nie rozumiesz? Sullivana aresztowano za okradanie arystokratów. Powieszają go, jeśli czegoś nie zrobimy! - Jej głos zaczął się łamać. Poczuli, że świat wkoło niej zaczyna wirować. Nawet nie zaprotestowała, gdy Phillip z powrotem posadził ją na krześle.

- Tak się składa - powiedział - że zajmujemy się tym od samego rana.

Spojrzała na niego.

- Wy... - po raz pierwszy świadomie rozejrzała się po jadalni. Spojrzała na swoich najbliższych. Wyglądali na zmęczonych i zatroskanych. Wiedziała, że bardziej martwią się o nią niż o Sullivana, ale on był przecież częścią niej, bez względu na to, jak usilnie starał się ją od siebie odsunąć.

- Nie pochwalam tego, co zrobił pan Waring, - odezwał się lord Darshear. - Ale rozumiem go. Uważam, że Dunston i Tilden zasługują na nauczkę.

- Nie zależy mi na nich.

- Wiem. Problem w tym, że nikt poza kilkoma osobami nie zna całej prawdy, a wyroki w dzisiejszych czasach zapadają nie tylko na salach sądowych, ale i w salonach.

- Powiemy wszystkim, jak było naprawdę.

- Problem w tym, Tibby - wtrącił Phillip - że mało kto nam, tobie, uwierzy. Stanełaś po stronie człowieka z ludu.

- Sullivan nie jest... !

- Proszę, nie kłóćcie się - odezwała się matka.

- Nie czas na roztrząsanie drobiazgów. Musimy stawić czoło faktom.

- Najważniejsze jest to - odezwała się Isabel - że jestem zrujnowana. Wiedziałam, że tak będzie, a mimo to nie cofnęłam się. Przykro mi. Powinnam była powiedzieć wam wszystko znacznie wcześniej. Z początku nawet go nie lubiłam. Zatrudniłam go, ponieważ chciałam zdobyć dowody obciążające go jako złodzieja.

- Jestem zbyt zmęczony, by się zdenerwować - oświadczył markiz ponuro. - Gdyby pan Waring nie okazał się dżentelmenem, mogłabyś już nie żyć.

Jej własny ojciec uznał Sullivana za dżentelmena! Ta myśl na moment rozświetliła mrok panujący w jej duszy. Niewielkie pocieszenie, ale zawsze.

- Więc nie znaleźliście żadnego rozwiązania - powiedziała w końcu. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Nie miała nawet siły płakać. Jakby już zabrakło jej łez.

- Jeszcze nie. Jak podaje notatka w dzisiejszym „London Timesie”, nie znaleziono żadnych dowodów potwierdzających winę Sullivana.

Oczywiście, że nie. Wszystkie ukrył gdzieś lord Bram. Dzięki Bogu za młodszego syna księcia Levonzy! Nigdy nie przypuszczała, że będzie za cokolwiek wdzięczna Bramwellowi Lowry Johnswi.

- Nawet jeśli nie trafią na żaden ślad, będą mieli słowo Sullivana przeciwko donosowi Olivera. Jeszcze gorzej będzie, jeśli po aresztowaniu pana Waringa włamania ustaną.

Rozległ się przytłumiony dzwonek przy drzwiach wejściowych. Kilka chwil później do jadalni wkroczył Alders.

- Proszę o wybaczenie, ale przyjechała lady Barbara Stanley i usilnie nastaje, by porozmawiać z panią.

- Nie chcę dziś nikogo widzieć - oświadczyła Isabel. Nie było prawdą, że liczne afronty, jakie spotkały ją na wczorajszym przyjęciu, nie zraniły jej.

Gdyby po prostu ją ignorowano, jakoś by to zniosła. Ale te uśmieški, szepty za plecami, znaczące spojrzenia... Miała ochotę krzyczeć i rwać włosy z rozpaczy.

Kamerdyner uklonił się.

- Jak sobie panienka życzy.

Mniej więcej minutę później na korytarzu rozległ się tupot stóp i Barbara dosłownie wpadła do jadalni, zręcznie wymijając starającego się za-blokować jej drogę Aldersa.

- Wybaczcie! - zawołała bez tchu - Musicie to usłyszeć!

- Co się stało? - zapytał Phillip, wstając. Wzięła głęboki wdech i wyrzuciła z siebie:

- Było kolejne włamanie!

RS

Rozdział 24

-Włamanie?!

Widząc, że Isabel lada chwila osunie się nieprzytomna na podłogę, Barbara podbiegła do niej i pomogła usiąść na krześle.

- Byłam z moją siostrą Julią na przechadzce w parku. Nikt nie mówił o niczym innym!

Phillip wstał ze swojego miejsca i gestem wskazał Barbarze, by je zajęła.

- Proszę nam powiedzieć wszystko. Dziewczyna usiadła, posyłając mu uśmiech.

- Najpierw usłyszałyśmy, że okradziono rezydencję lorda i lady McGowan w Jorku, ale potem ktoś powiedział, że chodzi o dom przy Curzon Street.

- Prentiss House - uściślił Phillip.

-Tak.

Isabel chwyciła przyjaciółkę za rękę. Zrozumiała, że nigdy nie miała lepszej. Pojawienie się Barbary rozpałiło światełko nadziei w jej pełnym najczarniejszej rozpaczycy sercu.

- Może to tylko plotka? - wyszeptała, mając nadzieję usłyszeć zaprzeczenie. Ile zmieniło się w ciągu tych kilku dni. Teraz wręcz modliła się o kolejne włamanie. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ale łagodziła je świadomość, że Lilli Prentiss jako jedna z pierwszych zaczęła jej dokuczać z powodu znajomości z Sullivanem.

- To na pewno prawda - odpowiedziała Barbara. - Natknęłyśmy się na Lili i jej kuzynki w parku. Kiedy rodzina wstała dziś rano, okazało się, że ze ścian znikło sześć obrazów, w tym dzieło Franceski W. Perris.

- Dzięki Bogu! - jęknęła Isabel, czując, że robi jej się słabo. Siedzący po drugiej stronie stołu Douglas zaczął ją wachlować serwetką.

- Chyba wszyscy oszaleliśmy - mruknął. - Sam mam ochotę skakać z radości.

- Powinnaś słyszeć te rozmowy, Tibby - kontynuowała Barbara. - Wszyscy, po prostu wszyscy mający konie uważają, że lord Tilden zrobił z siebie głupca, donosząc policji, że pan Waring jest Rabusiem z Mayfair. Uważają, że to zemsta, ponieważ pan Waring odmówił mu sprzedaży konia. Pańskiego ogiera, jeśli dobrze pamiętam, lordzie Chalsey.

- Ulissesa? - zdumiał się Phillip. - A niech mnie diabli! Przepraszam, panno Barbaro - zreflektował się.

- Kimkolwiek był ten złodziej, wyświadczył panu Waringowi przysługę - odezwał się lord Darshear.

Isabel spojrzała na niego z wdzięcznością. Prawie zapomniała, że Barbara nie miała pojęcia o szczegółach całej sprawy.

- Czy teraz uwolnią Sullivana? - zapytała, czując, jak zaczyna tlić się w niej iskierka nadziei.

- Będą musieli - odparł ojciec. - Chyba że udowodnią, iż miał współnika.

Miał rację. Gdyby policja poważnie zabrała się do śledztwa, mogłaby odkryć prawdę. Sullivan wciąż nie był bezpieczny. Jeżeli go teraz uwolnią, będzie miał szansę uciec, zanim postanowią aresztować go ponownie. Mogliby uciec razem! Gdyby powiedział słowo, bez wahania poszłaby za nim. Czy jednak się zgodzi? Kiedy wczoraj u niego była, kazał jej o sobie zapomnieć.

- Muszę pojechać do Old Bailey i zobaczyć, co się dzieje.

- Nie ma mowy!

Tym razem w głosie ojca nie było cienia współczucia. Zeszłej nocy wystawiła jego cierpliwość na ciężką próbę. Jeżeli zrobi to ponownie, najbliżsi mogą stracić całą życzliwość dla niej, a czuła, że bez ich wsparcia nie poradzi sobie.

- Chciałabym tylko wiedzieć... - wyszeptała.

- Phillipie, może przejedziesz się w tamtym kierunku? - zapytał markiz.

- Oczywiście - skinął głową brat, a potem spojrzał na Barbarę. - Przyszła pani sama?

- Z moją pokojówką.

- Może mógłbym odwieźć panią powozem?

Dziewczyna się zarumieniła.

- Będę panu bardzo wdzięczna.

Barbara złożyła pocałunek na policzku przyjaciółki i wstała, by ująć ramię Phillipa.

Isabel obserwowała wszystko w milczeniu. Czuła się wykluczona i bardzo jej się to nie podobało. Sullivan należał do niej, dlaczego więc zabronili jej jechać do więzienia? W ciągu ostatnich kilku dni dowiedziała się jednak pewnej ważnej rzeczy: zawsze czuła, że rodzice ją kochają, ale nie przypuszczała, iż będą gotowi zaryzykować dla niej własną reputację. Podobnie jej obydwaj bracia. Miała względem całej czwórki ogromny dług. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda się jej go spłacić.

- Pomyśleliśmy, Tibby - odezwał się ojciec - że powinniśmy wyjechać do Burlington przed końcem sezonu.

- Ze względu na moją zrujnowaną reputację. Tak mi przykro...

- Wiem... Zachowałeś się lekkomyślnie, ale wierz mi, mogło cię spotkać coś znacznie gorszego.

-Ja...

- Zdajesz sobie sprawę, że mogłaś zostać aresztowana razem z panem Waringiem? - wtrąciła matka. - Twoje czyny mają wpływ na całą rodzinę.

- Pan Waring może zachowywać się jak dżentelmen - kontynuował lord Darshear - ale jest hodowcą koni. W świetle prawa nie ma ojca. W ogóle nie powinnaś z nim rozmawiać, nie mówiąc o innych rzeczach.

Isabel nigdy nie powiedziała otwarcie, jak blisko byli z Sullivanem, ale sądząc po zachowaniu matki poprzedniego wieczoru, rodzice musieli się czegoś domyślić.

- Czy jestem samolubna, troszcząc się o niego? - nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa na głos.

- Nierozsądna - odpowiedziała markiza. Isabel znów zerwała się na równe nogi.

- W takim razie nadal taka będę. Douglasie, chciałabym wybrać się z tobą na konną przejażdżkę. - Spojrzała na rodziców. - Tylko do parku. Nie będę pogarszać sprawy.

- Możesz się spotkać z podobnym przyjęciem jak wczoraj na balu - ostrzegła ją matka.

- Myślę, że potrafię do tego przywyknąć. - Isabel głęboko westchnęła. - Nauczyłam się nie podążać za głosem serca. Po ostatniej nocy nawet nie jestem pewna, czy w ogóle je mam.

- Isabel!

- Nie dramatyzuję - dodała, zmierzając w stronę drzwi. - Przeraziła mnie myśl, że Sullivan może zostać powieszony. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że tak czy inaczej go stracę. On lub wy. Ta myśl jest dla mnie wyjątkowo bolesna.

Kiedy wyszła z jadalni, rodzice długo siedzieli w milczeniu.

- To jeszcze nie koniec, prawda? - zapytała w końcu lady Darshear.

- Musiało minąć jedenaście lat, by przełamała swój strach przed końmi, ale udało się jej to - odrzekł markiz. - Nie sędzę, by zrezygnowała, i mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, co robić.

- Musimy jak najszybciej wywieźć ją do Burlington, zanim Sullivan Waring wyjdzie z więzienia. Jeśli w ogóle go wypuszczą.

- Masz rację, tylko... Muszę przyznać, że jako mężczyzna podziwiam go. Wczoraj myślał tylko o ratowaniu reputacji Isabel. Trudno mi sobie wyobrazić, by lord Tilden zachował się podobnie. To przez niego, a nie przez Waringa nasza córka cierpiała.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że ona i on musieli... być ze sobą? - markiza się zarumieniła.

- Tak. Jako ojciec najchętniej własnoręcznie wykastrowałbym tego człowieka, ponieważ ośmielił się tknąć moją córkę, ale zdaję sobie sprawę, że nie zrobił tego, by ją zrujnować.

Lady Helen wstała.

- Skoro ustaliliśmy już, jakie pobudki nim kierowały, każę służbie zacząć pakować rzeczy.

Markiz również podniósł się ze swojego krzesła.

- Pomogę ci - powiedział.

Sullivan, oślepiiony słonecznym światłem, osłonił oczy dłonią i powoli zszedł po schodach Old Bailey. Po dobie spędzonej w ciemnej, cuchnącej celi kolory wydawały mu się szczególnie jaskrawe. Wciągnął w płuca czyste powietrze.

- Wyglądasz na szczuplejszego - czekający na końcu ulicy Bram podjechał w jego kierunku. Był konno, a w ręku trzymał wodze osiodłanego Parysa.

- Czyżby dieta więzienna nie za bardzo ci służyła?
- Bardzo śmieszne - mruknął Sullivan, wskazując na swojego wałacha.
- Chyba muszę ci podziękować. Gdyby nie ty, długo nie oglądałbym światła dziennego.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Wiesz, że nikomu nie pomagam.
- W takim razie nie jestem ci nic winien.
- Zmieniłem zdanie. Lubię, kiedy ludzie mają u mnie dług wdzięczności. To byłem ja. A tak przy okazji, odzyskałem dla ciebie kolejny obraz.

Sullivan spojrział na przyjaciela. Więc tak to się odbyło.

- Jeszcze raz ci dziękuję. Przez chwilę jechali w milczeniu.
- To wciąga, prawda?
- Co? - zapytał Sullivan. Pragnął tylko jednego - zawrócić konia i pojechać do Chalsey House.
- Kradzieże.
- Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób.

Bram rzucił mu przelotne spojrzenie.

- Oczywiście, że nie. Znów jesteś wolnym człowiekiem. Może pojedziemy to uczcić U Jezebel? Znajdziemy jakieś miłe i chętne panny? Koniecznie dwie, bo nie lubię się dzielić.

- Chcę wracać do domu.
- Jesteś pewien?
- Tak.
- Na pewno nie masz ochoty pojechać gdzie indziej?

Waring zatrzymał Parysa.

- Coś przede mną ukrywasz?

- Nie. Może tylko to, że wieść o twoim aresztowaniu przyniósł utyłtany w sianie osobnik nazwiskiem Phipps, a kiedy podjechałem z powozami pod twój dom, znalazłem tam lady Isabel Chalsey i lorda Douglasa, zajętych ogałacaniem ścian z obrazów.

A więc przecucie go nie myliło! Próbowła go ratować. Wysłała Phippsa, by powiadomił Bramwella, a sama wróciła konno do domu.

Zauważył, że przyjaciel wciąż go obserwuje. Odkasznął i powiedział:

- Isabel przyszła mnie zobaczyć wczoraj w nocy.

To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy Bram wyglądał na zaskoczonego. Więcej - na kompletnie zszokowanego.

- Słucham?

- Kazałem jej wracać do domu, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Powiedziałem, żeby trzymała się ode mnie z daleka - zmusił się do gorzkiego śmiechu. - Wyglądała, jakby była gotowa pojechać ze mną do Australii.

- Głupia dziewczyna. Wszystko przez jeden pocałunek? Wydaje się bardzo zdesperowana.

Bram jak zwykle nie silił się na subtelność w swoich ocenach.

- Dobrze wiesz, że tak nie jest.

- Przecież nie zrobiłeś nic, by zwrócić na siebie jej uwagę. Obaj wiemy, że nie zawróciłbyś w głowie pannie z dobrego domu.

- Do tego pochodzącej z wysoko postawionej i powszechnie szanowanej rodziny - dodał Sullivan. Wziął głęboki oddech. Powierzyłby Bramowi życie, ale sprawy uczuciowe to coś zupełnie innego. Johns był człowiekiem, o którym mówiono, że przegrał swoje serce w karty.

- Dotąd uważałem się za człowieka, który coś widzi, podejmuje decyzję i zaczyna działać - zaczął ostrożnie.

- Oczywiście - przytaknął przyjaciel.

- A teraz jestem kompletnie zagubiony - powiedział powoli Sullivan, ruszając stępa w stronę domu. - Siedziałem w tej piekielnej celi i myślałem tylko o tym, że Isabel będzie przeze mnie cierpieć. Nie obchodziło mnie, że mogę skończyć na szubienicy.

- Najlepiej nie rób nic - odezwał się Bram, zwalniając tak, że jego ogier Tytan szedł teraz noga w nogę z Parysem. - Oliver ośmieszył się, pakując cię do więzienia, bo nie chciałeś sprzedać mu konia...

- Ty rozpuściłeś tę płótkę? Bram wzruszył ramionami.

- Czy to ważne? W końcu jestem geniuszem. Lady Isabel ma wielu przyjaciół. Prędzej niż ci się wydaje, ludzie przestaną zwracać uwagę na waszą przyjaźń.

- Mam sprzedawać jej kolejne konie i udzielać lekcji? Ile czasu minie, zanim ktoś znów zacznie coś podejrzewać?

- Utrzymuj wasze kontakty w tajemnicy.

- Ty naprawdę nie masz zasad moralnych - westchnął Sullivan, nie wspominając, że sam rozważał taką możliwość.

- Żadnych, mój drogi.

- Najlepiej bym zrobił, zachęcając ją do poślubienia jakiegoś starego barona, żeby ukryć nasz związek, a sam odwiedzałbym ją nocami, wchodząc przez okno?

- Przecież to właśnie robiłeś - Bram rzucił mu przelotne spojrzenie. - Każdy ma prawo mieć to, o czym marzy.

- A jeśli chcę czegoś więcej?

- Gdyby lady Isabel była nieprzyzwoicie bogata

I niezależna, mogłaby nie wychodzić za mąż, a ciebie zatrudnić jako zarządcę swojej stajni...

- Chcę się z nią ożenić. Johns zatrzymał konia.
- Nie możesz - odpowiedział nad wyraz poważnie.

Sullivan również stanął.

- Wiem, ale nie mogę nic poradzić, że tego właśnie pragnę.
- Sullivan, na litość boską! Chyba nie jest z tobą brzemienna?
- Nie pozwoliłbym sobie na spłodzenie bastarda.
- A więc... ?
- Kocham ją, do diabła! Po prostu ją kocham!

Przez chwilę dostrzegł w oczach Brama niesmak i oburzenie. Istniały pewne granice, których nawet Johns nie byłby w stanie przekroczyć. Jako arystokrata nie wyobrażał sobie, by kobieta z jego sfery mogła związać się z nieślubnym synem malarki. Trwało to moment i na twarz przyjaciela powrócił zwykły, lekko cyniczny uśmiech.

- W takim razie masz ograniczone możliwości - powiedział Bramwell.
- Nie mam żadnych - sprostował Waring. - Nie musisz się mną przejmować.
- Sullivan...
- Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Mam na dziś umówionych kilku klientów. Oczywiście, jeśli nie zrezygnowali. Do zobaczenia!

Zostawił Bramwella na ulicy. To nie była jego wina, że tak zareagował. Sullivan westchnął. Może jednak powinien skłamać? Na pewno sytuacja byłaby mniej niezręczna.

Niczego mu nie udowodnili i - chociaż dokonał kradzieży - został uznany za niewinnego. Oliver wyszedł na głupca, choć jego oskarżenia były jak najbardziej prawdziwe. Isabel straciła pozycję w towarzystwie, ponieważ uścisnęła go z wdzięczności i nie chciała zrezygnować z udzielanych przez niego lekcji, a nie dlatego, że spędziła z nim noc. Jeśli kiedykolwiek

zapomniał, że nie należy do tak zwanego towarzystwa, wczoraj otrzymał bolesne przypomnienie. Wszystko się zmieniło. Nie mógł udawać, że nic się nie stało i dalej spotykać się z Isabel. To nie byłoby w porządku. Co więc miał robić? Wrócić do domu i zająć się pracą, jak gdyby nigdy się nie spotkali? Czytać kroniki towarzyskie, by któregoś dnia dowiedzieć się o jej ślubie?

Łatwiej było być żołnierzem, a potem złodziejem. Przynajmniej wiedział, co ryzykował i jaki los może go czekać. W grze, w którą zaczął grać, gdy pierwszy raz pocałował Isabel, nie obowiązywały żadne reguły, a jedyną nagrodą była noc spędzona w więzieniu i świadomość, że choćby próbował wszystkiego, nigdy nie będzie dla niej odpowiednią partią.

W końcu dojechał do domu. Podświadomie oczekiwał, że zastanie wyważone drzwi i spaloną stajnię, ale ku jego zdziwieniu budynki stały nienaruszone. Zeskoczył z Parysa i przerzucił wodze przez głowę wałacha.

- Panie Waring! Dzięki Bogu! - Samuel wybiegł z budynku i chwycił go za ramiona. - Wiedziałem, że sędzia się opamięta i pana uwolni!

Sullivan wyswobodził się z uścisku stajennego tak szybko jak mógł. Nie chciał urazić jego uczuć, ale nie miał ochoty na rozmowę. Ze stajni wyszli kolejni pracownicy. W ich oczach dostrzegł ulgę. Podał im wodze Parysa, a sam zajął się zdejmowaniem siodła.

- Wróciłem i mam nadzieję, że to koniec tego szaleństwa - oświadczył krótko. Cieszyli się na jego widok. Gdyby aresztowano go na dobre, musieliby szukać innej pracy. - Obawiam się, że moja reputacja mogła na tym ucierpieć. Wycofamy z aukcji wszystkie konie.

- Wszystkie? - McCray, zarządca stajni, nie wierzył własnym uszom. - Wystawiliśmy na sprzedaż sześć klaczy i dwa...

- Zamiast nich zaoferujemy Hektora. Vincencie, jak najszybciej odbierz go od lorda Esquille'a. Wiem, że miał być u niego jeszcze przez tydzień, ale zwrócę mu pieniądze i dodam pięć procent z kwoty uzyskanej za sprzedaż.

Mężczyzna skinął głową.

- Już jadę, panie Waring.

- Chce pan sprzedać Hektora? - McCray zmarszczył brwi. - Jako reproduktor jest wart fortunę. Wystawiając go na aukcji, pozbawia się pan źródła pokaźnych dochodów.

- Wiem, John, ale powinien wzbudzić wielkie zainteresowanie. Zapowiada się ostra licytacja. Ci, którzy zostaną z pustymi rękoma, będą pękali z zazdrości. Podczas kolejnych aukcji przekonamy się, kto uważa, że jest zbyt dobry, by mieć ze mną do czynienia. McCray uśmiechnął się.

- Zaraz przygotuję dokumenty i zawiozę je do Tattersall.

- Dobrze. Halliwell, zajmij się Parysem. Muszę się umyć i przebrać.

Przede wszystkim pragnął obejrzeć dom, ale o tym jego pracownicy nie musieli wiedzieć.

- Pani Howard prawie umarła, kiedy zobaczyła, co policja zrobiła z pańskimi rzeczami - powiedział Halliwell. - Jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi to, że dziś z samego rana przyjechał lord Bramwell i kazał jej iść do siebie.

- Gdzie teraz jest?

- Niedawno tu wróciła. Kiedy ją widziałem, zamiatała potłuczone naczynia.

- Dziękuję.

Sullivan pragnął teraz tylko jednego: zostać sam, by spokojnie pomyśleć. A raczej wyobrazić sobie Isabel: jej uśmiech, dotyk, smak ust.

Poczuł, jak z żalu zaczyna brakować mu tchu. Wszedł do salonu i stanął na środku, wśród szczątków należących do niego przedmiotów. Ściany zostały ogołoczone z obrazów, tapicerka na meblach pocięta, a pierze

I kawałki bawełny jeszcze unosiły się w powietrzu.

- Panie Waring! - rozległ się kobiecy krzyk i pani Howard podbiegła do niego cała we łzach. - Pan żyje! Bałam się, że pana powieszają, zanim przekonają się, że oskarżenia lorda Tildena są całkowicie bezpodstawne.

- Dziękuję, pani Howard - położył jej dłoń na ramieniu. Ruszył w kierunku schodów, ale nagle się zatrzymał.

- Proszę wziąć sobie wolne na dziś i jutro. Oczywiście zapłacę pani za obydwa dni.

- Okropny tu bałagan. Jak pan sam...

- Dam sobie radę.

Odłożyła miotkę do kurzu, którą przez cały czas trzymała w jednej ręce.

- Dobrze, proszę pana. W kuchni czeka gotowa pieczeń. Miałam nadzieję, że pan wróci, dlatego ją przygotowałam.

- To bardzo miło z pani strony. Zobaczymy się pojutrze.

Wszedł do swojej sypialni i pozostał w niej, dopóki nie usłyszał, że gospodyni opuściła dom. Dzięki Bogu! Gdyby jeszcze raz usłyszał, jakie to okropne, że niesłusznie oskarżono go o kradzież, dałby komuś po głowie.

A więc był sam w domu i czuł, że śmierdzi. To była odrażająca woń więzienia, trudna do opisania, ale niemożliwa do pomylenia z czymkolwiek innym. Wzdrygnął się. Zrzucił kamizelkę i koszulę, potem buty. Boso wyszedł na zewnątrz i napełnił wodą stojące przy studni wiadro. Podniósł je i wylał całą zawartość na głowę. Woda była lodowato zimna. Powtórzył to kolejny raz, a potem znowu.

Wyprostował się, odrzucając z twarzy mokre kosmyki i... w jednej chwili zapomniał, że jest mokry i zmarznięty.

Była tu. Na dziedzińcu przed jego domem. Siedziała na koniu, patrząc na niego.

Isabel.

RS

Rozdział 25

- Douglasie, idź porozmawiać ze stajennymi - odezwała się, nie odrywając oczu od Waringa. Woda spływająca cienkimi strużkami po jego piersi sprawiała, że wyglądał niesamowicie apetycznie. Odruchowo oblizła usta.

- Nigdzie nie pójdę - oświadczył brat.

Chyba nawet nie usłyszała jego słów. Jej myśli zaprzętały wyłącznie Sullivan. Myślała, że straciła go na zawsze. Teraz na jego widok brakowało jej tchu.

- Tibby, słyszałaś, co powiedziałem? - dotarły do niej słowa Douglasa. Wzdrygnęła się niepewna, który raz ją zawołał.

- O co chodzi? - spytała zniecierpliwiona.

- Musimy jechać - odrzekł nerwowo. - Czy zdajesz sobie sprawę, co będzie, jeśli ojciec i matka dowiedzą się, że tu przyjechaliśmy?

- Wiem. Będziemy mieli kłopoty. Dlatego lepiej stąd odjedź.

Młodzieniec westchnął i zeskoczył z siodła.

- Kiedy ja się zakocham - powiedział, pomagając siostrze zsiąść z Zephyr - będę zachowywał się znacznie rozsądniej. To nie jest najlepszy pomysł, Tibby - dodał przyciszonym głosem.

- Powtarzasz to od dwudziestu minut - odszepnęła. - Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale muszę z nim porozmawiać.

Douglas skinął głową.

- Widziałem cię dziś rano i naprawdę wszystko rozumiem.

- Więc odejdz.

- Do diabła! - zaklął i zaraz dodał. - Tylko nie mów ojcu, że używam takich słów. Sądzę zresztą, że mogę mówić, co chcę, dopóki dochowuję twoich tajemnic.

- Masz rację.

Odszedł w kierunku stajni i po chwili zagłębił się w rozmowie z jednym z pracujących tam mężczyzn. Isabel przez chwilę go obserwowała, a potem odwróciła się w kierunku Sullivana. Zobaczyła tylko puste wiadro.

Na chwilę całkowicie ją zmroziło. Wszedł do domu, nawet nie zadając sobie trudu, by ją powitać. Przecież widział, że przyjechała! Zmrużyła oczy i zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi. Otworzyła je na oścież.

- Powiedziałem, żebyś trzymała się ode mnie z daleka! - usłyszała głos Waringa dochodzący z głębi domu.

- Jak mam to zrobić? Wczoraj myślałam...

Sullivan pojawił się przed nią, chwycił za ramię i wypchnął za próg.

- Po prostu wyjdź. Nie chcę cię tu widzieć! - krzyknął, po czym zamknął jej drzwi przed nosem.

Całkowicie zaskoczona Isabel bezmyślnie przyglądała się dębowym deskom. Sullivan wyrzucił ją z domu! Po tym, co przeżyła rano, powinna paść rażona apopleksją. A on nawet nie chciał na nią spojrzeć! Ludzie, których znała przez całe życie, odwrócili się od niej i powtarzali okropne plotki, a ona przez cały czas marzyła tylko, by zobaczyć Sullivana.

Chwyciła gałkę przy drzwiach. Były zamknięte. Jak śmiał?! Była córką markiza, a on... nie wiadomo kim. Nie ma prawa tak się zachowywać. Trzeba zrobić z tym porządek.

Isabel cofnęła się na dziedziniec i chwyciła stojące przy studni wiadro. Z całej siły rzuciła je w kierunku drzwi. Odbiło się z głuchym huknięciem.

- Otwieraj!

Odpowiedziała jej cisza.

Podniosła kubek i uderzyła jeszcze raz. Tym razem drewniane deszczułki pękły z trzaskiem.

- Wpuść mnie!

Znów nic.

Chwyła dwie deseczki i zaczęła z całej siły bębnić nimi w drzwi.

- Jeśli nie chcesz, żeby zbiegli się ludzie, lepiej mi otwórz!

- Odejdź!

- Jestem córką markiza, a ty zwykłym hodowcą koni! Masz natychmiast otworzyć te drzwi!

-Nie!

Cały czas waliła do drzwi. Z budynku stajni zaczęli wychodzić zaciekawieni pracownicy. Wraz z nimi pojawił się też Douglas. Nie zwracała na nich uwagi.

- Myślisz, że jesteś taki szlachetny? Tchórz! Boisz się i... ojej!

Długa drzazga wbiła się jej w dłoń.

W tym momencie Sullivan otworzył drzwi.

- Zrobiłaś sobie krzywdę - powiedział. Ujął ją za ramię i wciągnął do domu.

Wciąż miał na sobie wyłącznie spodnie.

- Tylko weszła mi drzazga.

Zamknął drzwi. Przynajmniej udało jej się dostać do środka.

- Mogę obejrzeć?

Poprowadził ją w stronę okna. Uniósł jej dłoń w kierunku oczu i dotknął drzazgi. Dopiero dziś zauważyła, że miał smukłe palce artysty.

- Weszła głęboko. Nie ruszaj się.

Próbowała uwolnić rękę, ale trzymał ją mocno, powoli wyciągając drzazgę z nasady kciuka. W końcu mu się udało. W ranie pojawiła się odrobina krwi. Pochylił głowę i delikatnie zlizął czerwoną kroplę. Isabel poczuła, że uginają się pod nią kolana. Gdyby nie Sullivan, osunęłaby się na ziemię.

- Co się stało? - spytał, chwytając ją i ostrożnie sadzając na podłodze. Ukląkł przy niej i popatrzył zaniepokojony. - Dobrze się czujesz?

- Oczywiście że nie, głupcze! - odpowiedziała urażonym tonem. - Wyrzuciłeś mnie z domu!

- Jeszcze raz ci powtarzam: trzymaj się ode mnie z daleka.

Mimo tych słów wciąż trzymał ją za rękę. Czowała, że drżą mu palce.

- Oboje wiemy, co powinniśmy zrobić - odparła, przesuwając wolną dłonią po jego nagim ramieniu. - Wczoraj... Dziś rano byłem pewna, że cię powieszę. Wybacz, że nie potrafię przestać czuć tylko dlatego, że mi zakazałeś.

Przez chwilę spoglądał na nią swoimi bladozielonymi oczyma, a potem nieoczekiwanie pochylił się ku niej i przewrócił ją na ziemię. Gorączkowo szukał jej ust. Isabel objęła go, przywierając do niego całym ciałem.

- Jesteś taka uparta - wyszeptał pomiędzy pocałunkami. Zabrał się za rozpinanie guzików z przodu jej zielonej amazonki, odsłaniając nagie ciało. Kiedy dotarł do piersi i zaczął je pieścić, dziewczyna nie potrafiła powstrzymać jęku rozkoszy.

- Taka uparta - powtórzył.

Isabel milczała, obawiając się, że jeśli powie słowo, Sullivan opamięta się i przestanie. Zamiast tego całowała go namiętnie i pieściła każdy cal jego nagiego torsu.

Nagle Sullivan podniósł się. Ona także usiadła.

- Nie przestawaj! - wyszeptała.

- Nie na podłodze - pochylił się i wziął ją na ręce. Wolną dłonią zamknął zasuwę w drzwiach wejściowych i zaniósł Isabel po schodach na górę. Całowała jego szyję, czując, jak ogarnia ją coraz większe podniecenie. Jej rodzice wiedzieli, co czuła do Sullivana, ale wątpiła, by w pełni to rozumieli. Nawet ona nie była pewna, czy potrafiłaby wyrazić to słowami. Pomógł jej pokonać strach, z którym zmagala się od tylu lat, lecz chodziło nie tylko o naukę jazdy konnej. Dzięki niemu zrozumiała, że na świecie są ważniejsze rzeczy niż lęki z dzieciństwa. O mały włos go nie straciła. Wciąż mogło się tak stać, jednak nie zamierzała poddać się bez walki.

Sullivan położył ją na przykrytym niebieskimi prześcieradłami łóżku i otoczył ramionami. Wyciągnęła rękę, by rozwiązać troczki u jego spodni.

- Popęlamy błąd - powiedział, znów sięgając ku jej ustom. Zdjął górę amazonki i zaczął pieścić delikatne piersi Isabel.

Oczywiście, że popełniali błąd. Tak było od samego początku. Między nimi nic nie powinno się wydarzyć, dlatego było to tak cenne.

- Pragnę cię - powiedział z dziwną desperacją w głosie, wchodząc w nią.

Isabel jęknęła i odrzuciła głowę do tyłu, wbijając palce w jego ramiona. Na moment tych dwoje ludzi pochodzących z tak różnych światów stało się jednością.

- Isabel! - wyszeptał w ekstazie. W ostatniej chwili zsunął się z niej, choć nade wszystko pragnął pozostać do końca. Przez długą chwilę leżeli obok siebie w milczeniu. W pokoju było słycać tylko ich przyspieszone oddechy. W końcu dziewczyna spojrzała na niego. Wiedziała, że Sullivan nie chce być taki jak jego ojciec i była mu za to wdzięczna.

- Tego pragnęłaś? - odezwał się w końcu, opierając głowę na dłoni, by móc na nią patrzeć. Na ramieniu miał dwie prawie identyczne blizny, jedna przy drugiej. Pamiątki po postrzałach. Gdyby miał mniej szczęścia, nigdy by się nie spotkali.

- Po części - odparła, przesuwając opuszkami palców po jego piersi.

- Ja też chciałbym wziąć od ciebie znacznie więcej, Tibby.

- Możesz mieć wszystko.

- Wyszłabyś za mnie?

Serce waliło jej jak oszalałe, ale umysł pozostał chłodny.

- Gdybyś tylko poprosił mnie o rękę.

- Nie mogę.

- Przestań decydować o moim życiu. Potrafię sobie radzić sama.

- Chyba nie. Jestem od ciebie starszy o dziewięć lat i wiem, jak okrutni potrafią być ludzie dla kogoś takiego jak ja. Jeśli zostaniesz ze mną, spotka cię taki sam los. A nawet gorszy, ponieważ zdradzisz swoje sfery.

- Nie obchodzi mnie to!

- Obchodzi. A jeśli nie, to niedługo zacznie. Chcesz tu ze mną zamieszkać? Prowadzić mi dom? Zajęłoby ci to pięć minut dziennie. Od gotowania i sprzątanania mam gospodynię. Nie będziesz przecież moją pokojówką, na litość boską!

- Znów usiłujesz za mnie decydować - po jej policzku spłynęła łza.

- Wcale nie. Uświadamiam ci, że zostając ze mną, stracisz wszystko, co ci się należy z racji urodzenia. Być może ty jesteś na to gotowa, ale ja nie.

To się nie może tak skończyć! Nie pozwoli mu ot, tak, powiedzieć, że wszystko skończone i odejść.

- Niech zostanie tak jak teraz. Nikt nie musi o nas wiedzieć.

-I co? Nigdy nie wyjdiesz za mąż? Nie będziesz miała dzieci? Zostaniesz starą panną, do końca życia mieszkającą z rodzicami? A może zatrudnisz się jako dama do towarzystwa u jakiejś starszej arystokratki i zamieszkasz w mrocznej klitce z wiecznie otwartym oknem, bym mógł się do ciebie wkradać nocą?

Zobaczył w jej oczach gniew i frustrację. Było mu przykro, ale wiedział, że musiał to powiedzieć. Uświadomić jej, jaka przyszłość czeka ją u jego boku. Nie miał prawa odbierać jej życia, do którego przywykła. Najbardziej na świecie pragnął zatrzymać ją przy sobie, lecz równie mocno chciał uchronić ją przed całkowitą ruiną.

- Idź już - powiedział łagodnie, całując ją w czoło. Usiadł na łóżku.

- Jak mam trzymać się z dala od ciebie? - zapytała z rozpaczą.

- Też zadaję sobie podobne pytanie - westchnął. - Jesteś moim życiem, Isabel.

Potrząsnęła głową. W jej pięknych, orzechowych oczach malował się gniew. Wolał to, niż gdyby zaczęła płakać.

- Przestań mówić mi takie rzeczy - odezwała się.

- Nie masz do tego prawa.

Zeskoczyła z łóżka. Wygładziła spódnicę, założyła bluzkę i żakiet amazonki.

- Jesteś głupcem... Sprawiasz, że czuję złość. Nie spojrzawszy na niego, wyszła z pokoju.

Usłyszał, jak zbiega po schodach. Sullivan zaklął. Wciągnął mokre, pogniecione spodnie i ruszył za dziewczyną.

- Isabel! - zawołał.

Odwróciła się na dźwięk jego głosu. Była już przy frontowych drzwiach.

- Nie mogę cię kochać, a nie potrafię nienawidzić. Czego ode mnie żadasz?

- Niczego - powiedział. - Pięknie wyglądałaś na Zephyr.

Na chwilę opuściła wzrok, a kiedy uniosła oczy, nie potrafił z nich nic wyczytać.

- Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że nasza umowa już nie obowiązuje? Koniec z lekcjami?

Poczuł, jak osuwa się w bezdenną przepaść. Już po raz drugi tego dnia.

- Tak - rzekł krótko.

- Ty... - nie dokończyła. Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wolałby, żeby trzasnęła nimi z całej siły. Usiadł na najniższym stopniu schodów, chowając twarz w dłoniach. Zamiast odoru celi Old Bailey czuł na sobie delikatny zapach ciała Isabel. Woń cytrusów przyłgnęła do jego włosów, skóry, dłoni... W tej chwili pragnął tylko jednego: pobiec za nią i wykrzyknąć, że się mylił i jest gotów do końca życia wspinać się do jej pokoju przez okno. Z każdą chwilą myśl, by to uczynić, wydawała mu się rozsądniejsza.

- Niech to wszyscy diabli! - krzyknął, uderzając dłońmi o uda.

Jego dom był w opłakanym stanie, jego życie było zrujnowane, a on pragnął zrobić coś, co jeszcze bardziej pogorszyłoby sytuację. Właściwie dlaczego nie miałby pociągnąć Isabel za sobą na samo dno? Przynajmniej utonęliby razem.

- Nie! - krzyknął, zrywając się na nogi. Najpierw uprzątnie dom, potem zrobi porządek ze swoim życiem. Postara się o wszystkim zapomnieć i zacząć od nowa.

Wszedł do kuchni. Na podłodze leżały zgarnięte w niewielkie sterty resztki naczyń. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak wyglądało to miejsce, kiedy

weszła tu pani Howard. Skąd przeszukującym dom policjantom przyszło do głowy, że mógłby pochować obrazy w cukiernicach lub imbrykach do herbaty? Prawdopodobnie dali upust frustracji, nie znajdując tego, czego szukali. Lawirując między skorupami, doszedł do drzwi skrytki i otworzył je. Bram i jego ludzie przywieźli wszystkie obrazy, które stały teraz oparte o ściany. Pozostałe przedmioty leżały upakowane w pudłach. Sullivan ze zdziwieniem zauważył, że do jego kolekcji dołączył nowy obraz. Przykucnął przy nim i zobaczył kartkę zatknietą za ramę. Rozłożył ją. Od razu rozpoznał eleganckie pismo przyjaciela. Jakby Bram wiedział, że nie będzie mu dane przyjechać z Sullivanem do domu.

Dołączyłem jeszcze jeden obraz do Twojej kolekcji. Gdybyś stracił zainteresowanie dokończeniem dzieła, myślę, że mógłbym Cię zastąpić.

Sullivan ustawił obraz tak, by móc mu się dokładniej przyjrzeć. To było jedno z ostatnich dzieł matki, namalowane już po jego wyjeździe do Hiszpanii. Nigdy wcześniej go nie widział. Przedstawiał dziewczynkę i chłopca bawiących się nad strumieniem. Ona zbierała kwiaty, on ustawiał piramidę z kamieni. Miał złocistobrazowe włosy, takie jak Sullivan. Francesca często portretowała swojego syna. Tu jako ciekawego świata chłopca mającego przed sobą całe życie. Uśmiechnął się gorzko. Do tej pory był zadowolony ze swojego losu. Teraz to się zmieniło. Uświadomił sobie, że jego największym pragnieniem jest być z Isabel Chalsey. Odkąd ją poznał, wszystko inne przestało się liczyć. Spoglądając na trzynaście obrazów, zrozumiał jeszcze jedno: to, że je odzyskał, nie dało mu niczego. Owszem, zirytował Dunstona, ale podobną reakcję potrafiła wywołać wpadająca do pokoju mucha. Jego działania były pozbawione sensu, a o mały włos nie doprowadziły go na szubienicę.

Matka powiedziała, że obrazy należą do niego. A przecież były tylko wyobrażeniami życia, którego nigdy nie miał okazji zakosztować. Może teraz w końcu na coś się przydadzą. Skoro otrzymał je w spadku, może dzięki nim kupić swoją przyszłość. Koniec z bezsensownym rozwodzeniem się nad sprawami, na które nie miał wpływu.

Wyprostował się i wyszedł z tajnego pokoju. Potem ogolił się i założył eleganckie ubranie. Miał zamiar uczynić coś, czego obiecywał nigdy nie zrobić. Spotkać się z markizem Dunstonem.

RS

Rozdział 26

- Zdajesz sobie sprawę, w jak niezręcznej sytuacji postawiłeś siebie i całą naszą rodzinę? - George Sullivan markiz Dunston wstał zza biurka i zaczął przemierzać swój gabinet. - Jesteś nieodpowiedzialny, Oliverze!

- Wiem tylko tyle - odpowiedział wicehrabia Tilden - że bez względu na to, jak dalece będziemy ignorować ten fakt, nazwisko Sullivana Waringa jest i będzie kojarzone z naszym. To, że nikt nie powie ci tego w twarz, nie oznacza, że ludzie o tym nie rozmawiają. Nie mogłem pozwolić, by ten złodziej dalej niszczył nasze dobre imię.

- Przez ciebie wszyscy plotkują o aresztowaniu niewinnego człowieka, który nie chciał sprzedać ci konia.

- Aresztowali go słusznie i dobrze o tym wiesz - odparł Oliver. - A kradzież u McGowanów to robota jednego z jego przyjaciół. Prawda kiedyś wyjdzie na jaw.

- Wcale mi na tym nie zależy - parsknął poirytowany Dunston. - To, co wiem, się nie liczy. Ważniejsze, co myślą ludzie. Uważają, że wykorzystałeś swoje wpływy i pozycję społeczną, by z czystej zazdrości kazać aresztować niewinnego człowieka. Udało ci się nadać rozgłos sprawie, która powinna pozostać prywatna. Teraz ktokolwiek wspomni jego nazwisko, od razu wspomni i nasze.

-Ja...

- Nawet gorzej. Wszyscy będą mu współczuć.

- Możemy rozgłosić, co łączyło go z lady Isabel Chalsey. To powinno załatwić sprawę.

Markiz podszedł do syna.

- Publicznie przyznałbyś, że wolała hodowcę koni od wicehrabiego. Ludzie by się od ciebie odwrócili. Nie życzę sobie, by wycierano sobie usta imieniem mojego najstarszego syna.

- Przecież nie zrobiłem nic złego!

- Wszystko zrobiłeś źle! Kiedy zacząłeś podejrzewać, że lady Isabel woli Waringa, trzeba było się od niej odsunąć. Najwyraźniej ta dziewczyna nie potrafi zachować się właściwie.

- Chciałem naprawić ten błąd - wtrącił Tilden.

-I sprawiłeś, że wszyscy uważają ją za całkowicie niewinną. Unikanie jej teraz nie byłoby rozsądne.

- Nie mogę na nią patrzeć.

- Przy następnej okazji zatańczysz z nią. Potem będziesz trzymał się od niej z daleka.

Wicehrabia zacisnął usta.

- To jakaś kompletna bzdura! - wybuchnął w końcu.

- Sam rozpętałeś tę burzę i musisz teraz po sobie posprzątać. Nie pozwolę, by plotkowano o naszej rodzinie. Czy to jasne?

- Jak słońce - powiedział gorzko Oliver. - A co z Waringiem?

- Dostał nauczkę. Jeśli znów dokona kradzieży, ja się nim zajmę. To nie twoja sprawa.

- Jasne, twoja. W końcu to dzięki tobie pojawił się na świecie.

Na twarzy Dunstona pojawiły się czerwone plamy.

- Milcz, chłopcze! - ryknął. - Nie chcę cię tu widzieć, dopóki nie udowodnisz, że znów mogę na tobie polegać.

Tilden obrócił się na pięcie i wyszedł. Chwilę później głośno trzasnęły drzwi wyjściowe.

Markiz kontynuował wędrówkę po pokoju, nie mogąc się uspokoić. Oliver mógł mówić, co chciał, pod warunkiem że robił to w zaciszu swojego domu. W jednej sprawie miał rację - dobre imię rodziny było zagrożone. Dotychczas uważana za wzór do naśladowania, straciła swój krystaliczny wizerunek. Trzeba będzie włożyć wiele pracy, by go przywrócić.

Rozległo się pukanie i do gabinetu wsunął się kamerdyner.

- Ma pan gościa, milordzie.

- Nie ma mnie dla nikogo.

- Rozumiem, ale...

- O co chodzi, Milken? Mów!

- Pan Sullivan Waring prosi o spotkanie.

Przez chwilę Dunston osłupiały wpatrywał się w kamerdynera. Musiał się przesłyszeć. Jednak przerażony wyraz twarzy Milkena upewnił go, że z jego słuchem wszystko w porządku.

- Gdzie on jest?

- Czeka na schodach wejściowych, milordzie. Gdzie każdy przechodzień może go zobaczyć.

- Wprowadź go do salonu. Zaraz zejść.

Kamerdyner oddalił się, a markiz znów zaczął chodzić po gabinecie. Odczekał jeszcze pięć minut i dopiero wtedy opuścił gabinet. Nie zamierzał pokazywać temu człowiekowi, że wizyta wyprowadziła go z równowagi. Swoją drogą, ciekawe, czego chce Waring? Podejmie próbę szantażu? Żąda zapewnienia, że Oliver nie oskarży go ponownie? Dunston rozpatrywał wszelkie możliwości, jakie przyszły mu do głowy, i przygotowywał sobie odpowiedzi. Dopiero tak przygotowany wszedł do salonu.

Sullivan stał pośrodku. Zastanawiał się, czy nie usiąść, ale samo przekroczenie progu tego domu było dla niego wystarczająco nieprzyjemnym doświadczeniem. Nie potrafił wyobrazić sobie, że mógłby się tu poczuć swobodnie.

Dunstonowi najwyraźniej się nie spieszyło, ale w końcu pojawił się w drzwiach.

- Czego chcesz? - zapytał wrogo, dając wyraźnie do zrozumienia, że prędzej oczekiwaby wizyty Napoleona Bonaparte niż nieślubnego syna.

- Porozmawiać - odpowiedział Sullivan cichym, spokojnym głosem.

- Okryłeś mój dom niesławą. Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Chcę opuścić Londyn... - w końcu wypowiedział głośno słowa, które powtarzał sobie w myślach przez całą drogę. To było jedyne wyjście.

- Droga wolna! - warknął Dunston.

- Prowadzę tu interes. Przeniesienie koni i pracowników to spory koszt.

Markiz uniósł brwi.

- Żądasz ode mnie pieniędzy? Jeśli to próba szantażu...

- Zabrałeś coś, co słusznie mi się należało. Oddam ci to za odpowiednią sumę.

- Ukradłeś te obrazy!

- Tylko je odzyskałem. Teraz je tobie odsprzedam. Mam do tego prawo.

- Ale co ja z nimi zrobię? To lup Rabusia z Mayfair!

- Nie obchodzi mnie to. Powiedz, że po moim aresztowaniu prawdziwy złodziej zorientował się, iż prędzej czy później zostanie schwytany, a ty wynegocjowałeś z nim zwrot zagrabionych przedmiotów.

-Nie.

Sullivan z najwyższym wysiłkiem zachował spokój. Nie wyobrażał sobie, że mógłby pozostać w stolicy, wiedząc, że Isabel jest tuż obok. Dunston musi się zgodzić.

- Ależ tak. Mogę rozpuścić takie plotki, że to, co wymyślił Oliver, będzie nic nieznaczącą historyjką.

- Brzydę się szantażem. I tobą.

- Trzeba było mnie nie płodzić.

- Powinienem utopić cię, kiedy przyszedłeś na świat.

- Już mi to mówiłeś.

- Wciąż tak uważam.

Sullivan zmierzył go wzrokiem.

-Wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego moja matka nie wyprowadziła się z twojej ziemi nawet po tym, gdy nie zgodziłeś się mnie uznać. Myślę, że wiem. Kochałeś ją, a jej zależało na tobie nawet wtedy, gdy wyszła za Williama Perrisa. Dlatego nie potrafiłeś mnie skrzywdzić. Strach przed skandalem powstrzymał cię od dania mi nazwiska, ale wiedziałeś, że zabicie czy odesłanie mnie doprowadziłoby moją matkę do wściekłości. Wtedy byś ją stracił - zrobił krok w kierunku Dunstona. - Przez wzgląd na pamięć o niej oddam ci te trzynaście obrazów, które odzyskałem, oraz wszystkie pozostałe rzeczy. W zamian dasz mi dziesięć tysięcy funtów.

- Dziesięć tysięcy?!

- Nie żądam, byś mnie uznał, bo i tak tego nie uczynisz. Nie chcę też przeprosin, ponieważ nigdy nie przyznasz się do błędu. Nie robisz mi też prezentu. Płacisz za obrazy, które mi odebrałeś, a które teraz jestem gotów ci oddać.

Przez długą chwilę Dunston przyglądał mu się w milczeniu. Gdyby odmówił, Sullivan bez wahania spełniłby swoją groźbę. Był na to gotowy,

ale perspektywa zrujnowania reputacji markiza przestała sprawiać mu satysfakcję. Zemsta nie smakowała tak słodko, jak przypuszczał. Wszystko przez Isabel i jego miłość do niej. Markiz nigdy nie dowie się, ile zawdzięcza pannie Chalsey.

- Dziesięć tysięcy i sprzedasz konia Oliverowi.

-Nie.

- Więc chcesz, by ludzie znów zaczęli plotkować o twojej kochance z wyższych...

- Nie obrażaj jej! Ostrzegam po raz ostatni.

- Sprzedaj mu konia, a plotki ucichną.

Wyraz twarzy Sullivana nie zmienił się ani o jotę, ale w jego umyśle kłębiły się myśli. Musi doprowadzić sprawę do końca. Tylko w ten sposób uchroni Isabel.

- Pojutrze wystawiam Hektora na aukcji w Tattersall. To najlepszy reproduktor z mojej stajni. Tilden może złożyć ofertę.

- Prywatna transakcja byłaby mile widziana.

Markiz miał rację.

- Niech będzie. Sprzedam mu mojego wałacha, Parysa. Możemy to załatwić prywatnie, bylebym nie musiał spotykać się z Tildenem. Cena sto pięćdziesiąt funtów. Żadnego targowania się.

Załatwione.

Bardzo lubił Parysa i wiedział, że ciężko będzie mu się z nim rozstać.

- Jutro przyślę konia, a potem obrazy i resztę przedmiotów. Mój człowiek, nazwiskiem McCray, przyjdzie w południe po pieniądze.

Dunston skinął głową.

- Coś jeszcze? - zapytał, siląc się na sarkastyczny ton. Nie bardzo mu się udało.

A więc też cierpiał. To dobrze. Sullivanowi było wszystko jedno, czy działo się tak z powodu konieczności rozstania się ze znaczną sumą pieniędzy, czy też kryła się za tym jakaś głębsza przyczyna.

- Nie. Tak... Koniec z rozsiewaniem plotek na temat lady Isabel Chalsey. Dobrze byłoby też, gdyś popracował nad przywróceniem jej dobrego imienia.

- Ona jest w tym wszystkim najmniej winna - markiz zrobił głęboki wdech. - Zrobię to.

- Dziękuję. Wyrównaliśmy rachunki. Miłego dnia.

Sullivan odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Oczekiwał obraźliwych słów, był przygotowany na deszcz obelg, tymczasem towarzyszyła mu cisza. Poczuł, że odniósł zwycięstwo. Niewielkie, ale jednak.

Teraz pozostała mu do zrobienia tylko jedna rzecz.

Jeśli Isabel miała jakiegokolwiek wątpliwości, że rodzice planują wyjazd z Londynu przed końcem sezonu towarzyskiego, rozwiął je widok spakowanego w trzy dni dobytku. Kochała Kornwalię i posiadłość Burling, chłodny wiatr od morza przesycony solą, malownicze zachody słońca i dzikie krajobrazy, ale wyjazd ze stolicy oznaczał brak jakichkolwiek możliwości spotkania z Sullivanem. Nie próbowała się jednak sprzeciwić decyzji rodziców. W końcu robili to dla jej dobra. Krzątając się po pokoju, nie potrafiła się powstrzymać, by od czasu do czasu nie zerknąć przez okno w nadziei, że Sullivan pojawi się przed domem. Jego rzeczy w tajemniczy sposób znikły z siodłami. Douglas być może wiedział coś na ten temat, ale nie powiedział ani słowa, a ona nie miała odwagi spytać. Sama nie wiedziała, co było lepsze: snuć domysły, czy usłyszeć od brata, że Waring poprosił w liście o odesłanie siodła i uprzęży, zaznaczając jednocześnie, by

ona o niczym się nie dowiedziała, lub co gorsza - nawet o niej nie wspominając.

- Tibby? - usłyszała głos matki.

- Jestem u siebie! - zawołała, zrywając się z fotela przy oknie.

Markiza z uradowaną miną wbiegła do pokoju. Wyglądała na bardzo zadowoloną.

- Spójrz, kochanie! Zostaliśmy zaproszeni na jutro na przyjęcie do lady Clements!

- To bliska przyjaciółka lady Dunston - zdumiała się Isabel.

- Właśnie! To dobry znak.

- W takim razie opóźnimy wyjazd?

Matka spojrzała na nią znad zaproszenia.

- Chciałabym, ale wolałabym nie podejmować pochopnych kroków mogących narazić naszą rodzinę na jeszcze większe szkody.

- Gorzej już chyba nie mogłoby być - odpowiedziała Isabel. Znała rodziny, które za karę wyrzekały się córek lub odsyłały je na prowincję. Jej bliscy nie tylko się od niej nie odwrócili, ale także okazali jej wiele współczucia. - Będę się zachowywać jak należy.

Matka uśmiechnęła się do niej i pocałowała w policzek.

- W niedzielę zastanowimy się, co robić. Kto wie, może to znak, że wszystko dobrze się skończy?

Isabel odwzajemniła uśmiech.

- Miejmy taką nadzieję.

Przyjęcie było bardzo udane, podobnie jak bal, na który zostali zaproszeni w kolejny wtorek. Isabel nie potrafiła zrozumieć, co się dzieje. Nie wybuchł żaden nowy skandal, który odwróciłby uwagę londyńskiego

towarzystwa od jej osoby, ale jej zachowanie najwyraźniej zostało puszczane w niepamięć.

Chalseyowie zrezygnowali z wcześniejszego wyjazdu i wrócili do codziennych zajęć. Wszystko było jak dawniej. Isabel udawała, że wcale nie wygląda częściej przez okno, sprawdzając, czy mijający dom jeździec nie jest przypadkiem Sullivanem. Nie przyznawała się też sama przed sobą, że podczas przejażdżek na Zephyr po Hyde Parku szuka wzrokiem znajomej postaci.

- Widziałas ten ogromny czepek, który miała na sobie Fiona Meston? - spytała Barbara, kiedy wysiadały z powozu po zakupach na Bond Street.

- Ktoś powinien powiedzieć jej matce, że kilka piegów na nosie nie jest powodem, by córce ukrywać twarz - Isabel zabrała pudło z kapeluszami, pozostawiając lokajowi zabranie pozostałych pakunków.

Barbara rozejrzała się, a potem położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Nie powinnam ci tego mówić - odezwała się szeptem - ale wczoraj Phillip zabrał mnie do Tattersall.

Serce Isabel przyspieszyło. Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Co się z nią dzieje?! Byle wzmianka o aukcji koni, a ona już traci jasność myślenia... tylko dlatego, że po raz pierwszy ujrzała tam Sullivana za dnia.

- Cieszę się, że mój brat zaczął cenić twoje towarzystwo.

- Jest uroczym młodzieńcem. - Barbara zarumieniła się lekko. - Chciałam ci powiedzieć, że widziałam... wiesz kogo. Wystawił na aukcji swojego najlepszego ogiera, Hektora. Dostał za niego czterysta osiemdziesiąt funtów!

Sullivan sprzedał Hektora? Najlepszego reproduktora w kraju? Zorientowała się, że Barbara wciąż na nią patrzy, więc odpowiedziała:

- To dziwne, nie sądzisz?

- Jest coś jeszcze... - dodała przyjaciółka. Nie zdążyła dokończyć, bowiem za nimi rozległ się stukot końskich kopyt.

- Dzień dobry - zabrzmiał chłodny głos Olivera Sullivana.

Isabel odwróciła się.

- Dzień... - nie dokończyła, ze zdumieniem spoglądając na wierzchowca, którym przyjechał. - Przecież to Parys!

- Kupiłem go. Wspaniałe zwierzę - odpowiedział Oliver, klepiąc wałacha po szyi.

-Ale...

- Mógłbym prosić o chwilę rozmowy? - spytał, z gracją zeskakując z siodła.

Nie potrafiła się powstrzymać.

- Więc znów ze sobą rozmawiamy?

Na moment zacisnął szczęki.

- Mam nadzieję - odpowiedział uprzejmie. - Ja... Mój ojciec odzyskał obrazy i inne rzeczy zrabowane w Mayfair. Najwyraźniej złodziej przestraszył się, że prędzej czy później trafi do więzienia i skontaktował się z nami. Chciałem spytać, czy przyjmiesz przedmioty należące do twojej rodziny, a jednocześnie pozwolisz się przeprosić za kłopoty, jakie miałaś przeze mnie?

Kiedy mówił, nie spuszczała z niego wzroku. Podobnie jak ona znała tożsamość Rabusia z Mayfair. Ta historia nie była przeznaczona dla niej.

- Dziękuję - odpowiedziała uprzejmie. - Czy mógłbyś wnieść je do środka?

- Oczywiście - zdjął płaski pakunek przytroczony do siodła.

- Tibby, jestem umówiona na herbatę z mamą i Julią - wtrąciła Barbara. - Chyba że...

- Wybacz, moja droga, zapomniałam! Dziękuję za zakupy. Zobaczymy się wieczorem, prawda?

Barbara pocałowała ją w policzek.

- Na pewno.

Kiedy powóz odjechał, Isabel i Oliver weszli do domu.

- Jestem zaskoczona twoim widokiem - powiedziała dziewczyna. - Nie rozstaliśmy się w najprzyjemniejszych okolicznościach.

- Moje zachowanie było niedopuszczalne - odparł Oliver, skinąwszy głową Phillipowi i Douglasowi, którzy zeszli po schodach, dołączając do siostry. - Gwoli wyjaśnienia: bardzo pragnąłem kupić Parysa od pana Waringa, ale on nie chciał mi go sprzedać. Nie przypuszczałem, że da to początek tylu nieprzyjemnym wydarzeniom. Na szczęście, doszliśmy do porozumienia i jak widzicie, koń zmienił właściciela.

- Ale dlaczego? - naciskała, biorąc od niego obraz Franceski Perris i podając Douglasowi. - I oszczędź mi dalszych nonsensów.

Zacisnął szczęki.

- Powiedziałem ci prawdę. Reszta niech cię nie interesuje.

Wyjął porcelanowego gołębia, niewielką kryształową misę oraz srebrną tacę na wizytówki i ułożył przedmioty na stoliku w holu.

- To chyba wszystko.

- Tak - rzekł Phillip, widząc, że siostra nie kwapi się z odpowiedzią.

- W takim razie miłego dnia. Odwrócił się i wyszedł z domu.

- Interesujące - mruknął starszy brat. - Wygląda na to, że Sullivanowie i pan Waring zawarli jakąś umowę.

- Nie wymieniaj jego nazwiska - mruknął Douglas.

Isabel przez chwilę wpatrywała się w zwrócone przedmioty, a potem odwróciła się i podbiegła do drzwi i otworzyła je.

- Oliverze! - zawołała.

Był już w połowie podjazdu. Zatrzymał Parysa i odwrócił się w jej stronę.

- O co chodzi? - zapytał oschle.

- Dlaczego Sullivan sprzedał ci Parysa?

Zmierzył ją wzrokiem.

- Żeby wyglądało na to, iż sprawa dotyczyła wyłącznie mnie i jego, a ty nie byłaś w nią zamieszana.

A więc zrobił to dla niej!

-I dlatego twoja rodzina znów zaczęła mnie tolerować, prawda?

- To była część umowy - podniósł głowę, spoglądając na ulicę, a potem znów popatrzył na Isabel.

- Mogłaś zostać moją żoną - powiedział powoli. - Ale teraz nie jesteś dla mnie odpowiednią partią. Za to pan Waring na zawsze opuszcza Londyn. Ustrzeliłem dwie sroki za jednym razem, bo więcej go nie zobaczę i w końcu sprzedał mi konia.

Powiedziawszy to, spiał Parysa i odjechał klusem.

Isabel usiadła na schodach prowadzących na ganek. Sullivan wyjeżdża! Żadne słowa wypowiedziane przez Olivera nie uderzyły w nią tak bardzo jak ta wiadomość.

- Tibby? - Douglas wyszedł przed dom i usiadł obok niej.

Położyła głowę na jego ramieniu.

- Wiedziałaś, że opuszcza Londyn?

- Usłyszałem, że jedna z największych stajni jest w trakcie przeprowadzki - odpowiedział brat.

- Domyśliłem się, o kogo chodzi.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Nie wynikłoby z tego nic dobrego.

Przez chwilę milczała, a potem skinęła głową.

- Masz rację.

- W takim razie nie wiem, czy chcesz wejść do domu, czy nie.

Isabel spojrzała na niego zdziwiona.

- Słucham?

Wskazał brodą w kierunku ulicy.

- Ktoś przyjechał po Molly. Tym razem nie będziesz mogła mi zarzucić, że ci nic nie powiedziałem.

Przymknęła oczy, obojętna na gadaninę brata. Kiedy je otworzyła i spojrzała w kierunku, który wskazywał, ujrzała Sullivana na Achillesie właśnie skręcającego na podjazd.

- Chyba zostanę - szepnęła.

Sullivan podjechał pod ganek Chalsey House. Przez cały ranek zastanawiał się, co i w jaki sposób ma powiedzieć. Musiał pożegnać się z Isabel. Kiedy widzieli się ostatnim razem, odjechała bez słowa. Właściwie tanto spotkanie powinno być ostatnie, jednak nie potrafił sobie odmówić, by nie zobaczyć jej i nie wytłumaczyć, iż jego wyjazd będzie dla niej najlepszym rozwiązaniem. Gdy zobaczył ją siedzącą na schodach, jak gdyby na niego czekała, w jego głowie zapanował kompletny chaos.

- Dzień dobry - powiedział, zeskakując z Achillesa.

- Dzień dobry - odrzekła i dodała: - Douglasie, mógłbyś przygotować Molly dla pana Waringa?

Znów był panem Waringiem. Wzruszył lekko ramionami i przywiązał wierzchowca, a sam usiadł na schodach na miejscu opuszczonym przez młodzieńca.

- Minałem na ulicy Tildena. Nie wyglądał na zadowolonego. Był tutaj?

- Przywiózł skradzione przedmioty.

Sullivan skinął głową. Zauważył pojedynczy kosmyk złotych włosów, który wysunął się z fryzury Isabel. Siłą woli powstrzymał się, by nie wyciągnąć ręki i go nie poprawić. Oboje byli doskonale widoczni z ulicy i nie zamierzał narażać Isabel na utratę reputacji odzyskanej z takim trudem.

- Byłam zdziwiona, widząc Olivera na Parysie - powiedziała nieoczekiwanie.

- W końcu jestem hodowcą koni - odparł. - Sprzedaję je i w ten sposób zarabiam na życie.

- Dlatego sprzedałeś Hektora?

- Zrobiłem to, ponieważ wielu ludzi było nim zainteresowanych. Przez ostatnich kilka tygodni interes nie szedł najlepiej. Uznałem, że to dobry sposób, by zwrócić na siebie uwagę.

- W takim razie twoja decyzja o opuszczeniu Londynu wydaje się dość dziwna.

Nie spodziewał się, że już o tym słyszała.

- Jesteś dobrze poinformowana.

- Dowiedziałam się dosłownie przed chwilą - odrzekła i w końcu na niego spojrzała. - Powinieneś zostać.

- Nie mogę, Isabel.

- Ze względu na mnie?

- Szczerze?

- Bardzo proszę.

Zmieniła się od pierwszego spotkania. Wydawała się poważniejsza. Taka podobała mu się nawet bardziej. To było niebezpieczne. Na wszelki wypadek odsunął się od niej. Po co ktoś ma ich zobaczyć razem i znów pomyśleć sobie Bóg wie co?

- Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Codziennie czuję twoją obecność. Wiem, że nie mogę...

- Możesz. Jeśli powiesz słowo, będę twoja. Powtarzam ci to przez cały czas.

- Gdybym mógł dać ci to, na co zasługujesz, nie wahałbym się ani minuty, tylko popędził do twojego ojca prosić o twoją rękę. Oboje wiemy, że to niemożliwe. Bez względu na to, co teraz myślisz, przyszlaby chwila, w której uzmysłowiłabyś sobie, że dokonałaś złego wyboru, wyrzekając się dla mnie całego swojego życia.

Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Powinieneś pozwolić mi o tym zdecydować.

- Pragnę tego. I dlatego wyjeżdżam. Sprzedałem skradzione malowidła Dunstonowi za całkiem niezłą sumę i kupiłem posiadłość w Sussex. Mam dziesięć razy więcej ziemi niż tu, w Londynie.

Isabel wstała, wygładzając spódnicę.

- A wydawało mi się, że to ja jestem bardziej dumna od ciebie. Przykro mi, że nie chcesz pozwolić, by ktokolwiek dzielił z tobą twój los. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Teraz wybacz mi, muszę się przebrać do lunchu.

Sullivan także się podniósł.

- Isabel! - zawołał, widząc, jak kamerdyner otwiera przed nią drzwi. - Tibby!

- Tylko ciebie pragnę, Sullivanie - powiedziała, odwracając się w jego kierunku. - Jeśli kiedykolwiek zrozumiesz, że zakochałam się w tobie i

twoja pozycja społeczna nie ma tu nic do rzeczy, wiesz, gdzie mnie szukać. Jestem zmęczona, walcząc z tobą o coś, czego oboje chcemy. Skoro będziesz szczęśliwszy, cierpiąc, proszę bardzo. Chyba musisz już iść. Żegnaj!

Powiedziawszy to, weszła do domu. Kamerdyner posłał mu nieprzyjazne spojrzenie i zamknął drzwi.

Sullivan przez długą chwilę stał na schodach. Ona wciąż niczego nie rozumie! Nawet nie mógł pójść za nią i wytłumaczyć, ponieważ nigdy nie wpuszczono by go frontowymi drzwiami. Gdyby za niego wyszła, dla niej także na zawsze pozostałyby zamknięte.

RS

Rozdział 27

Trzy miesiące później

- Panie Waring, ktoś zostawił na noc otwarte okno na werandzie i deszcz zniszczył obicie krzesel.

Sullivan podniósł wzrok znad ksiąg rachunkowych i spojrzał na swojego kamerdynera.

- Każ je wyrzucić.

- Materiał można wymienić, proszę pana.

- W takim razie zajmij się tym, Dudley.

Mężczyzna westchnął.

- Oczywiście. Potrzebna była tylko pańska zgoda.

Sullivan uśmiechnął się i wrócił do sprawdzania rachunków.

- Więc ją masz. Wytrzymaj ze mną jeszcze trochę. W końcu nauczę się wszystkiego.

Dudley skinął głową.

- Pani Howard chciałaby wiedzieć, co przygotować na kolację.

Wcześniej gotowała, co chciała, nie pytając go o zdanie. Odkąd jednak dostała trzy razy większą kuchnię i własny domek na terenie posiadłości, w którym zamieszkała z mężem, bardziej przykładała się do obowiązków.

- Niech ugotuje cokolwiek. Wie, że zjem wszystko.

Na twarzy Dudleya drgnął mięsień, ale kamerdyner powstrzymał się od komentarza, tylko pochylił głowę w ukłonie i wyszedł z gabinetu. Sullivan wrócił do analizowania rachunków, aby po chwili odłożyć pióro. Wyprostował się. Przez okno mógł zobaczyć Halliwella lonżującego Achillesa na pobliskiej łące. Bliżej, na głównym dziedzińcu, Vincent i jeden

z nowo zatrudnionych stajennych rozładowywali worki z owsem, a Samuel prowadził klacz ze źrebięciem na pastwisko.

Większość ludzi wybrałaby na swój gabinet pokój z ładniejszym widokiem, ale dla Sullivana stajnie były najważniejszą częścią posiadłości i lubił mieć je na oku. Z chęcią przyłączyłby się do swoich pracowników, ale ostatnio spędzał coraz więcej czasu w domu nad rachunkami. Właściwie powinien to przewidzieć, zamieniając niewielką posiadłość, w której zatrudniał zaledwie pięć osób, na ogromny majątek ziemski, gdzie nie brakowało pracy dla ponad dwudziestu. Miał tyle obowiązków, że wieczorami padał ze zmęczenia, co bardzo mu zresztą odpowiadało. Przynajmniej nie przychodziły mu do głowy różne myśli. Czasem musiał jednak przyznać sam przed sobą, że Isabel już na stałe zajęła miejsce w jego sercu. Wspomnienia o niej, choć zepchnięte na samo dno pamięci, powracały co jakiś czas z mniejszą lub większą siłą o różnych porach dnia i nocy.

Isabel... Jego Isabel.

Potrząsnął głową i wstał. Teraz był majątnym człowiekiem, choć w oczach ludzi z jej sfery nadal pozostawał nikim. Nikt z sąsiadów nie zapowiedział się z wizytą, nikt nie zaprosił go do siebie. Owszem, ten i ów pojawił się w interesach, ale Sullivan - choć starał się nie traktować z niechęcią wszystkich przedstawicieli arystokracji - nie proponował nikomu miejsca przy stole. Jeśli sam do kogoś jechał, to tylko po to, by obejrzeć i ocenić stajnię. To mu najzupełniej wystarczało. Gdyby nie poznał Isabel, takie życie uczyniłoby go całkowicie szczęśliwym, z wyjątkiem chwil, które musiał poświęcać na sprawdzanie rachunków i podejmowanie decyzji dotyczących ogromnego gospodarstwa. Cóż, zbyt wiele osób na nim polegało, by mógł lekceważyć swoje obowiązki.

Opuścił gabinet i przeszedł do niewielkiej biblioteki. Czuł się dziwnie, mając do dyspozycji więcej pokoi niż było mu potrzeba. W następnej kolejności urządził sobie salon bilardowy. Jak przystało na arystokratę... którym nie był.

Kiedy Bram zobaczył, że jego przyjaciel kompletuje księgozbiór, zaczął przysyłać mu albumy ze sztuką erotyczną Dalekiego Wschodu. Kilka kolejnych leżało w zgrabnym stosiku na fotelu. Najwyraźniej Dudley nadrabiał zaległości w edukacji. Jeśli chodzi o Sullivana, takie rzeczy go nie interesowały. Mogło wydawać się śmieszne, że kocha kobietę, której prawdopodobnie już nigdy w życiu nie zobaczy, ale był pewien - albo ta, albo żadna.

Spojrzał przez okno. Z biblioteki miał widok na podjazd i drogę prowadzącą do rezydencji, a dalej na pastwiska, na których pasło się kilka kłaczy zakupionych już po przeprowadzce do Sussex.

Nagle ze zdziwieniem zauważył czarny powóz skręcający w stronę jego domu. Na drzwiach widniały żółte tarcze herbowe, pojazd był jednak zbyt daleko, by mógł dostrzec szczegóły. Ciekawe. Z nikim nie był na dziś umówiony. Na pewno też nie był to Bram, który nigdy nie podróżował powozem z herbem ojca. Sullivan wrócił do gabinetu i narzucił na siebie zakiet. Postanowił nie zastanawiać się, kim jest tajemniczy gość. Zbyt dobrze wiedział, kogo chciałby zobaczyć. Dobrze sobie! Ona nigdy tu nie przyjedzie. Dała mu to jasno do zrozumienia podczas ostatniego spotkania. Następny ruch należał do niego, a on nie zamierzał nigdzie jechać. Nie był tak samolubny. W każdym razie tak mówił do siebie. Rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł Dudley.

- Proszę pana, ma pan gościa - powiedział.

- Kto to?

Kamerdyner wyciągnął w jego kierunku srebrną tacę z wizytówką. Przekłete konwenanse! Wziął do ręki biały kartonik i zamarł.

- Wpuściłeś go do domu? - zapytał.

- Czeka w salonie.

- Dziękuję - wziął głęboki wdech i ruszył w stronę drzwi.

- Podać herbatę?

- Nie. Jeśli jest spragniony, niech gdzie indziej szuka orzeźwienia.

Kamerdyner rzucił mu nieodgadnione spojrzenie.

- Jak pan sobie życzy - powiedział.

Sullivan nacisnął klamkę i pewnym krokiem wszedł do salonu.

- Lordzie Dunston - odezwał się.

Markiz odwrócił się od okna i spojrzał na niego.

- Wyglądasz jak prawdziwy dżentelmen - rzekł na powitanie.

- Przyjechałeś z tak daleka, żeby mi to powiedzieć? - odparł chłodno Sullivan.

- Dzięki tobie ten sezon nie był dla mnie najbardziej udany - kontynuował Dunston. Nie usiadł na fotelu. Być może nie chciał skalać ubrania, korzystając z mebla należącego do jego nieślubnego syna, lub po prostu czuł się tu niepewnie. Interesujące.

- Ty to wszystko zaczęłeś, markizie. - Sullivan zajął miejsce na krześle przy drzwiach.

- Muszę ci przyznać rację.

Sullivan, który właśnie otwierał usta, by coś powiedzieć, zamarł kompletnie zaskoczony.

- Nie oczekiwałeś, że usłyszysz te słowa, prawda? - rzekł Dunston. - Nie jesteś bez winy, ale to moje czyny dały ci impuls do działania.

Postępowałeś źle, jednak od siebie powinienem wymagać więcej. Od mojego syna także.

- Rozumiem, że mówisz o Tildenie.

Markiz machnął ręką.

- Wysłałem Olivera do Yorku, by zarządzał jedną z moich posiadłości - przerwał na chwilę, a potem dodał: - Zastanawiam się, czym naprawdę się kierowałeś, sprzedając mu konia.

Sullivan uniósł brwi.

- Powiedziałem, że to zrobię, i nie było w tym żadnych podtekstów.

- Krążyły pogłoski, że zmusił cię do tego, by odzyskać utraconą reputację.

Waring uśmiechnął się krzywo.

- Nie powiem, żeby mnie to martwiło.

- Też tak sędzę.

Dunston w końcu zdecydował się usiąść, wybierając fotel naprzeciwko Sullivana.

- Problem w tym, że nie mogę pozwolić, by uznano nasze zachowanie w stosunku do osoby z niższej sfery za okrutne i aroganckie. Szczególnie jeśli chodzi o tak szanowanego i utalentowanego młodego człowieka jak ty.

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Nie oczekuj, markizie, że będę wszem wobec wygłaszał sprostowania. Zresztą, kto chciałby mnie słuchać?

Mówił to, ale myślami był gdzie indziej. Właśnie dotarło do niego, co powiedział Dunston. Nazwał go człowiekiem z niższej sfery - co było zgodne z prawdą. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, jak wielu ludzi szanuje Sullivana, a z tonu jego głosu można by przypuszczać, że sam także darzy go respektem.

Isabel mówiła to samo. Wyraziła się inaczej, ale jasno powiedziała, że szanuje go jako człowieka. A on ją zostawił. Uznał, że nie zaakceptuje życia, jakie czeka ją u jego boku, i będzie cierpiała, gdy przyjaciele się od niej odwrócą. Przecież zrobili to na samym początku, a ona mimo to nie chciała się z nim rozstać. Próbowwała mu to powiedzieć, ale on, głupiec, jej nie słuchał.

Zamknął oczy.

- Dobry Boże, co ja najlepszego zrobiłem?! - pomyślał.

- Postanowiłem cię uznać.

Sullivan zerwał się na równe nogi.

- Wybacz, markizie, ale mam coś do załatwienia.

- Nie słyszałeś? - zawołał Dunston, wybiegając za nim na korytarz. - Powiedziałem, że uznam cię za swojego syna!

- To twoja decyzja - rzucił Waring nieobecny głosem, wspinając się po schodach. - Dudley! Każ Halliwellowi osiodłać Achillesa i przyślij do mnie Geralda! Potrzebuję kilku rzeczy na drogę.

O tej porze roku powinna być w Burling. Dotarcie tam zabierze mu przynajmniej dwa dni szybkiej jazdy. Był na to gotów.

- Ludzie będą cię szanować! - krzyknął za nim Dunston. - Okaż choć odrobinę wdzięczności!

- Już mnie szanują - odpowiedział Sullivan, zatrzymując się na szczycie schodów - Chcesz pomóc swojej rodzinie. Doceniam to.

- To położy kres wojnie pomiędzy nami.

- Zakończyłem ją trzy miesiące temu.

- Jestem gotów wypłacać ci roczną pensję.

Waring spojrzał na markiza i pokręcił głową.

- Nie potrzebuję od ciebie niczego. Robisz to, co uważasz za stosowne. Teraz wybacz mi, ponieważ jadę naprawić największą pomyłkę, jaką popełniłem w życiu.

Dunston przyglądał się Sullivanowi przez dłuższą chwilę, zmuszając go do pozostania na miejscu. W końcu pokiwał głową.

- Nie jesteś moim... - zaczął.

Waring drgnął. Znów to samo?

- Nie jestem twoim synem!?! - ryknął wściekły. - To po co ten cały cyrk?

- Nie jesteś moim największym błędem. Masz w sobie odwagę i więcej honoru niż wszystkie moje dzieci.

- Dziękuję - skinął głową Waring. - A teraz wybacz. Chyba trafisz do wyjścia?

Dunston spojrzał na niego, kompletnie zaskoczony.

- Słucham?

- Do widzenia, markizie.

Jeśli Dunston spodziewał się usłyszeć od niego słowo „ojcze”, srodze się zawiódł. Jednak uznając Sullivana za swojego syna, sprawi, że będzie on bardziej akceptowany przez londyńskie towarzystwo. Oczywiście, wiele miejsc wciąż pozostanie dla niego niedostępnych, ale co tam. Najważniejsze, że George Sullivan uświadomił mu co innego: nawet będąc nieślubnym dzieckiem i mając na sumieniu kilka kradzieży, jest dobrym człowiekiem. Reszta naprawdę nie ma znaczenia.

Teraz musi przekonać kogoś jeszcze, że odrobił swoją lekcję. Oby tylko Isabel okazała się bardziej skora do wybaczenia jemu, niż on samemu sobie.

- Nie będę cię uczył skakać - oświadczył Douglas.

Isabel okrążyła brata na Zephyr.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, ojciec chyba urwałby mi głowę, a po drugie - nie, i koniec.

Skrzywiła się

- W takim razie poproszę Phillipa.

- On też ci odmówi.

Pewnie tak. Szczerze mówiąc, nie czuła się jeszcze na tyle pewnie w siodle, by próbować skoków. Jednak mogłaby się przemóc. Przynajmniej zajęłoby ją to na jakiś czas. Ozdobiła koronkami wszystko, co mogła, przeczytała prawie wszystkie książki, a kobiety z wioski zaczęłyby ją przepędzać, gdyby więcej niż trzy razy w tygodniu pojawiała się u nich, przynosząc jedzenie, ubrania i oferując pomoc przy pielenui ogródków.

- Pospiesz się! - powiedział Douglas. - Mamy jeszcze milę do przejechania, a ja jestem głodny.

- Zawsze jesteś głodny.

- Bo rosnę - zachichotał. Uderzył piętami w boki swojego wałacha o imieniu Grom, przynaglając go do galopu. - Spróbuj mnie dogonić! - zawołał do siostry. - Może wtedy porozmawiamy o skokach. Ścigamy się do mostu!

- Mężczyźni! - westchnęła dziewczyna. - Ruszaj, Zephyr.

Poprawiła się w siodle, a gdy poczuła się pewnie, przeszła do kłusa. W przeciwieństwie do braci, którzy korzystali wyłącznie z wodzy i strzemion, wołała mówić do swojej klaczy, a Zephyr wspaniale reagowała na ustne polecenia. Kłusowała wzdłuż jeziora. Choć znała Burling od dziecka, po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się posiadłości, jadąc konno. Uwielbiała

takie wycieczki i kiedy tylko pozwalała na to pogoda, jeździła z którymś z braci lub z ojcem. Gdy byli zajęci, towarzyszył jej stajenny Otto.

Dając wolność, Sullivan złamał jej serce. Nie była to zbyt uczciwa transakcja, lecz przynajmniej mogła udawać, że łzy, które pojawiają się w jej oczach, spowodowane są przez ostrą morską bryzę.

- Nie okręcaj wodzy wokół lewej ręki - usłyszała nagle za sobą niski głos. - Pozwól im zwisać swobodnie.

Zadrzała, a Zephyr czujnie uniosła głowę i zastrzygła uszami.

- Spokojnie! Bądź grzeczną dziewczynką - powiedziała do klaczy lekko drżącym głosem. Kątem oka dostrzegła silną dłoń, która chwyciła łąk siodła. Wierzchowiec zatrzymał się. Isabel wzięła głęboki oddech i obejrzała się. Sullivan siedział na koniu dosłownie na wyciągnięcie ręki.

- Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć - powiedział cicho.

Jego ciemnoblonde włosy były w nieładzie, na twarzy ciemniał kilkudniowy zarost. Z wyjątkiem podkrążonych ze zmęczenia oczu wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widziała go ostatni raz. Nie wykonał żadnego gestu w jej kierunku. Przez sekundę zastanawiała się, czy z tego powodu czuje rozczarowanie czy wyłącznie bolesną radość, że znów się spotykają.

- Pomóż mi zsiąść! - zawołała do Otto, który zatrzymał się nieopodal.

Zanim stajenny zeskoczył z konia, Sullivan już był na ziemi.

- Wracaj do domu! - powiedział do chłopaka. - Pomogę lady Isabel.

Jak zwykle rozkazywał jej ludziom.

- Jedź, Otto - odezwała się, widząc wahanie stajennego. Najwyraźniej nigdy nie widział słynnego hodowcy Sullivana Waringa. - Powiedz, że niedługo wrócę.

Młodzieniec przytknął dłoń do kapelusza.

- Tak jest, panienko.

Kiedy zniknął za drzewami, Sullivan wyciągnął ramiona. Wciąż niepewna, co powiedzieć, Isabel pozwoliła mu chwycić się w tali i delikatnie zdjąć z siodła. Kiedy tylko jej stopy dotknęły ścieżki, wyswobodziła się z jego objęć.

- Co tu, u diabła, robisz?

Pochylił głowę, pozwalając, by niesforny kosmyk zasłonił mu oko.

- Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś.

Poczuła, że jej serce wypełnia nadzieja, ale nie dała się porwać zdradliwemu uczuciu. Nie może pozwolić, by znów wystawił ją do wiatru. Zaciśnęła usta.

- Rozumiem - powiedziała, mając nadzieję, że głos jej nie zdrzży. - Czy poza myśleniem podjąłeś jakąś decyzję?

W jego oczach dostrzegła cień uśmiechu. Nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Niech poczuje się tak jak ona.

- Miałaś rację. Nie powinienem był decydować za ciebie.

Zamrugwała.

- Tylko tyle?

- Nie - odpowiedział. - Zacząłem od tego, bo chciałbym prosić cię o wybaczenie.

- Tak po prostu? - Być może była zbyt surowa, ale czuła, że jeśli będzie kontrolować tę rozmowę, nie da mu się znów skrzywdzić. Kto wie, czy po przeprosinach nie wsiądzie na konia i nie odjedzie, tym razem na zawsze?

- Isabel, proszę cię - westchnął. - Jechałem dwa dni prawie bez przerwy. Przed chwilą rozmawiałem z twoim ojcem...

- Słucham?!

- Próbuję zrobić to jak należy.

Ze zwiniętymi w pięści dłońmi rzuciła się na niego, uderzając, gdzie popadnie. Kompletnie zaskoczony Sullivan potknął się i wpadł do płytkiej wody na brzegu jeziora.

- Isabel! - ryknął na cały głos, wstając.

Przez moment spoglądała na niego w popłochu.

- Wybacz, nie chciałam... - zaczęła.

Waring wyciągnął rękę, chwycił ją za ramię i pociągnął ku sobie. Oboje zanurzyli się w chłodnej wodzie. Isabel, parszkając, wynurzyła się pierwsza.

- Oszalałeś?! Jak śmiesz! - krzyknęła oburzona.

- Kocham cię! - zawołał. - Pozwolisz mi skończyć to, co chcę powiedzieć?

Stojąc po kolana w wodzie, skrzyżowała ręce na piersiach. Miała nadzieję, że nie zapomni, jak się oddycha.

- Dobrze - rzekła, siląc się na spokój. - Słucham.

- Odwiedził mnie Dunston.

Spojrzała mu w oczy. To na pewno nie była miła wizyta, ale, o dziwo, Sullivan nie wyglądał na zdenerwowanego. Przypominał człowieka, który obudził się ze snu lub usłyszał właśnie niezwykłą wiadomość.

- Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona. Skinął głową.

- Usłyszałem od niego coś, co mnie powaliło. Najwyraźniej Oliverowi i reszcie rodziny trudno było odzyskać dobre imię po skandalu z aresztowaniem mnie. Ludzie obwiniają ich o szykanowanie mojej osoby, a ja cieszę się dużym szacunkiem - na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. - Nawet sam Dunston mnie poważa.

- Najwyższy czas.

- Powiedziałaś mi dokładnie to samo. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Nienawidzę tego człowieka, ale chciałem to usłyszeć z jego ust. Jednak nie to jest najważniejsze.

Przerwał, jakby czekając na słowa Isabel, ale ponieważ milczała, kontynuował:

- Mam teraz własną posiadłość, Amberglen. Zatrudniłem kamerdynera, więc nie muszę sam otwierać drzwi.

Uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że tak dobrze ci się powodzi.

- Dziękuję. - Wyciągnął dłonie i ujął jej palce, zmuszając ją, by rozprostowała rękę.

- Moi sąsiedzi pochodzą z arystokratycznych rodów. Nie mogę ci zagwarantować, że będą chcieli nas odwiedzać ani że zaproszą nas kiedyś do siebie...

Poczuła, jak jej puls gwałtownie przyspiesza.

- Wiem, że ci na tym nie zależy, ale czy jesteś absolutnie pewna?

Tym razem nie broniła się już przed falą radości zalewającą jej serce.

-Ja...

- Jeszcze jedno... - przerwał jej. Chyba po raz pierwszy zabrakło mu wyczucia czasu. - Kiedy wychodziłem z domu, by do ciebie przyjechać, Dunston stwierdził, że jedynym sposobem, by naprawić reputację rodziny, jest uznanie mnie za syna.

Isabel otworzyła usta z wrażenia. Dopiero po chwili zdołała wykrztusić:

- Zostawiłeś to na sam koniec?

- To nieważne. Potraktowałem to jako ostateczny argument w rozmowie z twoim ojcem. Uznałem, że najlepiej będzie najpierw spotkać się

z nim, żeby nie zastrzelił mnie, kiedy zobaczy nas jadących razem w stronę domu.

- Nie ośmieliłby się - odpowiedziała, czując łzy napływające do oczu.

Sullivan ukląkł, nie bacząc na to, że oboje wciąż stoją w wodzie.

- Isabel - powiedział cicho, wciąż trzymając ją za rękę. - Uczyniłaś mnie szczęśliwszym, niż byłem kiedykolwiek w życiu. Myślałem, że aby cię zdobyć, powinienem być kimś więcej niż jestem. Dla ciebie to nie było ważne. Kocham cię bardziej niż wszystko na tym świecie. Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Tak! - odpowiedziała zdławionym głosem. Gdy wstał, bez wahania rzuciła się w jego ramiona. Nic więcej się nie liczyło. - Wyjdę za ciebie Sullivanie Waring.

Przytulił ją i mocno pocałował.

- Dzięki Bogu! - wyszeptał - Dzięki Bogu!

- Kocham cię - powiedziała między pocałunkami, a potem dodała: - Czy moglibyśmy w końcu wyjść z wody?

Roześmiał się i wziął ją na rękę.

- Jak sobie życzysz, moja pani - odpowiedział.

Epilog

Isabel stała na progu domu w Amberglen. Jedną dłoń trzymała nad oczami, osłaniając je przed słońcem, drugą machała w kierunku oddalającego się powozu z herbem Darshearów na drzwiach. Pojazd jeszcze przez kilkanaście minut pojawiał się i znikał między drzewami, a potem skręcił i wjechał za wzgórze. Westchnęła z ulgą.

- Powiedz mi, że to już wszyscy goście. Sullivan wziął ją za rękę.

- Tak jest. Nie licząc dwudziestu siedmiu pracowników i osiemdziesięciu jeden koni, jesteśmy sami.

Uśmiechnęła się.

- Słuchając cię, mam wrażenie, że wokół nas kłębi się tłum.

- W takim razie powinniśmy poszukać bardziej ustronnego miejsca.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pociągnął ją do domu. Trzymając się za rękę, pobiegli schodami na piętro. W korytarzu mignął im kamerdyner, minęli też lokaja i dwie pokojówki. Isabel wciąż nie mogła się przyzwyczaić, że może otwarcie okazywać Sullivanowi miłość, przytulać go i całować. Nikt nie zwracał na to uwagi. W każdym razie nikt w Amberglen. Biorąc pod uwagę fakt, że otrzymali już trzy zaproszenia od sąsiadów, ich małżeństwo zostało zaakceptowane. W każdym razie w Sussex.

- Coś się stało? - spytał Sullivan, gdy zatrzymała się w progu sypialni.

- Jestem twoją żoną - odpowiedziała, gładząc go po twarzy. Przycisnęła jej dłoń do ust, a potem sięgnął do drzwi i zamknął je. Potem usiadł na szerokim małżeńskim łóżu.

- Bram powiedział, że świetnie się prezentowałem jako pan młody.

- Powiedział, że nie wyglądałeś najgorzej - sprostowała. - To dopiero dwa tygodnie, a ty już wyolbrzymiasz swoją rolę.

Podeszła i zdjęła mu zakiet.

- Twoja rodzina i przyjaciele wyjechali - odezwał się. - Nie wiem, czy nasi sąsiedzi nadal będą dla nas tacy mili.

Pochyliła się i pocałowała go.

- Nie zależy mi na tym.

- Wiem. - Uśmiechnął się. Potem spojrzął na nią krytycznym wzrokiem. - Powinnaś nosić mniej ubrań - mruknął.

- Wtedy dopiero ludzie zaczęliby gadać.

- Masz rację. Na szczęście dziś nie musimy się spieszyć. Gdyby to zależało ode mnie - powiedział, pomagając jej zdjąć suknię - zaraz po ślubie przyszli-byśmy prosto tutaj i nie wychodzili przez miesiąc.

Znów go pocałowała.

- Kocham cię - wyszeptał.

- Ja ciebie też - odpowiedziała.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzął w oczy.

- Moja Isabel.

- Na zawsze - odrzekła, wtulając się w jego ramiona.

